

Jayne Castle

**Amarylis**

# *Rozdział pierwszy*

**D**o jasnej cholery! Nie mam ochoty na dyskusje o sumieniu, panno Lark - Lucas Trent patrzył twardo na kobietę siedzącą za biurkiem. - Przyszedłem tu w sprawie eksperta do spraw bezpieczeństwa.

- W naszej firmie panuje pogląd, że jedno nie wyklucza drugiego - odparła spokojnie Amarylis.

Lucas pomyślał, że ta dziewczyna od pierwszej chwili go irytuje i że nic nie wskazuje na to, aby sytuacja mogła ulec zmianie.

Jak na złość Lucasowi zależało na usługach Amarylis Lark, która pracowała dla Psynergii i była znakomitym fachowcem, ale jednocześnie bardzo niebezpiecznym partnerem.

Wyglądała jednak bardzo niewinnie ze swymi zielono-złotymi oczami i włosami o odcieniu ciemnego bursztynu. Lucas uznał ją za najciekawszy obiekt, z jakim się zetknął od chwili, gdy odkrył jaskinię pełną tajemniczych artefaktów.

Bardzo się sobie dziwił. Przecież Amarylis należała do wymierającego gatunku. Zawsze układna, zasadnicza i pedantyczna, mogłaby pozować do pomnika swych bohaterskich, zawziętych i obrzydliwie praworzędnych przodków.

Miała inteligentne, lekko karcące spojrzenie i włosy związane w prosty węzeł na karku, a jej dokładnie pozapinany żakiet skrywał wszelkie ewentualne wypukłości smukłej figury. Spódnica zasłaniała nogi aż do połowy łydek, lecz sądząc po kształcie kostki, reszta również nadawała się do pokazania.

Lucas podejrzewał, że Amarylis stanowi uosobienie staromodnych, nudnych i szalenie niewygodnych zalet.

Ta kobieta zdecydowanie nie była w jego typie.

Nie to jednak stanowiło główny problem. Lucas lubił podejmować wyzwania, więc równie dobrze mógłby stawić czoło Amarylis, ale ona pracowała dla Psynergii, a to wszystko zmieniało.

Nabrał więc powietrza w płuca i zaczął się zastanawiać, z jakiego właściwie powodu musiał zawitać do tego wspaniale zorganizowanego i świetnie funkcjonującego biura.

Wstał, położył ręce na nieskazitelnym blacie biurka i pochylił się do przodu, by skupić na sobie całą uwagę Amarylis.

- Mówiono mi, że Psynergia to jedna z najlepszych firm w tym interesie.

- Z całą pewnością, proszę pana. - Amarylis zmarszczyła gęste brwi. - Trzymamy się również pewnych zasad i dlatego muszę zadać parę pytań. Jeśli nie zechce pan odpowiedzieć, to pańska sprawa. Proszę jednak nie oczekiwać, że będę z panem pracować, dopóki nie sprawdzę, czy jest pan odpowiednim klientem.

- Odpowiednim klientem? - Lucas zacisnął zęby, by powstrzymać wybuch. - Nazywam się Lucas Trent. Jestem prezesem Gwiazdy Polarnej. Posiadam nieograniczone linie kredytowe we wszystkich bankach w Nowym Seattle. Zaraz mogę zatelefonować do pani burmistrz i prosić ją o poręczenie. Gubernator również mi nie odmówi. Czego jeszcze pani potrzeba, do jasnej cholery?

- Wiem, kim pan jest. - W jej oczach błysnęło podniecenie. - Znają pana wszyscy mieszkańcy Nowego Seattle. - Opuściła wzrok i przełożyła leżące na biurku papiery. - I bardzo się cieszę, że może pan sobie pozwolić na nasze usługi.

Na jej policzki wystąpił rumieniec, a Lucas oniemiał z wrażenia. Ta pedantyczna biurokratka naprawdę się zaczerwieniła.

Zerknął na swoje wielkie, pokancerowane, spracowane dłonie i przeniósł wzrok na długie wypielęgnowane palce i starannie wymanikiurowane paznokcie Amarylis. Nie zauważył obrączki.

Natychmiast jednak zmusił umysł do podwójnego wysiłku, by zwalczyć swą typowo męską reakcję na jej rumieniec.

Nie umawiał się przecież z kobietami o zdolnościach parapsychicznych. I bez tego nie brakowało mu problemów.

Amarylis należała do szczególnie dobrze wykształconych pracowników. Nie posiadała wprawdzie takiej siły jak Lucas, ale pomagała podobnym mu ludziom w odpowiednim wykorzystaniu umiejętności parapsychicznych.

Problem polegał bowiem na tym, że nawet najsilniejsze medium nie potrafiłoby się skupić na dłużej niż parę sekund bez wsparcia przyzmatu.

A w świecie, w jakim przyszło im żyć, takie pryzmaty jak Amarylis zarabiała świetnie, ponieważ popyt na ich usługi przekraczał podaż.

- Skoro zadowala panią stan mojego konta, w czym problem - powiedział Lucas. - Myślałem, że prowadzicie tu biznes.

- Interesujemy się jednak nie tylko pieniędzmi. – Policzki Amarylis przybrały normalną barwę. - Na pewno jest pan tego świadom - dokończyła z profesjonalnym uśmiechem.

- Jasne.

Stłumiwszy jęk, Lucas odsunął się od biurka, podszedł wolnym krokiem do okna i wyrzwał na ruchliwą ulicę.

Zbliżało się południe i miasto tętniło życiem. Lucas lubił tę nieharmonijną melodię wygrywaną przez samochody i zaaferowanych przechodniów. Pulsował w niej bowiem wyraźnie gorący rytm kwitnącej gospodarki i pobrzmiwało radosne murmurando społeczeństwa patrzącego z nadzieją w przyszłość. Nowe Seattle, a także jego bracia bliźniacy, Nowe Portland i Nowe Vancouver, wyśpiewywały te entuzjastyczne piosenki dopiero od niedawna

Znaczna część kolonistów osadzonych na Świętej Helenie tuż po jej odkryciu przed dwustu laty pochodziła z rejonu północno wschodniego Pacyfiku. Gdy zrozumieli, że są całkowicie odcięci od starego świata, nadali swym nowym siedzibom nazwy miast, jakich nigdy nie było im dane zobaczyć.

W obecnej dobie Nowe Seattle, Nowe Portland i Nowe Vancouver tworzyły wspaniały, lecz nader kruchy naszyjnik nowej cywilizacji powstałej wzdłuż zachodniego wybrzeża największego kontynentu Świętej Heleny.

Wymyślna technologia, jaką przywieźli ze sobą z Ziemi, zawiodła ich całkowicie już po paru miesiącach. Święta Helena przyjęła łaskawie nowe formy życia, lecz odrzuciła całkowicie maszyny. Urządzenia nierdzewne rozsypały się w proch, plastik rozpuścił się - w skądinąd przyjaznej - atmosferze planety. Nie przetrwało nic, co było wytworem ziemskiej cywilizacji. Święta Helena postawiła przybyszom okrutne ultimatum: mogli przystosować się do nowego środowiska lub umrzeć.

Koloniści wybrali oczywiście to pierwsze rozwiązanie, co wcale nie okazało się łatwe. W końcu jednak nauczyli się wykorzystywać nowe surowce i metale, lecz ten wysiłek sporo ich kosztował. A myśl techniczna oraz naukowa kilku pokoleń poszła na marne.

Potomkowie ojców założycieli dowiadawali się z książek historycznych, że maszyny ziemskie okazały się zbyt prymitywne w stosunku do wymogów nowego świata. Nowe pokolenia nie interesowały się jednak specjalnie Ziemią.

Po dwustu latach samodzielnego życia nikt, z wyjątkiem członków zapoznanych sekt religijnych, nie liczył na to, że Ziemianie odnajdą swą utraconą kolonię.

Mieszkańcy Świętej Heleny uznali więc tę bogatą, zieloną krainę za swój dom. I choć znacznej części planety jeszcze nie zbadano i nie opisano, istniały podstawy, by sądzić, że koloniści są jedynymi żyjącymi tam istotami obdarzonymi rozumem.

Odkryte przez Lucasa artefakty wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie w środowisku akademickim, lecz nie wywołały paniki w społeczeństwie.

Z uwagi na ich wiek badacze wyrazili opinię, iż najprawdopodobniej nie pochodzą one w ogóle ze Świętej Heleny. Uznano je więc za szczątki podróżników, którzy w zamierzonej przeszłości stworzyli sobie placówkę na tej planecie. Z całą pewnością jednak nie przebywali tam długo, więc albo wyginęli, albo ruszyli dalej w kosmos.

Ziemianie nie zniesliby konkurencji.

- Tak więc, proszę pana - zaczęła znów Amarylis – jeśli nadal pragnie pan zatrudnić wykształconego i kompetentnego pracownika, musimy poruszyć kolejne zagadnienie.

Nie siląc się specjalnie na subtelne aluzje położyła akcent na słowa: wykształcony i kompetentny.

Oczywiście Lucas mógł zatrudnić kogoś nie wykształconego i nie kompetentnego, lecz byłoby to bardzo niebezpieczne. Nawet korzystanie z pomocy znanej firmy stwarzało ogromne ryzyko. Niestety, nie miał innego wyjścia.

- A co mi pozostało? - Lucas zerknął przez ramię na Amarylis. - Proszę zadawać te swoje cholerne pytania - warknął przez zaciśnięte zęby.

Amarylis popatrzyła na niego przenikliwie. Lucas wiedział jednak doskonale, że potrafi ukrywać swoje myśli. Nie narzekał na brak doświadczenia w tym względzie.

- Dobrze. - Amarylis zajrzała do notatek. - Mówi pan, że chodzi tu o sprawy związane z bezpieczeństwem.

- Tak.

- A dokładniej?

- O bezpieczeństwo firmy.

- Rozumiem - odparła cierpliwie. - Interesują mnie jednak bliższe szczegóły.

- W porządku. Nazywając rzecz po imieniu, ktoś, komu ufałem, chce puścić mnie z torbami. Czy to pani wystarczy?

Zacisnąwszy dłoń w pięść, przeniósł wzrok na ulicę. Poczł znajomy przyptływ niemal fizycznego bólu. Ktoś go zdradził. I Choć Lucas nie po raz pierwszy w życiu padł ofiarą spisku, nie przyzwyczał się jeszcze do tego dziwnego uczucia, jakie zawsze mu towarzyszyło w takich sytuacjach.

Krąg zaczyna się poszerzać - pomyślał gorzko. Najpierw żona, Dora. Potem wspólnik, Jackson Rye. A teraz jego zastępczyni Miranda Locking - odpowiedzialna za dobre imię firmy.

Lucas nie chciał nigdy tworzyć tego działu w Gwieździe Polarnej. To Jackson Rye wpadł na podobny pomysł. On zresztą zawsze lubił wykazywać się inicjatywą.

- Ach tak.

W głosie Amarylis wyraźnie pobrzmiwało współczucie, co natychmiast obudziło jego czujność. Przypomniał sobie od razu, że przeszkolone pryzmaty z pełnym widmem są ogólnie znane ze swej przenikliwości i intuicji. W ich obecności należało zatem zachować ostrożność.

- Ktoś z moich współpracowników sprzedaje konkurencji ściśle tajne informacje - wyjaśnił Lucas.

- Myślał pan może o zawiadomieniu policji?

- Nie, bo nie chcę stawiać nikogo przed sądem.

- Rozumiem. Wielu naszych klientów postępuje podobnie w takich sytuacjach. Nikomu nie zależy na złej reklamie.

- Pewnie. I tak już każdy szef firmy na moim miejscu pluje sobie w brodę. Po co miałyby jeszcze czytać o tym w gazetach? Przecież już wie, że powinien był przedsięwziąć lepsze środki ostrożności. Z jakiej racji miałyby jeszcze dostarczać tematów Nelsonowi Burlingtonowi? Już on by to elegancko rozrobił w popołudniowym wydaniu wiadomości! A telewizję oglądają wszyscy.

Tak naprawdę Lucas najmniej się przejmował złą prasą. Zależało mu jednak na tym, by wyjaśnić, dlaczego Miranda go zdradziła, choć wiedział, że prawda wcale nie poprawi mu samopoczucia. Kiedy odkrył, jakimi pobudkami kierowała się jego żona i wspólnik przy podobnej okazji, o mało nie dostał skrętu kiszek. Gdyby została mu choć odrobina zdrowego rozsądku, wylałby po prostu Mirandę i o wszystkim zapomniał.

- Psynergia zachowuje całkowitą dyskrecję w sprawach swoich klientów. Może pan spać zupełnie spokojnie - zapewniła Amarylis.

- No, mam nadzieję - Lucas znów zerknął na nią przez ramię.

Oczy dziewczyny nasuwały mu na myśl porośnięte paprociami jeziora w grotach na wyspie. Były tak samo spokojne i niewyobrażalnie głębokie. Natychmiast doszedł do wniosku, że jest to kolejny powód, by mieć się przed nią na baczności.

Odchrząknęła.

- Rozumiem, że najpierw musimy się dowiedzieć, kto sprzedaje tajemnice pańskiej firmy.

- To już zdążyłem ustalić.

- W takim razie, dlaczego pan nie wyrzuci tego osobnika? - spytała unosząc wzrok nad papierów. - Przecież sam pan mówił, że nie zależy panu na procesie.

- Mówimy o kobiecie, a nie o mężczyźnie. - Lucas podszedł z powrotem do krzesła. - A ta kobieta nazywa się Miranda Locking i jest moim zastępcą. Oczywiście, że zamierzam ją zwolnić, ale najpierw chciałbym jeszcze coś wyjaśnić.

- Na przykład?

Lucas zacisnął dłonie na oparciu krzesła.

- Muszę wiedzieć, czy ona zdradziła mnie dla pieniędzy, czy też z jakiegoś innego powodu.

Amarylis popatrzyła na jego ręce.

- Z innego powodu?

Lucas udał, że nie dostrzega jej pytającego spojrzenia. Puścił krzesło i rozpoczął wędrówkę po małym biurze.

- Oczywiście jest jeszcze pośrednik. Makler, który wykupuje informacje od Mirandy, a później sprzedaje je temu, kto mu za nie najwięcej płaci. Jego też chcę przyszpilić.

- Pewnie nigdy nie uda się panu udowodnić, że ten człowiek złamał prawo - ostrzegła Amarylis. - A zresztą i tak nic zechce pan stawiać nikogo przed sądem. Co więc może pan zrobić wspólnikowi Mirandy?

Lucas omiótł wzrokiem kolekcję dyplomów i świadectw rozwieszonych na przeciwległej ścianie.

- Proszę się o to nie martwić. Już ja sobie z nim poradzę. Pani musi mi tylko pomóc wyłowić go z tłumu.

- Nie bardzo mi się podoba pański ton. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę przyjąć zlecenia, jeśli zamierza pan podjąć jakieś bezprawne działania przeciwko temu maklerowi.

- Nigdy bym się nie ośmielił prosić, by złamała pani zasady etyki zawodowej, panno Lark. - A zapewne ma ich pani wiele, sądząc po tych wszystkich dyplomach i certyfikatach. Widzę, że zrobiła pani magisterium z nauk ogniskowych oraz filozofii transfizycznej na uniwersytecie w Nowym Seattle.

- Tak. Moja praca dyplomowa dotyczyła metafizyki etycznej.

- To fantastyczne.

- Dziękuję.

- Z dyplomu wynika, że posiada pani kwalifikacje do pracy z talentem klasy dziesiątej.

- Prosił pan o pryzmat z pełnym widmem.

- Rzeczywiście. - Okręciwszy się na obcasie, Lucas patrzył na Amarylis przez dłuższą chwilę. - Mam, co chciałem.

- W takim razie będzie pan musiał zaakceptować moje zasady.

- Oczywiście. Proszę się nie martwić. Nie zamierzam wyrzucić temu pośrednikowi żadnej krzywdy - kłamał Lucas. - Ale jeśli on rzeczywiście robi to, o co go posądzam, muszę dopilnować, by prawda wyszła na jaw.

- Nie rozumiem. A o co pan go właściwie posądza? Oczywiście poza wykupywaniem informacji.

Lucas wahał się dłuższą chwilę.

- Sądzę, że ten makler hipnotyzuje Mirandę.

Amarylis skamieniała ze zdumienia. Zanim się opanowała, dwukrotnie zamrugła powiekami.

- Zaraz... Czy ja aby na pewno dobrze pana rozumiem? Sądzi pan, że jakiś hipnotyzer zmusił pannę Locking do popełnienia przestępstwa?

- Istnieje taka możliwość - mruknął Lucas.

- Wysoce nieprawdopodobna. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że bardzo niewielu ludzi posiada takie zdolności, a ci na ogół poświęcają się medycynie.

- Ale nie wszyscy.



- Tak, niektórzy występują na scenie - przyznała dziewczyna. - Nigdy jednak nie słyszałam, by ktoś wykorzystał ten dar w jakimś niegodnym celu. Nawet nie jestem pewna, czy to w ogóle możliwe.

- A dlaczegoż by nie?

- Bo taki hipnotyzer musiałby posiadać niezwykłą moc, żeby skłonić kogokolwiek do złamania zasad etycznych. Musiałby to być talent klasy dziewiątej, może nawet dziesiątej. A przecież sam pan wie, jaka to rzadkość.

- Znam parę takich osób.

- Wedle najnowszych badań, zaledwie pół procent całej naszej populacji posiada tego rodzaju zdolności.

- Pół procent nie równa się zeru.

- Tak, ale hipnotyzer tej klasy uprawiałby na pewno jakiś uczciwy zawód. Pracowałby na uniwersytecie albo w szpitalu. Dlaczego miałby się wdawać w jakieś kryminalne afery?

- A któż to może wiedzieć? - Lucas rozłożył bezradnie ręce. - Być może lubi ryzyko. A kradzież sekretów przedsiębiorstwa wydaje mu się bardziej podniecająca niż kariera anestezjologa czy pracownika naukowego uniwersytetu.

- Wątpię.

Lucas uśmiechnął się lekko.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lark, ale jest pani trochę naiwna. Gdyby spędziła pani trochę czasu na Wyspach Zachodnich, od razu by się pani przekonała, że wielu ludzi złamałoby z rozkoszą, te słodkie zasady etyczne.

Na jej policzki znów wystąpiły rumieńce. Spojrzała na niego wrogo.

- Pan chyba o czymś zapomina. Nawet jeśli tutaj, w Nowym Seattle, mieszka jakiś wyjątkowo nieuczciwy hipnotyzer, to z pewnością nie działa on sam. Przecież talent tej klasy potrzebuje równie silnego i amoralnego pryzmatu, by koncentrować w nim swoje umiejętności.

- Wiem.

- Niechże pan będzie rozsądny - westchnęła Amarylis. - Naprawdę nie wierzę w istnienie tego rodzaju szajki.

- Ale nie może pani wykluczyć takiej możliwości.

Uniosła ramiona w geście rozpaczy.

- Tak, hipotetycznie wszystko jest możliwe, aczkolwiek mało prawdopodobne.

- Chcę to sprawdzić.

- Tonący brzytwy się chwyta, prawda? - spytała Amarylis, patrząc na niego z namysłem.

- Próbuję podejść do problemu w jak najbardziej rozsądny, logiczny sposób.

- A wie pan, co ja myślę? Otóż uważam, że za wszelką cenę próbuje pan usprawiedliwić pannę Lockwood – powiedziała łagodnie Amarylis. - Rozumiem. Łatwiej jest wierzyć, że panna Miranda wpadła w szpony hipnotyzera, niż stawić czoło prawdzie. Czyż nie tak, panie Trent?

Amarylis miała z pewnością rację, ale Lucas nie zamierzał mówić tego głośno. Po raz setny w ciągu ostatnich dwudziestu minut stwierdził w duchu, że przecież wiedział, jakie to wszystko będzie nieprzyjemne.

Wynajmowanie przyzmatu, który pomógłby mu skoncentrować własne zdolności, było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Taka współpraca była przeciwna jego naturze. Przecież powinien sam zaprzęgnąć umysł do pracy i kontrolować go całkowicie bez niczyjej pomocy.

Większość osób z talentem niższej klasy godziła się z faktem, że nie może wykorzystać swego daru bez pomocy przyzmatu. Zresztą na Świętej Helenie wszystko wyglądało podobnie. Porządkiem naturalnym rządziły skomplikowane reguły synergii, czyli współdziałania. To właśnie była najtrudniejsza lekcja, jakiej musieli się nauczyć koloniści ciągu ostatnich dwustu lat. Na Świętej Helenie obowiązywało bowiem prawo, które można by streścić za pomocą starego ziemskiego powiedzonka głoszącego zasadę, że do tanga trzeba dwojga.

Wśród osadniczej społeczności pierwsze talenty paranormalne odkryto już w niecałe pięćdziesiąt lat po założeniu kolonii. A po kolejnych dwudziestu odnaleziono w populacji przyzmaty.

Nim jednak udowodniono, że przyzmaty i talenty wzajemnie się uzupełniają, minęła kolejna dekada. Żadne bowiem medium nie mogło samodzielnie wykorzystywać swego daru dłużej niż kilkadziesiąt sekund, a większość nie była w ogóle w stanie się skupić bez pomocy.

Naukowcy zgodnie doszli do wniosku, że przyzmaty zostały stworzone przez naturę, by uniemożliwiały talentom wykorzystywanie zdolności parapsychicznych do zbrodniczych celów. Osiągnięcie skutecznej więzi natomiast wymagało obopólnej zgody obu stron.

Eksperti wyśmiewali koncepcję, wedle której niewinnym, naiwnym przyzmatom groziło zniewolenie w szponach potężnego talentu o przestępczych skłonnościach. Nie przeszkodziło to jednak filmowcom w realizacji całej serii opowieści o wampirach psychicznych, którym udało się wyrwać spod kontroli.

Powstało także wiele poczytnych książek opisujących losy pięknych i uroczych przyzmatów płci żeńskiej zniewolonych przez niewiarygodnie silne talenty.

Lucas zauważył niedawno na wystawie najnowszą powieść Orchid Adams zatytułowaną: „Dziki talent”. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru jej czytać, by całkiem się nie załamać. I tak już był wystarczająco boleśnie świadom swych ograniczeń, zarówno psychicznych, jak i tych innej natury - w relacjach z kobietami.

W prawdziwym życiu przyzmatom nie groziło żadne niebezpieczeństwo, gdyż dzięki naturalnym mechanizmom obronnym mogły bez trudu przerwać niewygodną dla nich więź. Gdy natrafiały na talent przerastający ich własną zdolność koncentracji, traciły jakiegokolwiek zdolności parapsychiczne.

Ten stan - zwany wypaleniem - nie trwał zwykle długo, powodował jednak przykre następstwa. Przyzmaty czuły się bowiem wówczas tak, jakby straciły zmysł dotyku, słuchu lub wzroku, i zwykle dochodziły do formy dopiero po wielu tygodniach.

Z tego właśnie powodu renomowane agencje, takie jak Psynergia, wymagały od swoich klientów zaświadczeń o klasie talentu.

- Nie szukam usprawiedliwień, tylko odpowiedzi. – Lucas powrócił myślami do intrygujących do kwestii.

- Doskonale pana rozumiem, proszę mi wierzyć. Mnie również zarzucano zbytnią dociekliwość. Lecz cóż innego można zrobić, gdy dręczą nas wątpliwości? Pańska sprawa wydaje mi się jednak całkowicie jasna.

- Jeśli nie chcę stracić resztek złudzeń, to wyłącznie mój problem. Podpisuje pani umowę, czy nie?

- Jeśli jest pan całkowicie zdecydowany na prowadzenie tego śledztwa...

- Owszem - przerwał jej Lucas.

- Pod warunkiem, że pragnie pan jedynie zidentyfikować współlnika panny Lockwood...

- Tylko o to mi chodzi.

- W takim razie nie mam zastrzeżeń. Podpiszę z panem kontrakt na ogólnie przyjętych zasadach.

- Miałem taką nadzieję. - Lucas uśmiechnął się lekko. - Należę do talentów klasy dziewiątej, co oznacza, że zapłacę fortunę za wasze usługi.

- Może się pan przecież zwrócić do innej agencji.

- Nigdzie nie będzie taniej. - Lucas usiadł ciężko na krześle. - Zaczynamy. Nie mam zbyt wiele czasu.

- W porządku. - Amarylis wzięła pióro do ręki. - Mówi pan: klasa dziewiąta?

- Tak.

- Oczywiście dysponuje pan zaświadczeniem?

- Chwileczkę. - Lucas otworzył teczkę. – Przyniosłem potrzebne dokumenty. - Wygrzebał z przegródki certyfikat określający siłę jego talentu. Testom poddał się bardzo niechętnie przed kilkoma laty. - Wszystko podpisane i przypieczętowane - powiedział, rzucając na biurko Amarylis plik papierów. - Jeśli posiada pani kwalifikacje do pracy z klasą dziesiątą, to nie ma powodu, dla którego miałaby się pani mnie obawiać. Dostałem tylko dziewiątkę.

- Niech pan nie będzie taki skromny. - Amarylis przeglądała dokumenty z wyraźnym zaciekawieniem. – Dziewiątki są niezwykle rzadkie.

- Jak również i przyzmaty, które są w stanie skupić ich siłę.

- To prawda. I dlatego moje usługi są takie drogie. Prawo podaży i popytu, panie Trent. Sądzę, że prezesowi Gwiazdy Polarnej nie są obce podstawowe prawa ekonomii.

Lucas zbył tę uwagę milczeniem.

Amarylis znów zerknęła na papiery.

- Z dokumentów wynika, że poddał się pan badaniom dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat. Dziwne. Zwykle testują już nastolatków.

- Wychowałem się na Wyspach Zachodnich - odparł swobodnie Lucas. - Nie mamy tam żadnych wymyślnych testów. Sprawdziłem się dopiero wówczas, gdy przyjechałem do Nowego Seattle, żeby zrobić dyplom z mineralogii synergistycznej.

- Rozumiem.

Lucas łypał ukradkiem na Amarylis, podczas gdy ona nadal studiowała wnikliwie dokumenty. Uspokoił się jednak na dobre, bo zauważył, że dziewczyna kiwa z zadowoleniem głową.

Musiał jakoś wyjaśnić opóźnienie w testach. Po tylu latach nauczył się już kłamać gładko i bez zająknięcia. A prawda była taka, że świadomie unikał testów. Gdy jednak zyskał pewność, że potrafi bez trudu ukryć swoje prawdziwe umiejętności, wyraził zgodę na badania, gdyż nie miał już powodów do obaw.

Wtedy celował w ósemkę, ale nie kontrolował się jeszcze tak dobrze jak teraz. Dlatego musiał zadowolić się dziewiątką.

Nie chciał się znaleźć w klasie dziesiątej, gdyż mogło to spowodować spore kłopoty. Mieszkańcy Świętej Heleny cenili wprawdzie ludzi o najwyższych zdolnościach, lecz jednocześnie czuli się nieswojo w ich towarzystwie. Dziesiątki były traktowane z pewnego rodzaju rezerwą, z jaką na ogół spotykają się ludzie o niezwyklej urodzie lub nieprzeciętnej inteligencji. A to nie wróżyło sukcesu w interesach.

Amarylis zamknęła teczkę z papierami i postukała w nią ołówkiem.

- Jest pan oprócz tego wykrywaczem talentów. Wyczuwa je pan natychmiast, kiedy tylko zaczynają ogniskować. To bardzo niezwykła umiejętność.

- I na ogół zupełnie bezużyteczna. - Tym razem nie kłamstwo, lecz niedopowiedzenie, pomyślał, rozluźniając krawat. - Takie zdolności rzadko znajdują zastosowanie.

- Wiem - mruknęła współczująco. - Na ogół jedynie w kasynach.

- Właśnie. A mnie tego rodzaju praca zupełnie nie interesuje. - Hazard lubię wyłącznie w interesach.

- Jednak chce pan wykorzystać swoje zdolności, żeby się przekonać, czy panna Locking uległa hipnozie? - dopytywała się Amarylis.

- Tak - Lucas oparł swobodnie łokcie na kolanach. - Kiedy zdałem sobie sprawę, że ktoś sprzedaje tajne informacje, zacząłem mieć na nią oko. Podsunałem jej też fałszywe dane. Chciałem zobaczyć, dokąd zawędrują.

- No i co?

- Ustaliłem, że Miranda utrzymuje regularne kontakty z niejakim Merrickiem Beechem. Sądzę, że to makler. Muszę jednak mieć pewność, a także wyjaśnić, czy Beech korzystał z pomocy przyzmatu.

- W tym celu musiałby go pan złapać na gorącym uczynku. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to będzie trudne?

- Już w czwartek nadarzy mi się pierwsza taka okazja - powiedział Lucas, mrużąc oczy,

- W czwartek?

- Miranda i Beech zostali zaproszeni na przyjęcie z okazji otwarcia nowego skrzydła w Muzeum Narodowym.

- Naprawdę? - Oczy Amarylis rozbłyły entuzjazmem. - Zdaje się, że będzie tam można obejrzeć eksponaty z Wysp Zachodnich.

- Tak. - Lucas zmarszczył brwi. - O ile mi wiadomo, nawet największy talent hipnotyzerski musi czasem ponawiać sugestie, jakie czyni swej ofierze, prawda?

- Tak, szczególnie jeśli te sugestie są sprzeczne z wolą samej ofiary.

- W takim razie będzie mu potrzebny pryzmat.

- Owszem, ale już panu mówiłam, że to naprawdę niemożliwe.

- A mnie się wydaje, że Beechem przystąpi do dzieła od razu w czwartek. Chcę go złapać na gorącym uczynku.

Amarylis przygryzła wargi.

- Z moją pomocą?

- Tak jest - uśmiechnął się Lucas. - Wszystko jest proste, jasne, a ponadto całkowicie legalne i zgodne z zasadami etyki.

Amarylis zabębniła paznokciami po biurku.

- Ale to przyjęcie będzie na pewno bardzo ekskluzywne. Zaproszenia otrzymają tylko ważne osobistości i sponsorzy muzeum. Ja nie obracam się w takich kręgach.

- Mogę panią zapewnić, że z tym nie będzie żadnego problemu - powiedział sucho Lucas.

Na policzki Amarylis znów wystąpiły rumieńce.

- No oczywiście. Przecież pan podarował im eksponaty. Sądzę, że muzeum spełni każdą pana prośbę.

- Powiedzmy po prostu, że kustosz jest mi wdzięczny.

- To chyba eufemizm - mruknęła dziewczyna.

Lucas wzruszył ramionami. Wszyscy wiedzieli, że artefakty stanowią największą atrakcję całej kolekcji. Spodziewano się, że przyciągną tłumy zwiedzających i... hojnych sponsorów.

Amarylis popatrzyła poważnie na Lucasa.

- Jako profesjonalistka muszę panu powiedzieć, że straci pan tylko czas. Nikt nie hipnotyzował panny Locking... - zawahała się. - No, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że Miranda poddawała się jego sugestiom bez żadnych oporów - dokończyła z westchnieniem Amarylis. - Ale to by oznaczało, że panna Lockwood jest nieuczciwym,

przekupnym i wyrachowanym pracownikiem, a nie ofiarą hipnotyzera o przestępczych skłonnościach.

- Ona była dla mnie kimś więcej aniżeli tylko pracownikiem - wyznał cicho Lucas.

- Coś was łączy?

- Tak, ale nie romans, choć zapewne to właśnie miała pani na myśli. Trzy lata temu Miranda zaręczyła się z moim współnikiem Jacksonem Ryem. Kiedy on zginął w akcji na Wyspach Zachodnich, powierzyłem pannie Lockwood wysokie stanowisko w firmie. Uważałem, że jestem jej coś winien. A ona bardzo potrzebowała tej pracy.

Amarylis milczała przez dłuższą chwilę.

- Dobrze, panie Trent. Będę z panem pracować. – Wzięła długopis do ręki i zaczęła powoli składać podpis pod kontraktem.

- Dziękuję.

- A tak na marginesie... Wymyślił już pan jakąś przekonującą historyjkę, która mogłaby usprawiedliwić moją obecność w muzeum? Może mam się przebrać za kelnerkę? Tylko że musiałby pan o tym uprzedzić firmę, która organizuje to przyjęcie.

- Nie widzę problemu. - Lucas patrzył na dyskretne kolczyki Amarylis. - Pójdzie pani ze mną w charakterze kandydatki na żonę.

Ręka Amarylis zawisła nad kartką

- Co takiego?! - spytała, patrząc na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami.

- Złożyłem właśnie swoją ofertę w biurze matrymonialnym. Wszyscy, łącznie z Mirandą, wiedzą, że szukam żony. Każdemu, kto o to zapyta, powiem, że poleciła mi panią agencja matrymonialna. Dobry pomysł?

## *Rozdział drugi*

**L**ucas Trent, Lodziarz we własnej osobie, naprawdę poprosił ją o pomoc.

Amarylis zaczęło ogarniać zdumienie dopiero w chwili, gdy za jej nowym klientem zamknęły się drzwi. Podczas rozmowy z trudem ukrywała swoje uczucia.

Lucas Trent. Siedział tu, w jej gabinecie, po przeciwnej stronie biurka. A ona podpisała z nim kontrakt.

Człowiek zwany Lodziarzem nawiedzał ją od dawna. W jakiś przedziwny sposób wyczuwała jego obecność.

Przed rokiem zobaczyła jego zdjęcie w gazecie. Uwagę Amarylis przykuły jednak nie sukcesy finansowe Trenta ani też jego odkrycia na Wyspach Zachodnich.

Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od jego oczu.

Oczywiście nie uległa obsesji czy fascynacji, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Potem była zbyt zapracowana, by poświęcać uwagę Lucasowi, którego zepchnęła gdzieś głęboko do podświadomości.

Nie mogła narzekać na brak zajęć. Skończyła znajomość z Gilfordem, rzuciła pracę na uniwersytecie, dostała posadę w Psynergii i zaczęła przygotowywać papiery dla agencji matrymonialnej. Naprawdę nie zostało jej zbyt dużo czasu na rozmyślanie o Lodziarzu.

Znała jego nazwisko, zanim jeszcze prasa zaczęła się rozpisywać o artefaktach. Trent stał się sławny trzy lata wcześniej, kiedy to piraci napadli na Wyspy Zachodnie.

Skazańcy, kryminaliści oraz bandyci z trzech miast stworzyli silne oddziały operacyjne i pod wspólnym sztandarem najechali na wyspy, by przejąć kontrolę nad ich bogactwami naturalnymi.

Amarylis zajmowała się wówczas pracą naukową i nauczaniem, ale mimo to śledziła tę sprawę. Dowiedziała się na przykład, że podczas ataku piratów zginęła żona Lucasa i jego wspólnik.



Trent zorganizował natychmiast specjalne grupy samoobrony, składające się z górników, pracowników technicznych, kupców, żeglarzy i handlowców, którzy na swoje nieszczęście przyjechali na Wyspy Zachodnie przed rozpoczęciem walk.

Właśnie wówczas Nelson Burlton zaczął nazywać Trenta Lodziarzem. Zarówno Burlton, jak i inni dziennikarze nie znajdowali słów, by wyrazić swe uznanie dla strategii i taktyki Lucasa. W ciągu dwóch tygodni zdziesiątkowane oddziały piratów opuściły wyspy.

Ale to nie talenty przywódcze Lucasa przykuły uwagę Amarylis. Pochłaniały ją bowiem wtedy końcowe egzaminy na uniwersytecie. Kiedy jednak zobaczyła jego zdjęcie w gazetach, nie mogła przestać o nim myśleć. Reporterowi udało się uchwycić Lucasa w chwili, gdy wychodził z dżungli z artefaktami w dłoni. Ostre rysy Trenta i jego spojrzenie pozostawiły trwałe ślady w pamięci dziewczyny.

A teraz po jego wizycie Amarylis zdała sobie sprawę, że fotografia nie oddawała nawet w połowie prawdziwego wyglądu tego mężczyzny. Lucas stanowił bowiem uosobienie męskiej siły i zdecydowania. Jego wystające kości policzkowe, orli nos oraz wydatna szczeka wydawały się dziewczynie równie egzotyczne i interesujące jak owe tajemnicze artefakty.

Fotoreporter nie zdołał uchwycić również ponurej, lodowatej głębi oczu Trenta, która wywarła na Amarylis tak piorunujące wrażenie. Nelson Burlton nawet się pewnie nie domyślał, że nadał Lucasowi tak trafny przydomek.

Niestety, w prawdziwym życiu Trent oddziaływał jeszcze silniej na jej zmysły. Jego charakterystyczny wyspiarski sposób mówienia przyprawiał dziewczynę o nie kontrolowany dreszcz. A widok ogromnych, męskich, stwardniałych od pracy dłoni powodował dziwne skurcze żołądka.

Nadal jednak nie potrafiła logicznie wytłumaczyć swoich odczuć, co bardzo ją martwiło.

Kiedy otworzyły się drzwi, Amarylis doznała natychmiastowej ulgi.

- No i co? - spytała Clementine Malone, właścicielka Psynergii. Jej chytre, ciemne oczy błyszczały z podniecenia, a krótkie, przycięte na jeża włosy wydały się Amarylis jeszcze bardziej nastroszone. - Podpisał?

- Proszę bardzo - Amarylis pomachała kontraktem. - Jestem z nim umówiona na czwartek. Muszę ci jednak powiedzieć, że przewiduję kłopoty.

- Na pewno jakoś im zaradzimy. - Clementine zabrała dziewczynie papiery i spojrzała na podpis Trenta. - Dobra robota. Gratuluję.

- Dzięki.

Uznanie szefowej sprawiło jej przyjemność. Lucas Trent był zresztą najważniejszym klientem Amarylis, od czasu gdy dziewczyna podjęła pracę w Psynergii. A kontrakt z taką osobistością stanowił nie tylko przełom w jej własnej karierze, lecz dodawał także splendoru firmie.

- Wiedziałam, że ci się uda - Clementine zerknęła na Amarylis znad kontraktu. - Właśnie mówiłam Smyth-Jonesowi, że jesteśmy na fali. A Dumne Ognisko może się wypchać.

Dumne Ognisko stanowiło największe zagrożenie dla Psynergii. Oczywiście, w Nowym Seattle istniało wiele innych firm o podobnym profilu, ale walka między Dumnym Ogniskiem a Psynergią miała charakter osobisty. Szefową Dumnego Ogniska była bowiem Gracie Proud, kochanka Clementine. Piętnaście lat pożycia w udanym związku to jedno, a rywalizacja na gruncie zawodowym - drugie.

- Przykro mi - powiedziała Amarylis, wyciągając rękę po kontrakt - ale chyba nie będziesz mogła tego rozgłaszać. Pan Trent prosił mnie wyraźnie o dyskrecję. Sprawa dotyczy bezpieczeństwa firmy.

- Jasne. - Clementine mrugnęła do dziewczyny i oparła się biodrem o kant biurka. - Ale takie informacje idą w świat. Jeśli Trent będzie zadowolony z naszych usług, z pewnością poleci Psynergię swoim znajomym. - Pokiwała głową tak gwałtownie, że metalowe kolczyki w kształcie kółek zakołysały się jak statek na wzburzonej morzu. - Zobaczysz. Staniemy się najbardziej ekskluzywną agencją w mieście.

- Już nią jesteśmy - powiedział od progu Byron Smyth-Jones, recepcjonista i sekretarz firmy. - Ile jeszcze razy będę musiał ci to powtarzać? Myśl pozytywnie. Wyobraźnia wyprzedza rzeczywistość, a wiara czyni cuda.

Clementine popatrzyła na Byrona z lekkim obrzydzeniem.

- Co mnie napadło, że cię wysłałam na to nieszczęsne seminarium?

- Bo wiedziałas, że temat dotyczy zarządzania, a ja jestem stworzony do wielkiej kariery - odparł Smyth-Jones z miłym uśmiechem.

Byron dopiero niedawno skończył dwadzieścia jeden lat, był smukły, przystojny i - jak na gust Amarylis - zbyt ulegał modzie. Cesał się w koński ogon, związany czarnym skórzanym rzemykiem. Nosił koszule i spodnie w kolorze khaki, które ozdabiał mnóstwem sprzączek, klamerek, przypinek, naszywek i kieszeni. Sztucznie podniszczony pas i buty dopełniały reszty

ubioru. Ten chłopak mógł naprawdę występować w reklamówce propagującej styl rodem z Wysp Zachodnich.

Ta specyficzna moda wzbudziła zainteresowanie klienteli już przed rokiem, kiedy to Nelson Burlton pojechał na wyspy, żeby zrobić tam serię reportaży na temat artefaktów. Przez tydzień pojawiał się na ekranach w stroju badacza dżungli i nie tyle skupił publiczną uwagę na najnowszych odkryciach naukowych, co uczynił cuda dla producentów khaki.

Najmłodszy przedstawiciel płci brzydkiej oszaleli na punkcie stylu wyspiarza i nic nie wskazywało na to, by ta tendencja zaczęła przemijać. A otwarcie wystawy nabijało kabzy projektantów i producentów odzieży męskiej.

- Przeznaczenie jest zaledwie funkcją synergii i można je łatwo odmienić - zaśpiewała Clementine.

Byron zmarszczył gniewnie brwi, ale zaraz potem uśmiechnął się do Amarylis.

- Ciebie też szlag trafia, kiedy ona zaczyna cytować tych starych nudziarzy?

- Clementine przytoczyła teorię Patricii Thorncroft North - powiedziała Amarylis tonem rasowego wykładowcy. - A to właśnie ona odkryła trzy zasady synergii. Gdyby nie Patricia, pewnie byś tutaj nie pracował.

Clementine stłumiła śmiech, a Byron jęknął i przyłożył sobie dłoń do czoła, jakby nagle dostał gorączki.

- Błagam cię, Amarylis, daj sobie spokój z tą lekcją. Jeszcze nie doszedłem do siebie po wczorajszej.

- Ale ona tak świetnie się na tym zna - mruknęła Clementine.

Amarylis poczuła, że znów zaczyna się rumienić. Jeszcze nie zdążyła przywyknąć do biurowych żartów. W dalszym ciągu nie mogła odróżnić nieszkodliwego pokpiwania od poważnych zarzutów. Na uniwersytecie wszystko wyglądało inaczej. Czasem więc tęskniła za poważną, dostojną atmosferą wydziału nauk ogniskowych. Ale tylko czasem.

- Najważniejsze jest jednak to, że złowiłaś naprawdę wielką rybę, Amarylis, i na twoim miejscu na pewno poprosiłbym o podwyżkę. Nie przepuściłbym takiej okazji - powiedział Byron.

Amarylis uśmiechnęła się cierpko.

- Dzięki za radę, ale jeszcze zaczekam. Wcale nie jestem przekonana, czy pan Trent będzie zadowolony z moich usług.

Clementine rozszerzyła oczy z przerażenia.

- O czym ty mówisz, do diabła? Dlaczego nie miałby być zadowolony? Wiem, że to dziewiątka, ale na pewno dasz sobie z nim radę. Przecież posiadasz pełne widmo i certyfikat klasy dziesiątej.

- Nie w tym rzecz - Amarylis patrzyła na kontrakt z nieszczęśliwą miną. - Pan Trent chce znaleźć odpowiedzi na pewne pytania, a ja przypuszczam, że to, czego się dowie, wcale nie wzbudzi w nim entuzjazmu.

- To niczego nie zmienia. I tak musi zapłacić - stwierdził Byron.

- Tak, ale chyba nie rozstaniemy się w zgodzie. Wiecie przecież, że dziewiątki bywają niesforne i aroganckie. Jeśli rezultaty pozostają w sprzeczności z ich oczekiwaniami, zwykle winią o to pryzmaty. Twierdzą, że ognisko było za słabe, by skupić ich energię.

Clementine popatrzyła na nią ostro.

- Mówiłaś, że ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa firmy. O co jemu właściwie chodzi?

- Trzymaj się, bo padniesz - poradziła szefowej Amarylis. - Lucas Trent wbił sobie do głowy, że jakiś hipnotyzer zmusza pewną osobę, pracującą u niego w firmie na stanowisku kierowniczym, by sprzedawała tajne informacje o przedsiębiorstwie.

- Hipnotyzer? - Byron wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - Mówisz poważnie?

- To śmieszne - orzekła Clementine. - Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach Orchid Adams.

- Wampir psychiczny - szepnął Byron z teatralnym przerażeniem. - Taki, co to potrafi zniewolić pryzmat płci żeńskiej.

- Chyba Trent za długo siedział w tej dżungli – skrzywiła się Clementine.

Amarylis patrzyła posepnie na kontrakt.

- Chyba będę musiała mu to wyperswadować.

- Co? - Clementine o mało nie spadła z biurka. - Chcesz zerwać kontrakt? Przecież Trent to nasz najlepszy klient!

- Ale będzie naszym najbardziej niezadowolonym klientem, a to nie przysporzy chluby firmie.

- Cholera. - Clementine zagryzła wargi, kładąc na szali wszelkie zyski i straty, jakie mogłyby wyniknąć z takiej decyzji.

W biurze zapanowała ponura atmosfera.

- Słuchaj - odezwał się Byron. - Spójrz na pozytywną stronę zagadnienia. Nazywają Trenta Lodowcem. To żywa legenda. Przecież nie zdobyłby sławy, gdyby był głupi. Na pewno wie, że ten pomysł z hipnotyzerem jest mocno nieprawdopodobny. Pewnie chce po prostu wykluczyć taką ewentualność, zanim się zdecyduje na jakiś ruch. Przecież może sobie teoretycznie założyć, że jakiś talent hipnotyzerski narzuca komuś swoją wolę.

Clementine zmarszczyła śmiesznie nos.

- Tak, a te ciemniaki z sekty Powrót również się nie mylą, twierdząc, że niedługo przejdziemy przez kurtynę i znajdziemy się na Ziemi.

- Bądź poważna. W przeciwieństwie do tych sekciarzy Trent nie jest przecież szaleńcem - powiedział Byron i znów popatrzył na Amarylis. - Wiem, że to dziewiątka, ale jakiego rodzaju?

- Wykrywacz. Potrafi wyczuć inny talent w fazie koncentracji.

- Tylko tyle? - Byron był wyraźnie rozczarowany.

- Taki ma certyfikat. - Amarylis wygładziła dłonią papiery. - Wykrywacz klasy dziewiątej.

- Dziewiątej! - Clementine aż gwizdnęła z podziwu. - Szkoda, że Trent nie ma żadnych pożytecznych zdolności. Zmarnować taką siłę... Pech!

- Nie pech, tylko brak synergii. Bardzo mi go żal. No pomysł sama, jak byś się czuła na jego miejscu.

- Okropnie - przyznała Clementine. - Nic dziwnego, że prasa nigdy się specjalnie nie rozpisywała na temat jego zdolności parapsychoicznych. Widocznie on sobie tego nie życzył.

- A mnie się wydawało, że Trent posiada szczególne umiejętności - powiedział Byron, zagryzając wargi.

- Na przykład jakie? - spytała Amarylis.

- Nazywają go Lodziarzem, bo odnajduje bezbłędnie galaretowaty lód. Myślałam, że może potrafi również zlokalizować złoto albo jakieś inne cenne złoża.

- Ale on szukał lodu w bardzo tradycyjny sposób - wyjaśniła Amarylis. - Najpierw prowadził żmudne badania naukowe, a potem spędził wiele czasu w terenie. Ma dyplom z zakresu synergistycznej mineralogii krystalicznej.

Amarylis nie miała pojęcia o sposobach wykrywania galaretowatego lodu. Wiedziała tylko, że jest to praca wyjątkowo trudna, żmudna i świetnie płatna.

Galaretowatym lodem nazywano potocznie substancję znaną w kręgach akademickich jako półpłynny kwarc z pełnym widmem posiadający wiele dziwnych właściwości. W stanie naturalnym rzeczywiście przypominał swą konsystencją galaretę. Najważniejsze jednak było to, że galaretowaty lód służył do otrzymywania energii. Czystej, wydajnej, niedrogiej energii.

Lucas Trent zbił na nim majątek, a jego firma w dalszym ciągu świetnie prosperowała.

- Nie wiem, w jaki sposób on szuka tego cholernego lodu - powiedziała Clementine. - Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Liczy się tylko to, że Trent jest ważną osobą w tym mieście. - Wycelowała smukły, ozdobiony metalowymi kółkami palec w Amarylis. - Przekonasz naszego klienta, że nawet jeśli żaden psychiczny wampir nie ma związku z przeciekami, to my i tak nie wzięliśmy pieniędzy za darmo.

- Tak jest, szefowo.

Clementine oparła dłonie na biodrach.

- Trent potrzebuje profesjonalnego, uzdolnionego przyzmatu, więc otrzyma dokładnie to, o co prosił. Nie możemy brać odpowiedzialności za odpowiedzi, jakie otrzyma na swoje pytania.

- Mam nadzieję, że przypomnisz sobie tę rozmowę, gdy będziesz nam wręczać premie świąteczne - powiedziała grzecznie Amarylis.

Clementine wybuchnęła śmiechem.

- Nie martw się. Ty już zasłużyłaś na nagrodę. Dopóki nie zaczęłaś u mnie pracować, żadna dziewiątka nawet tu nie zajrzała. Im wszystkim się wydaje, że przyzmaty muszą mieć stertę dyplomów i świadectw. Ósemki zresztą też robią spore zamieszanie.

- Szkoda, że Trent posiada akurat tak mało atrakcyjne zdolności - wtrącił Byron. - W innych warunkach ta praca mogłaby być bardzo interesująca. Tu naprawdę chodzi o bezpieczeństwo firmy. Trudno teraz o taką fuchę.

- Zgadza się, że umiejętności pana Trenta nie są szczególnie przydatne, bo przecież i tak nie nakryjemy żadnego hipnotyzera na gorącym uczynku. Z drugiej strony uważam, że otrzymałam ciekawe zadanie. Przecież będę pracować incognito.

- A gdzie się z nim umówiłaś? - spytał Byron.

- W muzeum. Idę na przyjęcie z okazji otwarcia nowego skrzydła.

- Nie wiedziałam, że musisz się ukrywać. - Clementine zmarszczyła niespokojnie brwi. - W kontrakcie nie ma ani słowa na ten temat.

- Nie widzę problemu - zapewniła Amarylis.

- Pewnie Trent każe się jej przebrać za kelnerkę - wtrącił niczym nie zrażony Byron. - W ten sposób Amarylis nie będzie budzić żadnych podejrzeń.

Clementine uniosła brwi.

- Już ją widzę, jak w biało-czarnym mundurku roznosi tace z przystawkami. Musimy się jakoś postarać o jej zdjęcie. Potem powiesimy je w recepcji i wymyślimy jakiś dobry slogan reklamowy. Na przykład: Gwarantujemy Naszym Klientom Pełną Obsługę, lub coś innego w tym rodzaju.

Amarylis poprawiła się na krześle.

- Jeżeli chcecie wiedzieć, to nie będę serwować kanapek ani szampana.

- Nie? - Clementine popatrzyła na nią z zainteresowaniem - W takim razie może będziesz udawać dziennikarkę albo pracownika muzeum?

- Niezupełnie. - Amarylis siliła się na spokój. - Wystąpię w charakterze kandydatki na żonę, poleconej panu Trentowi przez biuro matrymonialne.

Udało się jej całkowicie ich zaskoczyć, choć niezupełnie takiej reakcji oczekiwała.

- Co? - Byron aż jęknął ze zdziwienia. - Nie wierzę!

Clementine gwizdnęła cicho przez zęby.

- Coś podobnego nawet by mi do głowy nie przyszło!

- Dlaczego się tak dziwicie? - Amarylis wysunęła buńczucznie podbródek. - Pan Trent zgłosił się niedawno do agencji matrymonialnej. Sam mi to powiedział.

- Co za ironia losu! Ciekawa jestem, jaką minę zrobi twoje wujostwo na wieść o wyczynach swojej siostrzenicy.

- Nawet nie zamierzam im o tym wspominać. - Amarylis popatrzyła groźnie na Clementine i Byrona. Ciotka i wuj Amarylis mieszkali wraz z resztą jej rodziny w małym miasteczku Lower Bellevue nieopodal Nowego Seattle. Nie istniał żaden powód, dla którego Amarylis miałyby ich informować o swoim wieczornym zadaniu. - A jeśli któreś z was cokolwiek im wypaple, niech pamięta, że zemsta jest leniwa, ale sprawiedliwa.

Byron unióś ramiona.

- Nie martw się. Nie powiemy ani słowa.

- Nawet nie będziemy musieli. Na takim przyjęciu jest zawsze tłum dziennikarzy. Prasa lokalna na pewno również zamieści jakieś informacje na temat tego wydarzenia. Wierz mi, moja droga, że w piątkowe popołudnie twoja ciocia lub wujek otworzą „Lower Bellevue Journal” i

zobaczą w nim zdjęcie swojej ukochanej siostrzenicy uwieszanej u ramienia najbogatszego mężczyzny w mieście.

- O Boże! - Amarylis wtuliła głowę w ramiona. – Zapomniałam o reporterach.

W oczach Byrona mignęła złośliwa satysfakcja.

- Ta sprawa staje się minuty na minutę coraz bardziej interesująca.

- Dosyc tego, Smyth-Jones - mruknęła Amarylis.

Clementine uciszyła ich gestem ręki.

- Uspokójcie się, dzieci. Prowadzimy tu firmę. Zostawcie te kłótnie na później. A ty, Amarylis, weź wolne popołudnie.

- Dlaczego?

- Bo za czterdzieści osiem godzin musisz wziąć udział w jednej z najważniejszych imprez w tym sezonie i to w dodatku w towarzystwie Lucasa Trenta. Podejrzewam, że nie masz się w co ubrać.

Amarylis wpadła w panikę.

- Zaraz idę po zakupy!

Byron popatrzył na nią krytycznie.

- Przymierz jakąś sukienkę z tej modnej zwiewnej tkaniny. Najlepiej zieloną.

- On ma rację - dorzuciła Clementine od drzwi. Pójdź do butiku przy Fifth Avenue. To ulubiony sklep Gracie. Każ przysłać rachunek do firmy. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Wrzucimy tę sukienkę w koszty.

- Przejdziesz się jego autem - zauważył Byron z nieukrywaną zazdrością.

- Co w tym niezwykłego?

- Nie wiesz, że Lucas kupił Icera? Cudowna maszyna! Widziałem, jak parkował go pod biurem.

**P**rzy odrobinie szczęścia miała wreszcie szansę wygnać Lucasa Trenta ze swoich myśli.

Amarylis włożyła zwiewną suknię przez głowę i patrzyła, jak cudownie miękka tkanina układa się na jej ciele. Nie odrywając wzroku od lustra, zrobiła kilka wdzięcznych kroków. Zielone, opalizujące paski materiału zatańczyły w powietrzu, a gdy dziewczyna się odwróciła, przywarły na chwilę do jej bioder i ud.



Amarylis zakręciła pirueta i znów zerknęła do lustra, by ocenić efekt. Przezrzysta tkanina natychmiast wróciła posłusznie na swoje miejsce.

Dotknąwszy dekoltu, dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy suknia nie jest przypadkiem zbyt głęboko wycięta, ale zaraz potem uświadomiła sobie, że przyjęcie odbywa się przecież wieczorem. Inne kobiety wkładają przy takich okazjach jeszcze bardziej wydekoltowane kreacje. Spojrzała tylko uważnie do lustra, żeby się upewnić, czy spod sukni nie wychodzą ramiączka białego stanika.

Nosiła praktyczny, wygodny biustonosz przeznaczony do wielokrotnego prania. Kupiła go na półrocznej wyprzedży bielizny w jednym z największych domów towarowych. Miała jeszcze pół tuzina podobnych staniczków w górnej szufladzie komody. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę z tego, że pod tę zwiewną suknię należałoby włożyć zupełnie inną bieliznę. Żałowała, że nie ma jedwabnej, koronkowej bardotki.

Z drugiej strony po co wydawać tyle pieniędzy na luksusowy biustonosz pod sukienkę, której już potem nigdy nie miałyby okazji włożyć?

Zadowolona z kreacji i faktu, że jest gotowa na dziesięć minut przed czasem Amarylis wyszła z sypialni. Była skupiona i spokojna, czyli czuła się tak, jak powinien się czuć każdy przyzmat przed intensywnym ogniskowaniem.

W tej samej chwili prawda o tym, co za chwilę miało się stać dotarła do niej ze zdwojoną siłą.

Klasnąwszy mocno w dłonie, zaczerpnęła kilka głębokich oddechów. Miała wilgotne ręce, co od razu wytrąciło ją z równowagi. Robiła wszystko, by rozładować rosnący niepokój, ale z minuty na minutę denerwowała się coraz bardziej. Weź się w garść, idiotko! - upominała się w duchu.

Stała na środku salonu i zaczęła robić sobie wykład. Każdy przyzmat decydujący się na współpracę z dziewiątką musi być spokojny i opanowany. Jeśli bowiem nie potrafi kontrolować siebie, okaże się równie bezsilny wobec talentu.

Potem pomyślała, że powinna wykonać swoje zadanie jak najlepiej, choćby ze względu na dobro firmy. Jak zwykle poczucie odpowiedzialności wzięło górę nad emocjami i serce Amarylis zaczęło bić znacznie wolniej.

Właściwie to nawet zupełnie normalnie. Dziewczyna przypomniała sobie, że wybiera się do pracy, a nie na przyjęcie towarzyskie. Napięcie, w jakim żyła przez ostatnie dwie doby, nie mogło mieć żadnego wpływu na zdolność koncentracji.

A fakt, że miała współpracować z Lodziarzem, był całkowicie pozbawiony znaczenia.

Odezwał się gong.

Przyjechał Trent.

Spokojnie - upomniała się w duchu. - Nie biegnij.

Gdy wchodziła do przedpokoju, gong zaśpiewał jeszcze raz. W przyjemnej dla ucha melodii pobrzmiwały zupełnie nowe, władcze tony. Dziewiątki nie należą do cierpliwych - pomyślała Amarylis. Są wymagające i aroganckie. Dlatego nie zawsze potrafią się porozumieć z przyzmatami o pełnym widmie.

Chociaż wcale się nie spieszyła, na policzki wystąpiły jej rumieńce. Lucas stał w progu.

- Przyjechał pan wcześniej - zauważyła.

Zerknął na zegarek ze zmarszczonymi brwiami.

- Jest siódma.

- Naprawdę? Coś takiego! - Amarylis zdobyła się na uśmiech. - Przepraszam. Widocznie mój zegar się późni.

Lucas miał na sobie czarny strój wieczorowy. Włożył czarną koszulę, czarną marynarkę, czarne spodnie, czarny krawat... Żadne tam khaki - pomyślała. Była bardzo ciekawa opinii Trenta na temat najnowszej mody męskiej. On jednak należał do konserwatystów, sądząc choćby po starannie przyciętych włosach.

- Coś nie tak? - spytał, taksując ją wzrokiem.

O Boże! Widocznie nie odrywała od niego oczu.

- Ależ nie, wszystko w porządku. - Zrobiła krok w głąb mieszkania. - Niech pan wejdzie.

Wezmę tylko torebkę.

- Nie ma powodu do pośpiechu. Przewidziałem taką ewentualność.

A więc sądził, że każde mu czekać!

Amarylis poczuła przyływ irytacji.

- Zaraz wracam.

Wpadła do sypialni i złapała leżącą na komodzie torebkę. Kiedy wróciła do przedpokoju, zastała Lucasa przy półce z książkami. Trent oglądał właśnie egzemplarz „Dzikiego talentu” Orchid Adams.

- Proszę mi tylko nie wmawiać, że lubi pani te romanse o wampirach - powiedział, patrząc dziwnie na Amarylis.

- Prawdę mówiąc, chętnie je czytam.

- Ale chyba pani nie wierzy, że nie rejestrowane supertalenty mogą przejąć kontrolę nad przyzmatami.

- Oczywiście, że nie. Te książki to przecież czysta fikcja literacka.

- Wolę literaturę faktu.

- Nic dziwnego - powiedziała Amarylis z ponurym miechem. - Mówi się przecież, że talenty wysokiej klasy i przyzmaty z pełnym widmem nie mają ze sobą nic wspólnego. Pomijając oczywiście zdolności parapsychiczne - dodała szybko.

- To prawda. - Popatrzył na nią badawczo, jakby chciał się naocznie przekonać, co jeszcze ich różni. - Idziemy?

- Jestem gotowa.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Amarylis skierowała się w stronę drzwi.

- Proszę odebrać - powiedział lekko Lucas. - Nie musimy się spieszyć.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście. Wcale mi niepilno do ponczu z młodego wina i rozciapcianych kanapek.

Amarylis podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

- Witaj, kochanie! - W głosie Hannah Lark jak zwykle pobrzmiwały ciepłe nutki. Hannah była lekarzem z powołania i ten charakterystyczny sposób mówienia miała we krwi. - Bardzo się cieszę, że cię zastałam.

- Właśnie wychodziłam, ciociu. - Amarylis zerknęła na Lucasa, który przeglądał jej kolekcję płyt kompaktowych. - Czy to może zaczekać?

- Nie zajmę ci wiele czasu - zapewniła Hannah. - Wypełniam właśnie twoje ankiety matrymonialne i chcę z tobą ustalić parę szczegółów.

- Nie teraz ciociu, błagam.

- Czy masz jakieś określone preferencje co do wyglądu?

- Właściwie nie.

- Wzrost? Waga? Kolor oczu?
- Nie, nie przywiązuję do tego znaczenia.
- Na pewno, kochanie?
- Oczywiście, ciociu.
- Świetnie. To upraszcza sprawę. Z pewnością jednak interesuje cię wskaźnik inteligencji oraz wykształcenie ewentualnego partnera. Już to zresztą zapisałam. A wspólne zainteresowania? Przypuszczam, że jesteś pod tym względem bardzo wymagająca.
- Bardzo. Posłuchaj, ciociu. Ktoś na mnie czeka. Będziemy musiały dokończyć tę rozmowę kiedy indziej.
- Ale kto u ciebie jest? - W głosie pani Lark wyraźnie pojawiła się ciekawość. -  
Mężczyzna?
- Szczerze mówiąc tak.
- Kolega z pracy?
- W pewnym sensie. Później ci wszystko opowiem.
- Chcesz mnie spławić - westchnęła Hannah. - Za każdym razem, kiedy próbuję wypełnić ten formularz, wykręcasz się od odpowiedzi. Ale nie możesz tego ciągnąć bez końca. Koneksje Synergistyczne to najlepsze biuro matrymonialne w naszym mieście. Obsługują tylko starannie wybranych klientów. Mieli już komplet zgłoszeń i musiałam pociągnąć za odpowiednie sznurki, żebyś znalazła się na liście.
- Bardzo się cieszę, że zarejestrowałaś mnie w Koneksjach. Obiecuję, że zadzwonię do ciebie jutro i wypełnimy razem formularz, ale teraz naprawdę muszę już lecieć.
- Dobrze. Zrobimy to z samego rana. A dokąd ty się właściwie wybierasz?
- Na przyjęcie do muzeum.
- Naprawdę? - Pani Lark niemal straciła oddech z wrażenia.
- Tak. Dobranoc, ciociu. - Amarylis położyła szybko słuchawkę, zanim ciotka zdążyła ochłonać. - Idziemy? - spytała, patrząc na Lucasa.
- Zgłosiłaś się do Koneksji? - spytał Trent, patrząc na Amarylis z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.
- Ciotka nie dawała mi spokoju. Twierdzi, że dzięki tej agencji poznała wujka Oscara.

W oczach Lucasa pojawił się na chwilę błysk zrozumienia. Przez jedną krótką chwilę Amarylis poczuła, że coś ich łączy. Być może różnili się zasadniczo pod względem upodobań, ale z pewnością mieli podobne zdanie na temat instytucji małżeństwa.

A była to sprawa bardzo poważna. Rozumieli to już pierwsi osadnicy, którzy - skazani na stworzenie kolonii w zupełnie obcym środowisku - musieli się opowiedzieć za trwałymi związkami rodzinnymi. Tylko w ten sposób mogli bowiem przetrwać przymusowe zesłanie. Dogłębne studia historyczne i badania z zakresu psychologii utwierdziły ich w przekonaniu, że jedynie społeczność uznająca związki rodzinne za podstawę swego istnienia stawi skutecznie czoło wszelkim trudnościom i wyzwaniom.

Małżeństwo było związkiem trwałym i łączyło nie tylko dwoje ludzi, którzy je zawierali, lecz także ich bliższe oraz dalsze rodziny. Pod przewodnictwem założycieli i presją społeczną wprowadzono prawo mające na celu umocnić niepisane normy porządku społecznego obowiązującego w koloniach.

Amarylis doskonale знаła te zasady. Jej rodzice nigdy nie wzięli ślubu, a ona nie tylko straciła zarówno ojca, jak i matkę jeszcze jako niemowlę, lecz także zapłaciła słońce za ich lekkomyślność.

Dzieciom pochodzącym ze związków pozamałżeńskich żyło się bardzo ciężko wśród społeczności kultywującej więzi rodzinne, a w miejscowościach tak małych jak ta, w której wychowała się Amarylis, wlokło się za nimi odium wstydu i hańby.

Amarylis i tak wiodło się lepiej niż innym dzieciom z nieprawego łóża. Po śmierci matki trafiła do domu państwa Larków, gdzie otoczyła ją cała czereda kochających krewnych. Larkowie nie byli jednak w stanie zapobiec okrucieństwu szkolnych kolegów dziewczynki ani też stawić czoła plotkom rozsiewanym przez dorosłych. Nie mogli również zaradzić temu, że Baileyowie – bogata i wpływowa rodzina ojca Amarylis - ignorowała małą całkowicie.

Ona sama nie chciała sprawiać kłopotu krewnym mamy. Wiedziała, czego od niej oczekują, i starała się wykonywać dobrze swoje obowiązki. Przede wszystkim jednak musiała zawrzeć odpowiedni związek małżeński usankcjonowany autorytetem agencji matrymonialnej i choć odkładała tę chwilę tak długo, jak mogła, w końcu zabrakło jej wymówek.

Małżeństwo było nieuniknione. Zawierali je heteroseksualiści, biseksualiści i homoseksualiści. Związki między tymi ostatnimi miały taki sam status społeczny jak normalne małżeństwa i nakładały na partnerów podobne obowiązki. Rozwód nie wchodził w rachubę.

Z powodu ograniczeń prawnych, oczekiwań rodziny, presji społecznej i stałego charakteru wszelkich związków bardzo niewiele osób decydowało się na samodzielne szukanie partnerów. Nie ufano słuszności decyzji podjętych w porywie uczuć, choć namiętność nie była zakazana. Romanse przedmałżeńskie i pozamałżeńskie zdarzały się często, lecz od kochanków oczekiwano całkowitej dyskrecji.

Rodzina stanowiła dobro najwyższe i nie mogła przez to ucierpieć.

Osadnicy dbali o wiele bardziej o stabilność systemu niż o szczęście jednostki, ale - dla dobra instytucji, które tak cenili - starali się przyczynić do powstania wielu udanych związków.

Dlatego też stworzyli agencje matrymonialne zatrudniające psychologów synergistycznych, którzy pomagali swoim klientom w mądrym wyborze towarzyszy życia, bogacze znajdowali sobie czasem partnerów opierając się na tak anachronicznych przesłankach jak status majątkowy i koneksje towarzyskie, lecz na ogół z usług biur korzystali ludzie pragnący się wreszcie ustatkować.

Próby zawarcia tak poważnego i trwałego związku bez pomocy doradców i koncesjonowanych agencji uważano za przejaw najwyższej głupoty.

- Ja też jestem u nich zarejestrowany – powiedział Lucas, wychodząc za Amarylis na klatkę schodową.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Dziewczyna uruchomiła lodowy zamek. - Chyba żadne z nas nie ma wyboru. Tylko kilka agencji w mieście przyjmuje zgłoszenia od talentów wyższej klasy i pryzmatów z pełnym widmem.

Idąc w kierunku zaparkowanego na chodniku sportowego auta Trent obrzucił dziewczynę enigmatycznym spojrzeniem.

- Dziś nikt cię nie będzie podejrzewał o pełne widmo. Jestem dziewiątką, a żadna agencja nie połączyłaby dziewiątki z silnym pryzmatem.

Wsiadając do samochodu Amarylis uśmiechnęła się słodko.

- Dla takich talentów w ogóle trudno znaleźć partnera. Są aroganckie i apodyktyczne.

- Pryzmaty z pełnym widmem również nie słyną z łatwego charakteru - odparł Lucas. - Mają za duże wymagania.

## *Rozdział trzeci*

Stojąc obok Amarylis w dalekim końcu muzealnego hallu, Lucas próbował nie spuszczać wzroku z Mirandy Locking i Martina Beecha, co w tak ogromnym tłoku nie okazało się wcale łatwe. Zwiewna suknia Amarylis utrudniała mu tylko sytuację. Dziewczyna wyglądała bowiem tak, jakby otoczyła ją chmara błyszczących motyli. Każdy jej ruch odwracał uwagę Trenta od podejrzanych.

Przejrzysta szata doprowadzała go do szału. Zapłacił przecież niewyobrażalną wręcz sumę za usługi kompetentnego, doświadczonego pryzmatu. A tego wieczoru dziewczyna nie sprawiała wrażenia profesjonalistki - była po prostu bardzo pociągającą, zalotną kobietą, a na domiar złego ślicznie pachniała.

- Panna Locking już przyszła? - spytała Amarylis pochylając się nad gablotą.

- Właśnie podchodzi do Beecha.

Amarylis zerknęła na jeden z eksponatów umieszczonych w gablocie. Przedmiot miał nader dziwny kształt przypominający latarkę i został wykonany z połyskującego zielonego metalu.

- Proszę mi dać znak, gdy będzie pan gotów. Tymczasem obejrzę sobie te znaleźiska. Jeszcze nie wierzę, że tu przyszedłam. Myślałam, że będę musiała czekać na bilet całymi miesiącami.

- To dobrze, że przynajmniej jedno z nas dobrze się bawi - mruknął Lucas.

- Raz na jakiś czas moja praca przynosi dodatkowe, czasem wręcz niesamowite korzyści. Tak jak dziś.

- Miło spotkać kogoś, kto lubi swój zawód.

- Rzeczywiście. Bardzo lubię to zajęcie. Kiedy sześć lat temu odchodziłam z uniwersytetu, nie byłam pewna, czy spodoba mi się praca w firmie. Proszę się nie gniewać, ale sądziłam, że świat interesów jest raczej nudny.

- Bywa inaczej.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Pan z pewnością prowadzi ciekawe życie, panie Trent.

- Mam na imię Lucas.

- A ja Amarylis - powiedziała z uśmiechem.

- Amarylis. Czyżby pani rodzice ulegli modzie na imiona będące nazwami ziemskich kwiatów.

Ku jego zdumieniu przestała się uśmiechać.

- Ciotka twierdzi, że mama nadała mi takie imię, ponieważ chciała, żebym śniła własne sny.

- I udało się to pani?

- Za cudze trzeba płacić - odparła z lekkim wzruszeniem ramion.

- Nie rozumiem takich zaszyfrowanych odpowiedzi. Co to, u diabła, znaczy?

- Nic. - Rozchyliła wargi w uśmiechu. - Przepraszam. Nie chciałam być tajemnicza. Może te pamiątki z przeszłości wpłynęły w ten sposób na mój nastrój.

- Dlaczego zrezygnowałaś z posady na uniwersytecie?

- Wiesz, jak to bywa. - Znów spojrzała na gablotę. - Ludzie się zmieniają. Czuję, że czas się zająć czymś innym.

Lucas nie mógł się wprawdzie poszczycić darem intuicji, ale wyczuł, że za tą decyzją tkwiło coś jeszcze. Może mężczyzna? A nawet jeśli tak, dlaczego właściwie miałby się tym interesować?

Nieodpowiednia kobieta w nieodpowiednim miejscu i czasie.

- Co robi panna Lockwood? - spytała Amarylis.

- Wita się z Madisonem Sheffieldem.

Z głosu Amarylis natychmiast zniknęła profesjonalna nuta.

- On też tu przyszedł?

- Pewnie się nie spodziewałaś, że dostarczę ci niechący tylu emocji.

Udała, że nie słyszy sarkazmu w jego głosie.

- Gdzie on jest

- Kto? Sheffield? Przy bufecie. - Lucas obrzucił dziewczynę powłóczystym spojrzeniem. Zirytował go wyraz nieklamane go zainteresowania, jaki malował się na jej twarzy. Właściwie Amarylis zaczynała go denerwować i Trent nagle zapragnął, żeby ten niemiły wieczór jak



najszybciej dobiegł końca. - Nie możesz go przeoczyć. Wygląda jak sprzedawca używanych samochodów.

- Nie bądź niegrzeczny - Amarylis wspięła się na palce, żeby wypatrzeć Sheffielda nad głowami tłumu. - Mówisz o naszym przyszłym gubernatorze.

- Pewnie nie będzie o wiele gorszy od obecnego – zauważył filozoficznie Lucas.

Doskonale wiedział, kim jest Madison Sheffield. Nakazał nawet swojej sekretarce, by wrzucała do kosza wszystkie listy z prośbą o wsparcie jego kampanii. Lucas nie znosił polityki i polityków.

Ale nie zdziwił go wcale entuzjazm Amarylis. Wszystko pasowało. Zasadniczy, pedantyczny przyzmat, stanowczo zbyt poważnie traktujący sprawy etyki zawodowej i inne czysto akademickie kwestie musiał zwrócić uwagę na takiego faceta.

Sheffield kandydował na urząd gubernatora z ramienia partii Wartości Przodków. Kampanię wyborczą oparł na hasłach powrotu do jedynie słusznych wartości wyznawanych przez pierwszych kolonistów. Ludzie szli za Sheffieldem jak w dym. Ten cwaniak miał charyzmę.

- Robi jeszcze większe wrażenie niż w telewizji – szepnęła Amarylis.

Lucas zerknął spod oka na senatora. Musiał przyznać, że Sheffield jest wysoki i smukły, a jego ascetycznych rysów nie powstydzilby się żaden z ojców założycieli. Przyprószone siwizną włosy dodawały mu powagi. Kandydat na gubernatora prezentował się naprawdę godnie.

A jego krawiec spisał się na piątkę.

Odrywając wzrok od drżących dłoni senatora, Lucas popatrzył na zwiewną suknię Amarylis, co znów wytrąciło go mocno z równowagi. Jako racjonalista zupełnie nie był w stanie zrozumieć, jak to się dzieje, że ubranie jednocześnie odsłania i zasłania czyjeś ciało, więc z minuty na minutę odczuwał coraz większą irytację.

Straciwszy Sheffielda z oczu, Amarylis znów popatrzyła na gablotę.

- Niesamowite - szepnęła. - Ten metal naprawdę przetrwał, a przecież wszystkie stopy i inne surowce przywiezione z Ziemi rozsypały się w proch w ciągu kilku miesięcy. Nasi przodkowie musieli wykorzystywać zasoby swojej nowej ojczyzny.

Lucas z trudem oderwał wzrok od migającego materiału zerknął na srebrzysty eksponat.

- Naukowcy nie potrafią wyjaśnić tej kwestii.

- A są pewni, że te znaleziska nie pochodzą ze Świętej Heleny?

- Całkowicie.

- Dlaczego? Na jakiej podstawie? Przecież nie poznaliśmy jeszcze całkowicie tego świata. Może to jakiś stop złożony z metali znalezionych po drugiej stronie planety albo w oceanie.

- Uważam, że to możliwe, aczkolwiek bardzo mało prawdopodobne. Artefakty poddano wszystkim możliwym testom. One nie pochodzą z Świętej Heleny.

Amarylis patrzyła z namysłem na eksponaty.

- Ciekawa jestem, co się stało z tymi, którzy je stworzyli?

- Pewnie to samo, co z Pierwszym Pokoleniem założycieli. Może nie doczekali Drugiego Pokolenia. Może nie odkryli Trzech Zasad Synergii. Albo też nie chcieli przyjąć do wiadomości faktu, że jedynym sposobem na przetrwanie jest wykorzystywanie zasobów planety. A gdy ich technologia zawiodła, zginęli.

- Ale przecież ich technologia wcale nie zawiodła. Leży tutaj, przed nami.

Lucas uśmiechnął się ironicznie.

- Narzędzia przetrwały, ale okazałyby się całkowicie bezużyteczne, gdyby ich właściciele nie mieli źródła energii. Ci, którzy je zostawili, nie odkryli z pewnością galaretowatego lodu.

- Sądzisz, że wynalazcy tych przedmiotów przeszli przez kurtynę, tak samo jak ojcowie założyciele?

- Któż to może wiedzieć? - Lucas patrzył na zwiewny, zielony materiał, który okręcał się jak wąż wokół biodra Amarylis.

- Może oni też znaleźli się w pułapce, kiedy kurtyna opadła?

- Niewykluczone. Albo zdążyli wrócić do domu, a te rzeczy były im zupełnie niepotrzebne.

Historię kurtyny znało każde dziecko, gdyż to właśnie ona stanowiła punkt zwrotny w dziejach Świętej Heleny. Dryfująca sieć czystej energii zmaterializowała się w kosmosie niedaleko Ziemi przed dwustu pięćdziesięcioma laty. Naukowcy zdążyli ją zbadać i przyjęli jej istnienie za dobrą monetę. Kurtyna została uznana za stałą cechę układu słonecznego.

Dla Ziemiaków, którzy nie podróżowali dalej niż na najbliższe planety, było to ważne i zadziwiające odkrycie.

Kurtyna posiadała kilka dziwnych właściwości. Za najbardziej osobliwą uznano produkowanie osnowy czasu i przestrzeni, a kurtynę wykorzystano jako bramę energetyczną do odległego systemu gwiazdowego, w którego skład wchodziła Święta Helena.

Czterdzieści pięć lat po odkryciu kurtyny pierwsi koloniści wyruszyli na podbój nowego świata, tak bardzo – jak im się wydawało - podobnego do Ziemi. Brama energetyczna znakomicie ułatwiła im podróż, a przede wszystkim transport zapasów, co okazało się niezwykle ważne, gdyż żadna z ziemskich technologii nie nadawała się do wykorzystania na nowej planecie. Dzięki kurtynie odwiedzali bez kłopotu krewnych i znajomych, a przedsiębiorstwa otwierały na Świętej Helenie swoje filie.

W pięć lat później kurtyna energetyczna opadła bez żadnego ostrzeżenia i już nigdy się nie otworzyła; osadnicy znaleźli się w pułapce.

- Może ta kurtyna łączyła wiele światów – powiedziała Amarylis. - Dziwna myśl, prawda? Niewykluczone, że ojcowie założyciele spotkali tu tych, którzy stworzyli te przedmioty.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- Ponieważ kilka znanych talentów psychometrycznych badało dokładnie wszystkie znaleziska. - Lucas pociągnął łyk ponczu. Był okropny. - To bardzo stare rzeczy. Bardzo stare.

Amarylis skinęła głową.

- W takim razie naukowcy będą mieli zajęcie na lata.

- Fakt. Nie grozi im nuda.

Może to wcale nie ta sukienka - pomyślał Lucas. Może to jego własne hormony tak gwałtownie dawały o sobie znać. Wegetowały dłużej, niż sądził.

Klika miesięcy temu Trent postanowił, że będzie żył w celibacie. Nie istniał ku temu żaden konkretny powód. Miał po prostu dość nudnych rytuałów związanych z rozpoczęciem i zakończeniem romansu.

Doszedł do wniosku, że decyzja, by złożyć ofertę w agencji matrymonialnej, wynikała pewnie z uspiionych potrzeb fizjologicznych. A tego wieczoru myślał wyłącznie o seksie.

- Cześć, Trent. Ale zbiegowisko, co?

Lucas skinął uprzejmie głową siwemu mężczyźnie i eleganckiej kobiecie w średnim wieku. Rodzice Rye'a. Tylko tego mu jeszcze brakowało.

- Dobry wieczór, Calvin. Witaj, Beatrice.

Beatrice skłoniła lekko głowę, co z pewnością kosztowało ją wiele wysiłku.

- Miło cię widzieć. - W jej niebieskich oczach płonęła nienawiść.

Na widok towarzyszącego im młodzieńca Lucas doznał nagłego uczucia ulgi.

- Jak leci, Dillon? Gratuluję dyplomu.

Dillon - jedyny członek tej rodziny, który nadal darzył Lucasa odrobiną sympatii - uśmiechnął się do niego czarująco.

- Dzięki. Myślałem, że już nigdy nie skończę uniwerku. Teraz muszę tylko poszukać sobie pracy.

- Na pewno coś znajdziesz - powiedział Lucas, biorąc Amarylis pod ramię. - Poznajcie się. Amarylis, to państwo Rye i ich syn Dillon. Amarylis Lark.

- Bardzo mi miło. - Amarylis obdarzyła całą trójkę wdzięcznym uśmiechem

- Mnie również - mruknęła Beatrice z rezerwą.

- Jestem zaszczycony - dodał Calvin, przekrzywiając lekko siwą głowę.

- Cieszę się, że mogę panią poznać - powiedział wesoło Dillon. - Te artefakty są takie synergistyczne, prawda? A Lucas znalazł je przecież w samym sercu dżungli. Tata mówi, że on ma naprawdę diabelskie szczęście

- Są niesamowite. - Amarylis najwyraźniej nie wyczuwała napięcia między Lucasem i Rye'ami. - Fascynujące.

- Proszę nam wybaczyć. - Calvin ujął małżonkę pod łokieć. - Musimy porozmawiać z panem senatorem.

- Oczywiście - odparła Amarylis.

Beatrice obdarzyła Lucasa pogardliwym spojrzeniem i ruszyła w tłum.

Dillon zaczekał, by jego rodzice odeszli, a potem przysunął się bliżej do Trenta.

- Mogę wpaść do ciebie do biura? Muszę z tobą pogadać. To ważne.

- Oczywiście.

Lucas nadal patrzył za znikającą parą. Znowu odezwało się w nim znajome poczucie straty, lecz natychmiast je stłumił. A kiedyś był przecież mile widzianym gościem w ich domu. Cenił sobie swoją przybraną rodzinę bardziej niż Rye'owie mogli się tego domyślać. Rozum mówił mu wprawdzie, że zawdzięcza sympatię Calvina i Beatrice głównie pragmatycznym względom, niemniej jednak rodzice Jacksona traktowali go zawsze ciepło i serdecznie. Przyzwyczyił się więc do tej namiastki rodziny, jaką mu stworzyli.

Oczywiście nigdy nie zapomniał o tym, że łączy ich głównie wspólnota interesów.

Trzy lata temu Jackson zginął z rąk piratów na Wyspach Zachodnich, a jego matka winiła o to Lucasa. W końcu Trent spędził całe życie na tych niebezpiecznych wyspach.

- Nic nie mów rodzicom - szepnął mu do ucha Dillon. - Nie chcę, żeby wiedzieli, że rozmawiamy o interesach. Sam potrafię załatwić swoje sprawy.

- A o jakich interesach chcesz ze mną rozmawiać? - spytał Lucas, marszcząc brwi.

- Później ci to wytłumaczę - Dillon uniósł dłoń na pożegnanie. - Do zobaczenia, panno Lark - rzucił i zniknął w tłumie.

Amarylis zerknęła na Lucasa.

- Rye. Czy tak właśnie miał na nazwisko twój współnik?

- Jackson Rye. Był najstarszym synem Calvina i Beatrice. Dillon jest najmłodszy.

- Zginął zaraz na początku, prawda? Gazety pisały, że umarł śmiercią bohatera.

- Tak.

- A państwo Rye odziedziczyli po nim jego udziały?

- Tak, ale kilka miesięcy później ja je wykupiłem.

Po śmierci Jacksona jego rodzice nie chcieli mieć nic wspólnego z Gwiazdą. Zależało im wyłącznie na pieniądzach. A już na pewno pragnęli się pozbyć przyszywanego krewnego. Trent ułatwił im tylko sytuację.

Z tłumu wyłoniło się dwoje ludzi. Oboje zmierzali w stronę Lucasa z minami ekspertów. Kilka osób popatrzyło za przystojnym, smukłym mężczyzną. Chorobliwie chuda blondynka nie odstępująca od niego ani na krok trzymała w ręku kamerę.

Amarylis stłumiła okrzyk.

- Czyżby to był Nelson Burlton we własnej osobie?

- Tak. Panuj nad sobą.

- Trent. Wiedziałem, że pana znajdę - powiedział Burlton, stając na wprost Lucasa. - Ale tłum, co? A to jest Elaine Crew, moja przyjaciółka - dodał wskazując wymanikiowaną dłońią swoją towarzyszkę. - Elaine pracuje jako fotoreporterka dla „New Seattle Times”. Przyszła tu służbowo. Ja dziś nie pracuję.

Gdy Lucas przedstawił mu Amarylis, Burlton obdarzył dziewczynę swoim słynnym uśmiechem.

- Bardzo mi miło, panno Lark - powiedział, wyciągając rękę.

- Mam wrażenie, że znam pana od lat. - Na policzki Amarylis wystąpił mocny rumieniec.

- Ale przypuszczam, że już pan to słyszał od wielu osób.

Nelson uśmiechnął się do Amarylis i znów spojrział na Lucasa.

- Obiecałem Elaine, że uda mi się pana namówić na zdjęcie przy gablocie. Co pan na to?

- Byłabym panu bardzo wdzięczna. Mój wydawca również.

Lucas nigdy nie przepadał za dziennikarzami, ale tego wieczoru odczuł niemal ulgę na ich widok. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu się skupić na zadaniu, jakie postawił sobie do wykonania.

- Dlaczego nie? - powiedział, odstawiając szklanę wodnistego ponczu.

Elaine przygotowała aparat, a Amarylis w ostatniej chwili usunęła się z kadru.

- Nie, proszę zaczekać - zaprotestowała reporterka. - Chciałabym mieć panią na zdjęciu. -

Proszę – powiedziała, wskazując jej gestem ręki, by stanęła obok Lucasa.

Amarylis stanowczo potrząsnęła głową.

- W końcu to pan Trent odkrył artefakty. Ja nie miałam nic wspólnego z tą sprawą.

- Ale przyszła pani z nim na przyjęcie. - Nelson popatrzył na Lucasa pytająco. -

Słyszałem, że złożył pan ankietę w agencji matrymonialnej. Sądziłem, że panna Lark jest kandydatką na pańską żonę.

- I słusznie - powiedział Lucas.

- Spotkaliśmy się jednak dopiero po raz pierwszy – wtrąciła pospiesznie Amarylis. -

Ledwo się znamy, prawda? - dodała, patrząc znacząco na Lucasa.

Trent poczuł, że narasta w nim irytacja. Ta dziewczyna wpadła w ekstazę na widok Madisona Sheffielda i Nelsona, ale nie chciała, żeby prasa opublikowała jej zdjęcie z mężczyzną, który zaprosił ją na przyjęcie.

- Sądzę, że do końca wieczoru poznamy się całkiem dobrze - powiedział, patrząc na Amarylis z wymownym uśmiechem. - Nasza agencja szczyci się tym, że w dziewięćdziesięciu czterech procentach kojarzy właściwą parę już na pierwszej randce. Dlatego właśnie wybrałem ich biuro.

Nelson zaśmiał się dyskretnie.

- Po tylu latach znajomości z panem Trentem mogę panią zapewnić, że ten człowiek nie lubi tracić czasu. Łodziarz jest człowiekiem czynu.

Amarylis poczerwieniała jak burak. Nie ziała wprawdzie ogniem, ale Lucas mógłby przysiąc, że jej oczy ciskają błyskawice. A spojrzenie Amarylis miało z jakiegoś niezrozumiałego powodu ogromny wpływ na jego nastrój.

- W takim razie te plotki nie są pozbawione podstaw - powiedziała Elaine. - Zamierza się pan ożenić?

- Najwyższy czas - odparł Lucas. - Nie młodnieję.

- Doskonale pana rozumiem. - Nelson pokiwał głową. - Sam chcę się zarejestrować. Po ślubie zostanie pan tutaj czy wróci na Wyspy Zachodnie?

- Muszę kierować firmą na miejscu. - Lucas uważnie obserwował Amarylis. - Najwyższy czas, by Gwiazda Polarna poszerzyła zasięg działania. A ja muszę tego dopilnować.

- To znaczy, że przed pańską firmą otwierają się nowe horyzonty. - Nelson popatrzył domyślnie na Lucasa. - Może zajmiecie się polityką? Pańskie nazwisko pojawiło się na liście kandydatów na senatora. Interesuje pana takie stanowisko?

- Absolutnie nie. Jeśli chce pan dyskutować o polityce, proszę przygwoździć Sheffielda.

- Już z nim rozmawiałem. On też przyszedł tutaj na randkę. Mam przeczucie, że wkrótce ogłosi zaręczyny.

- Nic dziwnego - mruknęła Elaine, nastawiając aparat. - Przecież nikt nie odda głosu na kawalera. A już tym bardziej takiego, który propaguje wartości ojców założycieli. - Uśmiechnęła się do Amarylis. - Proszę się przysunąć do pana Trenta. Zrobię zdjęcie i dam wam spokój.

- Ale naprawdę... - Amarylis nie chciała się poddać bez walki.

- Nie wstydź się - Lucas objął ją ramieniem i poczuł jak Amarylis robi krok w tył. Przyciągnął ją jednak mocniej, tak by nie mogła się wyrwać. - Jak już mówiłem, z pewnością jeszcze dziś zawrzemy bliższą znajomość.

Flesz błysnął akurat w chwili, gdy Amarylis otworzyła usta, żeby mu się odciąć. Dziewczyna mrugnęła więc tylko oczami i zamknęła buzię.

- Gotowe. - Elaine opuściła obiektyw i popatrzyła z jowialnym uśmiechem na swoją ofiarę. - Dzięki. Życzę wiele szczęścia wam obojgu.

Nelson skinął głową.

- Wiadomość o nowych zamierzeniach Gwiazdy Polarnej jest naprawdę bardzo cenna. Czy mogę zadzwonić do pana w tym tygodniu i porozmawiać o szczegółach?

- Oczywiście - zgodził się Lucas. - Poproszę sekretarkę, żeby umówiła pana z odpowiednimi ludźmi.

Nelson i Elaine odeszli w poszukiwaniu nowych ofiar, lecz Lucas nadal nie wypuszczał Amarylis z uścisku.

- To nie było potrzebne - syknęła dziewczyna.

- Ale nieuniknione. Zgodziłaś się przecież na tę maskaradę. Wiadomo było, że prasa będzie robić zdjęcia.

- Wystarczyłoby twoje. Mogliśmy się nie zgodzić na wspólną fotografię, która na pewno już jutro ukaże się w gazetach.

- Pewnie tak. I jeszcze parę innych - Lucas patrzył na nią pytająco. - No i co z tego wynika?

- Moja ciotka kupuje prasę.

- Więc?

- Ty jej nie znasz. -Amarylis zacisnęła usta. - Nieważne. Lepiej przejdźmy do interesów. Gdzie jest panna Locking i pan Beech?

Lucas wypatrzył Mirandę w przeciwległym końcu hallu. Stała obok Beecha, który szeptał jej coś do ucha.

- Są tam, przy tej dużej gablocie. Beech ma bardzo poważną minę. Coś się tam dzieje. Gotowa?

Amarylis popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Czy byłbyś na tyle silny, żeby wyczuć talent z tej odległości?

- W całym tym pomieszczeniu. - Lucas ścisnął ją mocno za rękę.

- Ale gdzie się podział pryzmat Beecha? - Amarylis próbowała coś wypatrzeć ponad głowami tłumu. - Towarzyszy mu tylko panna Locking. Nikogo więcej tam nie widzę.

- Trudno powiedzieć. To przecież może być każdy, kto stoi w promieniu trzech metrów od nich, na przykład ten kelner z tacą.

Amarylis popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Beech musiałby posiadać ogromną siłę, żeby zahipnotyzować kogokolwiek za pomocą tak bardzo oddalonego pryzmatu. Coś mi mówi, że miałeś kiepski pomysł.

- To mój problem, nie twój.

- Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania przed zaplaceniem rachunku.

- Oczywiście, że nie. - Teraz, gdy jego plan był tak bliski realizacji, Trent czuł się dziwnie. - Wiesz, mam małe doświadczenie w tych sprawach. Na wyspach trudno o wyszkolone pryzmaty. Pewnie nie będziesz ze mnie zadowolona.

- Nie martw się - powiedziała łagodnie. - Już pracowałam z amatorami.



- Dziękuję - mruknął przez zęby Trent.

- Nie chciałam cię urazić.

Lucas czuł, że ma wypieki, ale postanowił się tym nie przejmować. Nie mógł przecież wytłumaczyć Amarylis istoty problemu. Trudno było współdziałać z pryzmatem, przed którym trzeba było jednocześnie starannie ukrywać swoje prawdziwe możliwości

Trent przygotowywał się powoli do nawiązania kontaktu z Amarylis. Otwierając powoli umysł, szukał ogniska. Miał już za sobą krótki moment dezorientacji, który poprzedzał zawsze stan współdziałania.

I nagle ujrzał na swej płaszczyźnie psychicznej błyszczący, kryształowy pryzmat - silny i czysty, tak bardzo niepodobny do innych słabych i zamglonych, z jakich korzystał w przeszłości.

Zanim jednak popadł w absolutny zachwyt, poczuł, że zalewa go fala pożądania. Pragnął Amarylis. Potrzebował jej tak bardzo, jak nikogo innego na świecie. Doznał wrażenia, że zatapia się w istocie jej kobiecości

Działo się z nim coś bardzo złego.

Miał erekcję. Zszokowany odbierał łączącą ich więź jak pożar krwi. A na płaszczyźnie psychicznej cudowny pryzmat znikł mu całkowicie z pola widzenia.

Nie tak to miało wyglądać. Oczywiście, w przeszłości korzystał z usług pryzmatów w bardzo ograniczonym zakresie, ale czytał wiele na ten temat. Jego poprzednie doświadczenia były raczej typowe, choć pryzmaty nie należały do najlepszych, a i on sam nie bardzo potrafił ogniskować.

Więź między pryzmatem i talentem miała - już z definicji - zupełnie bezosobowy charakter. Lucas nigdy nie słyszał, by ogniskowaniu towarzyszyły jakiegokolwiek doznania seksualne. Niektórzy utrzymywali, że gdyby talentowi zawiązano oczy, nie mógłby się nawet domyślić płci pryzmatu, z którym pracuje.

- Lucas? - spytała bez tchu Amarylis. - Czy coś nie tak?

- Nie. - Zastanawiał się, czy ona również czuje się podobnie. A może to tylko on miał taki problem. Wszystko przez te przekłete hormony.

Trent chciał za wszelką cenę nad sobą zapanować. Nie na darmo nazywano go Lodziarzem. Wypuścił lekko powietrze i znów niezdarnie nawiązał kontakt. Wydawało mu się, że zahaczył o kawałek jedwabiu odwiniętego z kryształowego pryzmatu. Bał się, że porwie tę delikatną nić na strzępy.

- W porządku - mruknęła Amarylis. - Nic mi nie będzie.

Lucas zacieśnił więź i poczuł, jak wibruje w niej moc stanowiąca naturalne uzupełnienie jego siły. Amarylis była w stanie go przyjąć, a przynajmniej tę część jego talentu, jaką zamierzał ujawnić.

Ogarnęła go radość. To było cudowne. Wróciło poczucie głębokiej intymności. W tej właśnie chwili Amarylis była mu bliższa niż jakakolwiek osoba na świecie.

Zmusił się do koncentracji. Amarylis prawdopodobnie nie doznawała żadnych emocji. Była profesjonalistką. Te dziwne rzeczy działały się tylko po jego stronie lustra.

Przesłał potężną dawkę energii poprzez krystalicznie czysty pryzmat.

Na płaszczyźnie psychicznej zwykle niesubordynowany i nieprzewidywalny talent uderzył w pryzmat i przybrał formę ostro zarysowanych promieni kolorowego światła, osiągając niemal pełne widmo. Lucas natychmiast zmniejszył moc. Miał przecież uchodzić za dziewiątkę. Musiał zachować ostrożność. Niemniej jednak delektował się jeszcze parę sekund tym cudownym wrażeniem. Wzbierało w nim uczucie radości i satysfakcji. Stał się panem własnego talentu.

Tak właśnie miało być - pomyślał. Naturalnie. Efektywnie. Opłacało się współpracować z profesjonalistami.

Nabrawszy wiary we własne możliwości, Trent skupił się na swoim zadaniu. Chciał przecież nakryć Merricka Beecha na gorącym uczynku.

Nie słyszał już odgłosów muzyki i rozmów. Dotarł do niego natomiast inny dźwięk, który od razu rozpoznał. Gdzieś w pobliżu pracował jakiś inny silny talent.

- Mam go - mruknął.

- Owszem, wyczuwasz kogoś - w głosie Amarylis wyraźnie pobrzmiewało napięcie. - Ale na pewno nie hipnotyzera. Kiedyś z nimi pracowałam. Oni nadają na zupełnie innych falach.

- Cholera. - Amarylis miała rację. Lucas zdał sobie sprawę, że podczas seansu dziewczyna doznaje tych samych odczuć, co on, ale nie chciał poświęcać na razie temu problemowi zbyt wielkiej uwagi. - Co się dzieje?

- Nie wiem - urwała - ale jako wykrywacz wysokiej klasy odbierasz również energię pryzmatu. A ja wyczuwam w niej coś znajomego.

- Znajomego?

- Tak. Pryzmat zdradza zwykle swoje wykształcenie. Istnieją pewne charakterystyczne niuanse, dzięki którym można je odróżnić - Amarylis zamilkła, by znów podjąć próbę koncentracji.

- Pryzmat jest mężczyzną czy kobietą? - spytał Lucas.

- To tak samo trudne do określenia jak płeć talentu.

On jednak z pewnością pracował z kobietą. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Jakiego rodzaju talent udało ci się wykryć?

- Nie wiem. Spróbuję jeszcze raz. - Lucas ponownie przejrzał wiązkę. - Uczepił się jednego z promieni i natychmiast go przebadał. - Co on, u diabła, robi?

- Lucas?

Nie zidentyfikowany talent zniknął nagle z pola. Lucas niechętnie rozluźnił wiązkę psychiczną z Amarylis. Dziewczyna patrzyła na niego z niemym pytaniem w oczach.

- Przerwał wiązkę - powiedział Trent. - Niesamowite! Zupełnie jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

- Mężczyzna?

- Tak. Sądzę, że tylko jedna osoba w tym pomieszczeniu może mieć taką siłę.

Amarylis wykrzywiła usta z dezaprobatą.

- Kimkolwiek by on był, to i tak wypalił swój pryzmat.

- Jesteś pewna?

- Tak. Okazał się zbyt silny. Pewnie zostali źle skojarzeni. No, na szczęście Psynergia nie miała z tym nic wspólnego. Nam się nie zdarzają takie wpadki.

- Jasne - mruknął pod nosem Trent.

- Biedny pryzmat. Przez tydzień nic będzie zdalny do użytku. Myślę, że utrata zdolności ogniskowania jest bardzo nieprzyjemna.

- Ale nie bolesna?

- Nie, niezupełnie. Większość ludzi określa ją jednak jak poczucie straty. Czegoś im brakuje. Nie można usprawiedliwić tak fatalnego doboru.

- Mhm. - Jednym okiem zerkał na Amarylis, a drugim wypatrywał Mirandy.

- Mówiłeś, że wiesz, kto to jest.

- Co? - Ach tak, tak mi się wydaje na podstawie jego siły i... zaczekaj chwilę. - Urwał, bo Miranda Locking odwróciła się nagle od Beecha i poszła dalej przez hol. - Jest! Ciekawe, co knuje.

- Kto? Panna Locking? - Amarylis poszła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Ona ma bardzo zmartwioną minę - dodała, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na Mirandę.

- Może Beech nie chce jej zapłacić żądanej sumy – mruknął Lucas. - Ta cała historia to strata czasu i pieniędzy. Powinienem być ją po prostu wyrzucić.

- Idzie chyba do toalety. - Amarylis odstawiła szklankę. - Mam pomysł. Będę śledzić Mirandę.

- Oszalałaś?

- Coś ją wyraźnie niepokoi. A ja jestem pryzmatem, więc nie brak mi intuicji.

- Uważam, że ta opinia nie znajduje żadnego uzasadnienia. To mit - odparł sucho Lucas.

- Niezupełnie. Pójdę za nią do łazienki.

- Po co?

- Bo w obecnym stanie ducha może zapragnąć kontaktu z inną kobietą.

- I obnaży przed tobą duszę? Daj spokój! Od dawna nie słyszałem czegoś równie głupiego!

- Żądasz odpowiedzi, prawda? A ja zrobię wszystko, by ci je dostarczyć. Nic wolno mi tylko przegapić okazji.

- Nie chcę cię w to angażować.

- Przecież już mnie zaangażowałeś. Poza tym tylko ja mogę pójść za nią tam, gdzie się właśnie udaje. - Amarylis okręciła się na pięcie i weszła w tłum.

- Zaraz. Zaczekaj. To ja jestem odpowiedzialny za tę klęskę.

Lucas zorientował się, że mówi do siebie. Zły znak. Zaklął cicho, patrząc, jak Amarylis przeciska się przez ciżbę.

Wiedział, że praca z pryzmatem o pełnym widmie od początku nie była dobrym pomysłem. Amarylis chciała mu pewnie udowodnić, jaka jest mądra. Może musiała sobie w ten sposób zrekompensować brak talentu.

Typowy pryzmat. Uparty i szalony.

Niezdolny myśleć o czymkolwiek innym Lucas poszedł za Amarylis.

## *Rozdział czwarty*

Amarylis nadal drżały ręce. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Przecież była profesjonalistką. Pracowała wprawdzie jako zawodowy pryzmat dopiero od paru miesięcy, ale mogła się poszczycić ogromnymi osiągnięciami na polu akademickim.

Niemniej jednak rezultaty więzi z Lucasem przekroczyły jej najśmielsze oczekiwania. Nie mogła się spodziewać tak bardzo intymnych doznań.

Chwila dezorientacji i poczucia zagrożenia, jakie poprzedziły więź nie zrobiły na niej specjalnego wrażenia. Było to zjawisko normalne. Każdy pryzmat doświadczał tego przykrego momentu oślepiającej świadomości, który mijał jednak natychmiast po nawiązaniu kontaktu z talentem.

Samo ogniskowanie nie stanowiło problemu i nie dostarczało żadnych emocji. Było równie naturalne jak posługiwanie się zmysłem wzroku, słuchu lub smaku. Jedyna różnica polegała na tym, że więź wytwarzały dwa umysły. Ale przeżycia towarzyszące ogniskowaniu dla Lucasa z pewnością wykraczały poza jej dotychczasowe doświadczenia.

Amarylis zalała wręcz falą czystego, palącego pożądania.

To niemożliwe - myślała, przebijając się przez zatłoczony hol. Badania naukowe i testy sprawdzające naturę więzi łączącej pryzmaty i talenty nie wykryły u niej seksualnego zabarwienia. Ona sama pracowała zresztą z wieloma talentami zarówno w laboratorium uniwersyteckim, jak i poza uczelnią, ale nigdy nie odczuwała nawet śladu podniecenia.

A teraz miała wrażenie, że wciąż czuje dym buchający z ognisk roznieconych podczas trwania seansu. Niespełnione pragnienie dręczyło ją nadal już po zerwaniu więzi i Amarylis podejrzewała, że czeka ją przynajmniej kilka trudnych godzin.

Za wszelką cenę usiłowała ukryć swój stan przed Lucasem i miała nadzieję, że się jej to udało. Ogniskowała w całkowicie profesjonalny sposób i to ją pocieszało. Sprawdziła się jako pryzmat nawet w tych niecodziennych okolicznościach.

Idąc za Mirandą, postanowiła rozważyć ten problem później. Wszystko można przecież logicznie wytłumaczyć.

Na razie miała co innego do roboty. Klient domagał się odpowiedzi, a ona musiała mu je dostarczyć. Kontrakt nie zobowiązywał jej do żadnych dodatkowych działań, ale Amarylis zawsze wychodziła poza program. Wiedziała zresztą, co znaczą nie wyjaśnione wątpliwości.

Ku ogromnemu zdumieniu Amarylis Miranda Locking nie weszła do łazienki. Minąwszy drzwi prowadzące do damskiej toalety, podążyła dziarsko korytarzem, gdzie mieściły się biura. Obcasy jej wieczorowych pantofelków stuknęły głośno o twardą, drewnianą podłogę.

Amarylis pochwyciła fruujące wstęgi sukni i przyspieszyła kroku. Jasne włosy Mirandy zalśniły złociście w świetle korytarza, a ona zniknęła za rogiem.

Amarylis puściła się pędem naprzód. Zwolniła dopiero za zakrętem, gdzie wpadła na Mirandę i Merricka Beecha.

- Co jest, u diabła? - stęknął Beech, mężczyzna o delikatnych rysach twarzy i okazałym brzuszku.

Odbiwszy się od ściany, stracił zupełnie równowagę i wylądował na podłodze.

- Co ty sobie wyobrażasz? - wrzasnęła Miranda, po czym zachwiała się i upadła.

- Ojej! - jęknęła Amarylis, lądując na jej brzuchu. - Bardzo przepraszam.

- Złaz ze mnie, idiotko - Mirandzie udało się podnieść.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała, mrużąc oczy. - Śledziłaś mnie czy co?

- W pewnym sensie tak - odparła Amarylis, gramoląc się z ziemi.

Kątem oka dostrzegła leżącą na dywanie torebkę Mirandy. Torebka była otwarta i wyleciały z niej papiery. Na jednym z dokumentów widniało zielono-złote logo Gwiazdy Polarnej i napis: *Ścisłe tajne*.

- Niech to jasny szlag! - wycedził Beech. - Wiedziałem, że się tu pojawisz, Trent.

Lucas bez słowa zbierał papiery. Popatrzył na nie przelotnie i wyprostował plecy.

- Ile jej zapłaciłeś, Beech? - spytał bardzo łagodnie.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Beech wstał z podłogi, po czym starannie otrzepał ubranie.

- Już od dawna łączy nas przyjaźń. Rozmawialiśmy sobie spokojnie, kiedy ta kobieta na nas wpadła.

Amarylis rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Wiem, kim jesteś, oraz czym się trudnisz – powiedział Lucas. - Zajmę się tobą później. Zejdź mi z oczu.

- Nie masz prawa mi rozkazywać. Nie możesz udowodnić, że zrobiłem cokolwiek nielegalnego, a nawet gdybyś mógł, i tak nie wytoczyłbyś mi procesu. Jesteśmy dorośli. Znamy się na interesach.

- Powiedziałem, że później z tobą pogadam.

Amarylis odniosła wrażenie, że na korytarzu powiał nagle lodowaty wiatr, ale przejrzysta materia jej sukni nawet nie drgnęła. A żadne okno nie było otwarte.

Beech otworzył szeroko oczy, a zaraz potem je przymrużył. Jego twarz przybrała brzydki, czerwony odcień.

- Myślisz, że mnie zastraszysz? - warknął.

Lucas tylko na niego popatrzył. Nie odpowiedział.

- Ty draniu! - wysyczał Beech. - Pójdę na policję.

- Jeszcze się pan śmie obrażać! - krzyknęła Amarylis z oburzeniem. - Wszyscy chyba wiemy, że postąpił pan nieetycznie, a może nawet złamał pan prawo! Powinien się pan wstydzić! Ja osobiście uważam, że należałoby pana postawić przed sądem.

- Zamknij się - mruknął Beech. - Trent nic mi nie może zrobić.

- A pańskie sumienie? - spytała Amarylis. - Jak zamierza się pan sam przed sobą usprawiedliwić?

W oczach Lucasa błysnęły iskierki wesołości.

- No właśnie, Beech? Co z twoim sumieniem? Może trzeba je trochę poszturchać, żeby się obudziło?

- Przestań mnie straszyć - syknął Beech z bezsilną złością.

- Wcale cię nie straszę. Chcę ci tylko udzielić pewnej rady. Przyszedł czas na zmiany w twoim życiu. Wynoś się z miasta i trzymaj z daleka od interesów.

- Nie zrobisz mi tego - Beecham przesunął się wolno wzdłuż ściany. - Nie możesz.

Lucas popatrzył na niego z namysłem. W korytarzu znów powiał wiatr. Suknia Amarylis nie drgnęła, ale dziewczyna poczuła, że ma gęsią skórę.

Beech chciał wyraźnie coś powiedzieć. W końcu jednak wydał tylko z siebie nieartykułowany okrzyk i szybko się oddalił.

Amarylis odetchnęła ulgą.

Miranda uniosła dumnie podbródek i spojrzała prowokująco na Lucasa.

- On wcale nie musiał mi płacić za informacje. Dawałam mu je za darmo.

Lucas patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

- Ty głupcze! Nie wiesz, prawda? Nawet się nie domyślasz! Zrobiłam to wszystko, żeby pomścić Jacksona.

- Jacksona?

- On był twoim współnikiem, a ty go zabiłeś, morderco! Wiedziałam, że nigdy nie zdołam tego dowieść, więc postanowiłam cię załatwić w inny sposób.

- O czym ty mówisz?

Miranda odgarnęła z oczu jasne pasmo. Na jej policzkach lśniły łzy.

- Ty dobrze wiesz, o czym. Chciałeś się pozbyć Jacksona, bo nie był ci już potrzebny.

- Mirando... - zaczął Lucas i przerwał, jakby nagle zabrakło mu słów.

- Wykorzystywałeś jego znajomości i koneksje rodzinne. A potem go zabiłeś.

Amarylis - wyraźnie zaszokowana - zbliżyła się do Mirandy, wyciągając przed siebie rękę.

- To nieprawda. To nie może być prawda.

- A co ty możesz wiedzieć? - spytała ironicznie Miranda, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Przecież ciebie tam nie było. Lucas wynajął w tym celu piratów. Wiem, że tak zrobił. Nie można tego inaczej wytłumaczyć. No bo z jakiego powodu Jackson był wtedy z nią w domku?

- Proszę mnie posłuchać - zaczęła Amarylis i znów postąpiła krok naprzód.

- Nie zbliżaj się - syknęła Miranda. - Lucas wiedział, co się stanie, kiedy wysłał Jacksona do tego opuszczonego obozu. Skazał go na śmierć. - Odwróciwszy się na pięcie, pobiegła naprzód, a jej kroki jeszcze długo niosły się echem po korytarzu.

**T**rzy lata. - Lucas zatrzymał auto pod małym domkiem, w którym mieszkała Amarylis. - Przez trzy lata winiła mnie o śmierć Jacksona. I przygotowywała plan zemsty od chwili, gdy zginął. A ja się niczego nie domyślałem.



Amarylis drgnęła nerwowo. Lucas odezwał się po raz pierwszy odkąd wyszli z muzeum, lecz wcale nie to wytrąciło dziewczynę z równowagi. Uderzył ją natomiast ton jego głosu i żal zawarty w słowach.

Zerknęła nieśmiało na profil Lucasa, który oparł rękę o deskę rozdzielczą i patrzył w mrok. Dwa bliźniacze księżycy Świętej Heleny - Chelan i Yakima - rzucały na jego twarz srebrzystoszare cienie.

- Przykro mi. - Amarylis wołała na razie nie wspominać Trentowi o rachunku.

- Ufałem Mirandzie.

Amarylis nie wiedziała, jak się zachować.

- Przestań się zadrećzać, talenty wysokiej klasy są na ogół całkowicie pozbawione intuicji.

- Chciałem jej pomóc - Lucas zacisnął dłonie na drążku kierowniczym tak mocno, że zbiełały mu kłykcie. - Wiedziałem, jak bardzo przeżywa śmierć Rye'a. Firma musiała zapewnić jej opiekę. Przecież Miranda była zaręczona z Rye'em. Mieli się pobrać na wiosnę tego roku, gdy on zginął. Gwiazda Polarna dba o swoich pracowników.

- Rozumiem. To trudna sprawa. - Amarylis chwyciła za klamkę.

- Jest mądra i wykształcona. - Lucas mówił w taki sposób, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że ktokolwiek go słucha. - Pochodzi z dobrej rodziny. Dlaczego miałem jej nie ufać?

- No oczywiście. Skąd mógłbyś wiedzieć?

- Sądziłem, że razem przeszliśmy przez piekło. Uważałem, że jest między nami jakaś więź. Nigdy jej nie mówiłem, że Rye zdradził nas oboje.

Amarylis pomyślała, że się przesłyszała.

- Twój wspólnik cię zdradził?

- Nie chciałem jej tego wszystkiego opowiadać. Sądziłem, że dla dobra nas wszystkich najlepiej będzie zagrzebać prawdę tak głęboko, jak się tylko da.

Nadszedł czas, by wreszcie zakończyć ten wieczór – pomyślała Amarylis. Zadanie zostało wykonane. Gdyby została jej odrobina zdrowego rozsądku, z pewnością wysiadłaby z auta i życzyła Lucasowi dobrej nocy. Trent poznał odpowiedzi na nurtujące go pytania. Clementine miała rację mówiąc, że to klient jest odpowiedzialny za wyniki sesji.

- Może wstąpisz do mnie na herba-kawę? - Ze zdziwieniem usłyszała swój własny głos.

Odwrócił głowę, a jego oczy zaślniły w świetle księżyca.

- Na herba-kawę? - powtórzył.

Amarylis wpadła w panikę. Idiotyczne - myślała. Lucas cierpiał, a ona nie mogła mu w żaden sposób pomóc.

- Nieważne. - Popatrzyła na niego z uśmiechem i otworzyła drzwiczki auta. - Robi się późno. Gdybyś chciał mnie jeszcze o coś zapytać, będę w biurze o dziewiątej. Sądzę jednak, że wszystko już wiesz. Twój problem miał charakter osobisty.

- Tak. - Patrzył na jej twarz, skąpaną w świetle księżyca. - Osobisty.

- Ta cała sprawa, choć bardzo nieprzyjemna dla wszystkich zainteresowanych, okazała się bardzo prosta. - Amarylis zdobyła się na uśmiech. - Żadnych hipnotyzerów, żadnych wampirów...

- Żadnych wampirów.

Amarylis wygramoliła się z samochodu i popatrzyła na Trenta.

- Dobranoc.

- Wstąpię na herba-kawę.

- Zapraszam.

Otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i wygramolił się z samochodu. Patrząc, jak Lucas obchodzi dookoła auto, Amarylis zdała sobie sprawę, że wciąż ma otwarte usta. On tymczasem ruszył szybko naprzód alejką prowadzącą do wejścia.

- Zaczekaj! - krzyknęła Amarylis.

Zatrzymał się jak wryty na górnym stopniu.

Niezdolna myśleć o czymkolwiek innym Amarylis wyłączyła zamek z galaretowatego lodu. Drzwi otworzyły się na oścież.

Lucas wszedł do holu krokiem lunatyka.

- Tędy - powiedziała wesoło Amarylis. Zastanawiała się, co ona właściwie wyprawia. To zaproszenie nie było dobrym pomysłem. Byron z pewnością by je nazywał fatalną synergią.

Rzuciła torebkę na biurko i poprowadziła Lucasa do kuchni. Lodziarz we własnej osobie znów zawitał do jej mieszkania. Amarylis doznała nagle dziwnego uczucia lęku, któremu jednak towarzyszyło podniecenie. Serce biło jej o wiele mocniej niż zwykle.

Wiedziała, że musi zachować spokój i nie może stracić kontroli nad sytuacją. Była przecież profesjonalistką.

Weszła do kuchni świadoma, że Lucas idzie za nią krok w krok. Regularny wzór kuchennych płytek natychmiast przyniósł jej spokój.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. W tym schludnym, funkcjonalnym i znajomym wnętrzu natychmiast odzyskała samokontrolę.

Zdejmując marynarkę, Lucas rozglądał się ciekawie po kuchni.

- Wydaje mi się, że mieszkanie świetnie do Ciebie pasuje.

- Co masz na myśli?

- Jest takie zadbane i czyste. Wszystko tutaj ma odpowiednie miejsce. Stworzyłaś dom godny pryzmatu o pełnym widmie.

Ale to przede wszystkim Amarylis wydawała mu się zbyt porządna i schludna.

- Do takiego małego mieszkania nie pasuje nawet niewielki rozgardiasz.

- A mnie nie przeszkadza nawet ogromny bałagan. - Lucas cisnął marynarkę na najbliższy stół i usiadł przy białym, wyłożonym glazurą blacie. - Wychowałem się na skraju dżungli i nie dbam o standard. Tam nie sposób wypłenić robactwa, a na ściankach prysznicza zawsze rośnie coś zielonego.

- Rozumiem. - Amarylis pomyślała, że oni naprawdę skrajnie się różnią między sobą. Stanowili żywe potwierdzenie teorii głoszonej przez psychologów synergistycznych.

- Czy to Ci się często zdarza? - Lucas patrzył na nią uważnie spod przymrużonych powiek.

- Co masz na myśli?

Amarylis krzątała się przy nowym ekspresie do herba-kawy. Była bardzo dumna z tej czarnej, błyszczącej maszyny z ogromnymi czerwonymi guzikami. Dokonała tego zakupu zaraz po otrzymaniu dobrze płatnej pracy w Psynergii.

- Wszystkich nieudaczników zapraszasz na herba-kawę?

- Nie wiem, o czym mówisz - szepnęła.

- Nie potrzebuję twojego współczucia - powiedział z pochmurną miną.

- W porządku. Nie widzę problemu. Wcale mi Ciebie nie żal. Nadal masz ochotę na herba-kawę?

- Tak - odparł, wykrzywiając usta.

- Jaką pijesz?

- Potrójną. Bez dodatków.

- Potrójną? - Amarylis aż uniosła brwi ze zdziwienia. - Nie musisz mi niczego udowadniać. I tak wiem, że jesteś twardym, wielkim Łodziarzem.

Zarumienił się, co tylko dodało mu wdzięku.

- Na wyspach zawsze piliśmy taką.

- Dobrze. Zrobię ci mocną.

Amarylis wcisnęła odpowiednie guziki maszyny, a miły aromat parzonej herba-kawy rozszedł się po całej kuchni.

- Zwykle nie miewam tego rodzaju problemów – wyznał Lucas. - Na ogół postępuję bardzo ostrożnie. Ale jak już nawalę, to na całego.

- O czym ty właściwie mówisz?

- O tym, że niełatwo zdobyć moje zaufanie.

- Rozumiem. A istnieje teoria, że pryzmat z pełnym widmem nie znajdzie wspólnego języka z talentem wysokiej klasy. Nie obwiniaj się, Lucasie. Wszyscy czasem popełniamy błędy w doborze przyjaciół.

- Ona przez cały czas wierzyła, że specjalnie wysłałem Jacksona na śmierć, bo chciałem się go pozbyć. - Lucas pokręcił głową. - Zdawałem sobie sprawę, że Rye'owie przypisują mi całą winę za to, co się stało, ale nigdy nie twierdzili, że kazałem zamordować ich syna.

Amarylis naląła złotobrazowy płyn do kubków.

- Prasa zrobiła z niego bohatera. Pisano, że zginął na samym początku inwazji.

- Ja bytem wtedy na innej wyspie. A Jackson pojechał do naszej siedziby w Port LeConner i powiedział kolegom, że musi się zwolnić na parę dni. Zamierzał jechać w góry.

Amarylis odstawiała kubek na stół.

- No a co z piratami?

- Nikt wtedy jeszcze o nich nie wiedział. Jackson i... - Lucas zawahaj się przez chwilę - ...towarzysząca mu osoba wybrali się na taki stary kemping. Chcieli zamieszkać w jednym z domków i łowić ryby. Mieli zapewne jeszcze inne plany...

- I co się stało?

- Kiedy wróciłem do Port LeConner, zrozumiałem, że coś nie gra. Wyruszyłem więc natychmiast na kemping i tam znalazłem ich ciała. - Lucas wbił wzrok w kubek. - Wydawało mi się, że piraci natrafili na ten kemping przez zupełny przypadek, a gdy zobaczyli tam Jacksona i tę

drugą osobę, natychmiast ich zabili. Nie chcieli, żeby wiadomość o ataku na wyspę zbyt wcześnie się rozeszła, więc uciszyli przypadkowych świadków. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyłem.

- Straszne. -Amarylis aż się wzdrygnęła.

- Później okazało się, że sytuacja wyglądała nieco inaczej.

- A jak?

Lucas popatrzył na nią ponuro.

- Dowódca najeźdźców miał spore zdolności organizacyjne. Działał planowo. Po zakończonej akcji przeszukałem jego kabinę. Znalazłem tam całą masę dokumentów, zapisków, planów i najróżniejszych notatek. Wynikało z nich wyraźnie, że Jackson spiskował z piratami.

Amarylis o mało nie rozlała herba-kawy.

- Byli w zмовie?

Lucas wziął kubek w obie dłonie.

- Każdy, kto chce przejąć kontrolę nad Wyspami Zachodnimi, musi się liczyć z Gwiazdą Polarną.

- Oczywiście. Wasza spółka praktycznie rządzi wyspą.

- Nie mamy wyboru. To zupełnie dziki teren. Jedyłą atrakcją Wysp Zachodnich stanowi galaretowaty lód.

- Wiem.

- Zatrudniamy więc ludzi i musimy zorganizować im życie. Przejęcie spółki daje automatyczną kontrolę nad wyspami i odwrotnie. - Urwał. - Nie chciałem się wcale pozbyć Jacksona Rye'a. To on postanowił mnie wykończyć. Wiedział, że będzie potrzebował pomocy, bo mam tam wielu przyjaciół. Pewnie dlatego zawarł układ z piratami.

- Zamierzał zdobyć pełną władzę w spółce?

- Miałem zginąć, bo tylko wtedy Jackson mógłby samodzielnie zarządzać firmą.

- A jego układ z najeźdźcami?

- Musiałabyś go znać, żeby to zrozumieć. Należał do ludzi, którzy wierzą w swoje nieograniczone możliwości. W świecie, w którym się urodził, Rye'owie posiadali ogromne wpływy. Widocznie uważał, że po przejściu firmy poradzi sobie również z piratami.

- Mój Boże!

Lucas napotkał jej spojrzenie.

- Niezły plan, prawda? Zapewne by mu się to udało, bo piratom brakowało zarówno dyscypliny, jak i zapasów. Bez pomocy Gwiazdy nie zdołaliby przetrwać.

- Więc Jackson Rye chciał, żeby piraci wykonali za niego brudną robotę. A gdy ty zostałbyś już jedynie martwym bohaterem, wyszedłby z ukrycia i objął firmę.

- Tak to mniej więcej miało wyglądać - powiedział Lucas znużonym tonem. - Wtedy nagle dowódca piratów doszedł do wniosku, że Jackson może się okazać niebezpieczny. Chyba zresztą nigdy nie zamierzał zostawić go przy życiu. Najpierw go wykorzystał, a potem zabił.

- O tej historii pisano całymi tygodniami – powiedziała wolno Amarylis. - Oczywiście nie wiedziałam, że twój wspólnik zdradził firmę i wszystkich wyspiarzy.

- Utrzymałem te rewelacje w tajemnicy. - Lucas uśmiechnął się zimno. - Nie chciałem zniszczyć wizerunku firmy.

- Czy tylko dlatego milczałeś?

- Jestem urodzonym biznesmenem. Interes przedsiębiorstwa jest dla mnie zawsze najważniejszy.

- A wiesz, co ja myślę? - Amarylis upiła łyk herba-kawy. - Odnoszę wrażenie, że znalazłoby się jeszcze parę innych powodów, dla których zachowałeś prawdę do swojej wyłącznej wiadomości.

- Na przykład?

- Rye'owie i Miranda Locking. Nie chciałeś, żeby się dowiedzieli prawdy o Jacksonie. Postanowiłeś ich chronić.

Lucas patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Jak już mówiłem, musiałem zadbać o dobre imię firmy.

- Uważam, że postąpiłeś bardzo szlachetnie. Ocaliłeś reputację Jacksona, choć on wcale na to nie zasłużył.

Trent uśmiechnął się wykrętnie.

- Jeśli mówisz poważnie, to znaczy, że wcale nie jesteś taka inteligentna, za jaką cię uważałem. Wcale nie postąpiłem szlachetnie, tylko rozsądnie.

- Nie! - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Na pewno szlachetnie i wielkodusznie. Nie mogę się nadziwić, jakim cudem ci się udało to wszystko zataić.

- Jako prezes i jedyny żyjący właściciel spółki czułem się za nią w pełni odpowiedzialny. I mogłem liczyć na pomoc kilku przyjaciół. Dziennikarze dowiedzieli się dokładnie tego, co chciałem im przekazać.

- Rozumiem.

Lucas przełknął ostatni łyk herba-kawy.

- A jeśli w dalszym ciągu mnie uważasz za rycerza bez skazy, powinnaś się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Na przykład?

- Jak już wiesz, Jackson nie pojechał sam na spotkanie z piratami.

- Tak. Ale ten facet też został zabity.

- To nie był żaden facet, tylko moja żona.

Oczy Amarylis zaszły mgłą.

- Tak mi przykro. Rzeczywiście czytałam, że ona również zginęła podczas inwazji. To okropne, że musiała się tam znaleźć akurat w takiej chwili.

Lucas wykrzywił usta w ponurym uśmiechu.

- Zawsze jesteś taka naiwna, czy tylko udajesz?

- Nie rozumiem.

- Dora i Jackson mieli ze sobą romans. Teraz wszystko jasne? Ona nie wybrała się na kemping przez przypadek. Pojechała tam, bo sypiała z Jacksonem, jak również i dlatego, że wiedziała wszystko na temat jego umowy z piratami.

Tym razem Amarylis rozlała herba-kawę, ale nawet tego nie zauważyła. Niezdolna, by zebrać myśli, dotknęła tylko ręki Lucasa.

Lucas ścisnął jej palce, nim zdążyła cofnąć dłoń.

- Nie wiem, dlaczego ci opowiedziałem tę historię. Mam nadzieję, że zachowasz to wszystko w tajemnicy.

- Oczywiście.

- W całkowitej tajemnicy - podkreślił. - Nawet przed szefową. Jasne?

- Tak. - Amarylis mogłaby przysiąc, że znów powiał lodowaty wiatr, taki sam jak na korytarzu w muzeum. - Jasne. Daję ci na to moje słowo.

- Słowo zawodowego pryzmatu. - Lucas odwrócił jej dłoń. Patrzył na przecinające ją żyłki, jakby były to drogi na mapie wiodące w jakimś nieznanym kierunku. - Jeśli kiedykolwiek się wygadasz, utrudnię ci życie.

Amarylis zajrzała mu w oczy i zrozumiała, że to od Lucasa emanuje taki przenikliwy chłód. Odniosła nagle wrażenie, że pod kuchennym kredensem zaczyna osiadać mgła. Bała się nawet odwrócić głowę w tamtym kierunku.

To jego sprawka - pomyślała i zawrzał w niej gniew.

- Jak śmiesz mi grozić? Dałam ci słowo honoru!

- Przepraszam - Trent gwałtownie puścił jej rękę. - Nie jestem w najlepszym nastroju i wyzywam się na Bogu ducha winnej osobie. Tak nie wolno. Nic złego nie zrobiłaś.

- Właśnie. - Rozprostowała palce, jakby chciała sprawdzić, czy nie są połamane. Już nie czuła przeciągu. Pod kredensem leżały wyłącznie białe-czarne płytki. - Nie pozwolę się zastraszyć.

- To by wcale nie było takie łatwe.

Ty też się nikogo nie boisz - pomyślała.

- Przestań się zdręzczać tylko dlatego, że obdarzyłeś swym zaufaniem niewłaściwie osoby - powiedziała głośno. - Takie błędy zdarzają się każdemu. Nawet pryzmatom.

- Nawet pryzmatom? - W oczach Lucasa błysnęło rozbawienie. - Nie mam w takim razie powodu do zmartwienia. Ty też popełniłaś jakąś pomyłkę?

Natychmiast przypomniała sobie związek z Giffordem Osterley'em.

- Owszem. Pryzmaty nie posiadają niezawodnej intuicji.

- Zdziwiająca. Nigdy bym się tego nie domyślił. - Lucas patrzył na Amarylis spod przymrużonych rzęs. - Kim był ten facet?

Protekcjonalny ton Trenta wyprowadził ją z równowagi do tego stopnia, że w pierwszej chwili miała ochotę pokazać mu drzwi. Niemniej jednak sumienie nie pozwoliło jej tego zrobić. W końcu Lucas otworzył przed nią serce, co z pewnością nie przyszło mu łatwo. A teraz już żałował swej decyzji.

Pomyślała, że ona również powinna zdradzić Trentowi w rewanżu jakiś maleńki sekret. Musiała mu jakoś poprawić humor. W końcu za parę dni Lucas miał otrzymać od niej rachunek. Przypomniała sobie jedną z żelaznych zasad Clementine, która mówiła, że zadowolony klient zawsze wraca do firmy.



- Nazywał się Gifford Osterley - powiedziała cicho Amarylis. - Pracowaliśmy razem na uniwersytecie, dopóki stamtąd nie odeszłam. Wkrótce otrzyma pewnie stanowisko dziekana wydziału nauk ogniskowych. Jest profesorem zwyczajnym.

- I zapewne pryzmatem?

- Oczywiście. Bardzo silnym. Ma prawie pełne widmo.

- Prawie. Więc jednak nie może się z tobą równać?

- No tak - przyznała trochę niespokojnie i odchrząknęła - W każdym razie byliśmy sobie bardzo bliscy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Chyba potrafię to sobie wyobrazić.

Zmarszczyła brwi.

- Mówiliśmy nawet o małżeństwie.

- Bez pośrednictwa agencji? - Lucas popatrzył na nią z udanym przerażeniem. - Nie wierzę!

- Przestań się wygłupiać. - Amarylis zacisnęła zęby. Chciała być miła dla Lucasa i oto, co ją spotkało. Ten człowiek nie był w stanie niczego docenić. - Zamierzaliśmy skorzystać z pośrednictwa biura, ale sądziliśmy, że zostaniemy uznani za świetną parę.

- Typowy przejaw arogancji charakterystyczny dla pryzmatów, prawda?

- Rzeczywiście - przyznała niechętnie Amarylis. - Ale oboje jesteśmy świetnymi specjalistami. Wiedzieliśmy, co robimy.

- Fakt. Oglądałem twoje dyplomy.

- Gifford uzbierał ich jeszcze więcej.

- Brawo! No ale co między wami zaszło?

- Odkryłam, że Gifford ma romans ze swoją asystentką, która była również wysokiej klasy talentem.

- Sypiał z nią?

Amarylis utkwiała wzrok w nie dopitej herba-kawie.

- Tak.

- Skąd wiesz?

- To było bardzo nieprzyjemne. - Amarylis przełknęła ślinę i poczerwieniała jak burak. - Wpadłam kiedyś na sesję do jednego z laboratoriów i wtedy ich zobaczyłam.

- A oni zajmowali się zapewne czym innym aniżeli czysto akademicką dyskusją?

Amarylis poczuła nagły przypływ złości, bólu i wstydu. Ten obraz stanął jej znowu przed oczyma tak wyraźnie, jakby to wszystko działo się zaledwie wczoraj.

- Kochali się na biurku Gifforda, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć.

- Na biurku, powiadasz?

- Tak. - Amarylis uniosła podbródek, by spojrzeć na niego z góry. - Sądziłam, że to musi być cholernie niewygodne, ale im się chyba podobało.

- Wnioskuje, że nigdy nie robiłaś tego na biurku.

W Amarylis wygasły jakiegokolwiek życzliwe uczucia dla Trenta.

- Miło mi, że się dobrze bawisz. Istotnie nie robiłam.

- Udzielę ci podobnej rady, jakiej ty mi udzieliłaś. Nie przejmuj się. To nie twoja wina, że się związałaś z nieodpowiednim facetem.

- Czuję się jak idiotka - szepnęła.

- I tak postąpiłaś mądrzej ode mnie. Nie wykluczyłaś ze swoich planów agencji matrymonialnej.

- Chcesz powiedzieć, że nie korzystałaś z pomocy biura przed zawarciem pierwszego małżeństwa? - Amarylis aż wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

- Oczywiście, że nie. - Wykrzywił delikatnie usta. - Byłem wyspiarzem, sam potrafiłem zadbać o swoje interesy. W wieku dwudziestu czterech lat zostałem prezesem firmy. Znalazłem galaretowaty lód w sercu dżungli. Zbiłem majątek. Sądziłem, że potrafię znaleźć sobie żonę bez pomocy fachowców.

- I co się stało?

Lucas odwrócił wzrok. Gdy znów spojrział na dziewczynę, z jego spojrzenia trudno było cokolwiek wyczytać.

- To, co zdaniem fachowców grozi ludziom, którzy sami dobierają sobie partnerów. Poniosłem klęskę.

- Jak mi przykro! Pewnie byliście w sobie bardzo zakochani?

- Jasne. Jak wszyscy, którzy zamierzają się pobrać, bo po co, u licha, mieliby to robić, gdyby się nie kochali?

- Nie wiem. - Amarylis spojrzała na swoje ręce. - Moi rodzice uciekli z miasta, kiedy tylko przyszedłem na świat. Ale nie wzięli ślubu. Nie mogli. Ojciec był już żonaty.

- Rozumiem.

- Zginęli podczas burzy w drodze na Wyspy Zachodnie. Ja mieszkałam wtedy z ciotką. Wszyscy sądzili, że rodzice chcieli rozpocząć nowe życie, przyjąć inne nazwisko i wziąć mnie do siebie, gdy tylko znajdą pracę.

- Bardzo mi przykro. W takim razie zostałaś... sama?

Uśmiechnęła się blado.

- Nie używaj eufemizmów. Byłam nieślubnym dzieckiem. A Giffordowi to wcale nie przeszkadzało. Może dlatego się w nim zakochałam. Wiesz, co się na ogół sądzi o bękartach.

- Wiem.

- Ale wracając do twojego pytania, to wcale nie zostałam sama. Rodzina matki opiekowała się mną bardzo serdecznie.

- A co z rodziną twego ojca?

Amarylis nalala sobie jeszcze pół filiżanki herba-kawy.

- Całkiem mnie zignorowali.

- Bywa.

Zaległa cisza. I trwała wystarczająco długo, by Amarylis znów zdążyła pożałować, że zaprosiła Lucasa na herba-kawę. Co w nią właściwie wstąpiło? Odkryła zupełnie obcemu człowiekowi swoje największe sekrety. No... może nie wszystkie, ale większość... Zrobiła z siebie kompletną idiotkę. I to tylko dlatego, że zaczęła współczuć klientowi.

Najwyższy czas, żeby zaczęła się zachowywać w bardziej profesjonalny sposób.

- Robi się późno - powiedziała, wskazując na zegar.

- Rzeczywiście. - Lucas niechętnie wstał z krzesła. - Pójdę już. Dzięki za herba-kawę.

- Nie ma za co.

- I za współczucie. - Uśmiechnął się gorzko.

- To był na pewno dla ciebie bardzo trudny wieczór.

- Pamiętam gorsze.

Zdjął marynarkę ze stołka i ruszył do drzwi. Amarylis poszła w ślad za nim.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

Odwrócił się gwałtownie.

- Tak?

- O ten talent, który udało ci się wykryć.

- Co chciałabyś wiedzieć?

W oczach Trenta błysnęło coś na kształt zawodu, ale zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

- Wiem, że to niewątpliwie talent wysokiej klasy. Nie zidentyfikowałam natomiast jego umiejętności. Nigdy się do tej pory nie zetknęłam z energią podobnej natury - subtelną, a jednocześnie niewiarygodnie wręcz silną.

- Rzeczywiście jest niezły - zgodził się Lucas bez specjalnego zainteresowania.

- Ty też masz niesamowite zdolności – prowokowała Amarylis. - Chyba potrafisz powiedzieć o nim coś więcej.

- Naprawdę nic wiesz o kogo chodzi? - spytał Lucas z rozbawieniem.

- Nie.

- Oczywiście nie jestem pewien, ale mógłbym postawić swoje całoroczne dochody na Madisona Sheffielda.

- Sheffield. - Amarylis osłupiała ze zdziwienia. - Senator Sheffield?

- Nasz przyszły gubernator. Tak przynajmniej wszyscy sądzą. Myślałem, że to dla ciebie jasne.

- Mówisz poważnie?

Lucas popatrzył na nią z namysłem

- Nie rozumiałaś, co się dzieje, prawda?

- Nie.

- Kiedy pracuję z talentem, wyczuwam to samo, co on. Ty potrafisz wykrywać talenty, więc ja zdałam sobie sprawę z jego istnienia, dokładnie w tej samej chwili. Jak ci już zresztą mówiłam, w muzeum działał również inny pryzmat.

- A jego styl wydał ci się znajomy.

- Tak. Ta osoba kształciła się z pewnością, na wydziale nauk ogniskowych u profesora Landretha.

- Kto to jest Landreth?

- Przez dłuższy czas kierował tym wydziałem.

- Chyba gdzieś słyszałem to nazwisko.

- Zapewne przy okazji artykułów, jakie o nim napisano, gdy zginął w wypadku. To była straszna tragedia!

Lucas skinął głową.

- Tak, teraz coś sobie przypominam.
  - Profesor był genialny - stwierdziła z mocą Amarylis, gdyż na Lucasie nazwisko Jonathana Landretha nie wywarło najwyraźniej oczekiwanego wrażenia. - Co więcej, stworzył Kodeks Etyki Ogniskującej. Jego śmierć to wielka strata dla świata akademickiego i nauki.
  - Mhm.
  - Ja również bardzo przeżyłam odejście profesora. - Amarylis zacisnęła usta. - Wiele mu zawdzięczałam i bardzo mi go brak.
  - Okropna historia - Lucas nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. - No ale chyba czas na mnie.
  - Zaczekaj. Przecież mi jeszcze nie powiedziałaś, jakie umiejętności posiada Sheffield.
  - Myślę, że była to mieszanka oleju nietoperzowo-wężowego i uroku osobistego. Innymi słowy charyzma.
  - Charyzma? - powtórzyła Amarylis ze zdziwieniem.
  - To sprawa najważniejsza dla polityków.
  - Ale charyzma nie ma nic wspólnego ze zdolnościami parapsychozycznymi.
  - Więc jak byś ją określiła?
  - Nie wiem. - Amarylis machnęła dyskretnie ręką. - To chyba jakaś cecha osobowości.
- Ale nic więcej.
- Siła zawsze pozostanie siłą. - Lucas uśmiechnął się lekko. - Niezależnie od tego, czy została zbadana przez ekspertów.
- Amarylis wydeła usta.
- Nie jestem pewna, czy się z tobą zgadzam. Nie sądzę, by ogniskowanie charyzmy było etyczne, szczególnie, że talent jest politykiem.
  - Przestań się tym martwić. Ten facet ogniskował charyzmę, żeby zdobyć dodatkowe głosy i fundusze na kampanię. Na tym polega polityka.
  - Ale on popełnił nadużycie albo nawet oszustwo!
  - Witaj w prawdziwym świecie, młoda damo.
  - Nie przeszkadza ci to, że talent wysokiej klasy manipuluje ludźmi?
  - On jest politykiem.
  - Niemniej jednak korzystał z usług profesjonalisty.
  - Ja również, prawda?

- Pryzmat Sheffielda nie powinien był łamać kodeksu. Profesor Landreth wbijał nam wszystkim do głowy te zasady.

- To bardzo chwalebne. Naprawdę.

- Pryzmat, który pracował z Sheffieldem, pogwałcił nasze normy etyczne - warknęła Amarylis.

Lucas oparł się ramieniem o ścianę i popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Zdradzę ci pewną tajemnicę. Amarylis. Nikt nie lubi moralistów...

- ...powiedział talent, który zazdrości pryzmatowi – dokończyła dziewczyna. - Dobranoc, panie Trent. Niech pan śpi spokojnie, a jutro rano znajdzie pan w skrzynce rachunek.

Lucas nawet się nie ruszył, a drzwi pozostały zamknięte.

- Zadałaś mi pytanie o charakterze merytorycznym. Czy ja również mogę cię o coś spytać?

Amarylis popatrzyła na niego podejrzliwie.

- To znaczy?

- Tobie również było dobrze?

- Co takiego? - szepnęła wyraźnie speszona.

- A więc nie tylko ja doznałem takich wrażeń – stwierdził z satysfakcją. - Jak wiesz, nie mam zbyt dużego doświadczenia w tym zakresie, i nie wiem, czy podniecenie seksualne jest typowym skutkiem ubocznym więzi, czy też występuje niezwykle rzadko w podobnych sytuacjach.

Amarylis niemal straciła mowę. Wiedziała, że rumieni się po uszy.

- Zapewniam cię, że nie wiem, o czym mówisz.

- Jak długo to się utrzyma?

- Co? - spytała słabym głosem.

- Ta niepokromiona chęć, żeby pójść z tobą do łóżka?

- Bardzo proszę...

- Może ustąpi jutro! Dobrze by było, bo nie mogę się na niczym skupić.

Amarylis przełknęła ślinę i jeszcze raz poszukała schronienia za zasłoną chłodnego profesjonalizmu.

- Nigdy nie słyszałam, by ktoś narzekał na podobne skutki uboczne więzi. Toteż nie wiem, jak długo one trwają. Co więcej...

- Ja właściwie nie narzekam.

- Takie odniosłam wrażenie.

- Myślę, że powinienem cię pocałować. Tak, to by na pewno pomogło. - Lucas zrzucił marynarkę i pochwycił dziewczynę w ramiona.

- Panie Trent! Pan jest moim klientem!

- Tak. Wiem. - Przytulił ją mocniej. - Nie martw się. Zawsze płacę rachunki.

- Nie w tym rzecz

Amarylis uczyniła ostatni wysiłek, by go odepchnąć. Zauważyła, że spojrzenie tego mężczyzny jest równie nieprzeniknione jak czarna mgła, którą niedawno widziała pod kredensem.

Trent położył wargi na jej ustach.

## *Rozdział piąty*

**L**ucas wiedział, że całowanie Amarylis to akt desperacji. Wmawiał sobie, że gdy tylko weźmie ją w ramiona, pożądanie natychmiast minie. Wiedział przecież o iluzjach znacznie więcej niż większość ludzi. Był ekspertem w tych sprawach. Wyczuwał złudzenia na miłę.

Lecz słodkie, ciepłe i niezwykle seksowne wargi Amarylis nie miały tych zdolności terapeutycznych, jakich się po nich spodziewał. Drżały. Dziewczynę przeszły ciarki, a ogarniająca ją fala silnego wzruszenia zalała również Lucasa.

Ta wystarczająco wymowna reakcja Amarylis całkowicie wytrąciła go z równowagi. Doznał wrażenia, że spaceruje po lesie pełnym egzotycznym kwiatów i wpada na całą masę rozkwitających pąków. Pałący, mocny zapadł pożądania przyćmił mu wszystkie zmysły.

- Lucas - wykrzyknęła cicho Amarylis, zarzucając mu ręce na szyję. - Lucas!

Ta dziewczyna go pragnęła. Pragnęła go równie silnie, jak on pragnął jej. Więż działała najwyraźniej w obie strony.

Przycisnął ją tak mocno, że o mało nie rozgniółł wspaniałych, sprężystych piersi dziewczyny. Zwiewna tkanina jej sukni nie stanowiła żadnej przeszkody dla silnych męskich dłoni. Jęknął cicho i przesunął ręką po wdzięcznej linii jej pleców.

Amarylis przytuliła się do niego mocniej. Drżała na całym ciele.

Gdy niósł ją przez korytarz, popatrzyła mu w twarz spod na wpół przymkniętych powiek. Omal nie utonął w jej oczach.

Zdołał otworzyć drzwi, nie wypuszczając dziewczyny z objęć. Po dwóch kolejnych krokach udało mu się dostrzec łóżko. Nieskazitelnie biała pościel lśniła w promieniach bliźniaczych księżyców.

Lucas padł plecami na materac, pociągając za sobą Amarylis.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - wykrztusiła. - Naprawdę.

- Wszystko dobrze - wymamrotał po czym wpił się ustami w jej wargi. - Nie martw się tym.

- Tak, ale... - Urwała i okryła namiętymi pocałunkami całą jego twarz, wbijając mu paznokcie w ramiona.



Lucas wpadł niemal w euforię. Nigdy przedtem żadna kobieta nie dobierała się do niego z takim entuzjazmem. Gdy przewrócił Amarylis na plecy, z jej starannie upitego koka wypadły szpilki i ciemne włosy rozsypały się po poduszce, a Lucas zagłębił dłoń w jedwabistych pasmach. W pokoju było zbyt ciemno, by mógł dostrzec kolor oczu dziewczyny, lecz z pewnością błyszczało w nich podniecenie.

Rozsunął nogą jej kolana. Żar bijący z delikatnych ud omal nie spalił mu spodni. Całując ją namiętne, szamotał się rozpaczliwie z cienką tkaniną zwiewnej sukni.

Gdy wreszcie odsłonił pierś i przejechał szorstką dłonią po sprężystej sutce, uczynił to tak delikatnie, jakby się bał, że może wyrządzić dziewczynie krzywdę.

- Nic mi nie będzie - szepnęła Amarylis, chwytając go za koszulę.

Lucas wydał z siebie dziwny chrapliwy odgłos - ni to śmiech, ni to jęk. Już raz tego wieczoru słyszał od niej podobne zapewnienie.

Pochylił głowę i ucałował z szacunkiem słodki, sterczący pączek. Amarylis jęknęła cicho i chwyciła go mocno za włosy.

Rozsunawszy jej uda, nakrył dłonią rozpalony wzgórek, musnął delikatną tkaninę majteczek i wyczuł, że są wilgotne.

Amarylis zeszywniała pod jego dotykiem. Miała szeroko otwarte oczy.

- Ty też jesteś gotowa - szepnął. Upajał się jej podnieceniem i zmysłowym, kobiecym zapachem. - Tym razem na pewno nie uległem złudzeniu.

- Złudzeniu?

- Wydawało mi się, że mój stan podczas więzi wynikał ze sztucznej stymulacji - wyznał szczerze Trent. - Sądziłem, że to było tylko złudzenie. Kiedy jednak zdałem sobie sprawę, że ty się czujesz podobnie, doszedłem do wniosku, że przyczyna naszych doznań nie ma większego znaczenia. Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale ja jestem wystarczająco przekonany, że...

- Zaraz - przerwała. - Chcesz się ze mną kochać, bo więź dostarczyła ci podniet seksualnych?

- Co za różnica. - Ostrożnie wsunął palec pod cieniutki materiał jej majteczek.

- Zaczekaj. Przestań! - Puściła włosy Lucasa i chwyciła go za ramiona. - Dosyć!

- O czym ty mówisz? - Ucałował rozkoszne wygięcie jej szyi.

- Słyszałeś - odparła stanowczo i zaczęła go odpychać.

Zaskoczony jej reakcją, zamrugał niespokojnie oczyma.

- Co się stało?

- Złóż ze mnie natychmiast.

Zrozumiał, że niepotrzebnie wspominał o więzi.

- Uspokój się. Nie sądź, że chcę się z tobą kochać wyłącznie dlatego, że... Amarylis, posłuchaj....

- Złóż!

Niechętnie oparł się na łokciu.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Bardzo mi przykro, że cię uraziłem.

- To ja powinnam cię przeprosić - odparła szorstko. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

-Ty?

- Jestem profesjonalistką. - Przesunęła się na brzeg łóżka, opuściła nogi na podłogę i wstała. - A ty tylko klientem.

- Tylko klientem - powtórzył Lucas, nie odrywając od niej wzroku.

- Jako wykwalifikowany, zawodowy przyzmat muszę przestrzegać etyki ogniskowej. Nie powinnam była pozwolić, żebyś mnie całował, To zupełnie niestosowne. Mało brakowało, a poszłabym do łóżka z własnym klientem!

- Przede wszystkim z mężczyzną - przypomniał Lucas.

- Powinnam w tobie widzieć przede wszystkim klienta. Niestety, doświadczyłeś pewnych nieprzyjemnych skutków ubocznych sesji i...

- Wcale nie były nieprzyjemne. Jedynie trochę niezwykle.

- Jako doświadczony przyzmat, powinnam była wziąć poprawkę na to, że sesja nie przebiegła zupełnie normalnie. - Amarylis ukryła twarz w dłoniach. - Wprost nieprawdopodobne, że ci pozwoliłam na to wszystko. - Opuściła bezradnie ręce. - Zachowałam się w zupełnie nieprofesjonalny sposób.

- Chyba nie można zawsze pamiętać o etyce zawodowej.

- Mnie się to jakoś udawało. Aż do dziś.

- To mnie trochę pociesza. - Lucas wypuścił powietrze i usiadł na brzegu łóżka.

Amarylis podbiegła do drzwi i zadrżała. Trent zrozumiał, że dziewczyna się waha, czy zapalić światło. W końcu najwidoczniej doszła do wniosku, że to nie najlepszy pomysł, i wyszła do korytarza.

- Pospiesz się - powiedziała, krzyżując ramiona pod biustem. - Naprawdę zrobiło się późno. Jutro rano idę do pracy.

- Tak, oczywiście... - Rudawe włosy Amarylis błysnęły prowokująco w przyćmionym świetle korytarza. Znów poczuł, że ogarnia go podniecenie. - Prześlesz mi rachunek pocztą?

- Lucas...

- Już idę, idę.

Przeszedł przez hol ze stoickim spokojem. Zatrzymał się tylko raz, by podnieść z podłogi marynarkę.

- Jeszcze raz przepraszam za moje nieprofesjonalne i nieetyczne zachowanie - powiedziała Amarylis. - Nie rozumiem, jak mogłam w ten sposób postąpić.

Przebrała miarę

Lucas odwrócił się od drzwi i zatkał jej dłonią usta.

- Jeśli jeszcze raz to powtórzysz, przestanę odpowiadać za swoje czyny. Jasne?

Rozszerzyła oczy z przerażenia i skinęła głową.

- Dobranoc, panno Lark. - Zdjął rękę z jej ust i otworzył drzwi. - Proszę iść do łóżka z kodeksem etycznym. Ja osobiście zamierzam wziąć zimny prysznic.

Wyszedł w mrok, zaczerpnął świeżego powietrza i stanął przy samochodzie. Był spięty i ociężały. Odczuwał niemiłe skurcze żołądka. W głowie wirowało mu tysiące myśli.

Tak to właśnie się kończą znajomości z zarozumiałymi, pedantycznymi przyzmatami. Otworzywszy drzwiczki auta, wśliznął się za urządzenie sterownicze, po czym rzucił marynarkę na siedzenie.

Nie wiadomo z jakiego powodu przypomniał sobie o książce, jaką widział u Amarylis. „Dziki talent” Orchid Adams. Romans o wampirach psychicznych.

Bardzo był ciekaw, jak by się zachowała panna Lark, gdyby zrozumiała, że o mały włos nie poszła do łóżka z żywym, prawdziwym wampirem, talentem, który świadomie zatajał swoje prawdziwe możliwości.

**N**a pewno uznał ją za świętoszkę i nudziarę. Przygarbiona nad filiżanką herba-kawy wspominała ten koszmarny wieczór, co wcale nie wpłynęło pozytywnie na jej nastrój.

Gdy rano zerknęła do lustra w łazience, aż się wzdrygnęła. Długa, niespokojna noc pozostawiła jej ciemne sińce pod oczami. Amarylis wyglądała okropnie.

Wciąż widziała drwiący uśmiech Trenta. Zachowała się przecież jak zasadniczy, zarozumiały pryzmat, który nie potrafi odprężyć się na tyle, by czerpać przyjemność z seksualnej synergii.

Jęknęła. Trent uważał ją na pewno za ograniczoną cnotkę, ale na szczęście się nie domyślił, że Amarylis jest przede wszystkim bezdennie głupia.

No bo jak inaczej można było wytłumaczyć jej zachowanie?

Tylko skończona idiotka nie poszłaby do łóżka z mężczyzną, który budził w niej taką namiętność.

Nie wiedziała, co ją powstrzymało. Bo z pewnością nie ten cholerny kodeks. Skłamała mówiąc, że nie chce się z nim przespać, bo takie postępowanie narusza zasady etyki.

Kodeks nic na ten temat nie mówił, ponieważ tak naprawdę stosunki osobiste między pryzmatami i talentami nie stanowiły dla nikogo żadnego problemu.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Amarylis nalewała sobie drugą filiżankę herba-kawy. Zanim jeszcze usłyszała pogodny, zdecydowany głos ciotki, wiedziała doskonale, kto czeka po drugiej stronie linii.

- Amarylis, kochanie, widziałas swoje zdjęcie w gazecie?

- Nie, ciociu.

- Twój wujek i ja jesteśmy naprawdę pod wrażeniem... Zawiadomiłam o tym całą rodzinę. Amarylis przymknęła tylko oczy.

- Cudownie.

- Nie mówiłaś, że idziesz do muzeum z Lucasem Trentem. Przecież to prezes Gwiazdy Polarnej!

- Wiem. Ale ja tylko służyłam mu za pryzmat. Poszłam na przyjęcie całkowicie służbowo.

- Tak, rzeczywiście coś mi wspominałaś na ten temat, ale Trent nie jest zwykłym klientem. Ten człowiek obronił wyspy przed najazdem piratów i jest powszechnie uznawany za bohatera.

Amarylis przypomniała sobie z, jaką miną Lucas opowiadał jej o Jacksonie. I tak wiedziała, że ukrył prawdę nie dlatego, by ratować firmę. Uczynił to, by chronić ludzi, którzy mogliby doznać wielu krzywd, gdyby tajemnica wyszła na jaw.

- Pan Trent z pewnością zasłużył na taką opinię. Nawet bardziej, niż sadzisz

- I znalazł te dziwne przedmioty. A teraz szuka żony. Reporterka sugeruje, że poznał cię dzięki agencji matrymonialnej, ale obie przecież wiemy, że ona się myli.

- Tak, ciociu.

- Przecież nie złożyłaś jeszcze ankiety.

- Pracowałam incognito. Chodziło o bezpieczeństwo firmy. Musieliśmy jakoś usprawiedliwić moją obecność na przyjęciu.

- Bezpieczeństwo firmy - powtórzyła ciotka. - Wplątałaś się w jakąś kryminalną aferę? - spytała ostrzejszym tonem.

- Absolutnie nie. - Amarylis położyła gazetę na blacie i spojrzała na fotografię, na której stała z otwartymi ustami obok Lucasa. Skrzywiła się z niesmakiem. - To była zupełnie prosta sprawa - dodała uspokajająco.

- No i co dalej? Obiecałam wujkowi, że dowiem się od ciebie wszystkiego na temat Lucasa Trenta.

- Ale co cię właściwie interesuje? - spytała ostrożnie Amarylis.

- W tej sytuacji warto sprawdzić, z której agencji matrymonialnej korzysta pan Trent.

Amarylis wpadła w absolutne przerażenie.

- Ciociu, wybij to sobie natychmiast z głowy, Lucas Trent zarejestrował się wprawdzie w Koneksjach, ale jest talentem klasy dziewiątej.

- Jaka szkoda! - Z głosu ciotki raptownie znikł entuzjazm. - Jesteś pewna?

- Widziałam jego papiery. Pracowałam z nim przez cały wieczór. Tak, jestem pewna. - Amarylis zmarszczyła brwi na samo wspomnienie sesji. Gdyby nie świadectwo Lucasa, uznałaby go za talent jeszcze wyższej klasy. Niemniej jednak z certyfikatu wynikało wyraźnie, że Trent jest dziewiątką, a przy tym posiada zupełnie bezużyteczną, umiejętność wykrywania innych talentów w trakcie działania.

- Cóż. Tak sobie tylko pomyślałam... - mruknęła Hannah. - Wiesz, słyszałam o takich dwóch rzadkich przypadkach, kiedy to agencja skojarzyła pryzmat o pełnym widmie z talentem wysokiej klasy.

- Wyjątek potwierdza tylko regułę i obrasta legendą - powiedziała sucho Amarylis. - Powtarzam ci jeszcze raz: nie sądź, że Lucas Trent jest dla mnie odpowiednią partią, bo prawda wygląda zupełnie inaczej.

- Jaka szkoda! - powtórzyła Hannah z żalem w głosie. - Ciekawa jestem, czy Trent nadawałby się na twojego męża, gdyby nie jego talent? Tak tylko się zastanawiam, rozumiesz?

- Nie trać czasu - mruknęła Amarylis. - Pomijając ten problem, naprawdę nie sędzę, by jakakolwiek szanowana agencja skojarzyłaby nas w parę. Różnimy się przecież pod każdym względem. Mamy zupełnie inny temperament, charakter i stosunek do świata.

- Tym bardziej musisz wypełnić ankietę. Obiecałam twemu doradcy, że w tym tygodniu dostarczę mu papiery.

- Przyślij mi po prostu ten kwestionariusz, ciociu. Zajmę się nim w wolnym czasie.

- Nie wierzę ci. Odłóżysz go na bok i zapomnisz. Już i tak długo zwlekałaś. Myślę, że twój stosunek do małżeństwa wynika z tej nieszczęsnej afery z Giffordem Osterley'em. Czasem mi się, nawet wydaje, że on naprawdę złamał ci serce.

- Nic podobnego. A nawet jeśli masz rację, to już wyzdrowiałam.

- Nie byłabym taka pewna. Ty się po prostu boisz mężczyzn.

- Nieprawda. - Amarylis bawiła się kubkiem po herba-kawie. - Jestem tylko ostrożna.

Jeśli pominąć wczorajszy wieczór - pomyślała natychmiast.

- Zbyt ostrożna. Kiedy byłam w twoim wieku chodziłam na randki codziennie, dopóki nie spotkałam Oscara. Bez urazy, kochanie, ale jesteś straszną fajtlapą w tych sprawach.

- Uważasz mnie za świętoszkę?

- Nie. Ale powinnaś być nieco śmielsza. No cóż, Koneksje znajdą ci na pewno odpowiedniego męża. Właśnie, w którym to miejscu skończyłyśmy?

- Nie pamiętam

Hannah udała, że nie słyszy

- O! Jest. Wygląd partnera. Chyba już przebrnęliśmy przez tę sekcję. Mówiłaś, że nie masz żadnych preferencji.

- Szare oczy. - Amarylis ze zdumieniem usłyszała swój głos

- Słucham?

Amarylis zaczęła się bawić sznurem od telefonu.

- Chcę, żeby miał szare oczy.

- Zamierzasz zrobić z tego problem ? - spytała ciotka z niedowierzaniem. - Dlaczego przywiązujesz wagę do tak nieistotnych szczegółów?

- Nie wiem. - Amarylis postanowiła, że się uprze i nie ustąpi ani na krok. - Ale skoro to moja ankietka, mam chyba prawo decydować.

- To śmieszne. Kochanie, czy ty się dobrze czujesz? Masz jakiś dziwny głos.

- Nie zdążyłam się wyspać. Muszę już lecieć, ciociu, bo się spóźnię do pracy.

- A co z tą ankietką?

- Zadzwonię rano.

- Tylko nie zapomnij. Będę czekała. Trzeba to szybko wysłać, bo pan Reeton chce ci wyznaczyć termin spotkania z doradcą.

Amarylis wpadła w panikę. Co innego ankietka, co innego rozmowa z psychologiem. Sprawa wyglądała naprawdę poważnie. Rzeczywistość uderzyła Amarylis z siłą błyskawicy. Zbliżał się dzień jej ślubu.

- Do widzenia, ciociu. Zadzwonię, przyrzekam. - Gdy odkładała słuchawkę, drżały jej palce.

Popatrzyła z obrzydzeniem na swoją dłoń. Co za dużo, to niezdrowo. Stała na krawędzi załamania nerwowego, a przyczyną jej stanu był oczywiście Lucas Trent. Musiała wziąć się w garść i przestać myśleć o swoich problemach osobistych.

Odczekała minutę, by odzyskać spokój, po czym znów podniosła słuchawkę i wybrała numer swojej firmy.

- Słucham. Tu Psynergia. - Byron odebrał telefon już po pierwszym dzwonku.

- Mówi Amarylis. Poproś Clementine, dobrze?

- Masz okropny głos

- Dziękuję. Tobie również życzę miłego dnia. A teraz chciałabym porozmawiać z szefową.

- Coś nie wyszło na randce? Trent cię oszukał?

- Poproś natychmiast Clementine.

- Już. Chwila.

W kilka sekund później w słuchawce zabrzmiał głęboki, rzeczowy głos Clementine.

- Amarylis? Co słychać?

- Wszystko dobrze. Sprawa zamknięta

- I oczywiście ani śladu hipnotyzera, prawda?

- Oczywiście. Złodziejem tajemnic kierowały wyłącznie pobudki osobiste. Taka staroświecka zemsta. Ale już jest po wszystkim. Kiedy tylko dotrę do biura, przygotuję Trentowi rachunek.

- Przechodź do rzeź - ponagliła ją Clementine. - Co się działo po przyjęciu? Czy Trent jest dobry w łóżku?

Amarylis zacisnęła zęby.

- Nasze stosunki mają ściśle zawodowy charakter.

- Nuda.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

- Wal.

- Słyszałaś może kiedyś o polityku, który wykorzystuje przyzmaty do ogniskowania charyzmy?

- Charyzmy? - Clementine była wyraźnie zdziwiona. - Charyzma nie jest talentem. To raczej urok osobisty albo pewne określone predyspozycje. Cechy osobowości nie mają nic wspólnego ze zdolnościami parapsychofizycznymi.

- Wczoraj wieczorem, kiedy ogniskowałam dla Lucasa Trenta, wpadliśmy na ślad innego talentu odbywającego właśnie sesję z przyzmatem.

- Cóż w tym dziwnego? Talentów i przyzmatów przecież nie brakuje.

- Ale ten talent był trochę dziwny. Chciałabym porozmawiać na ten temat z jakimś ekspertem.

- Więc moje zdanie się nie liczy?

- Ależ oczywiście, że się liczy. Myślałam o kimś z uniwersytetu. Nazwij to ciekawością zawodową, jeśli chcesz. Muszę zaraz tam pojechać.

- Zaczekaj. Właścicielka galerii Kaskada prosi cię o spotkanie. Wiesz, to szóstka z rzadką umiejętnością wykrywania fałszerstw. Potrzebuje przyzmatu, bo chce się lepiej przyjrzeć pewnym obrazom wystawionym na sprzedaż.

- Umów z nią Zinną Spring.

- Ale Zinnia pracuje tylko nocami. Do diabła! Ja prowadzę firmę. Nie płacę ci za wycieczki na uniwersytet. Poza tym, to nie twoja sprawa, co oni robili. Trzymaj się od nich z daleka.

- Proszę. Intuicja mi mówi, że to ważne. Muszę jechać.



- Dobrze, ale wracaj szybko - powiedziała Clementine z głębokim westchnieniem.

Amarylis odwiesiła słuchawkę i przez chwilę siedziała bezczynnie przy telefonie. Clementine miała rację. Nie powinna się zajmować cudzą sesją. Ale czuła głęboką potrzebę, by to uczynić. Coś wyraźnie nie grało.

Może ona naprawdę stawiała się nudną moralistką, która uważa pouczanie innych za swoje posłannictwo?

Była bardzo ciekawa, czy agencja połączy ją z mężczyzną o podobnych skłonnościach. Nie pociągała jej zupełnie taka perspektywa.

**P**łaskorzeźby pokrywające całą południową ścianę biblioteki uniwersyteckiej wyobrażały ojców założycieli tuż po opadnięciu kurtyny. Amarylis przystanąła na szerokich stopniach, żeby popatrzeć na ogromne postacie wykute w kamieniu. Ten widok budził w niej zawsze dumę i podziw.

Artysta upamiętnił kolonistów przy pracy. Spokojne, pełne determinacji twarze mężczyzn patrzyły optymistycznie w przyszłość. By wyżywić rodziny orali pole pługiem ciągniętym przez sześcionożne woło-muły. Kobiety jedną ręką przyciskały do piersi niemowlęta, a drugą obsiewały zaoraną ziemię ziarnem dobywanym z ciężkich worków, jakie zwisały im z pleców.

Na innej płaskorzeźbie widniały dzieci pochylone nad ciężkimi, wykonanymi ręcznie księgami, stanowiącymi niezwykle istotną część tej sceny. W nieporęcznych tomiskach kryła się bowiem tajemnica ocalenia pierwszych kolonistów.

Kiedy bowiem założyciele zauważyli, jak szybko przestają działać urządzenia przywiezione z Ziemi, natychmiast podjęli próbę zachowania swej biblioteki komputerowej.

Był to śmiertelny wyścig z czasem. Nowi mieszkańcy Świętej Heleny utworzyli skrytorium, które pracowało niemal na okrągło. Informacje z rozpadających się komputerów przepisywano pracowicie na papier wykonany z tamtejszych roślin.

Oczywiście nie wystarczyło czasu by zachować pełną bazę danych. Imigranci musieli więc ustalić listę priorytetów.

Skupili się zatem głównie na podstawowej wiedzy dotyczącej przetrwania. Oszłamiające technologie rodem z matki Ziemi okazały się nieprzydatne, toteż pominęli je zupełnie na rzecz bardziej pragmatycznych informacji związanych z uprawą roli, medycyną i sposobami

przetrwania. Przepisali również podstawowe dane z zakresu struktur społecznych, by utworzyć w miarę stabilną wspólnotę.

Ci twardzi realiści nie zawracali sobie głowy tym co stracili. Pamięć o swym ziemskim dziedzictwie zawarli jedynie w utworzonych przez siebie nazwach egzotycznych roślin i zwierząt. I choć nie istniały żadne fizyczne podobieństwa między formami życia istniejącymi na Świętej Helenie a florą i fauną pozostawioną na Ziemi, koloniści i tak wybrali określenia, które kojarzyły im się z przeszłością.

Komputery rozsypały się w pył wraz z wiedzą przywiezioną ze starego świata lecz koloniści uratowali wystarczająco dużo danych, by przetrwać w nowych warunkach. Dzięki tekstom historycznym, pracowicie przepisywanym w skryptorium, nauczyli się budować pługi, siał, zbierać plony, prząć i tkąć. Poznali zasady budowy zegarów, łodzi oraz maszyn do szycia.

Przepisywane ręcznie biblioteki ocaliły założycieli, a oni uczynili wszystko, by zyskać pewność, że młode pokolenia nie zapomną tej lekcji.

Amarylis otarła łezkę z oka, poszła dalej schodami w górę, aż w końcu skręciła w lewo pod arkadami i stanęła pod drzwiami wydziału nauk ogniskowych.

Gdy tylko znalazła się na korytarzu, wróciły stare wspomnienia. Widząc nowe nazwisko na drzwiach do swego gabinetu, poczuła nagły przypływ żalu. Natychmiast jednak pomyślała, że opuszczając uniwersytet, podjęła trafną decyzję. Teraz już utwierdziła się na dobre w przekonaniu, że pasuje do świata interesów. Nawet jeśli w głębi serca pozostała snobką, dla której liczy się wyłącznie odpowiednie wykształcenie.

- Amarylis. Kopę lat! Co tu robisz?

Amarylis uśmiechnęła się do kobiety, która właśnie wyszła zza rogu.

- Jak się masz, Sarah? Wpadłam z wizytą towarzyską. Co słyhać?

- Wszystko dobrze. - Sarah odrzuciła piękne, ciemne włosy na plecy i uśmiechnęła się do Amarylis. - Opublikowałam artykuł w naszym piśmie.

- Wspaniale. Gratuluję. - Nikt ze świata interesów nie dbał o publikacje Amarylis.

- Chyba dzięki temu zostanę adiunktem. - Sarah wzruszyła lekko ramionami. - Chociaż kto to wie? Od śmierci profesora Landretha wszystko się poplątało.

- Trudno mi sobie wyobrazić ten wydział bez profesora. Wszyscy wiedzieliśmy, że Landreth powoli zaczyna się starzeć, ale ten człowiek wydawał się nam wieczny.

- Jasne. Trzymał wydział żelazną ręką - dodała sucho Sarah.

- Żelazną ręką? Nigdy nie uważałam go za tyrana - odparła ze zdziwieniem Amarylis.

- Daj spokój. Landreth należał do najwybitniejszych naukowców na Świętej Helenie, ale straszny był z niego służbista. Zawsze zawracał nam głowę etyką i kodeksami. Spójrzmy prawdzie w oczy. Wszyscy przecież kpili z tego świętoszka.

- Profesor Landreth nie widział świata poza nauką. -Amarylis poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Tak. Ale miał niezbyt szerokie horyzonty i najróżniejsze kompleksy. Odszedł zaledwie przed miesiącem, a ja już widzę, że wiele rzeczy zmieniło się na lepsze.

- Przypuszczam, że Gifford zostanie dziekanem – powiedziała Amarylis.

- Gifford? - Sarah rozszerzyła oczy ze zdziwienia. - Przecież on już tutaj nie pracuje. Myślałam, że wiesz.

- Nie, dawno z nim nie rozmawiałam.

- Miesiąc temu złożył rezygnację i od razu otworzył własną agencję. Natalie Ewick prowadzi mu biuro. Pamiętasz Natalie?

- Zdaje się, że ona była asystentką Irene Dudley.

- Zgadza się. - Sarah zrobiła dziwną minę. - Natalie doszła do wniosku, że dopóki żyje Irene, ona pozostanie na zawsze młodszą sekretarką i skwapliwie przyjęła propozycję Gifforda.

- Aż trudno uwierzyć, że Gifford zajmuje się interesami.

- Jego agencja jest podobno bardzo ekskluzywna. Zatrudniają w niej tylko pryzmaty z pełnym widmem oraz talenty wysokiej klasy.

- Rozumiem.

- Przyszłaś zobaczyć się z Giffordem? Szkoda, że...

- Nie - przerwała Amarylis. - Chciałam porozmawiać z Effie Yamamoto.

- Właśnie Effie pełni teraz obowiązki dziekana. Przypuszczam, że niedługo otrzyma stałą nominację.

- Na pewno świetnie sobie poradzi. Urzęduje w swoim dawnym biurze?

- Nie, przeniosła się do gabinetu Landretha. - Sarah uniosła dłoń na pożegnanie. - Do zobaczenia!

Amarylis poszła szybko korytarzem, a za chwilę stała już pod drzwiami znajomego biura. Drzwi były otwarte. Za nieskazitelnym biurkiem siedziała Irene Dudley – wysoka, postawna kobieta w średnim wieku. Na blacie leżał tylko jeden arkusz papieru - dokument, którym w danej

chwili zajmowała się Irene. Wszystko inne - poza telefonem i długopisem - zostało celowo usunięte z pola widzenia. Irene zawsze stanowiła wzór porządku i wydajności.

Amarylis uśmiechnęła się od razu na jej widok. O tej kobiecie od dawna krążyły legendy. A sam profesor mawiał często, że bez pomocy Irene nie mógłby kierować wydziałem.

Irene miała starannie przycięte krótkie włosy. Ubrana była jak zawsze w wygodną niebieską, garsonkę. Usłyszawszy delikatne pukanie Amarylis, podniosła oczy.

- Panna Lark! Co za niespodzianka.

- Witaj, Irene. Nie widziałam cię od pogrzebu. Co słychać?

- Tak jak się można było spodziewać. W związku z tymi zmianami zrobił się okropny bałagan, ale sytuacja będzie z pewnością wkrótce opanowana.

Amarylis rozejrzała się po pokoju.

- Chyba już wszystko wróciło do normy, co mnie zresztą wcale nie dziwi. Profesor zawsze powtarzał, że jeśli istnieje coś takiego jak talent organizacyjny, to ty go z pewnością posiadasz.

Irene uśmiechnęła się gorzko.

- Profesor miał takie dziwne poczucie humoru. Niewiele osób lubiło jego żarty.

- Co to za pudła tam w rogu ?

Irene poszła za jej spojrzeniem.

- Kartony stanowią własność profesora Landretha. Spakowałam je osobiście w dzień po jego śmierci i zawiadomiłam władze uczelni, ale jak do tej pory nikt się po nie nie zgłosił. Czy mogę coś dla pani zrobić, panno Lark?

Irene nie miała zwyczaju tracić czasu.

- Chciałam porozmawiać z profesorem Yamamoto.

- Powiem jej, że pani czeka - Irene wcisnęła guzik interkomu. - Przyszła panna Lark, pani profesor.

- Naprawdę. To świetnie. Niech wejdzie.

Amarylis pożegnała Irene i weszła przez wewnętrzne drzwi do gabinetu Effie Yamamoto.

- Witaj, Effie.

- Amarylis. - Effie wstała zza biurka. - Jak miło cię widzieć.

Amarylis zamknęła drzwi, przywitała się z Effie i usiadła.

- Robisz karierę - powiedziała z uśmiechem. - Najwyższy czas.

- Wszystko się tutaj zmieniło - powiedziała Effie z uśmiechem. - Napijesz się herba-  
kawy?

- Dziękuję.

Effie Yamamoto - kilka lat starsza od Amarylis – dobiegała czterdziestki i miała już na koncie znaczne osiągnięcia naukowe. Jej oczy błyszczały inteligencją. Wypracowała sobie własny elegancki styl, który Amarylis zawsze tak bardzo podziwiała. Czarne jak smoła włosy strzygła na pazia, a jej wspaniale skrojona garsonka w marynarskim stylu wyglądała jednocześnie skromnie i modnie. Amarylis pomyślała, że ona również powinna pomyśleć o nowej garderobie. Teraz, gdy nieźle zarabiała, mogła sobie przecież na to pozwolić. Wystarczył jeden wieczór w zwiewnej sukni, by całkowicie zmieniła gust.

- Widziałam twoje zdjęcie w gazetach - mrugnęła Effie. - Zdaje się, że wreszcie zaczęłaś prowadzić bujne życie towarzyskie.

Amarylis poczuła, że na policzki występują jej rumieńce.

- To spotkanie miało wyłącznie służbowy charakter.

- Rozumiem. Zapewne spędziłaś bardzo interesujący wieczór. Jaki jest naprawdę ten  
Lodziarz?

- To talent klasy dziewiątej.

- W takim razie koniec marzeń o wspólnym życiu, co? -Effie wręczyła jej kubek i usiadła za biurkiem. - Niemniej jednak istnieją jeszcze inne możliwości.

- Nie sądzę - odparła surowo Amarylis.

- Przypuszczam, że nie przyszedł tu wyłącznie na plotki?

- Szczerze mówiąc, nie. Chciałam zasięgnąć twojej opinii w pewnej dość istotnej sprawie.

Effie rozłożyła ręce.

- Chętnie służyć.

- Przejdę od razu do rzeczy. Słyszałaś kiedyś, żeby jakiś pryzmat ogniskował charyzmę?

- Charyzma nie jest rodzajem talentu lecz cechą osobowości.

- A gdyby posiadał ją talent wysokiej klasy?

- Do czego zmierzasz?

- Wydaje mi się, że polityk z charyzmą, który miałby jednocześnie zdolności parapsychiczne mógłby łatwiej manipulować ludźmi i zdobywać sobie wyborców.

- Politykom wolno walczyć o poparcie. Nawet gdyby ktoś posłużył się pryzmatem, aby wytworzyć wokół siebie jeszcze silniejszą aurę charyzmy, nie byłby to czyn nielegalny.

- Ale z pewnością nieetyczny.

- A czy politycy stanowili kiedykolwiek wzór do naśladowania?

Amarylis uśmiechnęła się ponuro.

- Wiem, co masz na myśli.

Teraz, siedząc w gabinecie Effie, nie była już tak bardzo pewna, o co właściwie powinna ją zapytać. Nie potrafiła wytłumaczyć odczuć, jakich doznała, gdy Lucas wytropił Sheffielda. Wówczas miała jednak wrażenie, że dzieje się coś złego.

- Wszystko wskazuje na to, że stałam się świadkiem takiej sytuacji.

Effie wzruszyła wymownie ramionami.

- I tak nie możesz nic na to poradzić.

- Jestem przekonana, że ten pryzmat przeszedł szkolenie u profesora Landretha

Effie popatrzyła na nią z namysłem.

- Jeśli to w ogóle jest możliwe, pryzmat musiał być bardzo silny, by ogniskować coś tak bardzo efemerycznego jak cecha osobowości.

- Na pewno.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że Landreth nigdy by nie poparł nieuczciwych działań - zaśmiała się Effie. - Gdyby zorientował się w sytuacji, na pewno nie przeszedłby obok tej sprawy obojętnie. To jednak wyjątkowo skomplikowany problem.

- Bo trudno cokolwiek udowodnić?

- Oczywiście. Jak można odróżnić prawdziwą cechę charakteru od charyzmy pobudzonej sztucznie przez pryzmat?

- Wykrywacz talentów wysokiej klasy mógłby zapewne dokonać tej sztuki - powiedziała ostrożnie Amarylis.

- Ale dziewiątki i dziesiątki są niezwykle rzadkie, a tylko taki talent miałby tu jakiegokolwiek szanse.

- Niemniej jednak one istnieją.

Effie przekrzywiła lekko głowę i spojrzała spod oka na Amarylis.

- Najwyraźniej jesteś przekonana, że jakiś pryzmat złamał kodeks?

- Tak.

- Radzę ci, żebyś jak najszybciej o tym zapomniała. Powtarzam ci jeszcze raz, że nie można postawić znaku równości między działaniem nieetycznym a nielegalnym. Tylko taki zatwardziały dupiek jak Landreth narobiłby smrodu wokół tej sprawy.

Amarylis o mało się nie skrzywiła.

- Profesor Landreth z pewnością bardzo by się zdenerwował, gdyby się okazało, że którykolwiek z jego studentów złamał Kodeks Etyki Ogniskowej.

Effie poprawiła się na krześle.

- Wiesz równie dobrze jak ja i dziewięćdziesiąt procent pracowników naszego wydziału, że Landreth był wspaniałym naukowcem, ale jednocześnie współzycie z nim było bardzo trudne. Bez przerwy się o coś czepiał.

- Kierował się szlachetnymi zasadami.

- Ale te jego zasady doprowadzały nas wszystkich do szału. Przecież Gifford Osterley odszedł przez niego z uczelni.

- Nie wiedziałam.

- Pokłócili się o zmiany w programie. - Effie potrząsnęła głową, a jej ślicznie przycięte włosy ułożyły się asymetrycznie na policzkach. - Oczywiście Gifford nie mógł zrealizować swojej koncepcji, bo zajmował niższe stanowisko, więc odszedł.

- Rozumiem.

- Może i dobrze się stało. Osterley prowadzi teraz własną firmę i zarabia dwa razy więcej niż tutaj. A on miał zawsze wielkie ambicje.

- Praca w świecie biznesu gwarantuje z pewnością wyższe dochody - zgodziła się Amarylis i wstała. - Do widzenia, Effie. Miło było cię widzieć. Życzę ci szczęścia w nowej roli.

- Dziękuję. - Effie rozejrzała się zadowoleniem po pokoju. - Mogę cię zapewnić, że wszystko się tutaj zmieni.

- Wierzę. - Amarylis zamknęła za sobą drzwi i weszła do recepcji.

- Panno Lark! - zawołała za nią Irene. - Chciałabym pani coś powiedzieć.

- Co takiego?

Irenę odchrząknęła dyskretnie i zniżyła głos do szeptu.

- Profesor Landreth był zawsze bardzo z pani dumny. Mówił, że jest pani najzdolniejszym pryzmatem, jaki udało mu się wykształcić.

Amarylis poczuła, jak zalewa ją fala ciepła.

- Naprawdę tak powiedział?

- Tak. - W oczach Irene błyszczały łzy. - Oni wszyscy mówią, że teraz, kiedy tego starego nudziarza już nie ma, wszystko będzie inaczej. Ale ja bardzo za nim tęsknię.

- Ja też - szepnęła Amarylis, obejmując sekretarkę. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Irene popatrzyła z szacunkiem na wiszący na ścianie portret profesora.

- Zaczęłam dla niego pracować zaraz po śmierci męża, dokładnie dwadzieścia pięć lat temu. On był dla mnie bardzo dobry, panno Lark. Wydawał się niemiły, ale zrobił tyle dobrego dla wydziału. A mnie zawsze powtarzał, że jestem dla niego bezcenna. Bezcenna. To jego własne słowa. On mnie potrzebował.

Amarylis przez dłuższą chwilę nie wypuszczała jej z objęć. Sama też omal się nie rozplakała.

- Chyba tylko my za nim tęsknimy - szepnęła smutno.

- Niestety, ma pani rację - przyznała Irene, patrząc na portret.

**P**óźnym popołudniem zadzwonił telefon. Byron wyszedł już dawno z biura, a Amarylis właśnie stała przy drzwiach. Spojrzawszy na hałasującą maszynę, zaczęła się zastanawiać, czy warto podnosić słuchawkę. To nie mógł być Lucas. Sam ten pomysł wydawał się absurdalny. Trent już wyrobił sobie o niej odpowiednią opinię. Nie należał do mężczyzn, którzy gustowali w cnotkach.

Telefon nie przestawał dzwonić. Na pewno ktoś chciał się skontaktować z firmą w sprawie służbowej. Poczucie odpowiedzialności wzięło górę nad dziwną niechęcią do rozmowy.

- Psynergia. Czym mogę służyć?

Na drugim końcu linii zapadła cisza, choć Amarylis słyszała wyraźnie czyjś oddech.

- Halo? Tu Psynergia. Słucham.

- Byłaś przyjaciółką Landretha.

Tajemniczy rozmówca mówił chyba przez chusteczkę. Amarylis nie potrafiła ocenić, czy ten głos należy do mężczyzny, czy do kobiety.

- Kto mówi?

- Jeśli chcesz poznać prawdę o Jonathanie Landrecie, porozmawiaj z Vivien, zwaną Woalką.

- Kim jesteś? - Spytała Amarylis zaciskając dłoń na słuchawce



- Vivien pracuje jako striptizerka synergistyczna w nocnym klubie SynCity Zapytaj ją o Landretha, to ci powie wiele ciekawych rzeczy.

- Zaczekaj. O co tu chodzi?

Nie zidentyfikowany rozmówca przerwał połączenie.

## Rozdział szósty

**D**zień dobry panu. Mówi Hobart Batt z Koneksji. Chciałem zapytać, czy może ma pan jakieś kłopoty z wypełnieniem ankiety. Jeszcze do nas nie dotarła.

Lucas zacisnął dłoń na słuchawce. Siłą woli nakazał sobie spokój. Nie chciał być nieuprzejmy dla psychologa synergistycznego. Karcący ton Batta doprowadzał go wprawdzie do szału, ale tego poranka byle co wytrącało go z równowagi.

Był poniedziałek. Od fiaska, jakie poniósł w sypialni Amarylis minęły trzy dni. Lucas wiedział, że właściwie powinien się cieszyć z telefonu Batta. Należało wreszcie rozpocząć poszukiwanie odpowiedniej żony. Niemniej jednak zupełnie nie miał ochoty na rozmowy na ten temat.

- Nie starczyło mi czasu - skłamał Lucas. - Jeszcze nie skończyłem.

- To żaden problem - zapewnił Hobart. - Wielu klientów utyka w połowie kwestionariusza. Ankieta jest rzeczywiście dość szczegółowa, ale nasza firma słynie z dokładności.

- Tak, oczywiście - Lucas otworzył szufladę i wyjął z niej szybko obszerny formularz.

- Poprawnie wypełniona ankieta stanowi dobrą podstawę do kojarzenia pary - ciągnął żywo Hobart. - A rezultaty uzupełni rozmowa z kandydatem. Przeprowadzimy również MIOP

- MIOP?

- Multipsychoiczna Inwentaryzacja Osobowości Paranormalnej. Jest to typowy test stosowany w psychologii synergistycznej. Służy do badania talentów wysokiej klasy.

- Pryzmatów również?

- Z pewnością - powiedział Hobart. - Przyzwyczailiśmy się już do tego, że pryzmaty i talenty znacznie się od siebie różnią, lecz technicznie rzecz biorąc, umiejętność ogniskowania talentu przez psychicznie wygenerowany pryzmat jest talentem samym w sobie.

Lucas odchrząknął dyskretnie.

- Ciekaw jestem, czy skojarzyliście kiedykolwiek talent wysokiej klasy z pryzmatem o pełnym widmie. Wydaje mi się, że to się zdarza szalenie rzadko, ale chciałbym wiedzieć, czy w ogóle istnieją takie pary.

- To prawie niemożliwe. Każdy wie, że pryzmaty o pełnym widmie nie pasują do talentów wysokiej klasy.

- Czyżby z tego powodu, że najlepsze pryzmaty są zwykle okropnie wybredne?

- W pewnym sensie tak - zaśmiał się Hobart. - A przynajmniej chciałyby sobie zasłużyć na taką opinię. Pod tym względem jednak silne talenty właściwie niczym się od nich nie różnią. Ostatnie takie małżeństwo zostało jednak zawarte za pośrednictwem naszej agencji jakieś pięć lat temu. A dlaczego pan pyta?

- Tak sobie.

- Ile stron już pan wypełnił?

Lucas zerknął na pierwszy arkusz i przebiegł wzrokiem długi szereg pytań.

- Wciąż pracuję nad pierwszą sekcją.

- Czyli nad wyglądem kandydatki? - spytał Hobart z dezaprobatą. - Nie posunęliśmy się specjalnie daleko naprzód, prawda?

- My?

Hobart zakasłał lekko.

- Może wpadnę i pomogę panu?

- Jakoś sobie poradzę.

- A które właściwie pytanie sprawia panu największą trudność? - spytał podejrzliwie Hobart.

Lucas zerknął na listę

- Kolor oczu. Nawet teraz, w trakcie rozmowy, nie przestaję o tym myśleć.

- Nie przebrnął pan jeszcze przez kolor oczu?

- Zastanawiałem się i doszedłem do pewnych wniosków. Kimkolwiek by była ta kobieta, musi mieć zielone oczy.

Lucas wziął długopis do ręki i zakreślił kółkiem wyraz „zielony”.

- Zielone oczy? No proszę! A podczas naszego pierwszego spotkania twierdził pan, że wygląd zewnętrzny nie ma znaczenia. Zależało panu raczej na inteligencji i odpowiednim charakterze kandydatki.

- Może pan uznać, że jestem powierzchowny, ale chcę mieć żonę o zielonych oczach. Oprócz tego jeszcze inteligentną i miłą, ale zielony kolor oczu jest równie istotny. Czy przewiduje pan jakieś problemy? Bo jeśli tak, zawsze mogę się zwrócić do innej agencji.

- Nie, skądże - odparł szybko Batt. - Chciałem tylko poznać pańskie upodobania. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, proszę pamiętać, że jestem do dyspozycji o każdej porze.

- Biorąc pod uwagę wysokość pańskiego honorarium, uważam, że to się rozumie samo przez się.

- Z pewnością. Zatelefonuję do pana za kilka dni, żeby spytać, jak przebiega praca.

Lucas odwiesił słuchawkę. Poczucie nieuchronnej klęski nie opuszczało go ani na chwilę, a właściwie zaczęło się pogłębiać. Stwierdził jednak, że zarejestrowanie się w agencji było rozsądnym posunięciem. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Pięć lat temu udowodnił sam sobie, że potrafi bez problemu znaleźć galaretowaty lód, ale nie umie sobie wyszukać odpowiedniej żony.

Całymi latami gonił za czymś oprócz lodu. Dopiero niedawno uświadomił sobie, na czym mu najbardziej zależy. Zmęczyła go samotność. Tęsknił za czymś, co innym wydawało się oczywiste; za żoną i rodziną. Pragnął stałego związku. Chciał zajrzeć w oczy swoich dzieci i zobaczyć w nich przyszłość.

Nie pamiętał zbyt dobrze własnych rodziców. Wiedział tylko, że - podobnie jak większość tych, którym nie odpowiadało uporządkowane życie w mieście - państwo Trent wyładowali w końcu na Wyspach Zachodnich. Wyspy przyciągały włóczęgów, straceńców, ludzi o niejasnej przeszłości, a samotni lgnęli do nich jak muchy do miodu.

Na wyspach można było rozpocząć zupełnie nowe życie. Nikt nie zadawał tam pytań. Lucas zastanawiał się czasem, czy jego ojciec nie uciekł w te dzikie rejony z powodu swego nadzwyczajnego talentu, który przekazał mu w genach.

Rodzice Lucasa nie żyli jednak na tyle długo, by mógł ich zapytać, dlaczego się tam przenieśli. Jeremy i Beth Trentowie zginęli bowiem podczas huraganu, gdy Lucas skończył zaledwie trzy lata.

Chłopiec nie miał żadnych krewnych, więc ciężar wychowania malca wziął na siebie stary, kostyczny poszukiwacz galaretowatego lodu - Icy Claxby.

Claxby był równie samotny jak Lucas. Przekazał chłopcu całą swoją wiedzę o galaretowatym lodzie i sposobach przetrwania w dżungli. Dzięki niemu Lucas zyskał umiejętność obywatela bez pomocy opiekuńczej rodziny.

Stary Icy nie nauczył go jednak kontroli nad nieprzewidywalnymi przeblaskami talentu, który dały o sobie znać, kiedy tylko chłopiec wkroczył w wiek dojrzewania. Icy - niewykształcony przyzmat - udzielił jednak chłopcu pewnej ważnej rady:

*Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się na test, chłopcze, na pewno się okaże, że twój talent wykracza poza skalę. A to niedobrze, nawet bardzo niedobrze.*

*- Dlaczego? - spytał Lucas. Miał dopiero trzynaście lat i odkrywanie własnych zdolności nadal sprawiało mu przyjemność. - Mówiłeś, że w miastach cenią talenty i dają im dobrą pracę.*

*- Ogromne talenty mogą zwykle liczyć na szacunek, ale niektórzy się ich boją. Ja jestem tylko przyzmatem ze średnim widmem, a mogę ci powiedzieć, że ty posiadasz większy talent, niż oni będą mogli zmierzyć. Więc jak się domyślą, że nie pasujesz do ich pojęcie, normalności, na pewno się przestraszą. Plotka szybko się rozchodzi, a ty tylko narobisz sobie kłopotów.*

*- Bardzo chciałbym nastraszyć Kevina Fleminga – powiedział Lucas, mając na myśli małego chuligana, który uprzykrzał życie zarówno jemu, jak i innym chłopcom ze szkoły w Port LeConner.*

*Icy przeraził się nie na żarty,*

*- Do wszystkich diabłów! Chłopcze! Chyba nie próbujesz wykorzystywać talentu w szkole. Mówiłem ci przecież, żebyś się z niczym nie zdradzał.*

*- Nie, proszę pana.*

*Icy od razu poczuł się lepiej.*

*- Są inne sposoby na takich łobuzów. Wymyśl coś.*

*- Dobrze, proszę pana*

*Icy położył chłopcu na ramionach poznaczone bliznami dłonie i spojrzał na niego z nagłym błyskiem w wyblakłych oczach.*

*- Słuchaj, ja wcale nie żartuję. Jeśli ktoś się dowie o twoim talencie, słono za to zapłacisz.*

*- Co pan ma na myśli?*

*- Zaczną cię nazywać wampirem psychicznym.*

*- I co z tego? - Taka perspektywa nie wywarła na chłopcu specjalnego wrażenia.*

*- Na początek nie dostaniesz pracy. Nikt cię nie zatrudni, bo inni górnicy będą się bali z tobą pracować. Przecież wiesz, że są przesądni.*

*- Tak, ale...*

*- Nie umówi się z tobą żadna przyzwoita dziewczyna, bo jej rodzice wezmą cię za wariata. A ostatnio mówiłeś, że chciałbyś założyć kiedyś rodzinę. Ale nie znajdziesz żony, bo żadna agencja matrymonialna nie przyjmie twojej ankiety. Rozumiesz, co mówię?*

*- Tak - odparł Lucas. Jak widać wampir psychiczny nie miał wcale takiego słodkiego życia. - Rozumiem.*

Lucas poradził sobie z Kevinem Flemingiem za pomocą dużego kubła ze śmieciami, w którym schowały się również dwa bliźniaczo do siebie podobne węże.

O wiele trudniej było mu natomiast kontrolować nieokiełznane wybuchy talentu. A Icy Claxby nie posiadał żadnych kwalifikacji i jego pomoc w tym zakresie okazała się bardzo ograniczona.

Siła psychiczna domagała się realizacji, podobnie jak to się dzieje w wypadku innych talentów czy zdolności.

Naturalna chęć, by wykorzystać swój talent, sprawiła, że Lucas chętnie izolował się od otoczenia. Icy Claxby - również samotnik - nie zadawał żadnych pytań.

Lucas uciekał najczęściej do małej groty w samym sercu dżungli. Tam czuł się bezpieczny i powoli uczył się opanowywać energię psychiczną, jaką wytwarzał jego umysł. A ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie nigdy nie znajdzie odpowiedniego pryzmatu, tym ciężiej pracował nad samokontrolą.

Ku wielkiemu zdziwieniu Icy'ego udało mu się odnieść sporo sukcesów na tym polu. Lucas nauczył się bowiem ukrywać rozmiary własnego talentu nawet przed pryzmatami i psychologami synergistycznymi. A jeśli się skoncentrował, utrzymywał na wodzy swą energię psychiczną bez korzystania z pomocy pryzmatu. Ta cenna umiejętność uratowała mu życie podczas inwazji piratów.

Właśnie podczas tej wojny Lucas odkrył, że na wyspie ukrywają się również inne talenty. Świadomość, że nie jest jedynym dziwakiem na świecie, dodała mu wiary w siebie. Rafe Stonebraker i Nick Chastain strzegli swojej tajemnicy równie pilnie jak Trent i choć bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili, nigdy nie rozmawiali na temat energii psychicznej.

Kiedy Lucas skończył osiemnaście lat, umarł Icy Claxby. Na początku praca, nauka i poszukiwanie galaretowatego lodu wypełniły Trentowi pustkę po stracie opiekuna. W końcu jednak otworzyła się w nim zimna, ciemna i przepastna studnia samotności. Całymi godzinami

przesiadywał w grocie i wpatrywał się w głębokie jezioro. Znow nawiedzały go marzenia o założeniu rodziny.

Wreszcie założył spółkę z Jacksonem Rye'em i przez jakiś czas wyobrażał sobie, że zyskał nową rodzinę, choć nigdy nie porzucił myśli o założeniu własnej.

Przed pięcioma laty spotkał Dorę, a ponieważ ona była też sama na świecie, Lucas sądził, że mają ze sobą wiele wspólnego.

To szalone małżeństwo okazało się klęską. Dora poślubiła go wyłącznie dla pieniędzy, o czym Lucas zdążył się przekonać już po paru tygodniach małżeństwa. Prawo rodzinne wykluczało rozwody, więc przez prawie półtora roku Lucas karmił się złudzeniem, że jego piękna, seksowna, pełna temperamentu żona będzie z nim kiedyś szczęśliwa. Czasem wydawało mu się nawet, że jest między nimi coraz lepiej.

Pewnego dnia zrobił jednak fatalny błąd i powiedział Dorze o swoim talencie.

*- Do stu tysięcy diabłów! - wykrzyknęła Dora. - To znaczy, że jesteś wampirem psychicznym.*

*- Wcale nie - powiedział z rozpaczą Lucas. - Nie masz się czego obawiać.*

*- Wyszłam za wariata! Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?*

*Lucas zajął jej w oczy i zrozumiał, że jeśli miał kiedykolwiek szansę na związek, o jakim marzył przez całe życie, to właśnie ją stracił. Powinien był słuchać Icy Claxby'ego.*

*- Daruj sobie to przedstawienie. - Lucas uśmiechnął się smutno. - Oboje dobrze wiemy, że i tak wyszłabyś za mnie za mąż, bo jestem właścicielem Gwiazdy Polarnej.*

*- Ale nie jedynym - przypomniała mu Dora.*

Lucas pojął najlepiej, co to znaczy samotność, gdy zrozumiał, że mieszka pod jednym dachem z kobietą, która pragnie innego mężczyzny.

Odpędził bolesne wspomnienia i znow pochylił się nad ankietą.

Kolor włosów. Czy on naprawdę dbał o kolor włosów swojej przyszłej żony? Jakie to w końcu miało znaczenie. Przecież kobieta może ufarbować włosy na dowolny kolor.

Ale najbardziej lubił głęboki odcień bursztynu.

Niestety, tego koloru nie uwzględniono w ankiecie i Lucas mógł jedynie wybierać między ciemnym blondem, jasnym blondem i rudym. Dopisał więc odcień bursztynowy własnym długopisem i dopiero wtedy zrozumiał, co właściwie zrobił.

- Cholera! - Zaklął, wrzucił ankietę do szuflady, a potem natychmiast podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer.

- Psynergia. Czym mogę służyć? - spytał donośny, męski głos.

- Chciałbym rozmawiać z Amarylis Lark.

- Chwileczkę.

Po chwili ciszy do aparatu podeszła Amarylis.

- Tu Amarylis Lark.

W jej głosie pobrzmiwało takie napięcie, że Trent aż się wzdrygnął.

- Czy coś się stało?

Słyszał, jak Amarylis wstrzymuje oddech, ale nie wiedział, czy to na pewno dobry znak. Życie lubiło płatać niemiłe niespodzianki ludziom pozbawionym intuicji.

- To pan, panie Trent?

- Przeszliśmy na ty. A ja już nie jestem twoim klientem.

- Dzwoni pan w sprawie rachunku?

- Jeszcze go nie widziałem. - Lucas rozparł się wygodnie na krześle. Leży pewnie wraz z inną korespondencją. - Czuł, że wolałby lepiej panować nad sytuacją. - Dzwonię, bo chcę się z tobą umówić.

- Umówić?

- Tak. No wiesz, na randkę.

- Na randkę?

Amarylis nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, ale Trent nie wiedział, czy dziewczyna chce się go jak najszybciej pozbyć, czy też jest tak podniecona perspektywą rychłego spotkania, że brakuje jej słów. Sądził jednak, że powinien wziąć pod uwagę raczej tę pierwszą ewentualność.

- Sama mi powiedziałaś że już nie jestem twoim klientem. W takim razie może nie uchybiłabyś w żaden sposób zasadom etyki, gdybyś się ze mną spotkała. Przecież już nawet wysłałaś mi rachunek

- Ale ty jesteś zarejestrowany w agencji matrymonialnej.

- Ty również. Nie widzę związku. Wolno nam się chyba spotykać z kim chcemy, dopóki oni nie znajdą nam partnera.

- Mówisz poważnie, prawda?



- A tobie się wydaje, że żartuję?

- Nie.

- To dobrze. Pójdiesz dziś ze mną na kolację? - Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

- Tak się składa, że mam już plany na wieczór - powiedziała wolno Amarylis.

- Rozumiem. - Wypuścił powietrze.

Pewnie tak jest lepiej myślał. Nie ma sensu nawiązywać przelotnych znajomości bez perspektyw. Lepiej zaczekać na żonę.

- Możesz pójść ze mną - zaproponowała Amarylis po chwili wahania.

Z drugiej strony jego przyszła żona na pewno nie miałaby takich skrupułów. Trent wyprostował plecy.

- Dobrze - odparł swobodnie. - A dokąd się wybierasz?

- Mam do załatwienia pewną sprawę - powiedziała niepewnie. - Idę do klubu SynCity.

Lucas aż otworzył usta ze zdumienia i wydał tylko jakiś nieartykułowany dźwięk. O mało nie spadł z krzesła.

- SynCity. Na Founders Square.

- Taaa.

- Lucas? Coś nie w porządku?

- Nieee.

- Możesz się przecież nie zgodzić. Zapewne nie tak sobie wyobrażałeś nasze spotkanie.

- Nie, nie - powiedział już normalnym tonem. - Nie w tym rzecz. - Czy możesz mi powiedzieć, po co się tam właściwie wybierasz?

- Później ci to wytłumaczę. Ktoś na mnie czeka. Porozmawiamy wieczorem. Przyjadę po ciebie około ósmej.

- Ja po ciebie przyjadę.

- To bardzo miłe z twojej strony. I...

- Tak?

- Bardzo ci dziękuję - szepnęła z ulgą Amarylis. - Nigdy nie byłam w takim klubie. Cieszę się, że możesz mi towarzyszyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia o ósmej. - Lucas bardzo starannie odwiesił słuchawkę.

Długo patrzył tępym wzrokiem w okno. Zupełnie, ale to zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego taka świętoszka jak Amarylis Lark chce spędzić wieczór w klubie striptizowym.

**D**illon Rye wkroczył do biura Lucasa tuż przed piątą. Ubrany był wedle najnowszej mody w wyspiarskim stylu. Lucas z trudem powstrzymał ironiczny grymas. Twardzi i prostoduszni mieszkańcy wysp umarliby ze śmiechu na widok tych błyszczących naszywek, suwaków, kieszonek i kłapek, od których aż się roiło na koszuli i spodniach Dillona.

- Cześć, Lucas - Dillon opadł ciężko na najbliższe krzesło. - Widziałem twoje zdjęcie w gazecie. Co tam słysząc u panny Lark? Agencja spisała się na piątkę, co?

Lucas oparł dłonie o biurko. Nie chciał wyprowadzać Dillona z błędu. Niech lepiej wszyscy myślą, że poznał Amarylis za pośrednictwem biura.

- Szach, mat od razu na pierwszej randce. Pełna synergia, chłopie. To jest to. Te groszorozy uczciwie pracują na swoje pieniądze. Słysząc już dzwony weselne?

- Nie znamy się jeszcze zbyt dobrze - odparł Lucas.

- Tak czy inaczej, to wszystko brzmi obiecująco. A ty powinieneś się wreszcie ożenić. Nie możesz tego odkładać w nieskończoność.

Dillon mógł sobie pozwolić na błogi spokój charakterystyczny dla młodego człowieka, który jeszcze przez kilka lat nie będzie musiał zaspokajać oczekiwań społecznych.

Lucas postanowił zmienić temat.

- Właściwie w jakiej sprawie przyszedłeś?

Dillon natychmiast się otrząsnął.

- Chciałbym pożyczyć od ciebie pieniądze. Chodzi o sporą sumę - powiedział.

Lucas popatrzył na niego uważnie.

- Na co ci forsa?

- Na inwestycję mego życia.

- Takie buty...

- Ja nie żartuję. To moja wielka szansa. Za trzy lata będę naprawdę bogatym człowiekiem.

- A w co chcesz zainwestować?

Dillon pochylił się na krzesło. Na jego twarzy rozbłysnął młodzieńczy entuzjazm.

- Mój znajomy zakłada firmę. Coś podobnego do Gwiazdy Polarnej, tyle że on zmierza szukać złóż ognistego kryształu.

- Ognistego kryształu?! Zastanów się, przecież ognisty kryształ występuje równie rzadko jak artefakty Pierwszego Pokolenia.

Przepiękny krwistoczerwony kamień znany jako ognisty kryształ był produktem ubocznym reakcji synergistycznej zachodzącej czasem między wodą morską i rzadką rośliną, nazywaną szkarłatnym mchem. Szkarłatny mech porastał przybrzeżne skały na dalekim wybrzeżu. W trakcie procesu formacji połączone związki chemiczne zawarte w wodzie morskiej i mchu zmieniały strukturę skał.

Nie zawsze jednak powstawał w ten sposób ognisty kryształ. Reakcja synergistyczna między wodą i mchem zachodziła niezwykle rzadko. Jedna z teorii naukowych głosiła pogląd, że do powstania ognistego kryształu dochodziło jedynie wówczas, gdy woda morska zawierała odchody pewnego nie zidentyfikowanego gatunku ryb wydalone w okresie tarła.

- Nie przesadzaj - powiedział Dillon. - Ognisty kryształ wcale nie jest aż taką rzadkością. Poza tym nawet jeśli masz rację, to tylko powiększa wartość odnalezionych złóż.

Lucas potrząsnął głową.

- Ta cała sprawa cuchnie na milę.

- Mylisz się. On wynalazł specjalne urządzenie do wykrywania złóż.

- I nie napisali o tym w gazetach?

- Bo on utrzymuje całą sprawę w tajemnicy. Musi najpierw załatwić patent.

- Tak ci powiedział? Jesteś naiwny jak dziecko.

- Nieprawda. Ja mu wierzę.

- Czy ten człowiek jest związany z jakąś porządną firmą?

- Niezupełnie - przyznał Dillon. - Pracował w pewnej dużej spółce, dopóki nie wymyślił tego urządzenia. A potem zrezygnował, bo się bał, że zarząd firmy zechce przejąć prawa do wynalazku.

- Co to za firma?

Na twarzy Dillona pojawił się upór.

- Nie chciał nikomu zdradzić, gdzie pracował. Znasz te wielkie korporacje. Mogliby go zaskarżyć do sądu i położyć łapę na wynalazku.

- Przykro mi bardzo, ale twój przyjaciel to z pewnością bardzo uzdolniony hochsztapler. Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

- Do diabła! - wybuchnął Dillon. - Mówisz zupełnie jak ojciec. Myślałem, że jesteś inny. Liczyłem na ciebie.

- Prosiłeś ojca o pożyczkę.

- Tak, ale on nazwał mnie idiotą. - Dillon wykrzywił usta. - Skończyłem dwadzieścia trzy lata, a wszyscy traktują mnie jak dziecko. Mama i ojciec nalegają, żebym wybrał pomiędzy studiami i pracą w korporacji, ale ja marzę o czymś naprawdę ciekawym.

- Ciekawym?

- Czymś, co stwarza nieograniczone możliwości. Czymś podniecającym. Kiedy Jackson był w moim wieku, szukał galaretowatego lodu na Wyspach Zachodnich. Ty zresztą również.

- Dillonie...

- Jeśli rodzice postawią na swoim, nigdy nie wytknę nosa poza Nowe Seattle. Czasem mi się wydaje, że się tu duszę. Mama i ojciec już zaprojektowali całą moją przyszłość. Co za nuda! Na samą myśl robi mi się niedobrze.

- Dlaczego?

- Bo już wiem, jak to wszystko będzie wyglądało. - Dillon rozłożył ręce teatralnym gestem. - Najpierw jakaś ciepła, bezpieczna posadka. Praca od dziewiątej do piątej. Kilka podwyżek. Szału można dostać. Zanim się obejrzę, skończę trzydzieści lat. Zarejestruję się w agencji i założę rodzinę.

- I cóż w tym złego?

- Nic. Wszystko w odpowiednim czasie. Najpierw jednak muszę trochę pożyć. A teraz cała moja przyszłość stoi pod znakiem zapytania, bo nie mogę liczyć na pożyczkę.

Lucas zawahał się przez chwilę.

- Chciałabyś pracować dla Gwiazdy Polarnej?

- Jeszcze się pytasz? - Dillonowi błysnęły oczy. - Dałbym sobie za to prawą rękę uciąć, ale przecież wiesz, jak się zachowują moi rodzice od śmierci Jacksona. Nie puszczą mnie na wyspy.

- Nie potrzebujesz ich pozwolenia, żeby złożyć podanie o pracę.

- Łatwo ci mówić. Ty nie masz rodziców. - Dillon ugryzł się w język, a na jego policzki wystąpił ciemny rumieniec. - Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Nie ma za co. Ja rzeczywiście nie musiałem się na nikogo oglądać.

- Po śmierci Jacksona rodzice bardzo się zmienili. - Dillon odwrócił wzrok, a potem ni z tego, ni z owego palnął pięścią w oparcie krzesła. - Cholera! Kochałem mojego brata, ale spędziłem całe życie w jego cieniu. On zawsze był gwiazdą. Sport, interesy, kobiety - gdziekolwiek się obrócił, zawsze odnosił murowany sukces. Nawet umarł śmiercią bohatera.

- Wiem, Dillonie.

- A ja chciałem udowodnić starym, że jestem równie zdolny jak Jackson. Sobie zresztą również.

- Nie musisz niczego nikomu udowadniać. Żyj własnym życiem.

- Nic nie rozumiesz - Dillon wstał z krzesła i powlókł się do drzwi. - Nikt tego nie rozumie.

**F**ounders Square była najstarszą dzielnicą w Nowym Seattle. W tej właśnie okolicy zakładali siedziby pierwsi koloniści.

Żaden z budynków nie pochodził oczywiście z czasów Pierwszego Pokolenia, gdyż wszystkie domy budowane z materiałów przywiezionych z Ziemi uległy zniszczeniu.

Kolejne budowle powstawały przy użyciu surowców dostępnych na Świętej Helenie, a swym surowym wyglądem przypominały osadników, którzy je tworzyli. I choć nie stanowiły oszałamiającego osiągnięcia architektury, stały się niejako symbolem swojego czasu.

Lucas pomyślał, że twardzi, prostoduszni koloniści z pewnością przeżyliby szok, gdyby zobaczyli, co się stało z ich osadą.

Na Founders Square mieściły się bowiem głównie kluby nocne i kasyna. Po zmierzchu nad starą dzielnicą roztaczała się aura zepsucia. Jasno oświetlone kasyna zapraszały do gier o wysokie stawki, mniejsze kluby proponowały przedstawienia porno, tańce i tanie wino.

Lucas miał spore trudności z zaparkowaniem auta. W końcu wcisnął Icera w jedną z wąskich, bocznych uliczek, oddaloną o jakieś dwie przecznice od centrum. Przy wlocie zakazanego zaułku widniał szyld seks-klubu.

Trent pomyślał, że tylko desperat zaryzykowałby wizytę w takim lokalu.

Wylączając silnik auta, zerknął na Amarylis, która patrzyła na neon z jawną dezaprobatą,

- Często tu bywasz? - spytał Trent, siłąc się na obojętny ton.

- Nie. - Amarylis aż się wzdrygnęła. - Przecież już ci to mówiłam.

- A możesz mi wytłumaczyć, dlaczego spotykamy się na pierwszej randce właśnie tutaj?

- Porozmawiamy w drodze do klubu - odparła, po czym otworzyła drzwiczki i wysiadła z auta.

Lucas zerknął na zegarek. Odkąd przyjechał po Amarylis, nie upłynęło nawet pół godziny, a on już czuł, że psuje mu się humor.

Zastanawiał się, co tu właściwie robi. Kiedy tylko jednak ujął dziewczynę pod łokieć, wszystko stało się jasne. Ten lekki dotyk wystarczył, by ogarnęło go podniecenie i radosne uczucie oczekiwania. Za to niezwykle doznanie gotów był zapłacić każdą cenę, nawet gdyby musiał potem wejść pod zimny prysznic.

Trzymając Amarylis pod ramię, Lucas ruszył w stronę jasno oświetlonego skweru położonego dwie przecznice dalej.

- Wiem, że zachowuję się dosyć tajemniczo, ale naprawdę mam ku temu powody.

- Słucham.

Lucas patrzył uważnie na wlot do ciemnego zaułka. Dwunożni drapieżnicy grasujący w miastach byli bowiem równie niebezpieczni, jak dzikie zwierzęta o czterech, sześciu lub ośmiu łapach, z jakimi stykał się na wyspach.

Amarylis wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza.

- W piątek wieczorem odbyłam dość dziwną rozmowę telefoniczną. Myślałam o niej przez cały weekend.

Lucas nie spuszczał wzroku z dwóch cieni, jakie wyrosły nagle przy wejściu do seks-klubu.

- Opowiedz mi o tej rozmowie.

- Ktoś, kto do mnie dzwonił, nie podał nazwiska. Powiedział jednak, że jeśli chcę się czegoś dowiedzieć na temat profesora Landretha, powinnam się spotkać z kobietą, która pracuje w klubie SynCity.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - Lucas stanął gwałtownie w miejscu i obrócił Amarylis twarzą do siebie. - Co profesor ma wspólnego z naszą randką?

- Uspokój się, Lucasia. Nie ma sensu się denerwować.

- Wcale się nie denerwuję. Jestem po prostu wściekły. A to pewna różnica. Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Osoba, która dzwoniła, mówiła mi, że jakaś Vivien może mi powiedzieć prawdę.

- O profesorze?

- Tak.

- To jakieś wariactwo.

Amarylis uniosła dumnie podbródek.

- Dlatego tu jestem. Bardzo chcę z nią porozmawiać. Mówiłam ci przecież, że chodzi o interesy. Jeśli nie chcesz ze mną iść, nie będę miała żalu.

Lucas chwycił ją mocno za poły płaszcza.

- Nie wierzę! Czyżbyś po naszym spotkaniu w muzeum zaczęła marzyć o karierze detektywa?

- Podziwiałam i szanowałam profesora. Nie wszyscy na uniwersytecie darzyli go taką sympatią.

- I co z tego?

- Skoro powstał jakiś problem, muszę go rozwiązać. Chyba właśnie ty powinienesz zrozumieć, co to znaczy pragnąć odpowiedzi.

- Na jakie pytanie? - spytał ostrożnie Lucas.

- Przede wszystkim pryzmat wykształcony u Landretha ma na sumieniu nieetyczne działanie.

- Znowu te bzdury! Jakie to ma znaczenie?

- Nie rozumiesz? Jedno wynika z drugiego. Im dłużej się zastanawiam, dlaczego wykształcony pryzmat miałby łamać etykę zawodową, tym bardziej zaczynają mnie interesować inne kwestie.

- Na przykład?

- Na przykład, co by się stało, gdyby profesor się o wszystkim dowiedział. Może ktoś się tego bał.

- Do diabła! - mruknął Lucas. - Zaczynam się domyślać, do czego zmierzasz.

- A potem ten telefon z sugestią, że z profesorem łączy się jakaś tajemnica. Jeśli istnieje bodaj cień podejrzenia, że on nie zginął w wypadku, wystąpię o pełne śledztwo.

- Świetnie. Idź na policję i powiedz, że jakaś striptizerka posiada interesujące informacje na temat Landretha. Niech gliny się tym zajmą.

- Oni zamknęli sprawę. Wiesz równie dobrze jak ja, że na pewno nie wznowią dochodzenia tylko dlatego, że zadzwonił do mnie jakiś anonimowy rozmówca.

Boczna ulica była słabo oświetlona, lecz Lucas i tak dostrzegł, że na twarzy dziewczyny maluje się determinacja.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział, czując, że ogarnia go coraz większy niepokój.

- Chcę tylko porozmawiać z Vivien. Nie musisz mi towarzyszyć, jeśli nie chcesz się angażować w takie sprawy.

- Pani mnie nie słucha, panno Lark. Ja nie chcę, żebyś ty się w to mieszała, jasne?

- Myślałam, że zrozumiesz moje uczucia.

- Bo mnie również zależało na wyjaśnieniu pewnych kwestii? Pamiętaj, Amarylis, że nie byłem zadowolony z tego, czego się dowiedziałem.

Zacisnęła usta w sposób, który uzmysłowił Lucasowi, że Amarylis nie zamierza ustąpić.

- Nie ma o czym dyskutować - powiedziała poważnie.

- Mówiłam ci przecież, że muszę tu załatwić pewien interes. Jeśli wolałbyś spędzić wieczór gdzie indziej...

- Gdziekolwiek, byle nie tutaj.

- W takim razie wsiadaj do samochodu i jedź do domu.

- Naprawdę sądzisz, że zostawię cię tu samą?

Widocznie uderzył ją jakiś nowy ton w głosie Lucasa, bo popatrzyła na niego czujnie.

- Pewnie nie.

- Właśnie - przyznał Trent, puszczając klapy jej płaszcza. - Chodźmy.

Szedł tak szybko, że Amarylis musiała przyspieszyć kroku.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Nie chciałam tu przychodzić sama, ale ty się zgodziłeś bez żadnych oporów, więc nie sądz, że cię wykorzystuję.

- Wszystko w porządku. Jest tylko jeszcze jeden mały problem.

- Powiedz jaki.

- Kiedy będzie po wszystkim, pójdziesz ze mną na prawdziwą randkę.

**G**dy otworzyły się drzwi klubu, Amarylis poczuła, że zalewa ją fala zmysłowej muzyki lodowego rocka. Zewsząd dobiegały pijackie śmiechy i rozbawione głosy. W błyskach reflektorów widać było gości klubu siedzących przy okrągłych stolikach.

Amarylis stanęła w progu i rozejrzała się ze zdziwieniem.

- Nie znajdziemy miejsca.



- Co? - spytał Lucas.

Przyłożyła ręce do ust.

- Nie ma wolnego stolika.

- Niestety jest. Tam, pod ścianą.

Gdy szli przez ciemną salę, Amarylis obrzuciła Lucasa powłóczystym spojrzeniem. Trent był najwyraźniej w fatalnym nastroju. Pomyślała, że niepotrzebnie go ze sobą zabrała, ale mimo wszystko bardzo się z tego cieszyła.

Ledwo usiadła, pojawił się przy nich kelner.

- Słucham - powiedział znudzonym głosem. - Minimalne zamówienie to dwa drinki.

Amarylis zerknęła na stojącego przed nią mężczyznę. Kelner był bardzo przystojnym blondynem. Miał na sobie jedynie skórzaną przepaskę na biodrach.

By ukryć przerażenie, dziewczyna szybko odwróciła oczy i wbiła wzrok w Lucasa.

- Wino - pisnęła nieswoim głosem, po czym odchrząknęła. - Poproszę o kieliszek wina - powiedziała już normalnym tonem.

- Zielonego, białego czy niebieskiego? - spytał kelner.

- Zielonego - odparła, wybierając najslabsze.

Kelner zerknął na Lucasa.

- A dla pana?

- Jakie macie piwo?

- Gorączka Dżungli, Bliźniacze Księżycy i Pięć Piekieł.

- Poproszę Pięć Piekieł

- Zaraz przyniosę

Amarylis popatrzyła za znikającym w tłumie kelnerem. Była bardzo ciekawa, gdzie on właściwie trzyma notesik, w którym spisuje zamówienia. Na skórzanym pasie nie dostrzegła żadnej kieszonki.

- Nie tak to sobie wyobrażałaś? - spytał Lucas, przechylając się przez stół

- Niczego sobie właściwie nie wyobrażałam. - Rumieniąc się jak burak, Amarylis odwróciła wzrok od umięśnionych pośladków kelnera. - Nie wiem jak zaaranżować spotkanie z Vivien.

- Poproś o pomoc tego golasa.

- Niezła myśl.

Na odgłos werbli umilkła muzyka i rozmowy. Łukowate smugi galaretowatego światła przecięły scenę. Widownia wydała pomruk oczekiwania.

Zza niebieskożłotej kurtyny wyszedł mężczyzna w stroju wieczorowym. W ręku trzymał mikrofon.

- Panie i panowie. - Urwał, by sprawdzić, czy wszyscy go słuchają. - Witam w SynCity, gdzie spełnią się wasze najbardziej erotyczne marzenia. Zaraz zaczniemy przedstawienie. Tym z was, którzy nie oddawali się jeszcze rozrywkom synergistycznym, pragnę przedstawić parę, która dostarczy nam dziś wielu emocji. Proszę państwa! Oto York i Yolanda!

Gdy podniesiono wewnętrzną kurtynę, publiczność powitała artystów chóralnym aplauzem. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna ubrani byli w obcisłe kostiumy z błyszczącej, srebrzystej tkaniny, dobranej wyraźnie pod kolor ich włosów. Nosili też długie, srebrne rękawiczki.

Przy akompaniamencie głośniejszej muzyki York i Yolanda skłonili się przed widownią. Konferansjer musiał czekać co najmniej kilka minut, by umilkła wrzawa. Wreszcie uśmiechnął się lubieżnie i mrugnął.

- Panie i panowie! York to ósemka. Potrafi wyłapywać silne doznania seksualne, wzmacniać je i wysyłać do tych, którzy mieli dziś szczęście tutaj zawitać. Yolanda jest silnym pryzmatem i asygentką Yorka. Brawa dla Yorka i Yolandy!

Znów rozległ się chóralny aplauz. Amarylis popatrzyła na Lucasa.

- Nie można przekazać doznań seksualnych tyłu ludziom naraz.

- Powiedz to publiczności. W teatrze widownia musi wierzyć, że to, co ogląda, dzieje się naprawdę. A oni chcą wierzyć.

Konferansjer uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Panie i panowie! Przygotujcie się teraz na niecodzienne doznania seksualne. Odkryjecie nowe płaszczyzny stymulacji erotycznej. Chcę wam przedstawić Vivien zwaną Woalką.

Znów podniesiono kurtynę wewnętrzną, a światło reflektora padło na kobietę spowitą od stóp do głów w przejrzysty szyfon. Kobieta miała nisko opuszczoną głowę, a fioletowe włosy spadały jej aż do talii. Na nadgarstkach artystki błyszczały bransoletki wysadzone fioletowymi kryształami, zdobiacymi również złotą opaskę podtrzymującą włosy.

- Sądzisz, że to nasza Vivien? - spytała Amarylis, nie odrywając wzroku od kobiety.

- Chyba tak. Przypuszczam, że nie ma tu zbyt wielu kobiet o tym imieniu. A już na pewno nie znajdziemy żadnej w podobnym stroju.

Znów rozległy się werble. York i Yolanda zajęli pozycje z boku sceny. Klaszcząc rytmicznie w dłonie, przymknęli oczy, jakby próbowali się skoncentrować.

Kelner przyniósł im napoje w chwili, gdy Vivien uniosła głowę i zaczęła się widać jak wąż. Amarylis wzięła kieliszek i ostrożnie upiła łyk wina. Patrzyła, najpierw ze zdziwieniem, a później z zażenowaniem na wirującą szatę striptizerki, która odsłoniła fragmenty pośladków i piersi. Publiczność zawyla z uciechy.

- Na naszym pierwszym spotkaniu miałaś na sobie podobną suknię - zauważył Lucas.

- Nic podobnego - zaprotestowała z oburzeniem Amarylis. - Nigdy bym na siebie nie włożyła czegoś równie nieprzyzwoitego.

- Może mi się tylko wydawało.

Gdy opadł pierwszy zwój przejrzystej tkaniny, publiczność wydała dziki okrzyk, a kobiety zaczęły bić brawo, ponieważ na scenę wyszedł mężczyzna w długich skórzanych butach i przepasce jeszcze bardziej skapej niż ta, którą nosił kelner.

Tancerz szarpnął kolejną zasłonę i obnażył piersi dziewczyny podtrzymywane przez dziwną fioletową uprząż. Amarylis doszła do wniosku, że ona i Vivien najwyraźniej zaopatrują się w bieliznę w zupełnie innych sklepach.

Vivien tańczyła obok swego partnera, wykonując jednoznacznie erotyczne gesty. On natomiast ruszał biodrami tak gwałtownie, że Amarylis zaczęła się poważnie obawiać o jego kręgosłup.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza i zmysłowa. Yolanda i York aż kapali od potu.

Tancerz położył się na fioletowym aksamitnym dywaniku, a Vivien - już zupełnie naga - usiadła mu okrakiem na biodrach.

Amarylis popatrzyła na publiczność. Niektórzy dyszeli i jęczeli. Z zacienionego kąta dobiegł ją przenikliwy okrzyk rozkoszy. Przy sąsiednim stoliku mężczyzna wydał ochryply jęk.

Yolanda i York wytężali wszystkie siły, a Vivien i jej partner miętosili się na scenie.

- Nie wierzę - szepnęła Amarylis. - Oni tylko udają.

- Chcesz sprawdzić? - uśmiechnął się Lucas.

Amarylis zrozumiała go natychmiast.

- Będziemy ogniskować?

- Jestem przecież wykrywaczem. Jeśli York to rzeczywiście silny talent, na pewno go rozpoznam.

Na wspomnienie doznań, jakie towarzyszyły jej podczas więzi, Amarylis zarumieniła się jak burak.

- To chyba nie jest dobry pomysł - powiedziała mentorskim tonem. - Przyszłam tu przecież w interesach.

- Boisz się.

- Nic podobnego.

- Profesjonalistka musi sobie jakoś poradzić, prawda?

Amarylis wiedziała, że Lucas ją prowokuje, a jednak nie potrafiła się oprzeć pokusie.

- Dobrze - mruknęła. - Ale tylko na chwilę.

Lucas ujął ją za rękę. Błyszczały mu oczy.

Szybko nawiązali kontakt. Kilka sekund poszukiwań, przelotne wrażenie zagubienia i Amarylis już była gotowa do pracy. Trent ujrzał swój pryzmat na płaszczyźnie psychicznej.

- Niezła jesteś - szepnął Trent. - Nawet bardzo dobra.

W pryzmacie zaczął pulsować jego talent.

Umilkła muzyka i gwar. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Amarylis poczuła, że fala gorąca zalewa dolne partie jej ciała. Cały wieczór skutecznie ukrywała swój stan przed Lucasem, ale podczas więzi przestała nad sobą panować. Trent ścisnął mocniej jej rękę.

- Nie wyczuwam Yorka - szepnął. - To oszust.

- Wiedziałam. - Amarylis natychmiast przerwała więź. Pryzmat zniknął Trentowi z pola widzenia.

W ciemnej sali rozległ się nagle kobiecy pisk. Jakiś mężczyzna stłumił westchnienie. Para siedząca przy sąsiednim stoliku zaczęła się namiętnie całować.

- Chcesz wyjść? - spytał łagodnie Lucas.

- Muszę porozmawiać z Vivien.

- Możemy poczekać na zewnątrz, a potem pójść do jej garderoby.

Amarylis poczuła, że jest mu nieprawdopodobnie wdzięczna za tę propozycję.

- Świetny pomysł - powiedziała, zrywając się na równe nogi.

Lucas odstawił nie dopite piwo, wstał, rzucił na stół kilka banknotów i wziął Amarylis za rękę.

Gdy przedzierali się z trudem przez ciasno rozstawione stoliki, dobiegały ich okrzyki i jęki ludzi przeżywających najwyższą ekstazę.

- Im się naprawdę wydaje, że odbierają jakieś doznania seksualne - powiedziała Amarylis.

- A to przecież wcale nie jest zasługa Yorka, tylko zbiorowa histeria.

- Tak czy inaczej, wszyscy są zadowoleni – zauważył Lucas.

## Rozdział siódmy

Chwileczkę. - Gdy tylko Lucas wyciągnął portfel, Amarylis powstrzymała go stanowczym gestem ręki. - Co ty wyprawiasz?

Lucas zerknął na postawnego mężczyznę, który blokował wejście na scenę i patrzył na niego wyczekująco. Strażnik wyglądał tak, jakby cierpiał na nadwagę i stanowił barierę nie do przejścia.

- Jak to co? Chcę przekupić tego faceta, żeby nas wpuścił do Vivien. Wydawało mi się, że chcesz z nią porozmawiać.

- Nie powinniśmy dawać mu pieniędzy za to, żeby pozwolił nam wejść. Tak nie można.

Zwalisty bramkarz popatrzył na Amarylis z uprzejmym pobłażaniem.

- Pewnie jest pani nowa w tym mieście.

- Wcale nie - odparła, podchodząc do niego bliżej. - Ale nawet gdyby miał pan rację i tak bym uważała, że przekupstwo jest nieetyczne.

Grubas spojrział na Lucasa.

- Bez urazy, ale chyba powinien pan sobie wybrać inną panienkę. Nie pasujecie do siebie.

- Pozory mylą. - Lucas wcisnął mu do pulchnej dłoni kilka banknotów. - Możemy teraz wejść? Trochę się nam spieszy.

- Proszę bardzo. Trzecie drzwi po lewej. - Tłuścioch podniósł się ciężko z krzesła i wskazał garderobę Vivien zadziwiająco wdzięcznym ruchem potężnego łapska.

Amarylis obrzuć ła bramkarza karcącym spojrzeniem.

- Powinien się pan wstydzić.

- Wiem, wiem - odpali grubas z promiennym uśmiechem.

Lucas ujął dziewczynę pod ramię.

- Idziemy.

Korytarz za kulisami był wąski i ciasny. Lucas omal nie rozbił sobie głowy o sufit. Nawet tu docierało do nich dudnienie ze sceny. Ściany drżały.

Na trzecich drzwiach po lewej widniała fioletowa gwiazda.

- To pewnie tu - mruknął Lucas i zapukał.

- Otwarte! - Donośny kobiecy głos przekrzyczał bez trudności hałaśliwą muzykę.

Trent dostrzegł kątem oka, że Amarylis zaciska palce na pasku torebki. Dziewczyna miała trochę przerażone oczy, ale nie straciła panowania nad sobą. Z pewnością płynie w niej krew pierwszych osadników - pomyślał Trent i wszedł do garderoby urządzonej w każdym szczególe na fioletowo.

Vivien - ubrana w fioletowy szlafrok - siedziała przed lustrem i ścierała z twarzy fioletowy podkład. Bez makijażu wyglądała o wiele mniej egzotycznie niż na scenie. O tym, że Vivien uczyła się życia na ulicy, świadczyły charakterystyczne zmarszczki wokół oczu i ust.

- Przykro mi, ale na prywatne pokazy trzeba się u mnie zapisywać - powiedziała z ciepłym, niemal przeproszającym uśmiechem. - Nie byliśmy umówieni.

- Postaram się to zapamiętać - mruknął Lucas.

Amarylis wysunęła się naprzód.

- Dzień dobry. Nazywam się Amarylis Lark.

Vivien popatrzyła przychylnie na dziewczynę.

- Jesteś nowa? Masz niezły pseudonim. Ale jeśli szukasz pracy, musisz próbować gdzie indziej. Ja, York i Yolanda podpisaliśmy tu kontrakt na dłużej.

- Pracy? - Amarylis zamrugała oczami i nagle doznała olśnienia. - Ach, rozumiem! Nie, ja nie szukam pracy. Chciałabym tylko zadać parę pytań.

- Pytań? - Vivien spojrzała na nich ostro. - Jesteście glinami?

- Oczywiście, że nie - powiedziała szybko Amarylis. - Przyszliśmy w sprawie osobistej.

- Osobistej. Rozumiem. - Vivien zaczęła smarować twarz kremem. - To was będzie co nieco kosztować.

Lucas ponownie sięgnął po portfel. Ignorując krytyczne spojrzenie Amarylis, wręczył striptizerce kilka banknotów.

Vivien schowała pieniądze w kieszeni szlafroka.

- Pytaj, kochanie.

- Chciałabym wiedzieć, czy znałaś profesora Landretha - powiedziała wolno Amarylis, krzyżując ramiona na piersiach.

- Oczywiście, że znałam Jonny'ego. - Vivien wmasowała w policzki następną porcję kremu. - Zabawny facio. Zawsze zachowywał się tak, jakby miał na sobie za mały podkoszulek, ale tak w ogóle był w porządku. Mogłam na niego liczyć. Nigdy nie odwoływał spotkań.

Amarylis odchrząknęła dyskretnie i przełknęła ślinę.

- Nazywałaś go Jonny?

- No jasne. Przecież tak miał na imię. Przykro mi z powodu tego wypadku. Jonny trochę zadzierał nosa, ale bardzo go lubiłam. I płacił mi zawsze z góry.

Amarylis wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

- Za co ci płacił?

- Tańczyłam dla niego. Oczywiście prywatnie. Jonny nie siadał nigdy na widowni. Chyba się wstydził. A poza tym twierdził, że nie potrzebna mu Yolanda ani York, żeby mógł się podnieść.

Amarylis popatrzyła niepewnie na Lucasa.

- Rozumiem.

- Dlaczego on cię tak interesuje? Przecież umarł.

- Ktoś mi zasugerował, że mogę się czegoś o nim od ciebie dowiedzieć.

- Na przykład czego?

- Powiedziano mi, że prawdy. - Amarylis wzruszyła ramionami. - Na przykład czegoś o jego śmierci.

- O śmierci Jonny'ego? - Na twarzy Vivien błysnęło przerażenie. - Nie wiem nic na ten temat. I nie pozwolę się zrobić. Wynoście się stąd natychmiast, bo zawołam Titusa.

Lucas od razu się domyślił, że tak ma zapewne na imię cerber strzegący kulis.

- Spokojnie. Wiem, że to był wypadek.

Vivien spoglądała niespokojnie to na Lucasa, to na Amarylis

- Tak pisali w gazetach. Spadł ze skały, czy coś w tym rodzaju.

- Właśnie - Lucas rzucił Amarylis ostrzegawcze spojrzenie.

Dziewczyna zagryzła wargi.

- Kiedy go widziałaś po raz ostatni? - spytała.

- W dzień przed wypadkiem, jak zwykle przyszedł do mnie na prywatny pokaz.

- Nie obraż się, ale trudno mi uwierzyć, że profesor Landreth był twoim stałym klientem - powiedziała Amarylis.

- Ale to prawda. Przychodził do mnie raz w tygodniu. I nigdy się nie spóźniał.

- Rozumiem. A może Jonny, to znaczy profesor Landreth, wydawał ci się wtedy zmartwiony lub zdenerwowany?



- O co ci chodzi? - spytała podejrzliwie Vivien.

- Nie jestem pewna - przyznała szczerze Amarylis. - Chciałabym pewnie wiedzieć, czy jakoś inaczej się wtedy zachowywał. Myślałam, że pewnie błędził gdzieś myślami, może nie mógł się skupić...

W oczach striptizerki pojawił się chytry błysk.

- Jesteś z towarzystwa ubezpieczeniowego, tak? O to chodzi? Nie chcecie wypłacić odszkodowania. Na mnie nie liczcie.

- Nie pracuję dla żadnego towarzystwa ubezpieczeniowego - powiedziała pośpiesznie Amarylis. - Próbuję tylko coś wyjaśnić, bo bardzo się z nim przyjaźniłam.

- Akurat. - Vivien sięgnęła po szczotkę.

- Pisałam u niego pracę magisterską.

- Rzeczywiście był wtedy trochę spięty – powiedziała Vivien nieco łagodniej. - Ale on nigdy nie potrafił się wyluzować. Właściwie to stale się czymś zamartwiał.

- A wiesz może czym? - spytała Amarylis.

Vivien popatrzyła wyczekująco na Lucasa, który ze stoickim spokojem wyciągnął natychmiast z kieszeni portfel i wręczył striptizerce zwitek banknotów. Vivien uśmiechnęła się promiennie i przeniosła wzrok na Amarylis.

- Przez kilka tygodni opowiadał mi bez przerwy, że eksperci nie wiedzą jeszcze wszystkiego o talentach parapsychicznych. Mówił, że niektóre mogą być niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - powtórzyła Amarylis.

Vivien usunęła z twarzy kolejną warstwę podkładu.

- Musicie zrozumieć, że Jonny bez przerwy nawijał o tych swoich badaniach. Chciałam, żeby się odprężył, ale jemu tylko jedno było w głowie.

- Czy wymieniał jakieś nazwiska? - spytała ostrożnie Amarylis.

- Nie. - Vivien rzuciła płatki kosmetyczne na toaletkę. - Przecież bym pamiętała. To nie moja sprawa. Przepraszam, ale muszę iść do łazienki.

Vivien wstała leniwie ze stołka obitego fioletowym materiałem. Zamiatając szlafrokiem wyleniały dywan, powlokła się do małego pomieszczenia na tyłach pokoju i otworzyła wąskie drzwiczki.

Lucas szybko odwrócił wzrok, ale przedtem zdążył jeszcze zauważyć, że w malutkiej łazience siedzi Yolanda.

Srebrnowłosa tancerka nawet nie oderwała wzroku od pisma, które trzymała w rękach.

- Już wychodzę, Viv.

- Przepraszam cię, kochanie. Nie wiedziałam, że tu jesteś. - Vivien zatrzasnęła za sobą drzwi i wydała głębokie westchnienie. - Mamy wspólny kibel. Właściciel tej budy to taki dusigrosz, że nie może nawet zapewnić artystkom osobnych łazienek. Kiedyś zrezygnuję z tej posady. Są lepsze kluby.

**N**ie wierzę - powiedziała Amarylis.

- Dziwisz się, że Vivien i Yolanda muszą korzystać z tej samej toalety? - Lucas wziął Amarylis za rękę. - Striptizerka synergistyczna to ciężki kawałek chleba, kochanie.

- Nie bądź śmieszny. Nie mogę uwierzyć, że profesor był stałym klientem Vivien.

- Znam ludzi o większych skłonnościach do perwersji. Profesor z pewnością należał do całkowicie nieszkodliwego gatunku.

- Ale to mi do niego zupełnie nie pasuje. Znałam go tyle lat, a on nigdy nie wykazywał skłonności... rozumiesz, o co mi chodzi...

- Widocznie jednak ktoś wiedział znacznie więcej o tym świętoszku. - Lucas prowadził Amarylis w kierunku auta.

- O kim mówisz? - Zmarszczyła brwi. - Już wiem. Masz na myśli osobę, która do mnie dzwoniła.

- Tak.

Oddalili się od placu. Lucas ścisnął mocniej ramię Amarylis, wsłuchując się uważnie w odgłos jej kroków na kamiennym chodniku. Wpatrywał się jednocześnie uważnie w mijane klatki schodowe i ciemne wloty do zakazanych zaułków.

- Vivien nie bardzo nam pomogła, prawda? - spytała po chwili Amarylis.

- Nie miała ci nic do powiedzenia, bo zachowanie profesora na dzień przed śmiercią nie odbiegało od normy - odparł Lucas. - Vivien twierdziła, że on zawsze był spięty.

- Tak, ale dodała, że bardzo się czymś martwił.

- Bo to artystka. Chciała ci dostarczyć wrażeń, bo za nie zapłaciłaś.

- Ty zapłaciłeś - mruknęła Amarylis. - Nadal nie popieram przekupstwa.

- Nie wiem, jakim cudem udało ci się do czegokolwiek dojść. Brak ci pragmatyzmu. A przyszłość należy do oportunistów.

- Nonsens. Wcale w to nie wierzysz.

- Gdybym nie przekupił bramkarza, do tej pory nie weszlibyśmy za kulisy - powiedział Lucas. - Ale skoro mamy zupełnie inną filozofię życiową, przejdźmy nad tym do porządku dziennego.

- I co dalej?

- Ten interesujący wieczór już się na szczęście skończył. Pomyśl logicznie. Skoro policja umorzyła sprawę, to znaczy, że w okolicznościach śmierci Landretha nie było nic podejrzanego.

- Rozmowa z Vivien nasunęła mi pewien pomysł. - Amarylis mówiła takim tonem, jakby w ogóle go nie słuchała. - Może należałoby porozmawiać jeszcze z kimś, kto widział profesora na krótko przed wypadkiem.

- Co cię opętało? Szukanie odpowiedzi na pytania to jedno, ale obsesja to całkiem co innego. - W mrocznym zaułku mignęły nagle jakieś cienie. - Cholera! Diabli nadali! - zaklął Trent.

- Co ty robisz?

Nie odpowiedział, tylko odepchnął ją mocno do tyłu, a sam zatrzymał się jak wryty.

- O Boże! - szepnęła cichutko Amarylis, uderzając bokiem w śmietnik.

Jakieś małe zwierzę spożywające kolację złożoną z resztek wrzuconych do pojemnika uciekło jak zmyte.

- Lucas?

Trent usłyszał, jak Amarylis nabiera głęboko powietrza.

- Nie ruszaj się. Słyszysz?

- Dobrze - odparła bardzo cicho.

Z zaułka wyłonił się pierwszy mężczyzna. Poruszał się zręcznie i szybko, w sposób charakterystyczny dla ulicznego zabijaki. Za nim skradał się drugi, niższy bandyta. Obaj byli ubrani według wyspiarskiej mody. Pierwszy z nich miał na sobie komplet ze sklepu, a drugi oryginalny kombinezon z Wysp Zachodnich.

Trent zauważył, że w ich dłoniach błyskają noże.

Popatrzył im prosto w oczy,

- Niezłe ciuchy - powiedział grzecznie.

- Prawda? - Wyższy zrobił krok w stronę Lucasa. - Ja i Tancerz wiemy, co się teraz nosi.

- Jasne, Rand. - Tancerz wyszczerzył zęby w okrutnym uśmiechu.

- W czym wam możemy pomóc? - spytał Lucas.

- Pewnie by się coś takiego znalazło. - Rand zbliżył się do Trenta, nie wypuszczając noża z ręki. - Zaczniemy od twojego portfela, chłoptasiu.

- A potem obrócimy tę damulkę. - Tancerz oblizał usta. - Już dawno nie leżałem między takimi ładnymi nogami.

- Jesteście obrzydliwi - powiedziała głośno Amarylis.

- Cicho bądź - nakazał Lucas, nie spuszczać oczu z napastników.

Tancerz splunął na chodnik.

- Lubię, jak się rzucają. Tak jest o wiele przyjemniej.

- Hańbicie te ubrania, które macie na sobie - poinformowała bandytów Amarylis.

- Że jak? - Tancerz zmarszczył groźnie brwi.

- Nosicie stroje z wysp, a żaden z was tam nigdy nie był. W dżungli nie przetrwalibyście nawet pięciu minut. Nie macie wystarczającej siły przebicia.

Rand zerknął na Lucasa.

- Każ się jej zamknąć.

- Łatwo powiedzieć - odparł Trent, wzruszając bezradnie ramionami.

- Jesteście oszustami - stwierdziła stanowczo Amarylis. - Dwaj ulicznicy strugają nieustraszonych wyspiarzy.

- Zrób z nią coś natychmiast - zażądał Tancerz, który wyraźnie stracił panowanie nad sobą. - Zatkaj jej gębę.

- Przykro mi - odparł krótko Lucas. - Mam inne rzeczy do roboty.

Zdał sobie sprawę, że wyłoniła się przed nim ostatnia szansa. Skupił całą swoją energię na wytworzeniu iluzji.

Bez pryzmatu mógł jedynie wygenerować nietrwałą ulotną wizję. Niemniej jednak przy odrobinie szczęścia tyle właśnie mu było trzeba, by choć na chwilę wprowadzić bandytów w osłupienie.

Jak zwykle przed użyciem swej siły poczuł znajomy powiew wiatru.

- Co jest, u diabła? - Rand odwrócił się gwałtownie w stronę policjanta, który wynurzył się właśnie z ciemności nieopodal bramy. - Skąd on się tu wziął?

Policjant zniknął im nagle z pola widzenia, a w tej samej chwili Lucas z całej siły kopnął Randa w rękę i wytrącił z niej nóż. Chrupnęły kości.

Rand chwycił się za nadgarstek i popatrzył z wściekłością na Lucasa.

- Załatw go, Tancerz. Załatw drania na amen. I pospiesz się. Forsa stygnie.

Ale Tancerz nie potrzebował zachęty. Swym charakterystycznym krabim krokiem pełził właśnie w kierunku Lucasa, wywijając nożem. Trent natychmiast rozpoznał ten styl walki. Jak również i talent.

- Pomyliłaś się, Amarylis - powiedział cicho. - Tancerz spędził jednak trochę czasu na wyspie. Był tam wystarczająco długo, żeby się nauczyć Tańca Noży. Prawda?

- Jak cholera. Byłem tam trzy lata temu. - Tancerzowi błysnęły oczy. - Prawie się nam udało zająć wyspy. Gdyby nie ty i twoi kolesie już dawno byśmy kierowali tym interesem.

- On ciebie zna - szepnęła Amarylis.

- Przestań gadać i wypruj mu flaki - wrzasnął Rand. - Nie dostaniemy ani grosza, jak go nie załatwisz.

- Z przyjemnością. Więź. - Tancerz rzucił się na Lucasa. Nóż błyszczał dziwnym hipnotyzującym światłem.

Lucas uznał Tancerza za talent klasy piątej lub szóstej.

Bandyta był nie tylko mistrzem Tańca Noży. Potrafił również walczyć wręcz. Rand bez wątpienia pracował dla niego jako przyzmat.

- Dobry Boże! - Amarylis dopiero w tej chwili zrozumiała, że zaatakował ich tandem talent-pryzmat.

- Uciekaj! - krzyknął Lucas, nie spuszczać wzroku z Tancerza. - Zwiewaj stąd i to już! Biegnij w kierunku placu.

Sztuka walki z mistrzem Tańca Noży polegała na tym, by nie zwracać uwagi na ostrze. Specyficzne ruchy noża miały bowiem na celu zastraszenie i zahipnotyzowanie przeciwnika.

Lucas cofnął się o parę kroków, wbijając spojrzenie w stopy tancerza, tak by uniknąć widoku noża. Sięgnął ręką za siebie i natrafił na metalową pokrywę śmietnika.

Zatoczył nią szeroki łuk w chwili, gdy Tancerz ruszył do ataku, śmiercionośne ostrze zgrzytnęło przenikliwie na prowizorycznej tarczy.

Tancerz syknął i usiłował odskoczyć, ale Lucas nie pozwolił mu odzyskać równowagi. Pochylił się szybko i zamierzył na niego pokrywą, która jednocześnie chroniła go przed nożem.

- Ty bydlaku. Zabiję cię! - Metalowa pokrywa uderzyła go w ramię akurat w chwili, gdy usiłował ją wyminąć. Tancerz stracił równowagę, a wtedy Lucas chwycił go za ramię.

Rozległ się głośny trzask. Nóż upadł na chodnik, Lucas zadał bandycie potężny cios w szczękę.

- Lucas! -krzyknęła Amarylis. - Za tobą!

Słyszając za sobą wściekły okrzyk, Lucas odwrócił się na pięcie. Z tyłu nacierał na niego Rand. Jego wykrzywiona gniewem twarz przypominała groteskową maskę. W rękę trzymał drugi nóż. Widocznie wyciągnął go z buta – pomyślał Trent.

Natychmiast spiął się do skoku, lecz w tej samej chwili Amarylis postąpiła krok naprzód. W rękę trzymała wyjęte ze śmietnika drewniane pudło.

Zaczekała, by szarżujący wściekle na Lucasa Rand znalazł się dokładnie na jej wysokości i rąbnęła go pudłem po głowie.

Rand runął jak długi na ziemię, uderzając twarzą o chodnik. Drgnął konwulsyjnie, ale nie próbował się podnieść.

Lucas zerknął na Randa, świadom, że w żyłach nadal płynie mu adrenalina. Pamiętał to doznanie zdecydowanie za dobrze.

- Dobrana z nas para - powiedział, patrząc z uśmiechem na Amarylis.

Ale ona nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła w jakiś punkt tuż ponad jego ramieniem.

- Lucasio...

I wtedy ich usłyszał. Odwrócił się i spojrzał na trzy postacie wyłaniające się ostrożnie z ciemnej klatki schodowej. Odgłosy bijatyki przyciągnęły amatorów łatwego zysku równie szybko jak zapach krwi rannego zwierzęcia wabi hieny i szakale.

Lucas chwycił Amarylis za rękę.

- Pora na nas.

- Nie będę polemizować.

Do auta było im bliżej niż do jasno oświetlonego placu więc pobiegli w tamtą stronę.

Gdy tak pędzili przez ulicę, Trent znów zerknął za siebie. Nowo przybyli najwyraźniej nie byli pewni, co mają robić. Lucas miał jednak nadzieję, że zdecydują się raczej przeszukać kieszenie Randa i Tancerza niż gonić za nim do samochodu.

Bardzo się jednak pomylił, gdyż będąc już w niewielkiej odległości od auta zauważył, że szakale opierają się o zderzak Icera.

- Jasna cholera! - To wyglądało na spisek. Taktyka działania bandytów przypominała mu do złudzenia metody walki stosowane przez piratów. Lucas zaczął się zastanawiać, ilu złoczyńców uciekło z wysp przed ostatecznym rozgromieniem ich oddziałów.

- Tędy - pociągnął Amarylis na tyły budynku.

- Idą! - Krzyknął jeden z mężczyzn. - Cholera! Uciekają! Za nimi!

Gnali na złamanie karku wzdłuż rzędu obskurnych budynków. Amarylis dyszała ciężko, ale nie zwalniała kroku. Widocznie trenowała biegi na wytrzymałość – pomyślał Lucas. Typową miejską damulkę musiałby już wlec za sobą po chodniku.

Wypatrzył mroczną, wąską uliczkę i zawahał się przez chwilę. Gdy jednak usłyszał za sobą tupot i głośnie sapanie, zrozumiał, że ma bardzo ograniczone możliwości działania. Nie na darmo wybrano go jednak na prezesa ogromnej korporacji. Potrafił podejmować właściwie decyzje. Skręcił w zaułek.

Niestety, zorientował się natychmiast, że utknęli w ślepej uliczce. Ale było już za późno. Prześladowcy deptali im po piętach.

Z drugiej strony Jackson uważał, że Trent nie nadaje się na kierownicze stanowisko. Widać się nie mylił.

- Jesteśmy w pułapce - szepnęła Amarylis.

Lucas przycisnął ją do najbliższego muru.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście jesteś tak dobra, jak sądzisz.

- O czym ty mówisz.

- Więż. - Lucas chwycił ją za rękę. Potrzebował ogromnej siły.

- Na co ci to? Nienawidzę odzierać ludzi ze złudzeń, ale twoja specjalność nie na wiele się tu przyda.

- Nie ruszaj się, nic nie mów, nawet nie oddychaj, jeśli potrafisz. Daj mi tylko czysty pryzmat, żebym mógł ogniskować.

Amarylis nie wahała się ani chwili. W parę sekund później na płaszczyźnie psychicznej Lucasa utworzył się krystalicznie przejrzysty pryzmat.

Wysyłając weń czystą energię patrzył, jak jego talent zaczyna się rozszczepiać w kolorową wiązkę. Wybrał najciemniejszą barwę.

A potem zaczął budować wysoki, ceglany mur tuż przy samym wlocie do zaułka.

Usłyszał, jak Amarylis wstrzymuje powietrze. Wiedział że dziewczyna jest zupełnie zszokowana, ale nie miało to żadnego wpływu na jej zdolność koncentracji.

Ściana wyłoniła się nagle z mroków nocy. Pasowała do budynków po obu stronach ulicy.

Lucas musiał się zdecydować, czy ma działać szybko, czy też ostrożnie. Istniało niebezpieczeństwo, że nadmiernie wykorzystując swój talent, może pozbawić Amarylis zdolności ogniskowania. Dziewczyna dysponowała wprawdzie pełnym widmem, ale on nie mieścił się w skali.

I tak już zmuszał ją do ogromnego wysiłku. Ale Amarylis nawet na chwilę się nie ugięła. Lucas przesłał jej jeszcze trochę talentu. Wiedział, że wykracza poza dziesiątkę

Pryzmat ogniskował spokojnie dalej.

Lucas skorzystał z okazji i zwiększył energię. Złudzenie ceglanego muru stało się trwalsze. Ściana zagradzała wlot do zaułka. Lucas nie widział, co się dzieje poza murem, co znaczyło z kolei, że napastnicy stracili z oczu ulicę.

Problem polegał jednak na tym, że mur nie był materialny. Gdyby ktoś się o niego oparł, przeleciałby na drugą stronę i stanął oko w oko z Lucasem i Amarylis. Trent poczuł strużki potu na plecach. W każdej chwili mógł wypalić pryzmat, a gdyby tak się stało, sprawy przybrały by z pewnością fatalny obrót. Nawet w tej strasznej chwili Trent czerpał ogromną radość z wykorzystywania swego talentu. Zaczął się wręcz rozkoszować tym niezwykle intensywnym i wielce przyjemnym doznaniem.

Z drugiej strony iluzorycznego muru zadudniły kroki.

- Gdzie oni poszli, do cholery? - wycharczał mężczyzna.

- Schowali się na jakiejś klatce albo co?

- Muszą tu gdzieś być. Widziałem, jak skręcali.

Lucas zrozumiał, że niektóre cegły w górnej części muru są częściowo przezroczyste. Amarylis ścisnęła go uspokajająco za rękę, by dać mu do zrozumienia, że nic się jej nie stanie. Na przyjęciu w muzeum również go w ten sposób pocieszała. Lucas przepuścił więc jeszcze trochę talentu przez pryzmat, by umocnić górną warstwę cegieł.

- Tu jest wszystko pozamykane - powiedział ktoś po drugiej stronie wizji. - I drzwi, i okna. A oni nie mieli przecież czasu, żeby wyważać zamki albo tłuc szyby. Gdzie oni są?



- Chyba uciekli - powiedział ze wstrętem jakiś głos. - Mówiłem ci, że nie powinniśmy pracować z tym nożownikiem Tancerzem i jego kumplem. Ten gość bardzo się zmienił od czasu inwazji na wyspy.

- Ale nie mieliśmy wyboru. Nie było czasu, żeby zatrudnić jakiś wiarygodny talent. Klient jest wkurzony. Zdaje się, że Trent wyrzucił go z miasta. Chciał więc załatwić Lodziarza za pierwszym podejściem i tyle.

- Myślę, że ten facio nie może się tu na razie pokazywać. Tancerz i Rand spieprzyli robotę. Wejmy, zanim ktoś wezwie policję.

Lucas wsłuchiwał się długo w milknący odgłos kroków. Zatrzymał jednak złudzenie muru, dopóki się nie upewnił, że mężczyźni zniknęli na dobre. Dopiero gdy został sam na sam z Amarylis, zdecydował się odciąć dopływ energii od pryzmatu.

Ściana zniknęła. Na jej miejscu znów pojawił się chodnik i ulica.

Słyszał, jak Amarylis wypuszcza powietrze. Dziewczyna milczała. Ogromna radość, jakiej doznał zaledwie przed chwilą, ulotniła się wraz z murem. Trzeba było wrócić do niemiłej rzeczywistości.

Ona wie - pomyślał Lucas i poczuł chłód w okolicy serca. Nikt poza Dorą nie znał dotąd całej prawdy o jego zdolnościach.

Wampir psychiczny.

- Idziemy - powiedział zmęczonym głosem. - Musimy poszukać policjanta. Tym razem prawdziwego.

**T**ancerz i Rand nadal leżeli w miejscu, gdzie zostawił ich Lucas. Mieli puste kieszenie i ponure miny. Oskarżali o wszystko swoich kumpli, którzy czekali na Trenta przy samochodzie.

- Tamtych też znajdziemy - zapewnił Lucasa jeden z policjantów. - Wiemy, gdzie ich szukać. Nie domyśla się pan przypadkiem, dlaczego pana napadli?

Lucas potarł z namysłem kark.

- Myślę, że musicie o to spytać niejakiego Beecha.

- Naprawdę? - policjant spojrzał domyślnie na Lucasa. - Pewnie musiał go pan nieźle wkurzyć.

- Czasem rzeczywiście działałam w ten sposób na ludzi.

**P**odczas jazdy do domu Amarylis milczała jak zaklęta. Trent nie wiedział, czy jest zła, zszokowana, czy przerażona. Czuł, jak przenika go chłód.

To był koniec. Wiedział zresztą od początku, że ten związek nie ma racji bytu.

Gdy patrzył, jak Amarylis podchodzi do drzwi, Ogarnęła go desperacja. Usiłował sobie jednak wmówić, że oplakiwanie tej straty jest zupełnie bezsensowne. I tak nie mieli przed sobą przyszłości. Mógł co najwyżej liczyć na krótki romans. A nawet i taka perspektywa wydawała mu się równie iluzoryczna jak mur, który zbudował tego wieczoru.

- Przykro mi. - Stał na schodach i pocierał bezradnie kark. - Powinienem być ci powiedzieć. Ale jak do tej pory prawdę o moim talencie znał jedynie Icy Claxby i moja żona Dora.

- Kto to jest Icy Claxby?

Przestał pocierać szyję. Wiedział, że napięcie i tak nie ustąpi. Chwycił ręką za kławkę.

- Wychowywał mnie po śmierci moich rodziców. Był niewyszkolonym pryzmatem. Rozpoznał moje umiejętności. Ostrzegł mnie również, żebym nikomu się do nich nie przyznawał. Mówił, że będą mnie nazywać wampirem.

- Wampirem psychicznym.

Przymknął oczy i pokonał ból.

- Zgadza się.

- Ale przecież poddałeś się testom i zostałeś sklasyfikowany jako dziewiątka.

- Nie zgadzałem się na badania, dopóki się nie przekonałem, że potrafię panować nad swoim talentem.

- Masz ich więcej. Jesteś nie tylko wykrywaczem, ale jeszcze iluzjonistą.

- Tak.

- To niesłychanie rzadki przypadek. - Mówiła tak obojętnym tonem, jakby wygłaszała wykład.

- Wiem, że przeżyłaś szok.

- Owszem.

- Zdaję sobie również sprawę z tego, że pryzmaty na ogół unikają współprac z talentami, które mogą je wypalić. I słyszałem oczywiście te wszystkie opowieści o talentach wykraczających poza skalę. Ale ogniskowałaś dla mnie dziś po południu, a przecież nic ci się nie stało. Nie przejąłem kontroli nad twoim umysłem.

- Nie, rzeczywiście niczego takiego nie zrobiłeś.

- Co świadczy jedynie o tym, że te legendy są śmiechu warte. To tylko koszarne opowiadki. A ludzie czasem lubią się bać na niby.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Lucas nie rozumiał, dlaczego walczy z czymś nieuchronnym. Tracił tylko czas. - Poza tym taka sytuacja już się nigdy nie powtórzy. Nie chcę, żeby to nam popsulo stosunki.

Rozważała przez chwilę jego słowa.

- Zawsze wiedziałam, że jestem silnym pryzmatem... - stwierdziła, patrząc mu głęboko w oczy.

- Co nam obojgu wyszło na dobre - mruknął Lucas.

- ...ale nie wybrykiem natury - dokończyła poważnie.

Zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz? Jakim znowu wybrykiem?

- Nie rozumiesz? Przecież działałeś poza skalą. Przyjmijmy umownie, że na poziomie jedenastki albo dwunastki. A ja to wytrzymałam.

- Wiem, co czułaś, ale...

- Naprawdę nie rozumiesz, o co mi chodzi? Skoro ogniskowałam dla wampira psychicznego, to co z tego wynika?

- Co powiedziałaś? - Powoli zaczynał do niego docierać sens jej słów.

- Dysponuję taką samą siłą jak ty - powiedziała bardzo cicho. - Ujmując rzecz bardziej technicznie, moc pozostaje mocą niezależnie od tego, kto ją posiada.

Jeszcze pamiętał tę niezwykłą radość, jaką odczuwał podczas więzi z Amarylis.

- Nie zastanawiałem się nad tym w tych kategoriach.

Amarylis zeszła z powrotem na najwyższy stopień schodów, wspięła się na palce i objęła Lucasa za szyję.

- Zdaje się, że łączy nas znacznie więcej, niż sądziliśmy - powiedziała, muskając delikatnie wargami jego usta. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nie ja jedna posiadam energię, której nawet nie można zmierzyć.

Lucas pomyślał, że chyba znalazł się nagle w samym środku stworzonej przez siebie iluzji. W chwilę później doszedł jednak do wniosku, że nic ma sensu się zastanawiać nad charakterem tego związku. Był człowiekiem z natury pragmatycznym, a nie filozofem.

Przycisnął Amarylis do piersi, uniósł ją do góry i przekroczył próg.

## Rozdział ósmy

Ustyszawszy stukot zamykanych drzwi, zrozumiała, że to Lucas je zamknął. Trent nie trudił się nawet, żeby zapalić lampę, tylko od razu zaniósł Amarylis do salonu skąpanego w poświacie bliźniaczych księżyców.

Natarczywość Lucasa zaparła jej dech w piersiach. Trent wcale się nie starał ukryć pożądaniami, które okazało się równie potężne jak jego talent. Amarylis czuła, że przepływająca przez nią fala namiętności obmywa ją całkowicie z resztek napięcia i strachu, jaki towarzyszył jej od chwili spotkania z bandytami.

Otulona żarem bijącym od Lucasa odrzuciła na bok wszystkie pytania i resztki zdrowego rozsądku, co było do niej zupełnie niepodobne. Przyszłość mogła zaczekać. Liczyła się tylko ta chwila i to, co się zaraz stanie. Przecież tak długo czekała na mężczyznę swych marzeń.

- Lucacie... - Objęła go jeszcze mocniej.

- Jestem tutaj - szepnął. - Nie mógłbym stąd wyjść nawet za cale złoża galaretowatego lodu na Wyspach Zachodnich.

Pchnął ją delikatnie na kanapę, a sam położył się na niej i pocałował namiętnie w usta. Dysząc ciężko, wyjmował szpilki z jej koka.

- Twoje włosy pachną jak kwiaty, które widziałem w dżungli - powiedział.

Drżącymi palcami zaczął rozpinać jej bluzkę, a potem przerwał na chwilę pocałunek, by spojrzeć na piersi dziewczyny.

- Jesteś piękna. - Delikatnie dotknął sterczącej sutki, a potem wessał ją głęboko do ust.

Ogarnięta nową falą namiętności przytuliła się do Lucasa i wyczuła twardy, ogromny dowód jego żądz. Po krótkiej walce z guzikami rozpięła mu wreszcie koszulę i nieśmiało dotknęła palcami jego piersi. Jęknął.

Pieściła go coraz śmieiej, a gdy musnęła lekko zebra, natrafiła na dziwne zgrubienie skóry.

- Byłeś ranny? - szepnęła.

- Wypadek. - Zbył ją namiętnym pocałunkiem. - Pragniesz mnie, prawda? Wiem, że tak.

- Nigdy niczego bardziej nie chciałam – powiedziała szczerze.

I nie kłamała. Ogarnął ją radosny bezwład. Nigdy nie marzyła, że może się okazać aż tak silna. A prawdę o sobie odkryła dzięki mężczyźnie, który mógł z nią dzielić tę niezwykłą moc. Ta świadomość była zupełnie oszałamiająca.

Hamulce puściły. Dzika, wolna i owładnięta namiętnością stanęła nagle u wrót wielkiej tajemnicy. Pytania domagały się odpowiedzi.

Lucas okrywał pocałunkami jej nagie ramiona i pieścił językiem ucho. Pod każdym jego dotknięciem kryła się niecierpliwość.

Podciągnął jej spódnicę aż do talii, przesuwał szorstką dłoń po gładkim udzie dziewczyny.

Krzyknęła z rozkoszy.

- Wszystko w porządku? - Podniósł głowę i poszukał wzrokiem jej twarzy.

- Oczywiście, że tak. - Wbiła mu palce we włosy i dotknęła ustami jego warg.

Roześmiał się ochryple i jęknął. Amarylis usłyszała trzask rozrywanego materiału i zdała sobie sprawę, że właśnie pękły jej majteczki.

- Cholera - mruknął Lucas. - Przecież nie chciałem.

- Nie martw się. Kupuję je tuzinami na wyprzedazy. - Uniosła kolano i oparła je o udo Lucasa.

- Następny zapas ja ci kupię - szepnął, zanurzając twarz w zagłębieniu jej szyi.

Odpiął pasek, zdjął spodnie i położył się między nogami Amarylis. Gdy zaczął ją pieścić, zadrżała. Czowała, że jest mokra, i była bardzo zadowolona, że w sypialni panuje mrok.

Spróbował wsunąć się w nią delikatnie. Wtedy po raz pierwszy odczuła niepokój.

- Jesteś taka wąska... mała i wąska - szepnął.

- Wcale nie. To ty jesteś za duży. - Z uśmiechem dotknęła jego twarzy. - Ale nie musisz się martwić. Nic mi nie będzie.

Wydał ochryply, głęboki dźwięk i wbił się w nią tak nagle, że niemal się przestraszyła.

Zesztywniała, wbijając mu palce w plecy. Ból był silniejszy, niż się spodziewała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i próbowała się skupić na swoim własnym oddechu.

- Amarylis.

Mimo nieprzyjemnych doznań, miała ochotę się roześmiać. Lucas najwyraźniej przeżył szok.

- Nie martw się. - Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go namiętnie. - Nic mi...

- Wiem, wiem. Nic ci nie będzie. - Oddał jej czule pocałunek. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo to nieważne.

- Jasne. - Lucas uniósł biodra w górę, zdecydowany wycofać się.

- Nie - Amarylis objęła go mocno za szyję. - Nie przestawaj! Chcę tego. Pragnę cię.

- Nie tak bardzo jak ja ciebie. Nie sądziłem jednak, że jesteś dziewczyną.

- To nie ma znaczenia. Mogę już chyba sama dokonywać takich wyborów?

- Pewnie. - Oczy załśniły mu w ciemnościach. - Więż.

- Co? - W pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Chcę się z tobą połączyć.

Posłuchała. Była już i tak zbyt zdezorientowana, by zarejestrować to poczucie bezradności, jakie zawsze poprzedzało więź. Jej umysł zamknął się całkowicie na płaszczyźnie psychicznej. Instynktownie stworzyła pryzmat.

- Pięknie. - Lucas wbił się głęboko w jej ciało w chwili, gdy przesłał przez pryzmat roziskrzone fale energii.

Nie starał się nawet zogniskować swego talentu. Pozwolił, by świetlne fale utworzyły kaskadę spadającą z ogromną szybkością do błyszczącej, wirującej sadzawki.

Nigdy nie sądził, że można zakosztować takiej głębi wrażeń i poczucia intymności.

Był jej prawdziwym kochankiem. Takim, na jakiego zawsze czekała.

Talent i pryzmat złączyły się swoją wspólną siłą.

Amarylis doznała tak ogromnej rozkoszy, że miała ochotę krzyknąć, lecz nie mogła złapać oddechu. Wystrzeliła w górę wraz z fontanną światła, koloru i energii. A gdzieś głęboko w jej wnętrzu eksplodowała euforia, podniecenie i radość.

Nadal odczuwała lekki ból, lecz zmieszał się on zupełnie z fajerwerkami innych wrażeń.

- Niewiarygodne - szepnął Lucas i zaczął się rytmicznie poruszać, a jednocześnie dotknął niewielkiego kłębuszka, w którym splatały się zakończenia jej nerwów – źródła kobiecej rozkoszy.

Amarylis przestała oddychać. Wzbierało w niej cudowne, nieznanne napięcie.

- Trzymaj mnie! - Lucas wszedł w nią jeszcze głębiej. - Nie puszczaj. - Wycofał się wolno i znów zanurzył się w środku. - Nie. Puszczaj. Mnie.

- Nigdy. - Przywarła do niego z całą mocą.

Pryzmatem targnęła ogromna siła.

I to już było zbyt wiele. Napięcie w dolnych częściach jej ciała rozładowało się nagle i bez ostrzeżenia. Amarylis runęła w wirujące odmęty oceanu najróżniejszych doznań. Tracąc resztki zdolności koncentracji, dziewczyna przerwała więź, ale to już się nic liczyło. Całe jej ciało omywały bowiem fale rozkoszy.

Lucas wbił się w nią po raz ostatni i zeszywniał. Potem wydał triumfalny okrzyk i upadł ciężko na jej drżące, spocone ciało.

**R**obiłeś to już kiedyś - spytała Amarylis po dłuższej chwili.

- Nigdy. - Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył w oczy. - Wiedziałem, że sprawiam ci ból. Miałem więc nadzieję, że jeśli się skupisz na ogniskowaniu, przestaniesz o tym myśleć.

- Bardzo sprytnie.

- Dzięki. Biorąc pod uwagę fakt, że byłem zupełnie rozkojarzony, wpadłem dosyć szybko na niezły pomysł.

- Co czułeś podczas więzi? - Spytała nie spuszczać z niego wzroku.

- Coś cudownego. Nadal zresztą tak się czuję.

- To, co się z nami dzieje, nie jest jednak całkiem normalne.

- Możliwe, ale nie widzę powodu do zmartwienia.

- Lucanie...

Położył palec na jej ustach. Nie chciał, by zaczęła powątpiewać w ich wzajemną fascynację.

- Oboje wiemy, że talenty wysokiej klasy i pryzmaty nie czują do siebie pociągu, ale być może, jeśli to się już zdarzy, część z tych doznań seksualnych przenosi się na więź. Czy to cię dziwi?

- Tak.

- Dajmy sobie spokój z tym problemem.

- Nie prowadzono zbyt intensywnych badań nad talentami i pryzmatami czującymi do siebie pociąg seksualny.

- Bo to niesłychanie rzadkie zjawisko. Nie wiem, jak ty, ale ja nie mam ochoty na żadne testy. Jeśli natomiast chcesz prowadzić badania prywatne, możesz na mnie liczyć. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował.



Miała takie delikatne, miękkie usta. Wciąż pachniała miłością. Lucas poczuł, jak wzbiera w nim zadowolenie.

Kiedy jednak w chwilę później uniosła głowę, patrzyła na niego stroskanym spojrzeniem.

- Co się stało? - spytał Lucas.

- Nic.

Ogarnął go lekki niepokój. Zdawał sobie sprawę, że nie wie zbyt wiele o kobietach, ale nie był głupi. Jeśli kobieta twierdzi, że nic się nie stało, nie należy jej wierzyć.

Amarylis dość długo czekała na pierwszego kochanka. Być może doznała rozczarowania. Albo miała wyrzuty sumienia.

Nie mógł pozwolić jej odejść. Przecież dopiero co ją znalazł. Pokonał w sobie lęk przed zagrażającą mu stratą i zdecydował się zapytać ją o coś, co nie dawało mu spokoju.

- Bardzo długo nie decydowałeś się na romans. Dlaczego?

- Wiesz, co mówią o pryzmatach. Jesteśmy wybredne.

Dużo później Amarylis wreszcie przyszła do siebie.

- Lucasie?

- Tak? - Trent nadal leżał obok niej na kanapie i najwyraźniej chciało mu się spać.

- Naprawdę myślisz, że Merrick Beech wynajął tych zbirów, żeby cię zabili?

Ziewnął.

- Mogę się o to założyć.

- A co zrobimy, jeżeli policja nie odzuka Beecha.

- Znajdą go. Beech jest za głupi, żeby się dobrze ukryć.

- Na pewno?

- Jasne.

Następnego ranka obudził go kuszący aromat herba-kawy. Lucas uniósł leniwie głowę, rozkoszując się faktem, że leży w łóżku Amarylis. Słyszał, że dziewczyna krząta się po kuchni, ale nadal czuł zapach jej ciała. Wciągnął głęboko powietrze. Pomyślał, że ta słodka woń wystarczyłaby mu całkowicie do życia.

Wspomnienia minionej nocy uderzyły w niego z taką mocą jak energia talentu w pryzmat. Znów poczuł przyływ pożądania. Odrzucił koldrę i usiadł na brzegu łóżka. Zastanawiał się, jak

zaplanować nadchodzący dzień. Miał kilka spotkań, a Amarylis na pewno musiała iść do pracy. Zostawał jedynie wieczór, a związane z nim nadzieje całkowicie zaprzątały mu umysł

W drodze do toalety obejrzał sobie dokładnie schludną sypialnię Amarylis. Wszystko tutaj było białe-czarne, czyste i funkcjonalne, podobnie jak cała reszta domu.

Otworzywszy szafę stwierdził, że znalazłoby się tu miejsce na jego ubrania. Zajrzał do komody i uśmiechnął się szeroko gdy jego oczom ukazały się równiutkie stosiki porządnie złożonej bielizny.

Pogwizdując, wszedł do czarno-białej łazienki i zatrzymał się jak wryty na widok swego lustrzanego odbicia. Z grymasem niesmaku potarł czarną szczecinę i postanowił, że następnym razem na pewno zabierze ze sobą maszynkę do golenia. Żaden problem. Może przecież ją trzymać w skrytce Icera.

Oparłszy ręce na umywalce zbliżył twarz do lustra. Wiedział, że nigdy nie był przystojny, ale dopiero tego ranka uświadomił sobie, jak fatalnie wygląda. Zupełnie jak wampir psychiczny z powieści. W silnym świetle lampek rozmieszczonych wokół lustra jego oczy wydawały się jeszcze bardziej podkrążone.

I skąd się wzięły te siwe włosy? Lucas wiedział, że jest zaledwie sześć czy siedem lat starszy od Amarylis, a kobiety woła na ogół dojrzałych mężczyzn.

Lecz są też i takie, które z pewnością marzą o młodym kochanku.

Z jakiegoś bliżej nie znanego powodu zaczął się zastanawiać, co też Amarylis wpisała do ankiety w rubryce; „wiek kandydata”. Oczywiście nie miało to dla niego większego znaczenia. Małżeństwo i tak nie wchodziło rachubę.

Popatrzył na ogromną bliznę pod żebrami. W tym miejscu trafiła go zdradziecka kula pirata. Podrapał bezmyślnie szramę, a potem dostrzegł brzydki ślad na prawym ramieniu. Była to pamiątka po spotkaniu z węzo-nietoperzem.

Trudno było polemizować z rzeczywistością. Nie prezentował się najlepiej. A już szczególnie w tym ostrym świetle. Doszedł więc szybko do wniosku, że odtąd będzie się kochał z Amarylis tylko przy zgaszonej lampie.

Z drugiej strony, jeśli ta dziewczyna nie bała się talentu wykraczającego poza skalę, istniała również szansa na to, że nie ulęknie się paru blizn.

Tak czy inaczej nie miał już dłuższej ochoty na siebie patrzeć. Wszedł do kabiny prysznicza wyłożonego białymi kafelkami i zaczął robić plany na wieczór. Kolacja w dobrej restauracji

rybnej. Na przykład w Founders Grill. Butelka dobrego wina. Najlepiej mocnego, niebieskiego, a nie tego zielonego cieńkusa. Wybrałby stolik w odosobnionym kąciku, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać o przyszłości.

Kiepski pomysł.

Skrzywił się i namydlił obficie tors. Talenty i pryzmaty nie miały przed sobą przyszłości. Mogły liczyć jedynie na krótkotrwałe romanse, a i to dosyć rzadko.

Zresztą poza zdolnościami parapsychicznymi nic go z Amarylis nie łączyło. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, żeby usiedli sobie w kąciku i porozmawiali o swoich sprawach. A potem poszliby do domu. Tym razem do niego. Chciałby się z nią kochać całą noc. Musiałby tylko pamiętać o zgaszeniu światła.

Piętnaście minut później wszedł do kuchni. Amarylis układała coś na stole. Już była ubrana w biurową, prostą garsonkę. Włosy upięła w węzeł na czubku głowy. W uszach błyszcząły jej dyskretne złote kolczyki w kształcie kuleczek.

Na jej widok od razu wrócił mu humor. Amarylis – mimo oficjalnego stroju - wyglądała bowiem tak samo promiennie jak słońce wpadające do kuchni przez okno. Znów wprawiła go w całkowite oszołomienie. Należała do niego, przynajmniej przez tę jedną krótką chwilę.

Odwróciła głowę, a na jej policzki wystąpiły delikatne rumieńce.

- Dzień dobry - powiedziała i natychmiast opuściła oczy. - Herba-kawy?

- Tak - Lucas zrobił krok naprzód, co kosztowało go sporo wysiłku.

- Mam też trochę jago-gruszek.

- Świetnie. - Lucas usiadł na najbliższym stołku i oparł się o ladę. Myślał o planach jakie robił pod prysznicem.

- Co do dzisiejszego wieczoru... - zaczął.

- Dziwne, że o tym wspomniałeś. Amarylis nalala mu herba-kawę do kubka. - Właśnie zamierzałam coś zaproponować.

- Naprawdę?

- Tak. Coś mnie rano natchnęło.

Ni z tego, ni z owego ogarnął go błogi, niewytłumaczalny niepokój.

- O czym mówisz?

Amarylis odstawiła dzbanek i popatrzyła na Lucasa roziskrzonymi oczyma

- O tym, że możemy się dowiedzieć czegoś więcej o śmierci profesora.

Lucas poczuł, że przechodzi go dreszcz.

- Chyba już uzgodniliśmy, że damy sobie spokój z tą sprawą.

- Och, nie. - Rozszerzyła niewinnie oczy. - Skąd ten pomysł?

- Taką miałem nadzieję. Ale mów dalej. Widocznie coś mi się pomyliło.

- Otóż dziś rano przypomniałam sobie o tych pudłach.

- Pudłach?

- Tak. Tam są jego książki, dokumenty, notatki. Irene Dudley, jego sekretarka, twierdzi, że spakowała rzeczy Landretha zaraz po wypadku, a teraz one czekają, żeby ktoś się po nie zgłosił.

- I co z tego?

- No, pomysł. W tych kartonach jest na pewno kalendarz profesora.

- Wiem, że nie powinienem o to pytać, ale co ty właściwie zamierzasz zrobić z jego kalendarzem?

Amarylis uśmiechnęła się triumfalnie.

- Chcę się dowiedzieć, z kim się spotkał w ostatnim dniu swego życia.

- Zdaje mi się, że pojechał w góry. Sama mi mówiłaś, że Landreth miał tam dom.

- Tak, ale on nigdy nie wychodził z biura przed piątą. Uważał, że to by było nieetyczne.

- Aha, rozumiem.

- Na pewno znajdziemy jakieś interesujące zapiski.

Znów ogarnęła go irytacja.

- Mam wrażenie, że zaprzątasz sobie głowę tą sprawą wyłącznie dlatego, że przyzmat Sheffielda mógł przejść szkolenie u Landretha.

Zesztywniała.

- Tak, to istotnie wzbudziło moje zainteresowanie. Ale im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiam, tym więcej mam pytań. Nie dziwi cię fakt, że kampania Sheffielda przybrała takie rozmiary zaledwie parę miesięcy temu?

- Nieszczególnie.

Udała, że nie słyszy jego uwagi.

- Mogę się założyć, że Sheffieldowi udało się ją rozkręcić dopiero po tym, jak zatrudnił przyzmat zdolny do ogniskowania jego charyzmy.

- Więc?

- Profesor Landreth mógł odkryć, co się dzieje, i może usiłował temu zapobiec.

- Co ty właściwie sugerujesz?

- Nie wiem - przyznała szczerze. - Ale dręczy mnie coraz więcej wątpliwości. Muszę poprosić Irene Dudley, żeby mi pozwoliła przejrzeć te pudła. Przy odrobinie szczęścia znajdę kalendarz. Chcę się przekonać, co w nim jest. Dziś wieczorem zorientuję się w sytuacji i podejmę jakąś sensowną decyzję.

Lucas pochylił się nad kubkiem.

- Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz poświęcić cały wieczór na to przekłete śledztwo?

Amarylis miała wyraźnie urażoną minę.

- Sądziłam, że chcesz się włączyć do sprawy. Wczoraj wieczorem bardzo mi pomogłeś. Ale jeśli masz inne plany, to ja oczywiście nie będę miała do ciebie pretensji.

- Co ci przyszło do głowy? Myślę wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej przejrzeć kalendarz Landretha! Dlaczego sam nie wpadłem na tak fantastyczny pomysł?

Amarylis stała spokojnie w antykwaracie i ogniskowała energię jego właścicielki, Marilyn O'Rourke, która obracała z namysłem potłuczony gliniany talerz.

- Drugie Pokolenie - mruknęła Marilyn. - Świetny przykład wczesnych technik wypalania. Wspaniałe znalezisko. Kupiłam na aukcji w zeszłym tygodniu.

- Jak zwykle intuicja cię nie zawiodła. Ty już mnie chyba nie potrzebujesz.

Właścicielka antykwariatu promieniała. Była niską, modnie ubraną kobietą z głową do interesów. Z Psynergią podpisała umowę na stałe. Jako piątka ze zdolnościami do określania wieku i pochodzenia antyków odniosła ogromne sukcesy w wybranym przez siebie zawodzie.

- Zawsze chcę być pewna. - Marilyn odstawiła ostrożnie talerz i wzięła do ręki niedokładnie pomalowaną wazę.

- Poza tym klienci wiedzą, że potwierdzam autentyczność wszystkich przedmiotów z pomocą wykwalifikowanego przyzmatu ze znanej firmy. A przecież w tym interesie nie brak szarlatanów.

Praca z Marilyn nie wymagała wiele wysiłku. Amarylis nie musiała się przy niej specjalnie koncentrować. Zrozumiała, że przyjmowanie energii tej kobiety i ogniskowanie dla Lucasa to tak jakby porównać blade światło księżycy i słoneczny żar.

Więź z Marilyn absolutnie nie miała intymnego charakteru. Współdziałały po prostu ze sobą, tak jak to zwykle czynią ludzie, którzy muszą się posługiwać tym samym narzędziem.

Nic specjalnego.

Zresztą według wszelkich badań naukowych taka właśnie była norma. Jedyne wyjątki od reguły stanowiły jej sesje z Lucasem.

- Wystarczy. - Marilyn uśmiechnęła się z zadowoleniem i otrzepała rękę. - Zadzwoń teraz do kolekcjonerów zainteresowanych Drugim Pokoleniem i powiem im, że znowu zdobyłam coś ciekawego.

Amarylis przerwała więź. Pryzmat znikł.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Nie dzisiaj.

- Mogę skorzystać z telefonu? - Amarylis zerknęła na zegarek. - Cały rano usiłowałam się do kogoś dodzwonić, ale bez skutku. Obawiam się, że jeśli spróbuję trochę później, w ogóle nikogo tam nie zastanę.

- Dziękuję. - Amarylis stanęła za biurkiem i podniosła słuchawkę. Wybrała numer Irene Dudley i czekała, żeby sekretarka podniosła wreszcie słuchawkę.

Ku jej ogromnej uldze Irene odebrała telefon już po trzecim dzwonku.

- Wydział nauk ogniskowych. Gabinet profesor Yamamoto - odezwała się Irene służbowym tonem.

- Irene? Tu Amarylis Lark. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

- Przykro mi, panno Lark. Byłam u dentysty, a ponieważ profesor Yamamoto wyszła z biura, kazałam odbierać telefony asystentce. Ale widzi pani sama, jak to jest.

- Muszę cię prosić o przysługę.

- W czym mogę pomóc?

- Zamierzam wpaść do ciebie po pracy i przejrzeć te pudła. Wiem, że to brzmi trochę dziwnie, ale wszystko ci wytłumaczę.

Po drugiej stronie linii zaległa cisza.

- Chciałaby pani przeszukać kartony?

- Tak.

- Niesamowite!

Amarylis poczuła, że przechodzi ją nieprzyjemny dreszcz.

- W czym problem? Rozumiem, że to niezwykła prośba, ale naprawdę mam ważny powód, żeby to zrobić.

- Oczywiście. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że znalazłam na biurku pewną informację od asystentki, której udało się jakoś odebrać ze dwa telefony.

- Informację?

- Tak.

- Podobno dzwonił jakiś krewny profesora. Jutro z samego rana chce zabrać jego rzeczy.

Amarylis usiadła ciężko na najbliższym krześle, datującym się z epoki Wczesnych Odkryć.

- Ale te pudła stoją nadal u ciebie w biurze?

- No... tak - przyznała niechętnie Irene i odchrząknęła. - Ale nie mogę ich pani udostępnić. Teraz, gdy ktoś się po nie zgłosił, uważam, że nikt nie powinien ich przeglądać. Będzie musiała się pani zwrócić w tej sprawie do rodziny profesora.

- Oczywiście. - Amarylis usiłowała bezskutecznie zebrać myśli.

- A co tak panią interesuje?

Nie było sensu niepokoić Irene bezsensownymi podejrzeniami.

- Byłam tylko ciekawa jego notatek na temat testów. Nic ważnego. Dziękuję.

**L**ucas odebrał telefon na swojej prywatnej linii już po drugim dzwonku.

- Trent, słucham - powiedział, nie odrywając wzroku od ostatniego sprawozdania z terenu.

- Lucas? Tu Amarylis. Obawiam się, że muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie.

Poczuł dziwny ucisk w żołądku.

- Dlaczego?

- Trudno mi to wytłumaczyć przez telefon. Coś się wydarzyło. Muszę wyjść.

- Sama?

- Tak, proszę, już o nic nie pytaj. Lepiej będzie, jeśli nie poznasz szczegółów.

Doznał dziwnej ulgi pomieszanej ze strachem. Amarylis nie zamierzała się spotkać z innym mężczyzną. To była dobra wiadomość.

Ale pozostawała jeszcze druga strona medalu.

- Posłuchaj mnie, Amarylis. Przyjadę do ciebie zaraz po pracy. Nigdzie się beze mnie nie ruszaj.

## *Rozdział dziewiąty*

To już druga randka, jaką udało ci się popsuć.

Lucas stał obok Amarylis w cieniu biblioteki uniwersyteckiej i patrzył na zatopione w mroku wejście do budynku, w którym mieścił się wydział nauk ogniskowych.

- Przestań narzekać - szepnęła Amarylis. - Ostrzegłam cię, że nie będziesz zadowolony.

- Tak. Oczywiście, że mnie uprzedzałaś. Nigdy bym się nie domyślił, że masz takie hobby.

- Jakie?

- Włamania.

Amarylis poprawiła sobie niepewnie kołnierz. Jej delikatny profil tonął w świetle bliźniaczych księżyców. Miała bardzo poważny i stanowczy wyraz twarzy. Jedno spojrzenie na dziewczynę wystarczyło, by Lucas zrozumiał, że na pewno niczego jej nie wyperswaduje.

- Nie zamierzam niczego ukraść – powiedziała. - Chciałabym tylko rzucić okiem na kalendarz profesora.

Pod pozorną brawurą dźwięczała wyraźnie nutka strachu i Lucasowi zrobiło się trochę żal Amarylis.

- Sądzisz, że wyrzucą cię z hukiem z Rady Etycznej Pryzmatów, jeżeli się dowiedzą, co zrobiłaś?

- Pomyśl lepiej, jak by się z ciebie śmiali członkowie Klubu Podróżników z Wysp Zachodnich, gdyby teraz zobaczyli twoją minę.

- Ten klub już nie istnieje.

- Rada Etyczna również. Nie cieszyła się zainteresowaniem. - Amarylis rozejrzała się uważnie. - Chodź już. Im szybciej się tam dostaniemy, tym szybciej wyjdziemy.

Lucas powstrzymał się od dalszych komentarzy i poszedł za nią wybrukowaną alejką. Ku jego ogromnej uldze Amarylis nie zmierzała wcale w stronę gmachu nauk ogniskowych, tylko poprowadziła go zarośniętą ścieżką na tyły wydziału.



W chwilę później stanęła przed służbowym wejściem i obejrzała sobie dokładnie zamek z galaretowatego lodu.

- Jeśli dopisuje mi szczęście, to chyba nie zmienili szyfru - szepnęła.

Wszystko byłoby takie proste, gdyby ona nie potrafiła otworzyć tych drzwi - myślał Lucas.

- Mamy zupełnie inną koncepcję szczęścia - mruknął.

- Pilnuj - syknęła.

Lucas robił, co mu kazano, a tymczasem Amarylis wystukiwała całą serię cyfr. Na szczęście lub nieszczęście - w zależności od punktu widzenia - władze uczelni niedbały szczególnie o bezpieczeństwo tej szacownej placówki. Trent nie dostrzegł nawet śladu po strażniku ani nikim innym, kto mógłby się stać mimowolnym świadkiem włamania.

- No!

Jej cichy okrzyk powiedział mu jasno, że drzwi są otwarte. Amarylis weszła do ciemnego holu i skinęła na Lucasa.

- Pospiesz się, dobrze?

- Spokojnie. Idę za tobą. - Lucas jednym susem znalazł się w korytarzu, po czym zamknął za sobą drzwi, odcinając w ten sposób jedyne źródło światła, jakie stanowiły bliźniacze księżyce.

Znaleźli się nagle w całkowitych ciemnościach, a Trent usłyszał łoskot.

- Auu - zawyła Amarylis.

- Co się stało?

- Wpadłam na wieszak.

Lucas wyjął z kieszeni latarkę w kształcie ołówka i na podłodze ukazała się cienka strużka światła.

- Lepiej?

- O wiele. To bardzo mądrze z twojej strony, że pomyślałeś o latarce.

- Jako zawodowy ochroniarz, muszę pamiętać o takich drobiazgach.

Amarylis ruszyła naprzód.

- Gabinet profesora jest w tym korytarzu. Mam nadzieję, że i tam nie zmienili kodu

- Biorąc pod uwagę stan bezpieczeństwa firmy, sądzę, że możesz na to liczyć.

- Nie było się po prostu czego obawiać. - Amarylis stanęła na wprost przeszklonych drzwi.

Lucas oświetlił tabliczkę z nazwiskiem dziekana wydziału, a Amarylis wcisnęła kolejny kod. Zamek z galaretowatego lodu ustąpił natychmiast i drzwi od biura otworzyły się, jak tylko Amarylis nacisnęła klamkę. Kiedy Lucas wszedł za nią do pokoju, dojrzał stojące przy ścianie pudła.

- Do diabła - mruknął. - Jest ich tu chyba z tuzin. Przejrzenie wszystkich będzie trwało wieki.

- Pani Dudley jest osobą niezwykle metodyczną. - Amarylis podeszła stanowczym krokiem do ściany, pod którą stały pudła. - Znam ją. Zawsze bezbłędnie wszystko organizuje. Muszę po prostu znaleźć karton z rzeczami zabranymi bezpośrednio z biurka.

Lucas oświetlił nalepki na pudłach. Na wszystkich umieszczono bardzo precyzyjne informacje. *Landreth: Akta prywatne. Notatki z badań nad naukami ogniskującymi. Współpraca między talentem klasy drugiej a przyzmatem.*

Lucas przesunął światło na kolejny rząd kartonów i odkrył inne pomocne nalepki. *Landreth: Rzeczy prywatne – Szuflada numer jeden. Landreth: Rzeczy prywatne - Szuflada numer dwa.*

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział Lucas. - To się nazywa mentalność urzędnicza.

- Dzięki niej może się nam uda coś znaleźć. - Amarylis odsunęła pudło, by wydostać karton stojący na samym spodzie. - Profesor Landreth zawsze twierdził, że pani Dudley ma talent organizacyjny. Dlatego tak im się dobrze razem pracowało.

Lucas uniósł latarkę, żeby się lepiej przyjrzeć wiszącemu na ścianie portretowi profesora.

- Czyżby to był ten wielki człowiek we własnej osobie?

Amarylis zerknęła na obraz, a rysy twarzy wyraźnie jej złagodniały.

- Tak - powiedziała.

- Vivien miała rację. On wygląda jak facet, który ma za ciasny podkoszulek.

- Nie powinienesz okazywać takiego braku szacunku.

- Tak jest, proszę pani.

Amarylis wyciągnęła kolejne pudło.

- Proszę bardzo. To chyba będzie tutaj.

Na nalepce widniał napis: *Landreth: Rzeczy z biurka.*

Amarylis zaczęła powoli unosić pokrywę, ale nagle się zawahała i przygryzła wargę.

- Jeśli masz zamiar czegoś poszukać, radzę ci się pospieszyć - powiedział ostro. - A jak nie, to lepiej się stąd zmywajmy.

Amarylis bez słowa zdjęła pokrywę i zajrzała do środka. Lucas uniósł latarkę i oświetlił pudło. W środku leżały starannie poskładane pióra, długopisy oraz inne drobiazgi. Na samym dnie znajdował się wielki kalendarz oprawiony w wężową skórę.

- Chyba mu tu dobrze płacili, skoro mógł sobie pozwolić na taką drogą rzecz.

- Zrobiliśmy zrzutkę i kupiliśmy mu to cacko parę miesięcy przed moim odejściem. - Amarylis dotknęła brązowo-zielonej skóry z nabożną czcią. - Chcieliśmy jakoś upamiętnić trzydziestolecie jego pracy na uczelni. Sama wybierałam ten wzór. Profesor bardzo się ucieszył.

Coś w jej głosie wprowadziło Lucasa w przerażenie.

- Chyba nie zamierzasz się rozplakać. Prawda, Amarylis? Daj spokój.

- Nie płaczę. Pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni, kładąc kalendarz na biurku. - Trzymaj to światło, bo muszę widzieć, co czytam.

Lucasa ogarnęło nagle poczucie winy. Cały czas musiał sobie przypominać, że Amarylis naprawdę lubiła Landretha.

- Przepraszam

- Nie szkodzi. - Amarylis uśmiechnęła się gorzko, przewracając strony. - Chyba tylko ja i panna Dudley darzyłyśmy sympatią biednego profesora. Dopiero niedawno się zorientowałam, że większość pracowników wydziału uważała go za sztywniaka i służbistę.

- Może go nie rozumieli tak dobrze jak ty.

- Ale on był wybitnie zdolny, Lucasie. Poświęcił życie badaniom nad zasadą synergii psychicznej. Zawsze powtarzał, że można się jeszcze tyle dowiedzieć, i że ewolucja talentów na Świętej Helenie przebiega z zadziwiająco szybkością.

- Mhm.

- Na Ziemi te umiejętności psychiczne prawdopodobnie w ogóle nie istniały lub też nie były wystarczająco rozwinięte i dlatego większość badaczy uważała je po prostu za czysty wymysł.

-Tak, oczywiście Lucas zaświecił mocniej latarką. - Czy mogłabyś dokończyć swój wykład innym razem? Nie chcę tu zostawać dłużej niż to absolutnie konieczne.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. - Amarylis skupiła się na kalendarzu. - Ta część obejmuje kilka ostatnich dni z jego życia. Zaraz. Zginął trzynastego, w piątek.

- Pasuje.

Przewróciła stronę.

- Proszę bardzo. Tu są zapiski dotyczące trzynastego. Ale spojrzę na cały tydzień.

Lucas spojrział na notatki pisane skrupulatną aż do bólu ręką pedanta.

- Nie możesz wziąć tego do domu? Mogłabyś sobie wszystko dokładnie przeczytać.

Amarylis spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nie mogłabym zabrać tego kalendarza. To byłaby kradzież.

- Wybacz, ale i tak już przekroczyłaś granice.

Zacisnęła palce na kalendarzu.

- Wiem. Ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Mówiłam ci, że muszę działać szybko, bo wiem od panny Dudley, że jutro ktoś się zgłosi po te rzeczy.

- Jasne.

- Nie było mi łatwo tu przyjść. W końcu jednak uznałam, że istnieje pewna hierarchia wartości, a śledztwo w sprawie śmierci profesora jest z pewnością...

- Czy o tym również moglibyśmy porozmawiać nieco później? - spytał Lucas.

- Coś nie w porządku?

- Oprócz tego, że włamaliśmy się do biura, mam jakieś złe przeczucia.

- Bo się denerwujesz. Wiedziałam, że nie powinnam była cię w to angażować. - Amarylis pochyliła się nad kalendarzem. - Większość tych notatek zrobił sam profesor. Poznaję jego charakter pisma. Zawsze przywiązywał wielką wagę do swego rozkładu zajęć.

- Podziwiam go. Mnie zawsze umawia sekretarka.

- Dziewiąta: spotkanie w sprawie wyników testów – czytała Amarylis ze zmarszczonymi brwiami. - Nic nadzwyczajnego. Dalej. Jedenasta, wydziałowa dyskusja budżetowa. Południe: lunch z profesorem Wagnerem. Wagner to historyk, stary przyjaciel Landretha. Trzecia...

Lucas zerknął na nazwisko, na którego widok Amarylis zamarła: Gifford Osterley. Zanim jednak zdążył się odezwać, instynkt ostrzegł go nagle przed niebezpieczeństwem. Trent zgasił latarkę.

- Lucas?

- Cicho, wydaje mi się, że kogoś słyszałem. Pewnie strażnika. - Chwycił ją za rękę i odciągnął od biurka.

Amarylis bez słowa zamknęła kalendarz, a Trent wrzucił go na ślepo do otwartego pudła. Potem namacał wieczko i zamknął karton.

Widział wprawdzie dobrze w nocy, ale w biurze panowały iście egipskie ciemności. Na tle matowej szyby błysnęło światło latarki. Ktoś, kto pojawił się na korytarzu, szedł pewnym krokiem człowieka który ma prawo przebywać dokładnie tam, gdzie się znajduje.

Strażnik wyszedł wreszcie na nocny obchód.

Obejmując Amarylis Lucas odnalazł bez trudu drewniane drzwi wewnętrzne prowadzące do gabinetu. Zapamiętał sobie ich położenie już wcześniej, gdy sporządził pamięciową mapę pokoju. Po tylu latach spędzonych na wyspach nie miał najmniejszych problemów z orientacją w terenie.

Na korytarzu rozległy się kroki. Amarylis zeszywniała ze strachu, ale Trent pociągnął ją za sobą do gabinetu i cicho otworzył jedno i okien

- Jazda! - szepnął. - Szybko.

Pomógł jej wejść na parapet, a potem usłyszał, jak ląduje bezpiecznie na trawniku.

Tymczasem strażnik wszedł już do recepcji. Nie było czasu do stracenia Lucas wyliczył, że zostało mu co najwyżej kilka sekund i szybko wyskoczył na zewnątrz.

Amarylis chwyciła go za rękę. Przebiegli przez trawnik, a potem już zaledwie parę kroków dzieliło ich od Icera zaparkowanego za magazynem.

- No! - Amarylis oparła się o siedzenie, a Lucas uruchamiał silnik. - Niewiele brakowało. Myślałam, że strażnicy pilnują tylko na zewnątrz,

- Chcesz wysłuchać dobrej rady? - spytał Lucas, przejeżdżając obok biblioteki z wygaszonymi światłami. - Nie myśl za dużo, kiedy planujesz tak rozrywkowy wieczór.

**G**dy Lucas wjechał za misternie zdobione bramy, Amarylis była wciąż pogrążona w zadumie. Trent wyprowadził auto na wąski podjazd i dopiero wtedy dziewczyna zauważyła, że wcale nie zawiózł jej do domu. Wokół roztaczał się dziwny, nieznany ogród.

Po obu stronach alejki rosły drzewa z ogromnymi liśćmi, tworzącymi rodzaj baldachimu, przez który nie mógł się przedostać nawet jeden promień księżyca. Reflektory oświetliły egzotyczne krzewy tak wysokie, że mogłyby służyć jako mur, a potem prześliznęły się po roślinach o szerokich liściach ze złotym brzegiem i kwiatach w surrealistycznych barwach.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałam – szepnęła Amarylis. - To chyba ogród olbrzymów. Wszystko jest kilka razy większe niż normalnie. Wygląda niesamowicie.

- Ostatnim właścicielem tej posesji był talent ogrodniczy wysokiej klasy. Przeprowadzał tu eksperymenty botaniczne. A ja kupiłem tę działkę, bo przypominała mi wyspy.

Szpaler rozrośniętych drzew paprociowych kończył się dopiero przed wejściem do domu, który wyglądał tak samo niesamowicie jak otaczający go ogród. Posiadłość pochodziła najwyraźniej z epoki Wczesnych Odkryć i liczyła sobie co najmniej sto lat. Strzelisty dach, kanelowane kolumny i wysokie wieże tonęły w księżycowej poświacie.

Epokę Wczesnych Odkryć cechował entuzjazm, optymizm i nadzieja, a nastrój tych czasów znalazł swe odzwierciedlenie w architekturze.

Amarylis patrzyła z podziwem na wspaniałe schody prowadzące do bogato rzeźbionych drzwi. Nigdy by nie przypuszczała, że Trent mieszka w tak osobliwym miejscu. Doszła jednak do wniosku, że ta niezwykła posiadłość pasuje do człowieka o nieprzeciętnych zdolnościach.

- Skąd ty bierzesz czas, żeby o to wszystko dbać? - spytała.

Uśmiechnął się drwiąco.

- To nie kwestia czasu, tylko pieniędzy. Najałem całą brygadę ogrodników i armię pokojówek.

Amarylis oblała się rumieńcem.

- Wciąż zapominam, że jesteś bogaty. - Odchrząknęła. - Dziwię się, że jeszcze nikt nie usiłował cię namówić, żebyś udostępnił tę posiadłość zwiedzającym.

- Towarzystwo Ochrony Zabytków wystąpiło kiedyś z taką propozycją. Znasz przecież tych ludzi. Wszystko, co ma więcej niż pięćdziesiąt lat, uważają za pomnik historii. Powiedziałem im kiedyś, że jak wyczerpią się moje dochody z galaretowatego lodu, pogadamy o płatnym zwiedzaniu.

Zaległa cisza

- Powinam pojechać do domu - powiedziała Amarylis. - Muszę pomyśleć.

- O Giffordzie Osterleyu?

Zesztywniała

- Widziałeś jego nazwisko w kalendarzu.

- Wychowałem się, w dżungli - przypomniał jej żartobliwie. - Już jako dziecko byłem bardzo spostrzegawczy.

- Oczywiście - przytaknęła.

Lucas otworzył drzwiczki auta.

- Wsiadaj. Musimy pogadać.

Nie wiem, dlaczego profesor zapisał nazwisko Gifforda w kalendarzu. - Amarylis przemierzała wysoki, staroświecki salon. - Nie przychodzi mi do głowy żadne rozsądne wyjaśnienie. Według moich przyjaciół z wydziału, między Landrethem i Osterley'em doszło do poważnego konfliktu, w którego wyniku Gifford zrezygnował z pracy. Wiele pytań pozostaje jednak bez odpowiedzi.

- Proszę. - Lucas wręczył jej kieliszek. - To ci dobrze zrobi.

Amarylis popatrzyła podejrzliwie na ciemny, aromatyczny płyn.

- Co to jest?

- Brandy z drzewa księżycowego.

Dziewczyna ścisnęła mocno kieliszek, jakby się bała go upuścić.

- Przecież taka brandy kosztuje majątek.

Lucas lekko wykrzywił usta.

- Nie martw się. Chowam ją na specjalne okazje.

- Ach tak. - Powąchała ostrożnie alkohol. - Dziękuję, ale nie powinieneś robić sobie kłopotu.

Amarylis знаła księżycową brandy jedynie z opowiadań. Był to napój niezwykle rzadki, gdyż drzewo księżycowe wydawało owoce jedynie podczas całkowitego zaćmienia bliźniaczych księżyców. Nikt z rodziny Amarylis w Lower Bellevue nie posiadał nawet jednej butelki tego wspaniałego trunku.

Botanicy nie potrafili wyjaśnić, na czym dokładnie polega synergistyczna reakcja zachodząca między drzewem i księżycami. Wszystkie próby kontrolowanej hodowli owoców spaliły na panewce.

- Pij wolno - poradził Lucas. - To jest naprawdę bardzo mocne.

- Wiem - odparła. - Amarylis upiła mały łyk i wstrzymała oddech, gdy ognista ciecz rozlała się jej w ustach. Natychmiast potem nieprzyjemne palenie ustąpiło miejsca niezwykle słodczy.

Lucas oparł się o stół i skrzyżował nogi.

- Smakuje ci?
  - To... ciekawe. - Amarylis wznowiła swój marsz po pokoju.
  - Chcesz porozmawiać z Ostreleyem, prawda?
  - Tak.
  - I nie zmienisz zdania, nawet jeśli ci powiem, że nie uważam tego za dobry pomysł.
  - Muszę się z nim spotkać.
  - Dlaczego?
  - Bo być może był ostatnią osobą, z jaką profesor rozmawiał przed śmiercią.
- Lucas odstawił głośno kieliszek na stół.
- Dostyc już, Amarylis. Trzymaj się od tej sprawy z daleka. Przestań się bawić w śledztwo.
  - Nie mogę - szepnęła. - Odkąd wyczułam pryzmat Sheffielda, cała sprawa wydaje mi się naprawdę podejrzana. Możesz to nazwać intuicją pryzmatu.
  - Raczej brakiem zdrowego rozsądku. Powinnaś raczej zawiadomić policję.
  - Nie mogę pójść na policję, dopóki nie znajdę istotnych dowodów.
- Obrócił ją twarzą do siebie
- Jesteś pewna, że tylko dlatego nie chcesz się zwrócić do władz?
  - Co ty insynuujesz?
  - Myślę, że chcesz poznać prawdę, ale jednocześnie się jej boisz.
  - Sądzisz, że mogłabym kogoś chronić?
  - Gdyby ci zależało na tej osobie, to tak. - Lucas ujął jej twarz w dłonie. - Lojalność jest dla ciebie ważniejsza od odpowiedzialności zawodowej
  - To nie twoja sprawa.
  - Pewnie, że nie. - Pocałował ją namiętnie, zanim zdążyła zaprotestować.

Następnego ranka Amarylis stanęła w drzwiach eleganckiego biura Gifforda, który na jej widok natychmiast wstał zza biurka.

- Witaj, Amarylis. Jaka miła niespodzianka! Co cię tu sprowadza? Szukasz pracy?
- Nie. Przyszłam w sprawie osobistej.
- Ciekawe. - Gifford wskazał jej krzesło. - Usiądź, proszę.
- Dziękuję - odparła, zerkając na niego dyskretnie.



Zawsze uważała Gifforda za przystojnego mężczyznę i choć właściwie nic się w jego wyglądzie nie zmieniło, Osterley wydał się jej nagle mniej atrakcyjny. Otaczała go jakaś dziwna aura słabości i rozlazłości, czego nigdy przedtem nie zauważyła. Kiedy pracowała na uniwersytecie, dostrzegała w Giffordzie przede wszystkim znakomitego naukowca i pozostawała pod głębokim wrażeniem jego osiągnięć.

Jego oczy miały głęboki, niebieski odcień. Jasne włosy wiązał w kucyk zgodnie z wyspiarską modą. Amarylis pomyślała, że Lucas to jedyny normalnie ostrzyżony mężczyzna w całym Nowym Seattle.

Musiła przyznać, że Gifford zachował świetną sylwetkę. Może nawet wyszczupłał. Pewnie zawdzięczał dobrą figurę regularnej grze w golfo-tenisa. Spojrzała na jego ręce i doszła do wniosku, że one również są zbyt delikatne i słabe. Jedyne prawdziwie męskie odciski Osterley zawdzięczał rakiecie tenisowej.

Pomyślała, że staje się coraz bardziej wybredna, kiedyś uznałaby z pewnością, że to piękne, wypielegnowane dłonie.

Gifford zmienił całkowicie styl. Zniknęła powyciągana marynarka, dzinsy i sportowe buty. W jasnoszarym garniturze i koszuli tego samego koloru Gifford mógłby z powodzeniem pozować do zdjęcia na okładkę magazynu mody dla biznesmenów. Czerwona muszka stanowiła znakomite uzupełnienie tej wyzywającej elegancji.

- Lepiej się ubierasz - powiedziała z uśmiechem Amarylis.

- Bo mogę sobie na to pozwolić.

Amarylis rozejrzała się po gabinecie. Wnętrze pasowało całkowicie do nowego wcielenia Gifforda. Jasnoszary dywan i eleganckie czarne meble stanowiły doskonale tło dla człowieka sukcesu. Czerwone kwiaty w wazonie pełniły podobną rolę jak muszka w krzykliwym kolorze kontrastująca z nobliwym garniturem.

- Gratuluję. - Amarylis rozsiadła się na wygodnym, biurowym krześle. - Widzę, że interes idzie nieźle.

- Nawet bardzo dobrze - odparł Gifford, zajmując miejsce przy biurku. - W czym ci mogę pomóc?

- Przejdę od razu do rzeczy. Powiedz mi, czy spotkałeś się z Landrethem w dzień wypadku.

Gifford aż zamrugnął ze zdziwienia.

- Dziwne pytanie. Co cię właściwie interesuje?

- W zeszły piątek odebrałam anonimowy telefon. Mój rozmówca sugerował, że ze śmiercią profesora wiąże się jakaś tajemnica. Postanowiłam to sprawdzić.

- Jesteś prywatnym detektywem? Przecież to sprawa dla policji.

- Śledztwo potwierdziło wersję wypadku.

- Bo pewnie nic innego się nie wydarzyło – mruknął Gifford. -Tylko Irene Dudley podejrzewała jakąś aferę. Ale ona kochała się w starym od lat i nie mogła się pogodzić z jego śmiercią.

- Była po prostu w stosunku do niego lojalna. A nawet go lubiła. Ale zakochana? Skąd ten pomysł?

- Wszedłem do jej biura w dzień po tym, jak odeszłaś z uniwersytetu. Była zalana łzami. Właśnie się dowiedziała, że Landreth umawiał się regularnie ze striptizerką z Founders Square. Myślę, że znalazła numer telefonu w jego notatkach i sprawdziła do kogo należy. A znasz to powiedzenie o ciekawości.

Amarylis aż zaniemówiła ze zdziwienia.

- Co ci jest? - zaśmiał się Gifford. - Nie wiesz, że takie pruderyjne, świętoszkowate typy miewają najbardziej zaskakujące gusta, jeśli chodzi o seks - Wykrzywił wargi. - Wyłączając oczywiście obecnych.

Amarylis nawet nie drgnęła. Postanowiła, że nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi.

- Czy możesz mi odpowiedzieć na pytanie? Widziałeś się wtedy z Landrethem?

- Nie twoja sprawa, ale powiem ci. Nie spotkałem się z profesorem.

- Jednak byłeś z nim umówiony. Na trzecią.

- Dowiedziałeś się tego od pani Dudley?

- Nie. Przeglądałam sama jego kalendarz. Pod tą datą widniało twoje nazwisko.

- Naprawdę? Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Może o tym nie słyszałaś, więc poinformuję cię, że dwa miesiące temu doszło między nami do konfliktu. Przez tego skurczybyka zrezygnowałem z pracy na uczelni.

- Dlaczego go tak nie lubiłaś?

- Żartujesz? - Gifford wznosił oczy do nieba. - Było mnóstwo powodów. Być może Landreth był kiedyś zdolnym naukowcem, ale jego najlepsze lata dawno minęły. Nie przyjął do wiadomości, że czasy się zmieniły. Jego metody badawcze określiłbym - delikatnie mówiąc -

jako przestarzałe. Nie chciał dopuścić do najmniejszych zmian na wydziale. No i oczywiście miał obsesję na punkcie etyki zawodowej.

-Nic dziwnego. Przecież sam stworzył Kodeks Etyki Ogniskującej. Dzięki niemu nasz zawód zyskał takie uznanie. Gdyby nie profesor, pewnie nie siedziałbyś teraz za tym biurkiem.

Gifford potrząsnął głową.

- Widzę, że zupełnie się nie zmieniłaś. A już sądziłem, że po sześciu miesiącach przebywania w prawdziwym świecie nabierzesz trochę rozumu.

Amarylis chwyciła torebkę i wstała.

- Jesteś pewien, że nie widziałeś się z profesorem w dzień jego śmierci?

- Najzupełniej. Wierz mi. Zrobiłbym wszystko, byleby go tylko nie spotkać.

Na świecie żyło najwyraźniej wielu ludzi, którzy nie przepadali za Jonathanem Landrethem. Amarylis odwróciła się bez słowa i pomaszerowała do drzwi.

- Amarylis?

Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Tak?

- Widziałem twoje zdjęcie w gazetach. Byłaś na przyjęciu z Lucasem Trentem.

- No i co z tego?

Gifford popatrzył na nią porozumiewawczo.

- To chyba nie agencja was skojarzyła, chociaż tak właśnie sugerowali dziennikarze. Nie pasujecie do siebie. Domyślam się, że dla niego pracujesz.

- Nie rozmawiam o klientach.

- Więc się nie mylę - Gifford skinął z zadowoleniem głową. - Tak właśnie sądziłem. Mówi się, że Trent to dziewiątka, ale niestety tylko wykrywacz. Biedactwo! I o co mu chodziło? Sprawdzał stan bezpieczeństwa firmy?

- Już ci mówiłam, że nie rozmawiam o interesach.

Gifford uśmiechnął się pobłaźliwie

- Sądził, że jakiś bandyta chce mu ukraść artefakty? Czy też zawiódł się na którymś ze swoich współpracowników. Słyszałem, że Miranda Locking, wiceprezes Gwiazdy Polarnej, złożyła nagle dymisję.

Nikt nigdy nie uważał Gifforda za idiotę - przypomniała sobie Amarylis.

- Jesteś wyjątkowo dobrze poinformowany.

- Bo to się opłaca - wyjaśnił łagodnie Gifford.  
- Wybacz mi, ale jestem umówiona. - Amarylis otworzyła demonstracyjnie drzwi.  
- Jeszcze chwileczkę. Jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz zarobić na tym interesie prawdziwe pieniądze, możesz złożyć podanie o pracę w Niezwykłych Pryzmatach. Świetnie płacę. Dwa razy lepiej niż Clementine.

Logika i intuicja dały o sobie znać w tym samym momencie.

- To jeden z twoich ludzi pracował na przyjęciu z senatorem Sheffieldem?  
- Skąd wiesz o Sheffieldzie? - Gifford aż zwęził oczy ze złości. - Czyżby Trent go namierzył?

- O Sheffieldzie dowiedziałam się przypadkiem. - Amarylis pomyślała, że ona również potrafi zachować zimną krew. - On jest silny prawda? To dziesiątka?

- Nie wiadomo. Senator nigdy się nie sprawdzał. - Gifford uśmiechnął się przelotnie. - Uważa, że testy zagrażają jego prywatności. Twierdzi, że ojcowie założyciele nigdy by nie dopuścili do takiego braku poszanowania prawa jednostki.

- A więc to jeden z twoich ogniskował dla Sheffielda. Wszystko się powoli wyjaśnia.

- O czym ty mówisz?

- Wydawało mi się, że rozpoznaję styl i technikę tego przyzmatu - powiedziała Amarylis. - Najpierw pomyślałam, że to uczeń Landretha, ale teraz widzę, że równie dobrze ty go mogłeś wyszkolić. Jako wychowanek profesora posługujesz się przecież podobnymi metodami.

- Naprawdę powinnaś rozważyć moją propozycję. Prowadzę bardzo ekskluzywną firmę. Obsługujemy wyłącznie doborową klientelę.

- I łamiecie kodeks?

Gifford spojrzał na nią pytająco.

- Oskarżasz mnie o łamanie etyki zawodowej? To naprawdę bardzo dla mnie bolesne.

- Jeden z twoich przyzmatów pomógł Sheffieldowi w ogniskowaniu charyzmy.

- Przecież wszyscy wiedzą, że charyzma nie jest talentem psychicznym, tylko cechą osobowości. - Gifford rozłożył ręce. - No, cóż, Sheffield naprawdę dociera do ludzi i zdobywa z łatwością nowych zwolenników.

- Nazywaj to sobie jak chcesz. Ja wiem, że Sheffield posiada ogromną siłę psychiczną. Być może używał jej również dla pozyskania dotacji.

- Przecież politycy zawsze szukają sponsorów. Co w tym dziwnego?

- On wypalił swój pryzmat, Giffordzie. Czy to cię nie niepokoi?

- Każdy zawód niesie ze sobą jakieś ryzyko. A stan wypalenia szybko mija.

- Ktoś, kto ogniskuje dla oszusta, łamie prawo.

- Ale powtarzam ci jeszcze raz, że charyzma nie jest talentem. Nie figuruje na żadnej liście zdolności parapsychicznych. To cecha osobowości. Podobnie jak pruderyjny stosunek do seksu lub zbyt sztywne zasady etyczne.

Amarylis oblała się rumieńcem.

- Chyba już rozumiem, dlaczego nigdy nie mogłeś się porozumieć z profesorem. On po prostu był dżentelmenem.

- Utrzymującym regularne kontakty ze striptizerką?

Dziewczyna wyszła bez słowa z gabinetu, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

## Rozdział dziesiąty

No cóż moja droga - powiedziała ciocia Hannah. - Myślę że wyczerpałyśmy temat. Muszę jednak przyznać, że masz bardzo sprecyzowane wymagania w stosunku do przyszłego męża.

Amarylis przez chwilę bawiła się piórem, przeglądając pospiesznie sporządzone notatki.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wiem dokładnie, czego chcę.

- Pozwól tylko, że sprawdzę, czy wszystko dobrze zapisałam. Ciemne włosy, szare oczy, po trzydziestce, znany biznesmen, urodzony na wsi lub w małym miasteczku. Wykształcenie uniwersyteckie. Pożądana umiejętność walki wręcz. Dusza ryzykanta. - Ciocia Hannah urwała na chwilę. - Ach, tak. Zwolennik konserwatywnej mody.

- Sądzę, że to właściwy opis.

- Ależ ty jesteś wybredna - mruknęła Hannah. - Ale trudno. Wypełniłam do końca ten kwestionariusz, więc przeszłyśmy szczęśliwie przez pierwszy etap. Twoja cioteczna prababcia Sophy bardzo mi w tym pomogła.

Amarylis doznała głębokiej ulgi.

- Ciocia-babcia zna mnie naprawdę bardzo dobrze.

- Poprawiła mi humor. Twierdzi, że musi zależeć ci na małżeństwie, skoro stałaś się nagle taka wymagająca.

Mimo fatalnego nastroju, Amarylis zdobyła się na uśmiech. Jej cudowna prababcia potrafiła zawsze rzucić nowe światło na każdy skomplikowany problem. Nawet wówczas, gdy Amarylis miała zaledwie siedem lat.

Mieszkańcom Lower Bellevue doskwierał wówczas nieustanny upał. Pewnego pięknego dnia Sophy zabrała Amarylis i jej koleżankę Lindę do miasta. Sophy chciała załatwić coś w banku, a dziewczynki poszły kupić sobie lody.

Kiedy wreszcie wyszły z cukierni z kapiącymi rożkami w rączkach, Linda wskazała dziewczynce niezwykle elegancką kobietę wysiadającą z ekskluzywnego auta.

- *Znasz tę panią?* - Linda spojrzała przebiegle na Amarylis. - *To twoja babcia.*

*Amarylis przyjrzała się uważnie ciemnowłosej kobiecie.*

*- Nieprawda. Moja babcia ma jasne włosy i nie jest wcale taka wysoka.*

*- Każdy ma dwie babcie, głupolu. Ta pani to mama twojego taty. Nazywa się Bailey. I jest twoją babcią. Mama mi mówiła.*

*- A ja ci nie wierzę.*

*- To idź i spytaj.*

*- Żebyś wiedziała, że pójdę.*

*Amarylis zrobiła zdecydowany krok naprzód. Powstał problem, który należało natychmiast rozwiązać. Chciała udowodnić Lindzie, że jest głupia.*

*Nieznajoma wywarła na niej ogromne wrażenie. Władcza postawa, kosztowne ubranie i arystokratyczny wygląd odróżniały ją diametralnie od skromnych mieszkańców Lower Bellevue.*

*Elisabeth nie zwracała najmniejszej uwagi na Amarylis, dopóki miała nie pociągnęła jej za sukienkę. Dopiero wtedy kobieta odwróciła głowę, a w jej zielonych oczach pojawił się dziwny wyraz.*

*- Puść mnie natychmiast - powiedziała cicho. - Nie masz prawa mnie dotykać.*

*- Przepraszam - szepnęła dziewczynka. - Ale Linda twierdzi, że jest pani moją babcią. Ona kłamie, prawda?*

*Elisabeth popatrzyła na nią surowo.*

*- Oczywiście, że kłamie. Nie masz żadnej babci, bo jesteś zwykłym bękartem.*

*Amarylis zapomniała o rozpuszczającym się lodzie. Nie spuszczała wzroku z kobiety, dopóki Sophie nie wyszła z banku. Inne dzieci przezywały ją wprawdzie bękartem, ale nigdy żadna dorosła osoba nie cisnęła jej prosto w twarz takiego wyzwiska. Dopiero teraz potraktowała poważnie tę obelgę.*

*Sophy spojrziała na zaparkowany przy krawężniku samochód, a potem przeniosła wzrok na Amarylis i zrozumiała natychmiast, co się wydarzyło. Nie zważając na kapiącego lodu, porwała dziewczynkę w ramiona.*

*- Nie zwracaj uwagi na Elisabeth Bailey, kochanie.*

*- Czy ona naprawdę jest moją babcią?*

*- Tak, ale nigdy się do tego nie przyzna, bo czuje się winna.*

*- Dlaczego?*

*- To długa historia i nie mam teraz czasu, żeby ci ją opowiadać.*

- *Ona mnie nienawidzi. I ja jej też nie cierpię.*

- *Kiedys zrozumiesz.*

- *Co zrozumiem? - Amarylis uporczywie domagała się odpowiedzi na pytanie, które stało się tak ważną kwestią w jej życiu.*

- *Zrozumiesz, dlaczego ona tak postąpiła – powiedziała Sophie. - I dlaczego nie może wybaczyć tobie ani komukolwiek innemu.*

- *Ale co ona takiego zrobiła?*

- *Kazała twojemu tacie poślubić niewłaściwą kobietę – odparła Sophie z westchnieniem. Od początku wiedziała, że to będzie fatalne małżeństwo, ale interesowały ją tylko pieniądze, ziemia i status społeczny. A twój ojciec był za młody, żeby walczyć o swoje racje, chociaż kochał tylko twoją mamusię.*

- *Nienawidzę jej - powiedziała Amarylis. Odwróciła się na pięcie i cisnęła lodem w samochód Elisabeth Bailey, a kremowa masa rozprysnęła się na przedniej szybie.*

*Sophy popatrzyła na samochód z dziwną miną.*

- *Sama nie potrafiłabym lepiej wyrazić swoich uczuć - powiedziała.*

Amarylis uświadomiła sobie nagle, że wtedy właśnie po raz ostatni zachowała się tak impulsywnie i nieodpowiedzialnie. Aż do czasu spotkania z Lucasem Trentem.

- *To wszystko jest ogromnie podniecające, prawda? - spytała ciocia Hannah.*

- *Fantastyczne.*

- *Wyślę ten formularz do pani Reeton. Ona na pewno wkrótce do ciebie zadzwoni. Musi się z tobą umówić na spotkanie.*

- *Nie ma pośpiechu - powiedziała Amarylis. - Jeśli skończyłaś to wypełniać, chciałabym wrócić do pracy.*

- *Oczywiście, kochanie. - Ciotka chrząknęła dyskretnie. - A jak tam twoje życie towarzyskie?*

- *Życie towarzyskie?*

- *Nadal się spotykasz z panem Trentem?*

Amarylis poczuła dziwną suchość w ustach.

- *Czasami.*

- *Co za szkoda, że to taki silny talent. Teraz kiedy o tym pomyślę wydaje mi się, że on spełnia pewne kryteria, jakie mi podałaś. Ma ciemne włosy, świetnie prosperującą firmę...*



- Zwykły zbieg okoliczności, ciociu. Naprawdę muszę iść. Ucałuj wujka Oscara i całą rodzinę.

- Dobrze. Oczywiście. A tak przy okazji: pojutrze wybieram się z wujkiem do miasta. Zatrzymamy się w tym małym hoteliku niedaleko twojego domu.

- Wspaniale. W takim razie do zobaczenia.

- A ty oczywiście będziesz na przyjęciu u Sophy za dwa tygodnie?

- Nie zrezygnowałabym z takiej frajdy za żadne skarby świata. Do zobaczenia, ciociu.

- Do widzenia. Do piątku.

Amarylis położyła słuchawkę na widełki i wróciła do notatek. Żaden z wyodrębnionych przez nią punktów nie łączył się z innym w logiczną całość. Czowała, jak zbierają się nad nią ciemne chmury. Ogarniał ją coraz większy niepokój, a ważne kwestie pozostawały nadal bez odpowiedzi.

Popatrzyła jeszcze raz na zapiski.

1. Pryzmat korzystający z technik profesora Landretha ogniskuje dla Madisona Sheffielda. Wykształcił go jednak najprawdopodobniej Gifford, nie Landreth. Landreth nie wyraziłby zgody na działania sprzeczne z kodeksem etycznym.

2. Telefon z informacją, że Landreth i Vivien łączył jakiś tajemniczy związek. Gifford sugeruje, że dzwoniła Irene Dudley, która kochała się w profesorze, Irene wiedziała o Vivien i myślała, że striptizerka posiada jakieś cenne informacje. Ale jakie?

3. Notatka o spotkaniu z Giffordem w kalendarzu profesora. Gifford do niczego się nie przyznaje twierdzi, że nie miał ochoty umawiać się z profesorem. Między profesorem i Giffordem poważny konflikt.

4. Według informacji prasowych Landreth zginął około siódmej wieczorem. Spadł ze skały w pobliżu swego domku. Żadnych śladów przemocy. Czy profesor odwołał spotkanie z Giffordem? Zmienił zdanie? A może wydarzyło się jeszcze coś innego?

5. Bardzo niewiele osób oplakuje profesora. Pracownicy darzyli go szacunkiem, ale nie sympatią. Czyżby Landreth miał prawdziwych wrogów? Kto jeszcze (oprócz Gifforda) tak bardzo go nie lubił?

**A**marylis odłożyła długopis z ciężkim westchnieniem.

Intuicja wyraźnie nie dawała jej spokoju. Dziewczyna wiedziała, że przywiązuje zbyt wielką wagę do nader wątplych poszlak. W końcu jednak w jej życiu zaszły ostatnio wielkie zmiany i była zupełnie rozbita.

Szybko ułożyła sobie w głowie inną listę, na której umieściła wszystkie czynniki powodujące jej obecny stres.

1. Afera miłosna z nieodpowiednim talentem.
2. Wizyta w klubie striptizowym. Spotkanie z Vivien.
3. Bandyty na Founders Square. Lucas poza skalą. Pierwsza noc miłosna.
4. Włamanie.

**D**oszła do wniosku, że ma wszelkie prawo do zdenerwowania. A lista negatywnych czynników zaczynała się wydłużać.

Niemniej jednak pytania domagały się odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do gabinetu wparowała nagle Clementine, która wyraźnie kipiała z oburzenia.

- Co się dzieje, do diabła? - spytała ostro, opierając się o biurko Amarylis i wysuwając buńczucznie podbródek. - Jeśli nie jesteś zadowolona z pracy w mojej firmie, dlaczego po prostu mi o tym nie powiesz? Nie szukaj nowej posady za moimi plecami. Chcesz dostać podwyżkę? O to ci chodzi? Dopiero pół roku u mnie pracujesz, ale ponieważ zdobyłaś dobrego klienta, jestem gotowa negocjować.

Amarylis była już przyzwyczajona do zmiennych nastrojów szefowej.

- Uspokój się, Clementine. Nie szukam nowej posady. Skąd ten pomysł?

Clementine zabębniła palcami o biurko.

- Wracam właśnie z lunchu z Gracie. Podobno byłaś dziś rano w Niezwykłych Pryzmatach?

Wszystko stało się jasne.

- Owszem - uśmiechnęła się łagodnie Amarylis. - Chciałam się spotkać z Giffordem Osterley'em. Znam go jeszcze z uniwersytetu.

- Wiem. - Clementine wyprostowała plecy i łypnęła spod oka na Amarylis. - Myślałam, że nic już was nie łączy.

- Bo to prawda. Miałam do niego pewną sprawę.

- Bardzo jestem ciekawa, jakie to interesy załatwiasz z konkurencją - powiedziała podejrzliwie Clementine.

Amarylis wahała się przez chwilę, aż w końcu podjęła decyzję.

- Odkryłam, że profesor Landreth był umówiony z Ostreleyem w dniu swojej śmierci. Chciałam spytać Gifforda, czy spotkanie doszło do skutku.

- A co z tym wszystkim ma wspólnego Landreth?

- Nie jestem pewna, ale zaczynam podejrzewać, że to nie był wypadek.

Clementine gwizdnęła cicho i opadła na najbliższe krzesło.

- Dlaczego tak sądzisz? Intuicja?

- Częściowo. Ale jest jeszcze parę innych rzeczy, które nie dają mi spokoju. - Amarylis opowiedziała Clementine o tajemniczym telefonie, wizycie u Vivien i notatce w kalendarzu Landretha. Nie wyjaśniła natomiast, skąd wzięła ten kalendarz.

Gdy skończyła Clementine spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Pojechałaś do seks-klubu?

Amarylis zaczerwieniła się jak burak.

- Tak. Musiałam porozmawiać z Vivien.

- Byłaś tam sama? - spytała głośniejszym głosem Clementine. - Oszalałaś?

- No, niezupełnie. Z przyjacielem.

- To znaczy z kim?

Amarylis zacisnęła usta.

- Z Lucasem Tentem - powiedziała w końcu niechętnie.

- Z Trentem? Ale numer!

- Lucas pojechał tam ze mną, bo go o to prosiłam - wyjaśniła Amarylis. - On nie wpadłby na taki pomysł.

- Ty w seks-klubie! Nie potrafisz sobie tego wyobrazić!

Dziewczyna poczuła, że znów się oblewa szkarłatnym rumieńcem.

- Oni tylko udawali.

- Akurat.

- Tancerze nie kochali się na scenie. Naśladowali tylko ruchy miłosne. A talent i przyzmat nie ogniskowały wcale żadnych odczuć seksualnych. Trent jest przecież wykrywaczem i z moja pomocą od razu ich zdemaskował.

Clementine drgnęły usta.

- A czego ty się spodziewałaś? Indukowanego orgazmu? Zainteresowania ze strony artystów? No, powiedz.

- Clementine!

- Przepraszam. Nie chciałam cię wprawić w zakłopotanie. - Clementine splotła palce i wzniosła oczy do sufitu. - Nawet nie wiesz, ile bym dała za to, żeby zobaczyć minę Trenta, kiedy go zapraszałaś do seks-klubu. Chyba sobie pomyślał, że wyleciał za kurtynę i spadł na planetę po drugiej stronie świata.

Amarylis nie widziała nic zabawnego w tej sytuacji.

- Wy tłumaczyłam Lucasowi, że muszę załatwić pewne interesy.

- Pewnie. - Clementine wyprostowała się na krześle. - A czego się dowiedziałaś od Vivien?

- Niestety, niewiele. Tylko tyle, że podczas ich ostatniego spotkania profesor był bardziej spięty niż zwykle.

Clementine uniosła brwi

- Spięty?

- Vivien uważa, że profesor nigdy nie zachowywał się swobodnie.

- Gracie też tak sądzi.

- Gracie?

- Pracowali razem w komisji złożonej z biznesmenów i pracowników uniwersytetu. Twierdziła, że Landreth dał im nieźle do wiwatu. Nazwała go sztywniakiem i obrzydliwie zasadniczym dupkiem.

Amarylis pominęła tę uwagę milczeniem.

- W każdym razie po rozmowie z Vivien postanowiłam się spotkać z Giffordem - ciągnęła. - Chciałam go zapytać o to spotkanie z profesorem. Osterley twierdzi jednak, że nie był z nim umówiony.

- Mhm.

- Zastanawiam się, czy profesor nie odkrył, że Gifford łamie kodeks i balansuje na granicy prawa. Nigdy by się z tym nie pogodził. Nie wiem tylko, czy był wystarczająco dobrze poinformowany.

- Podejrzewasz, że Landreth umówił się z Giffordem na dyskusje o etyce?

- Lub jej braku.

- Myślę, że wiem, do czego zmierzasz. Zastanawiasz się, czy Osterley czasem się nie wkurzył, kiedy doszedł do wniosku, że Landreth może mu zniszczyć reputację. Sądziś, że twój były narzeczony rąbnął starego, żeby go uciszyć?

- Ależ skąd. Gifford nigdy by nikogo nie zabił.

- Z tego, co wiem od Gracie, Osterley ma swoją cenę. Jeśli ją zapłacisz, wyświadczy ci każdą usługę. Tego rodzaju ludzie mogliby zamordować każdego, kto zagroziłby ich interesom.

- Gifford rzeczywiście postępuje nieetycznie, ale nie jest zabójcą. Może ta notatka znaczyła tylko tyle, że profesor chciał do niego zadzwonić.

- I nigdy tego nie zrobił?

- Albo Gifford nie odebrał telefonu - powiedziała Amarylis. - To wszystko strasznie się komplikuje. Nie wiem, dokładnie, co się dzieje, ale czuję, że nic dobrego.

- Uważam, że trochę przesadzasz choć wierzę oczywiście w twoją intuicję. Być może Gifford rzeczywiście naruszył kodeks, ale chyba nie zrobił niczego wbrew prawu.

- Całkowicie się z tobą zgadzam

- Szczerze przyznam, że zazdroścę mu klientów. Z tego, co wiem od Gracie, zgłaszają się do niego same grube ryby. Mamy szczęście, że Trent wybrał naszą firmę.

- Twierdził, że zależało mu na agencji z dobrą reputacją.

- Świetnie. - Clementine wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Ciekawa jestem, co by powiedział na twoje spotkanie z byłym narzeczonym.

- O co ci chodzi? Wcale tego przed nim nie ukrywałam.

- Mężczyźni mają fioła na punkcie takich rzeczy.

- A skąd niby ty możesz o tym wiedzieć?

- Bo kobiety są do nich pod tym względem bardzo podobne.

- Mówisz o zazdrości - stwierdziła cicho Amarylis. - Lucas nie zna tego uczucia.

- Tak? - spytała Clementine, podnosząc się z krzesła. - A dlaczego tak sądzisz?

- Bo to nie w jego stylu.

- Guzik prawda.

Amarylis nie pozwoliła się wyprowadzić z równowagi.

- Zarejestrował się w agencji matrymonialnej, podobnie jak i ja. Nie możemy być o siebie zazdrośni, bo nasz związek i tak nie ma szans.

- Jesteś pewna?

Amarylis zmarszczyła zabawnie nos.

- Nawet gdybym ja nie była pryzmatem z pełnym widmem, a on talentem wysokiej klasy, i tak nic by z tego nie wyszło. Zbyt wiele nas dzieli.

Clementine popatrzyła na nią uważnie.

- Po pierwszym spotkaniu ja i Gracie odnosiłyśmy podobne wrażenie. A jednak agencja nas skojarzyła.

Wchodząc na schody prowadzące do drzwi Amarylis, Lucas pomyślał, że nie ma prawa do takich uczuć. Zazdrość była tu zupełnie nie na miejscu. Jego związek z tą dziewczyną miał przecież zdecydowanie przelotny charakter. Oboje zabijali tylko czas w oczekiwaniu na poważnych partnerów.

Tego popołudnia oddał ankietę do Synergistycznych Koneksji i lada moment spodziewał się telefonu od Hobarta Batta.

Postanowił zachować zimną krew. Nie na darmo nazywano go Lodziarzem. Nie mógł pozwolić na to, by uczucia przesłoniły mu całkowicie zdrowy rozsądek. Już raz dał się ponieść emocjom i nie chciał popełnić takiego samego błędu.

Zaczerpnął głęboko powietrza i zapukał.

Na wyłożonej kafelkami podłodze zastukały obcasy Amarylis. Dziewczyna zmierzała do drzwi lekkim, szybkim, energicznym krokiem, jakby chciała znaleźć się natychmiast w jego ramionach.

Do wytworzenia wizji, jaka stanęła mu nagle przed oczami, nie potrzebował energii pryzmatu. Zobaczył bowiem nie kończące się powitania i pożegnania z żoną, której nawet nie znał, a zaraz potem Amarylis padającą w ramionach jakiegoś obcego mężczyzny rekomendowanego jej na męża. Przeszedł go lodowaty dreszcz.

- Lucas? Czy coś się stało? - spytała dziewczyna, otwierając drzwi.

Natychmiast wrócił do rzeczywistości. Amarylis uśmiechała się do niego pytająco. Z kuchni dolatywały smakowite zapachy. Postanowił udawać że wszystko jest w porządku. W końcu łączył ich tylko przelotny romans. Bez perspektyw na przyszłość.

- Byłaś dziś u Osterleya. - Lodziarz ulotnił się nagle i w progu Amarylis stanął jej kochanek, Lucas Trent.

- Tak. - Amarylis wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie w usta. - Mówiłam ci przecież, że muszę go zapytać o to spotkanie.

- I co on miał do powiedzenia?

- Twierdzi, że o niczym nie wiedział. - Amarylis wzięła od niego marynarkę i powiesiła ją w szafie. - Podobno nigdy nie umawiał się z profesorem. Rozstali się w gniewie.

- Dlaczego do mnie przedtem nie zadzwoniłaś?

Myśl - napominał się w duchu idąc do kuchni. - Zachowaj spokój. Żadnych emocji, zazdrości. Ten związek nie ma szans na przetrwanie.

- Sądziłem, że jesteście współnikami.

-Wspólnikami? - Amarylis chciała za wszelką cenę dotrzymać mu kroku. - Nie myślałam o naszym związku w takich kategoriach.

- Nie zasłużyłem nawet na miano współnika? - Lucas wszedł do kuchni i zaczął otwierać po kolei wszystkie drzwiczki kredensu. - W ciągu ostatnich paru dni sporo razem przeżyliśmy.

- To prawda. - Zmarszczyła brwi. - Czego ty właściwie szukasz?

- Czegoś do picia. - Szczęście dopisało mu dopiero przy czwartej szafce. - Chyba gdzieś tutaj widziałem butelkę.

- Poczęstuj się. - Amarylis uniosła pokrywkę garnka. - Czy ty się zawsze robisz taki nieznośny, kiedy masz muchy w nosie?

- Wcale nie jestem nieznośny. - Lucas otworzył szufladę, popatrzył pobieżnie na jej zawartość i wziął do ręki korkociąg. - Czasem rzeczywiście zbyt łatwo wpadam w złość. A teraz na pewno nie dopisuje mi humor.

- Przykro mi, jeśli sądzisz, że postąpiłam w stosunku do ciebie niełojalnie, ale chciałam się z nim dogadać po swojemu.

Lucas poczuł, że ma węzeł zamiast żołądka.

- Dogadać się z nim po swojemu?

- Wydobyć z niego prawdę.

- Bo dawno się znacie? - Lucas zaczął sprawnie wyciągać korek z butelki.

- Łączyła nas przyjaźń. Pracowaliśmy razem.

-Ale nie sypialiście ze sobą. Nigdy nie byliście kochankami.

- Oczywiście ze nie. - Amarylis zamieszała chochlą w garnku. - On się bardzo zmienił - dodała.

- Naprawdę?

- Clementine próbowała mnie ostrzec, że będziesz zazdrosny. A ja twierdziłam, że to bzdura.

Lucas zastygł z butelką w ręku i spojrzał jej prosto w oczy.

- Zazdrość nie ma z tym nic wspólnego.

- Też tak uważam.

- Mimo wszystko, jako twój wspólnik i kochanek uważam, że mam prawo do niepokoju. Jeśli Gifford Osterley rzeczywiście zabił Landretha, mogłaś się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Rozumiem - odparła spokojnie Amarylis. - Ale jak już mówiłam Clementine, nie wierzę, że Gifford jest mordercą.

- Nie polegaj za bardzo na intuicji.

- Święte słowa - odparła, patrząc na niego spod oka. - Sama to sobie powtarzam.

Wieczór nie należał do udanych. Rozmowa wciąż się rwała, a atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Amarylis siliła się na uprzejmość, ale nawet ktoś całkowicie pozbawiony intuicji wyczułby natychmiast, że dziewczyna nie jest w najlepszym humorze. Lucas stracił jakąkolwiek nadzieję na upojną noc.

Sam był sobie winien. I choć zasłużył całkowicie na takie traktowanie, perspektywa szybkiego powrotu do domu nie napawała go radością.

O dziesiątej, zdecydowany, by przerwać męczącą ciszę, wziął do ręki pilota i włączył wiadomości.

Na ekranie pojawiła się znajoma twarz o bystrych oczach i mocno zarysowanej szczęce. Widok Nelsona Burltona nie poprawił jednak Trentowi nastroju. Burlton komentował najnowsze wydarzenia polityczne, a za nim na podium stał nie kto inny jak Madison Sheffield.

Sheffield przemawiał do ludzi siedzących przy stolikach ustawionych w podkowie. Lucas rozpoznał tę salę. Tam właśnie odbywały się spotkania stowarzyszenia biznesmenów. On sam rzadko na nie uczęszczał.

Burlton popatrzył zalotnie do kamery. Włosy miał rozwiane, choć znajdował się przecież we wnętrzu, a nie na wolnym powietrzu. Ubrany był jak zwykle w marynarkę w wyspiarskim stylu, choć cała reszta towarzystwa wbiła się w tradycyjne garnitury i krawaty.



- Dobry wieczór - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Dzisiejsze wiadomości zdominuje wyścig o fotel gubernatora w Nowym Seattle. Tego wieczoru senator Madison Sheffield spotkał się z biznesmenami. Mówił jak zwykle o powrocie do tradycyjnych wartości.

Kamera przeniosła się na Sheffielda, którego zęby były równie białe i proste jak zęby Burltona.

- Przez ostatnie dwieście lat przeszliśmy daleką drogę - zaczął Sheffield. - Ale gdy myślimy o przyszłości, nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć o kolebce naszych tradycji. Wartości uznawane za najważniejsze przez naszych przodków są nam teraz bardzo potrzebne. Żyjemy w świecie, którego jeszcze do końca nie udało się nam poznać. O tym, jak mało o nim wiemy, przypominają nam choćby odkryte niedawno artefakty. Musimy być na wszystko odpowiednio przygotowani.

Amarylis przycupnęła na kanapie obok Lucasa, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Sheffield nie zdołałby zogniskować swojej charyzmy dla takiego tłumu.

- Nie - zgodził się Lucas. - Może ją wykorzystać tylko w rozmowach prywatnych z jedną konkretną osobą. Na takich spotkaniach może jedynie liczyć na wrodzony urok osobisty.

- On rzeczywiście ma dużo wdzięku, ale i tak nie będę na niego głosować.

Polityka nigdy nie należała do bezpiecznych tematów - przypomniał sobie Lucas. Tak czy inaczej, wolał jakkolwiek rozmowę od tego irytującego milczenia.

- Nie? A sądziłem, że jego elektorat składa się właśnie z osób takich jak ty.

- Sheffield mówi o tradycyjnych wartościach, a przecież nikt z Pierwszego Pokolenia nie uciekałby się do takich nieuczciwych sposobów, byle tylko zdobyć pieniądze na kampanię.

- Nie próbuj się oszukiwać. Coś mi mówi, że nasi przodkowie wcale nie byli tacy idealni, jak ci się wydaje.

Amarylis obróciła się na pięcie.

- To strasznie cyniczne. Ojcowie założyciele przetrwali wyłącznie dzięki swoim wartościom. Wierzyli w sprawiedliwość, odwagę, honor, zdecydowanie, uczciwość. I dzięki nim pokonali wszelkie trudności.

- Nie wspomniałaś o oportunizmie. A jestem przekonany, że nasi szlachetni pradziadowie potrafili zadbać o swoje interesy.

- Jak możesz tak mówić?

- Chętnie się z tobą założę, że oni również mieli swoich Madisonów Sheffieldów. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Amarylis zawrzała z oburzenia.

- Chcesz mnie sprowokować?

- Tak.

Otworzyła usta, żeby mu dopiec, ale natychmiast je zamknęła.

- Dlaczego?

Lucas wcisnął guzik pilota i wyłączył telewizor.

- Bo chcę zwrócić twoją uwagę. Odnoszę wrażenie, że mi się wymykasz.

- Nieprawda.

- Czyżby? Zdaje się, że nawiązaliśmy ze sobą romans, ale sądząc z tego, co się dzieje, nasza znajomość nie przetrwa nawet tego wieczoru.

- Tak mi przykro - szepnęła Amarylis, kładąc głowę na jego ramieniu. - Miałam ciężki dzień.

- I ty to mówisz? - odparł głaszcząc ją po włosach.

- Oboje wiemy, że wkrótce będziemy musieli o wszystkim zapomnieć.

- Nie chcę myśleć o przyszłości. Interesuje mnie wyłącznie teraźniejszość. I chce się nią nacieszyć.

- Masz rację.

Zamilkli. Napięcie uleciało gdzieś w noc. Amarylis spoczywała bezpieczna w jego objęciach. Tak bardzo pragnął zabrać ją gdzieś gdzie mogliby pozostać przez jakiś czas sami, daleko od zasad i konwencji.

- Więż - szepnął jej do ucha.

Nic nie odpowiedziała, ale w chwilę później Lucas rozpoznał znajome kształty pryzmatu na swojej płaszczyźnie psychicznej. Przesławszy mu całą swoją energię, przystąpił do tworzenia iluzji.

Wokół kanapy wyrosła grotka. Telewizor, biurko i inne meble znikły za zasłoną rozrośniętych paproci. Powyginane ściany utworzyły głęboki staw. W przezroczystej wodzie nic się jednak nie odbijało.

- To miejsce istnieje naprawdę? - spytała cicho Amarylis.

- Naprawdę.

- Na wyspach?

- Na wyspach. - Lucas położył na podłodze dywan z wysokiej trawy i przyozdobił go gdzieś wspaniałymi żółtymi różo-storczykami. Wolałby zasadzić amarylis, ale nie miał pojęcia, jak te ziemskie kwiaty wyglądały naprawdę.

- Cudownie. Tak spokojnie - szepnęła, patrząc z podziwem na mech wyrastający na ścianach jaskini.

- Odkryłem ten zakątek, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Nikomu o nim nie mówiłem, nawet Claxby'emu. Czasem chodziłem do groty i siadałem na skałach, patrząc godzinami w wodę.

- Co tam jeszcze robiłeś?

- Wiele rzeczy - odparł. - Rozwijałem swój talent. Byłem ciekaw, czy poznam kiedyś ludzi o podobnych zdolnościach. Bardzo chciałem porozmawiać z kimś, kto potrafiłby zrozumieć, jak trudno jest posiadać taką moc, wiedząc, że nie wolno jej ujawnić.

Amarylis przytuliła się do niego mocniej.

- Ja też miałam taką kryjówkę. Oczywiście nie w dżungli. Mieszkaliśmy na wsi, więc chowałam się w stodole. Pamiętam, że przez drewniane ściany sączyło się światło. Chodziłam tam często, żeby sobie poczytać i pomyśleć.

- A o czym myślałaś?

- O wielu rzeczach. - Amarylis uśmiechnęła się przelotnie. - Kiedy byłam jeszcze zupełnie małą, układałam plan zemsty na babce ze strony ojca. Potem marzyłam tylko o tym, żeby się jakoś wydostać z Lower Bellevue.

- Naprawdę? Sądziłem, że odpowiadało ci życie w małym miasteczku.

- Zawsze chciałam stamtąd uciec i znaleźć jakieś miejsce, gdzie nie musiałabym się obawiać tych wszystkich spojrzeń ludzi zainteresowanych jedynie tym, czy skompromituję swoją rodzinę, podobnie jak to uczyniła moja matka. Miejsce, w którym nikt nie wytykałby mnie palcami i nie nazywał bękartem. Takie, gdzie mogłabym w pełni wykorzystać swoją moc.

Lucas przytulił ją mocno.

- Zdaje się, że oboje mieliśmy swoje sekrety. - Wzmocnił iluzję, by nadać grocie bardziej realne kształty. Skaliste ściany odgradzały ich skutecznie od przeszłości i przyszłości.

- Lucacie?

- Tak?

- Lubię z tobą współdziałać.

- Ja również.

- Nikt dotąd nie odkrył wpływu więzi na doznania seksualne. Czy to ciebie nie dziwi?

- Taka zależność nie istnieje. - Ujął jej twarz w dłonie i zajął głęboko w oczy. - W naszym przypadku to czysty zbieg okoliczności. Już sama twoja obecność bardzo mnie podnieca. Nic dziwnego, że podczas więzi czuję się tak samo.

Uśmiechnęła się i objęła go za szyję, a on złożył na jej ustach namiętny pocałunek.

Przenikliwy dzwonek telefonu rozbił w pył iluzję groty. Przestraszona nieoczekiwanym hałasem Amarylis przerwała więź

- To pewnie moja ciotka albo wuj. - Wyzwoliwszy się z objęć Lucasa, sięgnęła po słuchawkę.

- Słucham. Tak, jest tutaj. Zaraz go poproszę.

- Przepraszam. Zostawiłem twój numer telefonu na automatycznej sekretarce - wyjaśnił, widząc zdumiony wzrok dziewczyny. - Tu Trent - powiedział do mikrofonu.

- Lucas? - W głosie Dillona wyraźnie pobrzmiwało napięcie. - Cieszę się, że cię znalazłem. Słuchaj, mam pilny interes. Nie chcę ci robić kłopotu, ale potrzebuję pomocy. I to zaraz.

- Co się stało?

- Trudno mi rozmawiać przez telefon. W sumie chodzi o to, że jestem winien jednemu facetowi trochę forsy, a nie mam gotówki. Muszę mu natychmiast oddać pieniądze. Chciałem cię prosić o pożyczkę.

- Jasna cholera.

- Lucas?

- No?

- Nie chciałbym nalegać, ale potrzebuję tej forsy zaraz.

## Rozdział jedenasty

Wszystkie pryzmaty są takie uparte? - Lucas unieruchomił silnik samochodu niecierpliwym ruchem ręki. Patrzył na światła kasyna po przeciwnej stronie ulicy. - Czy też jest to wynik małomiasteczkowego wychowania?

- Nie wiem zbyt wiele o innych pryzmatach i nie chce się wypowiadać na temat małomiasteczkowego wychowania. Chciałam tu z tobą przyjść, gdyż sądziłam, że możesz mnie potrzebować. Jesteśmy przecież współnikami, czyżbyś zapomniał? Sam tak mówiłeś.

Lucas odwrócił lekko głowę. W jego oczach błyszczało szyderstwo.

- Chyba nie będę potrzebował pryzmatu, żeby wyciągnąć z kabały młodego hazardzistę. Wystarczą pieniądze. Ciekaw jestem, ile ten głupek jest winien Chastainowi.

Amarylis postanowiła nie zwracać uwagi na zły humor Lucasa. Kłócili się od chwili, gdy telefon od Dillona zniszczył iluzję groty.

Poprawiła się na siedzeniu i zerknęła na pięknie oświetlone wejście do Pałacu Chastaina. Za zasłoną kapiącego deszczu lampy z galaretowatego lodu wyglądały jak barwne, ciepłe klejnoty. Kasyno nie było największą jaskinią hazardu na tej ulicy, ale nawet Amarylis słyszała o jego istnieniu, ponieważ tu się grało o naprawdę wysokie stawki.

- Znasz Chastaina osobiście? - spytała Amarylis.

- Powiedzmy, że coś nas łączy. - Lucas wysiadł z auta. Nie zwracał uwagi na mżawkę.

Amarylis otworzyła drzwiczki po stronie pasażera, zanim Lucas okrążył samochód, żeby jej pomóc.

- Dlaczego Dillon zadzwonił do ciebie, a nie do swojego ojca? - spytała, naciągając na głowę kaptur.

- Pewnie sobie nie życzy, żeby Calvin się dowiedział o jego kłopotach.

Amarylis pokiwała głową

- Rodzice Dillona nie byłiby specjalnie dumni z syna hazardzisty.

- To jedna strona medalu - przyznał Lucas, biorąc Amarylis pod rękę. - A druga jest taka, że Rye'owie nie akceptują jego planów. Dillon zamierzał zainwestować ewentualną wygraną w pewien interes.

- Jaki?

- Chciał szukać ognistego kryształu. - Lucas bezpiecznie przeprowadził Amarylis przez jezdnię.

Obrotowe drzwi kasyna znajdowały się w nieustannym ruchu. Wciąż przelewał się przez nie strumień elegancko ubranych ludzi. Jedni się śmiali, inni mieli poważne miny. W oczach kilkorga wyraźnie czaiła się rozpacz. Wielu wypilo zdecydowanie zbyt dużo.

Kłębiący się przy wejściu tłum obserwowała uprzejma para o surowym wyglądzie. Oboje byli w oficjalnych strojach wieczorowych, które jednak nie skrywały ich silnie umięśnionych torsów.

Lucas i Amarylis zaczęli się powoli przebijać do wejścia. Nagle na ich drodze stanął długowłosa mężczyzna w czarnej, powiewnej tunice. Zerknąwszy na Lucasa, najwidoczniej doszedł do wniosku, że nie znajdzie w nim słuchacza, bo odwrócił się natychmiast do Amarylis. W rękę trzymał tablicę, na której widniał napis:

CZY BĘDZIESZ GOTÓW, GDY ZNÓW PODNIESIE SIĘ KURTYNA?

- Przepraszam - Amarylis uczyniła desperacką próbę, żeby go wyminąć.

- Kurtyna podniesie się wcześniej niż sądzisz, kobieto. - W oczach mężczyzny błyszczało podniecenie. - Czy jesteś przygotowana do rychłego powrotu na Ziemię? Czy twoje ciało i umysł będą na tyle czyste, by zamieszkać w krainie wiecznej szczęśliwości?

- Proszę mnie przepuścić. Bardzo się spieszę.

Na ogół ludzie traktowali fanatyków sekty Powrót bardzo zdawkowo i nieuprzejmie. Nawet dobrze wychowana Amarylis nie miała cierpliwości do sekciarzy.

- Kurtyna zamknie się na wieki dla tych, którzy pogrążą się w czeluściach pięciu piekieł grzechu. Pomyśl o swojej przyszłości, kobieto. Na Ziemię powrócą wyłącznie ludzie o czystym sercu.

- Znam i doceniam wasze poglądy, ale naprawdę nie istnieją żadne dowody na to, by kurtyna posiadała jakiegokolwiek znaczenie religijne. Była zjawiskiem najzupełniej naturalnym. Konstrukcją energii, która najpierw się pojawiła, a później znikła.

- Kurtynę skonstruowały istoty wyższe zamieszkujące naszą planetę - wrzasnął fanatyk.

- Gdyby przemyślał pan ten problem z synergistycznie naukowego punktu widzenia... - Urwała, bo Lucas pociągnął ją naprzód.

- Nie ma sensu rozmawiać z tymi kretynami. - Popychał ją lekko przez obrotowe drzwi. -  
To czysta strata energii.

- Wiem. Ale czasem nie mogę się powstrzymać. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni. Dołączył do nich brat mojej przyjaciółki. Odwrócił się od rodziny i zrezygnował ze szkoły. Przez cały czas chodził tylko po ulicach z tymi idiotycznymi tablicami. Na szczęście szybko odzyskał rozum, ale mało brakowało, a przepadłby z kretesem.

- Nie uda ci się zbawić świata, Amarylis.

- Co my tu właściwie robimy?

- Sam nie wiem - mruknął Lucas.

- Rye'owie są ci bardzo bliscy, prawda?

- Mogę się założyć, że to nieodwzajemnione uczucie - powiedział smutno, ale bez goryczy.

Amarylis zrozumiała, że Lucas najwyraźniej pogodził się z losem. Jackson Rye by jego partnerem i przyjacielem. Mimo tego, co się stało, Lucas honorował stare związki. Dlatego przyjechał do kasyna.

Kasyno najwidoczniej zaprojektował artysta rozdarty między dekadencją a krzykliwą tandetą. Zarówno sufit, jak i ściany lśniły od luster, a meble tonęły w zielonym aksamicie oraz złotych ozdobach. Całość była bardzo męcząca dla oczu.

- Zupełnie jak w krainie fantazji - mruknęła Amarylis.

- I o to chodziło - wyjaśnił Lucas.

Przyciszony stukot automatów do gry tworzył tło napełniające zatłoczone pomieszczenie frenetyczną energią. Nad stolikami do gry pochylali się pięknie ubrani ludzie. Kelnerzy w uniformach kapiących od złota roznosili tace z drinkami.

- Tędy.

Minęli kolejnych ochroniarzy o zimnych oczach, a przy końcu wyłożonego lustrami korytarza natknęli się na mężczyznę, który wyraźnie na nich czekał.

- Pan Trent?

- Powiedz Chastainowi, że jestem.

Ochroniarz zerknął na Amarylis.

- Zdaje się, że miał pan przyjść sam.

- Ale jak widzisz, stało się inaczej. Panna Lark jest moją przyjaciółką. Jeśli Chastain nie przyjmie tego do wiadomości, poradź mu, żeby poszedł do psychiatry. On naprawdę wpada w paranoję.

Strażnik wahał się przez chwilę, ale w końcu skinął głową.

- Tędy, proszę państwa.

Po chwili wprowadzono ich do pokoju, gdzie dominowała czerń, złoto i czerwień. Przy solidnym rzeźbionym biurku stała niewielka grupka ludzi.

Amarylis chciała za wszelką cenę ukryć głęboką dezaprobatę. W końcu ludzie miewają różne gusta - powtarzała sobie w duchu. Mimo to projektant tego wnętrza najwyraźniej zupełnie stracił umiar i poczucie estetyki.

W oknach wisiały pluszowe czerwone kotary. Sufit podtrzymywały bogato rzeźbione kolumny. Obite szkarłatnym aksamitem meble lśniły od czarnego lakieru. Czerwono-złoto-czarny dywan był tak puszysty, że można się było na nim potknąć.

- Lucas! - Dillon zerwał się na równe nogi. Na jego twarzy malował się wyraz niewymownej ulgi. - Tak się cieszę, że cię widzę. Nic innego nie przyszło mi do głowy - mówił zupełnie bez żenady.

- Cześć. - Lucas zerknął na mężczyznę siedzącego za biurkiem. - Kopę lat.

- Dobry wieczór - odparł Chastain z chłodnym uśmiechem i zerknął bez specjalnego zainteresowania na Amarylis. - To jest zapewne panna Lark. Bardzo mi miło.

Amarylis skinęła lekko głową.

- Witam pana.

Nick Chastain nie budził w niej sympatii. Był szczupłym mężczyzną o zimnym spojrzeniu, z pewnością bardziej niebezpiecznym niż wszyscy jego goryle.

- Jak się pani podoba mój gabinet?

- Jest bardzo nietypowy - odparła ostrożnie.

- Zapewne użyła pani eufemizmu, by nie powiedzieć, że to najgorsza krzykliwa tandeta, jaką miała pani okazję oglądać. Dziękuję. Sam zaprojektowałem to wnętrze. Musi pani jednak przyznać, że mój apartament robi jeszcze bardziej piorunujące wrażenie niż to koszarne gmaszysko, w którym mieszka Trent.



- Dom Lucasa posiada ogromną wartość historyczną - odparła ostro Amarylis. - To zabytek z Epoki Pierwszych Odkryć. Odzwierciedla nastrój, jaki panował w tamtych czasach. Bardzo mi się podoba.

Lucas uniósł lekko brwi, ale się nie odezwał.

- Ona albo się w tobie kocha, albo zupełnie nie ma gustu - stwierdził Chastain.

Amarylis oblała się rumieńcem,

- A pan jest z pewnością bardzo źle wychowany.

Nick uśmiechnął się lekko. Nie spuszczał z oczu Lucasa.

- Dziwię się, że cię tu widzę. Myślałem, że młody Dillon zwróci się do ojca.

- I czujesz się zawiedziony? - spytał sucho Lucas.

- Trochę - przyznał Nick.

Amarylis łypnęła nieprzyjaźnie na Chastaina.

- Lucas jest przyjacielem rodziny i ma prawo pomóc temu chłopcu w trudnej sytuacji.

Dillon przenosił spojrzenie z Lucasa na Nicka.

- Nie rozumiem. Dlaczego to dla ciebie takie ważne, kto spłaci mój dług?

- Chastain woli brać pieniądze od ludzi z wyższych sfer - wyjaśnił Trent. - Bardzo lubi ich stawiać w nieprzyjemnej sytuacji.

- Pewnie, że to o wiele zabawniejsze niż brać twoją forszę. Nigdy nikogo nie udawałeś. A jesteś człowiekiem bez korzeni i rodziny, podobnie jak ja. Na wszystko, do czego doszedłeś, musiałeś uczciwie pracować. A Rye'owie żerowali na tradycjach rodzinnych i koneksjach. Oni wolą się nie zadawać z takimi jak my, jeśli oczywiście nie czerpią z tego korzyści finansowych.

- Zaraz, zaraz - przerwał Dillon poirytowanym tonem. - Wypraszam sobie. Lucas jest moim przyjacielem. Był współnikiem mojego brata i stał się praktycznie członkiem naszej rodziny.

- Ale przestał nim być w dniu śmierci Jacksona.

- Nieprawda - zaprotestował Dillon.

Nick nie zwracał na niego uwagi. Popatrzył na Lucasa ze złym błyskiem w oku.

- Muszę przyznać, że chciałbym zobaczyć, jak Calvin Rye robi dobrą minę do kiepskiej gry, wypisując dla mnie czek.

- Moje pieniądze są tyle samo warte - zauważył Lucas.

- To prawda. A ja lubię forszę niezależnie od jej pochodzenia - Nick rozłożył ręce. - Wezmę i twoją. Ale właściwie dlaczego tak się martwisz kłopotami Dillona? Obaj wiemy, że nie jesteś nic winien tej rodzinie.

- Powiedzmy, że robię to przez wzgląd na stare czasy. - Lucas zerknął na młodego Rye'a. - Ile?

- No... - Chłopak przełknął ślinę. - Sześćdziesiąt pięć tysięcy.

- Sześćdziesiąt pięć tysięcy? - spytała Amarylis, patrząc z przerażeniem na Dillona. - Przegrałeś tyle pieniędzy w kasynie? Jak mogłeś zrobić coś tak beznadziejnie głupiego? Nic dziwnego, że zadzwoniłeś po Lucasa. Już sobie wyobrażam, jak by na to zareagował twój ojciec. Gdzie się podziały twój honor i poczucie odpowiedzialności?

Nick roześmiał się ochryple, a Dillon poczerwieniał jak burak.

Lucas wyjął książeczkę czekową z kieszeni spodni.

- Amarylis jest bardzo zasadnicza.

- To prawda - Nick był naprawdę rozbawiony. - Prawdziwy z niej brylant bez skazy. Słyszałem, że szukasz żony. Czy panna Lark została wytypowana przez agencję?

- Nie twój interes. - Lucas nabazgrał jego nazwisko na czeku. - Bierz forszę i oddawaj weksle Dillona.

Nick skinął na jednego z milczących mężczyzn.

- Oddaj Trentowi weksle.

Weksle powędrowały do Lucasa. Trent bez słowa schował je do kieszeni i popatrzył na Dillona.

- Idziemy - powiedział.

Dillonowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

- Trent? - zawołał cicho Nick.

Lucas zerknął przez ramię.

- Czego jeszcze chcesz, Chastain?

- Posłuchaj mojej rady i ożeń się z panną Lark. Nie znajdziesz lepszej żony.

W pokoju zapanowało groźne napięcie.

- Od kiedy się zajmujesz, doradztwem matrymonialnym? - spytał Lucas.

Nick uśmiechnął się do niego promiennie.

- Mam taki fach, że muszę się trochę znać na psychologii.

Lucas stracił ochotę na dalsze dyskusje. Wyszedł z gabinetu, wziął Amarylis pod rękę i wyprowadził całe towarzystwo z kasyna.

- Skąd ty znasz tego okropnego faceta? - spytała Amarylis, kiedy szli do samochodu.

- Chastain jest całkiem w porządku, dopóki mu się nie zalezie za skórę. Mieszał na wyspach. Założył pierwsze kasyno w Port LeConner i bronił miasteczka przed piratami.

Dillon popatrzył na Lucasa z nagłym zainteresowaniem.

- Uczestniczył w akcji na wyspach?

- Tak.

Chłopak gwizdnął cicho.

Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek o nim wspominał.

- Bo on nie przepada za tego rodzaju reklamą.

- Ale z pewnością ma okropny gust. To zbyt straszne, żeby było prawdziwe. Poza tym odnoszę wrażenie, że on kocha obrażać ludzi.

- I pewnie się nie mylisz - powiedział Lucas.

**N**o, dobra. Spanikowałem - Dillon usiadł na staroświeckim metalowym krześle w kuchni Lucasa. - Przykro mi, ale naprawdę nie mogłem zadzwonić do taty. Wiesz przecież, co on sądzi o hazardzie. Zostałeś mi tylko ty.

Lucas napełniał kubki herba-kawą.

- Wydawało ci się, że wygrasz i zainwestujesz w ten idiotyczny pomysł z ognistym kryształem.

- Kiedy odmówiłeś mi pożyczki, doszedłem do wniosku, że to jedyny sposób, żeby zdobyć pieniądze.

- Kasyno nie jest instytucją charytatywną.

- Ale wydawało mi się, że Chastain nie oszukuje.

- Bo nie oszukuje. Tyle że krupier ma zawsze większe szanse.

- Przez jakiś czas byłem do przodu.

- W takim razie trzeba było odejść od stolika. - Lucas postawił kubek przed Dillonem.

Amarylis położyła się do swojego własnego łóżka dopiero po północy. Lucas najchętniej dotrzymałby jej towarzystwa, ale postanowił poświęcić swój cenny czas Dillonowi. Nie miał już

żadnych wątpliwości co do tego, że brat Jacksona pakuje się dobrowolnie w straszną kabałę. Ktoś musiał mu jakoś pomóc.

- No, dalej - mruknął Dillon. - Zaczynaj wykład. Zasłużyłem sobie na kazanie.

- Szkoda mi energii. - Lucas pił powoli herba-kawę.

- Nie wiem, kiedy ci oddam kasę. Nawet nie mam pracy.

- Zaczekam.

Dillon przeczesał palcami włosy gestem, który przypominał Lucasowi Jacksona.

- Ale afera! Jeśli matka i ojciec kiedykolwiek się o tym dowiedzą, do końca życia nie będę miał spokoju. Utwierdzą się tylko w przekonaniu, że jestem zupełnie nieodpowiedzialny.

Lucas nadal milczał jak grób.

- Mógłbym ci spłacić dług, gdybym zaczął dla ciebie pracować.

- Chyba tak.

- Ale rodzice nigdy się na to nie zgodzą.

- Pewnie nie.

Dillon spojrzał mu w oczy.

- Powiesz ojcu o tej forsie?

- Nie.

- Ile mi dasz czasu na wyrównanie rachunków?

- Ile będzie trzeba.

- Naprawdę? Większość facetów na twoim miejscu upomniałaby się o pieniądze u mojego starego.

- Jesteś wystarczająco dorosły, żeby spłacić swoje długi.

- Mój ojciec na pewno by się z tobą nie zgodził. Zresztą rzeczywiście nie mam się czym chwalić. - Dillon zacisnął usta. - Ale i tak oddam ci forsę. Tak czy inaczej.

- W porządku - Lucas uśmiechnął się słabo. - Ale wyrządź mi przysługę. Nie rób niczego niezgodnego z prawem. I trzymaj się z dala od kasyn.

- Nie zostawiasz mi zbyt wielkiego wyboru - jęknął Dillon.

**D**ziękuję, że przyjęłaś moje zaproszenie – powiedziała Amarylis, patrząc na Irene Dudley siedzącą na wprost niej przy restauracyjnym stoliku. - Wiem, że nie jest ci łatwo urwać się z pracy.

- W zeszłym tygodniu robiłam krótsze przerwy na lunch. Profesor Yamamoto postanowiła mi to jakoś wynagrodzić. Poza tym ona uważa, że w piątki nie trzeba aż tak bardzo dbać o dyscyplinę. Profesor Landreth z pewnością nie podzieliłby jej zdania na ten temat ale teraz ona tu rządzi.

- Bardzo się cieszę. - Amarylis zerknęła na menu i nie znalazła w nim niczego interesującego. Całą uwagę skupiła na pytaniach, jakie chciała postawić Irene. Do restauracji przychodzili głównie biznesmeni i ludzie, którzy robili w mieście zakupy. Amarylis celowo wybrała lokal położony daleko od uniwersytetu.

- Dlaczego chciała się pani ze mną zobaczyć? - Irene była najwyraźniej przestraszona. - Czy to ma coś wspólnego z profesorem Landrethem?

- Tak. - Amarylis chwyciła ją impulsywnie za rękę. - Proszę, powiedz mi prawdę. Czy to ty dzwoniłaś do mnie wtedy wieczorem i sugerowałaś, że powinnam się skontaktować z Vivien?

Irene rozszerzyła oczy ze zdumienia.

- W jaki sposób się pani tego domyśliła?

- Nie rozpoznałam twojego głosu, ale potem długo o tym wszystkim myślałam. - Nie chciała wspominać o Giffordzie, żeby jeszcze bardziej nie zdenerwować Irene. - Odkryłaś, że profesor spotyka się z Vivien?

Irenę otarła łzy serwetką.

- Chodził do niej co tydzień. W dalszym ciągu nie rozumiem dlaczego. Przecież on się nigdy nie zadawał z takimi ludźmi. Może ona go zniewoliła jakimś diabolicznym talentem? Co pani o tym sądzi?

Irene cierpiała tak bardzo, że Amarylis nie miała serca odbierać jej złudzeń

- Niewykluczone - skłamała.

- Przecież nie ma żadnego innego wytłumaczenia. Profesor był naprawdę porządnym człowiekiem. Prawdziwym dżentelmenem.

- Proszę, sobie wyobrazić, że to samo mówiła o nim Vivien.

Irene miała taką minę, jakby jej nie słyszała.

- Był bardzo zasadniczy i prawy. Uosabiał wszystkie cnoty ojców założycieli.

- Ostatnio wiele się o nich mówi.

- Dzięki naszemu wspaniałemu senatorowi Sheffieldowi. - Irene odłożyła serwetkę. Przystała płakać i popatrzyła rezolutnie na Amarylis. - Bardzo się cieszę, że człowiek takiego

formatu zaczął się ubiegać o urząd gubernatora. On wie, czego chce. Skieruje nasze stano-miasto na odpowiednią ścieżkę. Żałuję tylko, że profesor nie doczekał tej chwili. Sheffield zostanie prawdopodobnie prezydentem Stano-miast Zjednoczonych. Profesor na pewno by się z tego cieszył.

- Dlaczego wysłałaś mnie do Vivien?

Irene popatrzyła jej prosto w oczy.

- Zaczęłam rozważać wszelkie okoliczności, jakie towarzyszyły śmierci profesora. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej rozumiem. Policja umorzyła dochodzenie. Zupełnie nie wiedziałam, co robić, dopóki nie przysłała pani do mnie gabinetu. Doszłam do wniosku, że to jakiś znak.

- Chciałaś obudzić moje podejrzenia, bo wiedziałaś, że zrobię wszystko, żeby wyjaśnić sprawę do końca?

- Mogłam liczyć wyłącznie na panią i na siebie. Jestem tylko starzejącą się sekretarką. Nie mam zielonego pojęcia, co należy robić w takiej sytuacji. Ale pani jest taka mądra, panno Lark. Profesor wyrażał się o pani w samych superlatywach. Zachwycił się pani inteligencją, zdecydowaniem i wytrwałością. Dlatego doszłam do wniosku, że jest pani jedyną osobą, która może rozwiązać ten problem.

- Więc wysłałaś mnie do Vivien?

- Tak - westchnęła Irene. - Jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby rozmawiać z taką kobietą. Byłam jednak pewna, że ona coś wie. Jej znajomość z profesorem miała w końcu intymny charakter. On z pewnością powierzał tej ladacznicy swoje sekrety.

- Wiedziałaś, że w dzień swojej śmierci profesor był umówiony z Gilbertem Ostreleyem.

- Z Ostreleyem? - Irene aż rozchyliła usta ze zdziwienia. - Niemożliwe. Oni nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

- Sprawdzałaś ostatnie zapiski w kalendarzu?

- Szczerze mówiąc, kiedy się dowiedziałam o wypadku, przeplakałam cały dzień. Nie mogłabym patrzeć na jego kalendarz, wiedząc, że żadne z planowanych spotkań nie dojdzie do skutku.

- Ciekawa jestem, czego miała dotyczyć ta rozmowa. Nie domyślasz się przypadkiem?

- Nie. I zupełnie nie rozumiem tej historii ze striptizerką. - Wytarła nos i popatrzyła na Amarylis ze zmarszczonymi brwiami. - A skąd pani wie o Giffordzie?

- Muszę ci się do czegoś przyznać. - Amarylis oblała się rumieńcem i spuściła wzrok. Wiedziała, że nie wolno jej nawet jednym słowem wspomnieć o Giffordzie. - Kiedy mi powiedziałaś, że następnego dnia ktoś przyjdzie po rzeczy, poszłam do twojego biura i znalazłam pudło, w którym był kalendarz. Spojrzałam na ostatnie zapiski. Wiem, że źle zrobiłam, ale nie miałam innego wyjścia.

Zapadła krępująca cisza. Gdy Amarylis podniosła wzrok, Irene patrzyła na nią z dziwną miną.

- O mój Boże! - westchnęła pani Dudley.

- Widzę, że jesteś zupełnie zaszokowana. Ale ja niczego nie ukradłam. Naprawdę.

- Proszę mi to przysiąc.

- Przysięgam na honor Larków - powiedziała Amarylis unosząc dumnie podbródek.

- Wierzę. Ale tym bardziej nic nie rozumiem.

- Co masz na myśli?

- Ja też muszę się do czegoś przyznać – powiedziała wolno Irene. - Kiedy tylko się dowiedziałam, że ktoś ma zabrać dokumenty, ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój. Jestem przymatem z ograniczonym widmem. Nie mam zbyt wielkiej mocy, ale nie brak mi intuicji. Pamięta pani specjalną teczkę profesora?

- Oczywiście. Nazywał ją „świeżutką teczuszką” i trzymał w niej notatki dotyczące ostatnich prac.

- Zanim przyszli po te kartony, postąpiłam bardzo impulsywnie. Przeszukałam pudła.

- I co? Znalazłaś teczkę?

- Nie. - Irene popatrzyła ponuro na Amarylis. - Ktoś mnie uprzedził.

**M**ilo mi pana widzieć. - Gifford Osterley promieniał entuzjazmem. - Podziwiam pana od lat. Pańska firma to najlepsze świadectwo pańskiej inteligencji, zdolności i zdecydowania. Może służyć za wzór wszystkim biznesmenom.

Lucas patrzył na Osterleya z perwersyjnym zainteresowaniem. A więc tak wyglądał człowiek, którego Amarylis uznała za odpowiedniego kandydata na męża. Nie poszła z nim jednak do łóżka. Co za wybredna z niej dziewczyna!

- Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć?

Gifford odchrząknął i otworzył czarną skórzaną teczkę pasującą świetnie do jego srebrzystoszarego garnituru.

- Zauważyłem, że korzysta pan ostatnio z pomocy pryzmatów z pełnym widmem. Nasza firma specjalizuje się w usługach dla tak znaczących klientów.

- Zwróciłem się do innej firmy.

- Wiem. Do Psynergii. Ale zapewniam pana, że mogę panu zaoferować coś więcej.

- A mianowicie?

- Dyskrecję. - Gifford popatrzył na niego znacząco. - Całkowitą dyskrecję, panie Trent.

- Podobnie jak Psynergia.

- Ale my świadczymy usługi najwyższej jakości. Nie wymagamy też żadnych zaświadczeń i testów. Wszystkie nasze pryzmaty mogą ogniskować dla talentów klasy dziewiątej i dziesiątej, więc nie grozi im wypalenie.

- Korzystałem z usług pryzmatu o pełnym widmie.

- Mówi pan zapewne o Amarylis Lark - Gifford mrugnął porozumiewawczo do Lucasa. - Wybacz pan, ale ja ją świetnie znam. Jest zdecydowanie zbyt stereotypowa, choć muszę przyznać, że to silny i wykształcony pryzmat.

- Rozumiem, że pańskie pryzmaty działają w mniej konwencjonalny sposób.

- Przede wszystkim posiadają zdolności twórcze – zaśmiał się Gifford. - Żaden z nich nie bierze sobie specjalnie do serca zasad tak zwanej etyki zawodowej. Uważają, że klient ma zawsze rację.

- Rozumiem.

- Klient decyduje jak, kiedy i gdzie korzystać z pomocy pryzmatu. Nie chcemy w żaden sposób wpływać na jego decyzje. Czy wyrażam się jasno?

- Aż nazbyt jasno. A teraz może pan już odejść. Mam masę pracy.

Na czole Gifforda pojawiła się maleńka zmarszczka.

- Być może źle mnie pan zrozumiał. Z pewnością chciałby pan korzystać ze swego talentu bez ograniczeń. Niech ta była pracownica uniwersytetu zachowa swoje wykłady na inną okazję.

- Zdradzę panu pewną tajemnicę, panie Osterley. Przekonałem się ostatnio, że cnota popłaca.

**L**ucas? Tu Amarylis.



Lucas rozparł się na krześle i uśmiechnął do słuchawki.

- Jakoś tak się składa, że cię poznaję.

- Mam bardzo interesujące wieści. Irene Dudley też szperała w rzeczach profesora.

Lucas przestał się uśmiechać.

- Ta sekretarka przeszukała pudła?

- Tak. I to właśnie ona nasłala mnie na Vivien.

- Ale numer!

- Uważała, że profesor zginął w bardzo podejrzanych okolicznościach, ale zupełnie nie wiedziała, co robić. Po mojej wizycie doszła do wniosku, że powinnam się zainteresować tą sprawą. Pewnie dlatego, że wypytywałam ją wtedy o łamanie kodeksu i inne tego typu rzeczy.

- Nie widzę nic zagadkowego w śmierci profesora.

- Potem postanowiła przeszukać pudła.

- Dlaczego? - spytał Lucas.

- Szukała „świeżutkiej teczuszki” Landretha.

- Świeżutkiej teczuszki? Co to znaczy, do diabła?

- Profesor miał takie specjalne akta. Irene pamiętała, że zapakowała je do kartonu. Ale... i słuchaj teraz uważnie... te dokumenty zniknęły.

Lucas pomyślał, że Amarylis jest stanowczo zbyt przejęta.

- Nie sądzisz, że profesor Landreth zginął właśnie z powodu tych akt?

- Ano nie.

-Może ktoś zepchnął go ze skały, a potem zabrał teczuszkę, żeby usunąć ewentualne dowody? - Amarylis najwyraźniej nie brała pod uwagę jego opinii.

- Dlaczego ten domniemany zabójca miałby raptem zawracać sobie głowę pudłami? Przecież policja i tak umorzyła dochodzenie.

- Na wszelki wypadek. Nie chciał, żeby dokumenty wpadły w ręce niepowołanych osób. To wszystko ma sens.

- Nic podobnego - jęknął Lucas. - Zastanów się! Przecież tylko Irene Dudley twierdzi, że brakuje akt. Mogły po prostu wylądować w innym miejscu. Z tego, co mówisz, pani Dudley głęboko przeżyła śmierć profesora. Być może nie myślała jasno, kiedy pakowała te wszystkie rzeczy.

Amarylis myślała chwilę.

- Podobno rzeczywiście przeplakała cały dzień i mogła zapomnieć, gdzie położyła te akta, ale...

- Czy moglibyśmy dokończyć później? - przerwał. - Muszę tu coś skończyć. Jest piątek i chciałbym wyjść wcześniej z pracy. Mogę po ciebie przyjechać około szóstej. Co ty na to?

- Niestety, jestem zajęta. Zaprosiłam wujostwo na kolację.

- Rozumiem.

Lucas uświadomił sobie, że nie ma prawa oczekiwać zaproszenia na spotkanie rodzinne. W końcu nie był narzeczonym Amarylis, a jedynie jej kochankiem. W mieście nikt nie przywiązywał wagi do takich spraw, ale ludzie z prowincji mieli inną mentalność. Wujostwo Amarylis nie mogłoby zaakceptować ich związku, a dziewczyna doskonale o tym wiedziała. Nie postawiłaby swojej rodziny w tak głupiej sytuacji.

- Przyjedziesz? - spytała Amarylis.

- O której?

- O szóstej.

- Będę na pewno.

Kiedy Lucas odwiesił słuchawkę pomyślał, że cały ten wieczór okaże się jedną wielką pomyłką. Nie miał jednak zbyt wiele do stracenia. Jego związek z Amarylis był zwykłym nieporozumieniem.

## *Rozdział dwunasty*

A więc zajmujesz się wydobywaniem galaretowatego lodu? - spytał Oscar Lark, gdy spałaszował ostatni kawałek placka słomiano-brzoskwiowego.

- Tak, proszę pana - Lucas patrzył łakomym wzrokiem na półmisek. Miał ochotę na ostatnią porcję przepyszного ciasta, ale nie chciał zostać posądzony o brak wychowania.

Rozejrzał się lękliwie. Wszyscy skończyli deser i nikt nie wykazywał najmniejszego zainteresowania plackiem. A Lucas już od lat nie jadł tak smakowitych domowych wypieków.

Ciotka Amarylis, prowincjonalna lekarka, patrzyła na niego z uśmiechem. Hannah Lark była atrakcyjną, pogodną kobietą o jasnoniebieskich oczach i rudych, trochę już siwiejących włosach ostrzyżonych na krótkiego pazia. Lucas nie potrzebował nawet ogniskować swojej energii, żeby wyczuć jej zdolności diagnostyczne.

Oscar Lark, najwyraźniej talent rolniczy, siedział przy drugim końcu stołu. Ten silny mężczyzna dorównywał Lucasowi wzrostem. Na jego pokrytej bruzdami twarzy i spracowanych rękach odcisnęły się lata spędzone na farmie. Oscar wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z portretu ojców założycieli.

- Od kiedy prowadzi pan tę firmę? - spytał Oscar.

- Właściwie całe życie.

Lucas pomyślał, że zje to ciasto trochę później. Jak już wszyscy wyjdą. Jeśli oczywiście nikt go nie uprzedzi.

- Mówiłam ci, kochanie, że Lucas jest związany z Gwiazdą Polarną - wtrąciła Hannah. - Słyszałeś przecież o Gwieździe.

- No, no - Oscar popatrzył na niego chytrze. - To duża firma. A co pan tam właściwie robi?

- Jestem jej właścicielem.

- Naprawdę? - spytał sceptycznie Oscar. - Kiedy zdążył się pan dorobić takiego majątku? Gwiazda stanowi pewnie własność pańskiego ojca.

Lucas oderwał wzrok od ciasta i spojrzał Oscarowi prosto w oczy.

- Moi rodzice zginęli, kiedy miałem trzy lata. Sam stworzyłem to przedsiębiorstwo. Od podstaw. Dlatego należy do mnie.

Zaległa krępująca cisza.

Oscar zamrugał oczami.

- Rozumiem. - Odchrząknął głośno. - A reszta rodziny? Pewnie wszyscy pracują w firmie?

- Nie mam rodziny - odparł krótko Lucas. - Ani nikogo bliskiego.

- Nikogo?

- Nie, proszę pana. - Lucas podjął męską decyzję. Brak rodziny stanowił ostatni gwóźdź do trumny. Nic już mu nie mogło bardziej zaszkodzić, więc sięgnął bohatersko po ostatni kawałek ciasta. - Ale wkrótce zamierzam się ożenić.

- Lucas zarejestrował się w agencji, wujku. - Amarylis wstała gwałtownie od stołu i zaczęła zbierać talerze. - Niedługo wybiera się do nich na decydującą rozmowę.

Oscar przymrużył oczy.

- Podobnie jak ty, prawda?

- Zgadza się. - Amarylis wyniosła talerze do kuchni.

- Umowa z dobrą agencją to jedyne wyjście – powiedział Oscar. - Tak ważnej decyzji nie wolno podejmować bez pomocy fachowców. A te wszystkie małżeństwa z miłości kończą się z reguły fatalnie.

Lucas zajął się plackiem. Pomyślał, że pewnie nieprędko nadarzy mu się okazja, żeby skosztować domowego ciasta.

- Kto ma jeszcze ochotę na herba-kawę? - spytała Amarylis zza lady.

Hannah podniosła się z krzesła i spojrzała znacząco na Oscara.

- Może by tak panowie przeszli do salonu? My tymczasem pozmywamy.

- Jak sobie życzysz, kochanie. - Oscar popatrzył na Lucasa z kamienną miną. - Czy już pan skończył?

Lucas przełknął ostatni kęs i spojrzał mu prosto w oczy.

- Tak, dziękuję.

Musiał stawić czoło temu, co i tak było nieuniknione, więc wstał i ruszył za Oscarem do maleńkiego saloniku Amarylis. Instykt ostrzegał go, że przesłuchanie wcale się nie skończyło. Najgorsze wciąż było przed nim.

Do tej pory wszystko układało się nieźle. Sympatyczne zachowanie Hannah przyćmiło podejrzliwość Oscara. Lucas uważał, że - biorąc pod uwagę okoliczności - poradził sobie całkiem nieźle. Wszyscy byli bardzo uprzejmi. Podczas pysznego posiłku ani na moment nie zaległa krępująca cisza. Lucas nawet przez chwilę wyobrażał sobie, że jest mężem Amarylis i właśnie podejmują krewnych na kolacji.

Ale ta iluzja miała właśnie zostać roztarta na proch. Nie mógł mieć jednak o to pretensji do Oscara Larka, bo on sam postąpiłby podobnie na jego miejscu. Oscar musiał dbać o swoją siostrzenicę. To był jego obowiązek.

Lark opadł na miniaturowe krzesło stojące na wprost kominka, gdzie palił się ogień podsycany galaretowatym lodem.

- Tak więc oboje złożyliście ankiety w agencji.

- Tak, proszę pana. - Lucas usiadł obok Larka na drugim krzeselku ustawionym naprzeciwko paleniska.

- Moja siostrzenica twierdzi, że posiadasz talent dużej mocy

- Owszem.

- Amarylis jest pryzmatem z pełnym widmem.

- Zdaję sobie z tego sprawę

- Nie macie szans na trwały związek.

- Raczej nie.

Oscar zapatrzył się w ogień.

- Ludziom, którzy rejestrują się w agencji, przychodzą czasem do głowy dziwne pomysły. Stają się rozbrykani i niesforni. To pewnie perspektywa rychłego małżeństwa w ten sposób na nich wpływa.

- Racja.

- Wielu z nich zaczyna się zastanawiać, czy agencja naprawdę potrafi im znaleźć kogoś odpowiedniego. Kogoś, z kim pragnęliby spędzić resztę życia.

- To daje dużo do myślenia.

- A niektórym się wydaje, że podejmą lepszą decyzję niż ich doradca z agencji.

Lucas nawet się nie odezwał.

- Jeszcze inni pragną użyć trochę życia – powiedział Oscar. - Szczególnie ci z miasta chcą się dobrze zabawić, póki jeszcze pora.

Trent milczał uparcie.

- Nie chcę, żeby Amarylis stała się jakaś krzywda.

- Rozumiem - odparł Lucas, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie pozwolę, żeby ta dziewczyna zniszczyła sobie życie, tak jak jej matka. Pewnie wiesz, o czym mówię.

- Amarylis opowiedziała mi tę historię.

- Matka Amarylis, Eugenia, była moją siostrą. - Oscar znów zapatrzył się w ogień. - Ten skurczybyk, który ją namówił na ucieczkę z domu, pochodził z najbogatszej rodziny w całym Lower Bellevue. Nazywał się Bailey. Pewnie Amarylis ci mówiła, że był żonaty.

- Owszem.

- Skojarzyli ich rodzice. Na nieszczęście nie zwrócili się o pomoc do specjalistów. Ale wszyscy wiedzieli, że Elisabeth Bailey dba bardziej o majątek i status społeczny niż o szczęście własnego syna. Młody Matt nie potrafił się jej sprzeciwić. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, kiedy matka kazała mu się żenić.

- Wiem.

- Ale i tak nie można usprawiedliwić tego, co się stało. Matt Bailey miał żonę i kropka. A my nie aprobujemy skoków w bok. Czasem tylko przymykamy oczy, jeżeli żonaty facet pofiguje z mężatką i oboje zachowują dyskrecję. Młody Bailey złamał wszelkie konwenanse, romansując z Eugenią.

Lucas skinął poważnie głową.

- Nie wiem, w jaki sposób oni usprawiedliwiali postępek, który pogrążył w rozpacz obie rodziny, ale ja i tak będę zawsze winił o wszystko Matta. Moja siostra była jeszcze bardzo młoda. Nawet nie skończyła osiemnastu lat. I nie brała zastrzyków antykoncepcyjnych, bo zabrakło wtedy szczepionki.

- Rozumiem.

- A z kolei działanie szczepionki Baileya zostało zneutralizowane, bo on planował powiększenie rodziny.

- Więc żadne z nich nie było zabezpieczone.

Oscar zwinął dłoń w mięsistą pięść.

- Miałem ochotę zamordować Baileya, kiedy się dowiedziałem, co on zrobił mojej siostrze. Wszyscy chcieliśmy go ukatrupić. Ale cóż mogliśmy zrobić? Potem oboje zginęli

podczas sztormu, a całe odium spadło na to biedne dziecko. Niełatwo być bękartem w małym miasteczku.

W głosie Oscara nadal pobrzmiwała wściekłość.

- Rozumiem - powiedział spokojnie Trent.

Oscar przeszył go na wylot surowym spojrzeniem.

- Amarylis nie jest osiemnastoletnią gęsią, tylko dorosłą kobietą. Jeśli chce przeżyć romans przed ślubem, to jej sprawa. Moja żona twierdzi, że jej szczepionka jeszcze działa, a ja mam nadzieję, że ty też niczego w tej sprawie nie zaniedbałeś.

- Może pan być całkiem spokojny.

Oscar skinął z zadowoleniem głową.

- To dobrze. Bo ja nie pozwolę na to, żeby Amarylis znalazła się w takiej samej sytuacji jak jej matka. Jasne?

- Oczywiście, proszę pana.

- Chcę, żeby Amarylis była szczęśliwa. Obaj wiemy, co może zdziałać dobra agencja matrymonialna. Tylko za jej pośrednictwem można znaleźć odpowiedniego partnera na całe życie. A krótkotrwałe romanse nawet bardzo burzliwe, nie zastąpią trwałego, udanego związku.

- Całkowicie się z panem zgadzam. - Lucas pomyślał, że nie powinien mówić Oscarowi o swoich doświadczeniach w tej materii. I tak już rozmowa okazała się wystarczająco nieprzyjemna.

- Amarylis jest fantastyczną młodą kobietą. A cała nasza rodzina starała się jej wpoić poczucie odpowiedzialności.

- I na pewno się to państwu udało.

- Moja żona uważa, że nawet trochę przesadziliśmy. Sądzi, że Amarylis jest zbyt zasadnicza. Zbyt mało elastyczna. Nietolerancyjna. - Oscar popatrzył na Lucasa badawczo i znowu odchrząknął. - Jeśli oczywiście rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak, proszę pana.

- To dobrze. Nie mogę powiedzieć, że aprobuję wasz romans, ale najważniejsze dla mnie jest jednak to, żeby Amarylis nie urodziła bękarta. Słyszysz, Trent?

- Oczywiście.

Oscar ścisnął poręcz fotela i pochylił się naprzód z miną, jakiej nie powstydziliby się nawet najmeźniejszy z kolonistów.

- W takim razie nie zrób jej dziecka, bo jeżeli ona zajdzie w ciążę, zaskarżę cię do sądu, zanim zdążysz się obejrzeć.

Lucas uniósł brwi i nawet się nie odezwał.

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś i ile masz pieniędzy. Pilnuj szczepionki. A jak wpędzisz moją siostrzenicę w tarapaty, pojedę za tobą nawet na wyspy, jeśli będzie taka potrzeba. I obaj wiemy, że wygram sprawę przed sądem. Nie będziesz się mógł zasłonić żoną, więc poślubisz moją siostrzenicę.

- Rozumiem. - Lucas odważnie wytrzymał płomienny wzrok Oscara. - Obiecuję, że nie postawię w kłopotliwej sytuacji ani Amarylis, ani jej rodziny.

Oscar patrzył na niego z uwagą jeszcze przez chwilę, a potem wyraźnie odetchnął z ulgą.

- W takim razie w porządku. Może nie masz własnej rodziny, ale chyba wiesz, co oznacza fakt jej posiadania.

- Oczywiście

Lucasowi szumiało w głowie. Ślub z Amarylis. Groźby Oscara zupełnie go nie przerażały.

Potem jednak uświadomił sobie, że Amarylis nie wyobraża sobie małżeństwa bez pośrednictwa agencji, i stracił humor.

**D**wa dni temu zgłosiła się do mnie Elisabeth Bailey. - Hannah wytarła szklanekę i wstawiła ją do kredensu. - Od śmierci Matta i Eugeniei przestała korzystać z moich usług. Leczyła się w Nowym Seattle.

Amarylis szorowała pracowicie garnek.

- Czyżby źle się czuła?

- Nie. Chciała tylko ze mną porozmawiać.

- O czym?

Hannah sięgnęła po kolejną moką szklanekę.

- Mówiła, że musi się z tobą zobaczyć.

- Po co? - Amarylis natychmiast oderwała wzrok od garnka.

- Nie wiem. Podkreślała, że to ważne.

- I nawet się nie domyślasz, o co jej chodzi?

- Może dopiero teraz zrozumiała, ile straciła, kiedy się ciebie wyparła.



- Nie wierzę. -Amarylis wyjęła ze zlewu czysty garnek i postawiła go na suszarce. - Ja jej w ogóle nie obchodzę. Ma przecież wnuki. Rodzeństwo mojego ojca dochowało się liczne potomstwa.

- Ale Matt był jej najstarszym synem.

- Więc?

Hannah przerwała wycieranie talerzy.

- Ciocia Sophy twierdzi, że Elisabeth czuje się winna, bo wepchnęła Matta w ramiona niewłaściwej kobiety.

- Ona przecież nie ma sumienia. Pewnie chce mi po prostu przypomnieć, że moja matka zniszczyła jej syna, który w końcu stracił przez nią życie. Obejdę się bez takiej sceny.

- Oczywiście to ty dokonujesz wyboru, ale sądzę, że powinnaś się z nią spotkać.

Amarylis przypomniała sobie dzień, w którym jadła lody.

*Nie masz żadnej babci, bo jesteś zwykłym bękartem.*

- Nie chcę - odparła.

Następnego ranka nie mogła się doczekać spotkania z Lucasem. Sięgnęła więc po słuchawkę, zanim jeszcze dopiła herba-kawę.

- Myślę, że to był raczej udany wieczór – powiedziała spokojnie, gdy tylko Lucas odebrał telefon.

- Placek wzbudził moje najwyższe uznanie.

- Mój wuj powinien być zostać kucharzem.

- To on upiekł placek? - zdziwił się Lucas.

- Tak. Specjalizuje się w ciastach.

- Już rozumiem.

- Mogę go poprosić, żeby dał ci przepis.

- Nie zawracaj sobie głowy - mruknął Lucas. - Nie przepadam za pitraszeniem.

- Tak czy inaczej nie mówiłam o jedzeniu. Chodziło mi o to, że wujek Oscar i ciotka Hannah bardzo cię polubili.

- Do tego stopnia, że twój wuj wypruły mi z rozkoszą wszystkie flaki.

- Nieprawda. - Zaskoczyła ją gorycz w głosie Lucasa - Uwierz mi, zrobiłeś na nich dobre wrażenie.

- Co za różnica? I tak nie robimy żadnych planów na przyszłość.

Amarylis poczuła nagle ogromny ciężar na sercu.

- Jesteśmy przyjaciółmi. A nawet więcej niż przyjaciółmi. Dlatego wydawało mi się, że oni powinni cię lubić.

- Wybacz, ale mam trochę pracy. W czym ci mogę pomóc?

Lodziarz znów wrócił do formy - pomyślała Amarylis. Za wszelką cenę postanowiła nie stracić panowania nad sobą.

- Nie mieliśmy okazji wczoraj ze sobą porozmawiać.

- Bo twój wuj i ciotka wyraźnie czekali, żebym wyszedł.

Amarylis uświadomiła sobie, że to prawda. Hannah i Oscar nie ukrywali, że są gotowi przesiedzieć w salonie całą noc. Pogodzili się z romansem swojej siostrzenicy, ale nie zamierzali ułatwiać jej sytuacji.

- Chyba się wszystkiego domyślili - powiedziała delikatnie Amarylis.

- Z pewnością. Wczoraj wieczorem Oscar zrobił mi wykład i to bynajmniej nie na tematy kulinarne.

- Oni bardzo się o mnie troszczą. Nigdy nie zaaprobują naszego związku. Znasz przecież starszych ludzi. Kiedyś nikt się nie afiszował z kochankami. W tych sprawach obowiązywała pełna dyskrecja. A mieszkańcy Lower Bellevue szanują tradycje.

- Z pewnością - przyznał zgryźliwie Trent.

Amarylis uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała mi Irene Dudley podczas lunchu.

- O tych tajemniczych aktach?

Wyczuła jego sarkazm i zaczęła się denerwować.

- To poważna sprawa. Im dłużej o niej myślę, tym bardziej jestem pewna, że Irene miała rację. Profesor Landreth został zamordowany, a klucz do tajemnicy tkwi właśnie w tych zaginionych dokumentach. No bo po co ktoś miałby je kraść?

- A może po prostu Irene Dudley wymyśliła tę całą bzdurę, bo nie może przestać myśleć o profesorze?

- Uważam, że się mylisz.

- No dobrze. Powiedzmy, że ktoś rzeczywiście rąbnął te dokumenty. Jak zamierzasz przekonać o tym policję?

- Jeszcze nie wiem. Ale zaczynam się martwić, bo gdziekolwiek się obejrzę, tam napotykam nazwisko Gifforda.

- Rzeczywiście. Widocznie on ma jakiś związek z tą sprawą.

- Bardzo mnie to niepokoi.

- Mnie również, choć sędzę, że z innych względów. Mówiłem ci już, że pan Osterley złożył mi wczoraj wizytę?

Amarylis o mało nie upuściła słuchawki.

- Nie mówiłeś. Czego on chciał?

- Chciał mnie namówić, bym korzystał z usług jego firmy. Napomknął wielokrotnie o dyskrecji swoich pracowników. Twierdził, że jego przyrządy nie zawierają, sobie głowy kodeksem etycznym.

- O mój Boże! Coś takiego właśnie podejrzewałam. Profesor Landreth byłby naprawdę wściekły. Cały czas się zastanawiam, czy on wiedział, co Gifford właściwie wyprawia.

- Sądziś, że Osterley zabił Landretha, bo się obawiał o przyszłość firmy? - spytał Lucas obojętnie. - Sędzę, że jakakolwiek kontrola mogłaby popsuć mu szyki.

- Nie, Gifford na pewno nie jest mordercą. - Amarylis zacisnęła palce na słuchawce. Już druga osoba sugerowała, że Osterley miał powody, żeby zabić profesora. - To wykluczone. Zupełnie nie mogę go sobie wyobrazić w takiej roli.

- Ale kiedyś wyobrażałaś go sobie doskonale w roli męża.

- Mylisz pojęcia - odparła z oburzeniem. - Mnie również czasem zawodzi intuicja. Jak każdego. - Myślała chwilę. - Nie wiemy tylko, jak daleko oni się posunęli.

- No bo albo tylko złamali kodeks, albo pomagają kryminalistom, co oznacza konflikt z prawem. O to ci chodzi?

Amarylis z trudem przełknęła ślinę.

- Stawiasz sprawę na ostrzu noża.

- Nigdy nie byłem subtelny. A nasza dyskusja jest niewątpliwie bardzo ciekawa, ale ma czysto akademicki charakter.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo nie będziemy w stanie niczego udowodnić.

- Silny wykrywacz mógłby ich złapać na gorącym uczynku.

- Na mnie nie licz. Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż ganiecie za klientami Osterleya. Poza tym nawet gdybym coś wykrył, policja zażąda bardziej namacalnych dowodów. A coś mi mówi, że Osterley postępuje niezwykle ostrożnie.

- Muszę zdobyć nieco więcej informacji na temat Niezwykłych Pryzmatów.

- Niech to szlag! Amarylis! Przecież ci już mówiłem...

- Chcę wiedzieć, jak daleko on się posunął. I czy rzeczywiście złamał prawo.

- W jaki sposób zamierzasz to sprawdzić? - spytał Lucas z rozbawieniem. - Zatrudnić się incognito w jego firmie? Przeniknąć w szeregi wroga?

- Mogłabym to zrobić, bo Gifford zaproponował mi pracę. Ale zacznę od obserwacji jednego z jego klientów - odparła z namysłem Amarylis.

- Czyli Senatora Sheffielda, bo innych przecież nie znasz.

- Właśnie.

- Do diabła! - Tym razem Lucas naprawdę się przestraszył - Amarylis, co ty chcesz zrobić?

- Zainteresować się polityką. Przecież mi mówiłeś, że bez przerwy dostajesz listy z prośbą o wsparcie kampanii, a twoja sekretarka wyrzuca je wszystkie do kosza.

- I co z tego?

- Na kiedy jest planowane kolejne spotkanie wyborcze Sheffielda?

- Nie wiem. Muszę to sprawdzić u mojej sekretarki.

- Znajdź zaproszenie od senatora, dobrze? Naprawdę bardzo bym chciała zobaczyć go w akcji.

- Będziesz potrzebowała wykrywacza.

- Na szczęście znam kogoś, kogo mogę prosić o pomoc w tej sprawie.

- Posłuchaj, Amarylis. Jeśli sądzisz, że zamierzam zmarnować cały wieczór na jedzenie żyłastego indyko-kurczaka, który smakuje tak, jakby go upieczono w galaretowatym lodzie, lepiej wybij to sobie z głowy. Poza tym...

- Bardzo cię przepraszam ale muszę pędzić. - Amarylis odłożyła słuchawkę, zanim Lucas zdążył zaprotestować.

**D**o tych właśnie wartości, tak bardzo cenionych przez ojców założycieli musimy powrócić. - Madison Sheffield oparł dłonie o mównicę i spojrzał na publiczność wzrokiem

wizjonera. - Należy dać stanowczy odpór tym, którzy osłabiają korzenie naszej moralności. Naszym obowiązkiem jest chronić młodzież przed zgubnym wpływem tandetnych seks klubów. I dlatego chciałbym ogłosić, że postanowiłem się bliżej przyjrzeć ich działalności. Zamierzam was poprowadzić w bezpieczną przyszłość.

Ogłuszona owacją na cześć senatora Amarylis biła uprzejmie brawo. Musiała czekać na ten wieczór przez całe trzy dni. Rozejrzała się po twarzach zebranych wokół ludzi.

- On wcale nie musi ogniskować charyzmy – szepnęła do Lucasa. - Mówi dokładnie to, co oni chcą słyszeć.

- Pewnie rezerwuje ten sposób na trudne rozmowy indywidualne. - Lucas nie podzielał zbiorowego entuzjazmu.

Amarylis patrzyła, jak Sheffield schodzi z podium i siada obok młodej kobiety zajmującej miejsce u szczytu stołu.

- Ona służy mu na pewno jako pryzmat.

- Ale to nie ta sama, którą Sheffield wypalił na przyjęciu w muzeum - powiedział Lucas. - Dostrzegam jednak między nimi jakieś podobieństwo.

- Podobny kolor włosów i rozmiar biustonosza?

- Skoro już poruszyłaś ten temat...

- Sheffield udaje, że umawia się z nimi na randki. Bardzo sprytne.

Na mównicę powrócił konferansjer. Uśmiechnął się triumfalnie do widowni i czekał, aż umilkną oklaski.

- Panie i panowie! Dziękuję wam bardzo za przybycie! Za niecałe trzy miesiące czekają nas wybory. Nie możemy przegapić szansy! Musimy głosować na wartości ojców założycieli, gdyż jest to nasza jedyna szansa na bezpieczną przyszłość i lepsze życie.

Znów rozległy się wiwaty i ludzie zaczęli stopniowo opuszczać salę. Amarylis rozejrzała się niespokojnie.

- Podobno mieliśmy przyłapać Sheffielda na gorącym uczynku - powiedziała cicho do Lucasa.

- Cierpliwości - odparł Trent ujmując ją pod ramię. - Dostałem zaproszenie na prywatne przyjęcie dla ewentualnych sponsorów kampanii Sheffielda. Zaraz tam pójdziemy. Jeszcze nie koniec zabawy.

Amarylis uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Świetna robota. Wiedziała, że mogę na ciebie liczyć, współniku.

- Gdybym sięgnął po książeczkę czekową, złap mnie za rękę.

Pół godziny później Amarylis stała obok Lucasa w salonie wypełnionym najbogatszymi mieszkańcami Nowego Seattle. Trzymając w ręku kieliszek zielonego wina, stworzyła pryzmat na płaszczyźnie psychicznej Lucasa.

Kilka sekund poszukiwań. Chwila niepokoju.

Więź.

Sheffield z całą pewnością oddziaływał na zebranych. Ogniskował charyzmę, wymieniając uściski dłoni lub zagadując wybranych gości.

Emanowała od niego ogromna siła, szlachetność i zdecydowanie. Nieświadome podstępny ofiary Sheffielda zachowywały się jak zaczarowane. Z promiennymi uśmiechami, bez chwili zastanowienia wypisywały czeki na jego kampanię.

Piękna kobieta służyła mu bez wątplenia jako pryzmat. W technice Gifforda płynęły znajome podskórne prądy stylu Landretha.

- Przygotuj się - mruknął Lucas, widząc, że Sheffield zmierza wyraźnie w ich kierunku. - Chyba jesteśmy następni na liście.

Gdy senator i jego urocza towarzysząca zatrzymali się, by z nimi porozmawiać. Amarylis zdobyła się wprawdzie na uprzejmy uśmiech, ale ani na chwilę nie przestała ogniskować. Tymczasem Sheffield zaatakował Lucasa całą siłą swego talentu.

Efekt był piorunujący. Charyzma Sheffielda zapierała dech w piersiach. Mimo że Amarylis wiedziała, czego się może spodziewać, zareagowała bardzo gwałtownie na tę dawkę energii.

Sheffield miał wszystkie cechy urodzonego przywódcy. Takiego właśnie człowieka potrzebowało Nowe Seattle.

- Miło mi was widzieć. - Sheffield nie krył ogromnego zadowolenia. - Gwiazda Polarna uczyniła wiele dobrego dla naszego stano-miasta. Jeśli obejmę urząd, zamierzam ściśle współpracować z firmami o tak wielkim znaczeniu.

Ani na chwilę nie przestawał mówić. Roztaczał przed Trentem świetlane perspektywy zaszczytów i należnego mu szacunku. Obiecywał wpływy na decyzje swojej administracji. Przyszły rząd Sheffielda zamierzał wspierać rozwój przedsiębiorstw i obniżyć podatki.

Amarylis zdawała sobie sprawę, że Lucas jako główny cel ogniskowania otrzymywał większą dawkę hipnotycznego czaru niż ona sama.

Strumień energii wykrywającej Lucasa zmienił nagle charakter. Amarylis przestała rozumieć, co się dzieje. Patrzyła, jak wyraźne, jasne wzory świetlne bledną i rozpraszają się w energię pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia.

Sheffield mówił nadal o swoich planach w stosunku do Nowego Seattle, lecz jego głos nie był już tak ciepły jak na początku. Urok powoli pryskał. Amarylis zdała sobie sprawę, że traci powoli wiarę w jego słowa. Nawet włosy Sheffielda wydały jej się naraz zbyt gładko ułożone. Uśmiech senatora stał się wyraźnie sztuczny, w oczach pojawiło się wyrachowanie.

Na płaszczyźnie psychicznej Amarylis dostrzegła, jak energia Lucasa łśni i pulsuje w zupełnie nie planowany sposób. Zrozumiała, że Trent używa swego talentu, żeby osłabić moc Sheffielda

Sheffield pochylił się konfidencjonalnie do Lucasa.

- Jako przyszedł gubernator, zamierzam stworzyć administracyjne ciało doradcze złożone z biznesmenów. Byłbym zaszczycony, gdyby objął pan stanowisko szefa tej rady. A ja zawsze znajdę dla pana czas.

- Dziękuję za zaufanie - powiedział Lucas.

Sheffield spojrzał na niego bacznie. Kobieta u jego boku miała wyraźnie zaniepokojony wyraz twarzy.

- Nie wyobrażam sobie bardziej odpowiedniej osoby na tym stanowisku.

- Niestety, jestem zajęty.

Sheffield zorientował się natychmiast, że jego słowa nie wywarły na Lucasie oczekiwanego wrażenia. Za nowym naporem zogniskowanego wdzięku wrzała energia Lucasa. Sheffield okazał się jednak silny. Nadzwyczaj silny.

Kobieta towarzysząca mu przyłożyła palce do czoła, jakby nagle rozbolała ją głowa.

Lucas walczył z mocą Sheffielda wyzwalając coraz większe dawki energii w pryzmacie utworzonym przez Amarylis. Fale hipnotycznej charyzmy zaczynały się powoli cofać.

Na płaszczyźnie psychicznej trwała walka, rodzaj cichego pojedynku między dwoma potężnymi talentami - scena zaczerpnięta prosto z kart powieści Orchid Adams.

Sheffield zacisnął szczęki i zrobił krok w stronę Lucasa. Atrakcyjna kobieta była najwyraźniej bardzo zmęczona. Czoło zrosiły jej krople potu, oddychała ciężko.

Jeszcze jeden przyływ energii i wszystko nagle znikło. Cicha wojna została zakończona. Czar Sheffielda rozprysnął się w jednej chwili jak bańka mydlana. Złany potem, odwrócił się gwałtownie od Lucasa i odszedł, żeby porozmawiać z kimś innym. Kobieta podążyła niechętnie w jego ślady.

- Wypalił pryzmat - szepnęła Amarylis.

- Nic dziwnego, że nigdy nie chciał się poddać testom. Jest bardzo silny.

- Silniejszy od ciebie?

- Być może. Kto wie? - Lucas uśmiechnął się słabo. - Ale cała moc na świecie na nic mu się nie zda, dopóki nie znajdzie pryzmatu, który będzie w stanie to wytrzymać.



## *Rozdział trzynasty*

Luca obudził się nagle w środku nocy, wciąż pod silnym wazieniem swego snu. W koszmarach majakach biegał po dżungli na wyspach, szukając rozpaczliwie Amarylis. A ona zniknęła w gęstym listowiu i nie dawała znaku życia.

Otworzył oczy i wpatrzył się w ciemność sypialni Amarylis. Adrenalina nadal pulsowała mu w żyłach. Był mokry od potu.

Przyciągnął do siebie dziewczynę i mocno ją przytulił. Nawet teraz bardzo się bał, że Amarylis zniknie jak w złym śnie.

Amarylis poruszyła się lekko w jego ramionach.

- Lucas? Czy coś się stało?

- Dzwonił dzisiaj do mnie mój doradca z agencji, Hobart Batt. Za dwa dni mam się z nim spotkać. O czwartej.

- Co za zbieg okoliczności. - Amarylis objęła kolana ramionami. W mrokach pokoju jej oczy wydawały się ciemne i tajemnicze. - Mnie również wyznaczono spotkanie na piątek. Wezmę chyba wolne popołudnie.

Lucas pomyślał, że to wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Zanim znajdą nam odpowiednich kandydatów, minie sporo czasu - powiedział. - Talenty dziewiątej klasy i przyrady z pełnym widmem zawsze miały kłopoty ze znalezieniem partnerów.

- To może potrwać parę tygodni, a nawet miesięcy - powiedziała z nadzieją Amarylis.

Ale w końcu na pewno wyszukają jej męża – myślał Lucas. Wyobraził sobie, jak w drzwiach sypialni dziewczyny staje nagle jakiś mężczyzna bez twarzy - jej przyszły mąż. Ta wizja przeraziła go jeszcze bardziej niż nocne koszmary.

- Lucasio?

Ogarnęła go rozpacz. Poczuł, że jest mu zimno. Bardzo zimno. Potrzebował ciepła Amarylis, żeby nie zamarznąć na śmierć.

Mimo że wkrótce potem wstrząsnął nim potężny orgazm, Lucas wiedział, że jego szczęście nie będzie trwało długo.

Już niebawem Amarylis miała zniknąć w dżungli.

Wiesz myślałam o tym, co się wydarzyło wczoraj na przyjęciu. - Amarylis oparła się na jednym łokciu. - Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

- O czym tu mówić? Sheffield jest bardzo silnym talentem i potrafi ogniskować wdzięk oraz charyzmę. Dobrał rodzaj kariery do swoich zdolności psychicznych. Jego doradca ze szkoły średniej byłby z niego dumny.

- Ja nie żartuję.

Odetchnął głęboko.

- Nie masz żadnego dowodu na to, że Sheffield łamie prawo.

- On tylko ogniskował charyzmę. Chciał z jej pomocą wyrzucić na nas określony wpływ.

- Bardzo mi przykro, ale prawo tego nie zabrania.

- Bo ten problem nigdy nie istniał - odparowała Amarylis. - Naukowcy sądzą, że nie można wykorzystać energii psychicznej w taki sposób, do jakiego uciekł się Sheffield. - Zmarszczyła brwi. - Chociaż rzeczywiście profesor Landreth zawsze nam powtarzał, że nie posiadamy pełnej wiedzy na temat zjawisk parapsychicznych. Mówił, że trudno przewidzieć w jakim kierunku to wszystko pójdzie.

- Amarylis...

- I dlatego uważałam, że Kodeks Etyki Ogniskującej jest naprawdę bardzo ważny. Tylko z jego pomocą można zapanować nad oddziaływaniem zdolności parapsychicznych na społeczeństwo. A kobieta służąca Sheffieldowi za przyzmat doskonale wiedziała, że to, co robi, jest złe.

- Masz rację. Ale ja bym jej nie potępiał. Kiedy Sheffield natarł na nią zbyt ostro, od razu się wypaliła. Natura dba o swoje interesy. Nie trzeba wsadzać nikogo do więzienia. Myślę, że zarówno Sheffield, jak i Osterley zdają sobie z tego sprawę.

- Aż trudno uwierzyć.

- W co?

- Sheffield wypalił przyzmat, kiedy próbował się przebić przez wytworzoną przez ciebie energię. Jak tego dokonałeś?

- Chcesz poznać prawdę?

- Oczywiście. - Amarylis aż rozszerzyła oczy z ciekawości.

- Nie mam pojęcia. To był eksperyment.

- Co ty opowiadasz? Z pewnością wytworzyłeś rodzaj bariery. Czuję ją i widziałam na płaszczyźnie psychicznej. Skutek był naprawdę piorunujący.

- Można powiedzieć, że użyłem luster.

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Potrafię stwarzać iluzje, pamiętasz?

- No i co z tego?

- Kiedyś iluzjoniści posługiwali się lustrami – powiedział Lucas. - Dzisiaj stworzyłem lustro psychiczne, by odbić rykoszetem energię Sheffielda.

- Fantastyczny pomysł! Pan senator załamał się pod wpływem własnego talentu.

- Wyczuł, co się dzieje. - Lucas ułożył ręce pod głowę. - Dlatego tak usilnie próbował rozbić lustro. Kiedy jednak posunął się zbyt daleko, wypalił swój pryzmat.

- Nigdy przedtem czegoś podobnego nie robiłeś?

- Nigdy. - Nawinął sobie jej włosy na rękę i delektował się przez chwilę ich jedwabistym dotykiem. - Ale też nigdy nie padłem ofiarą takiego ataku.

- Atak psychiczny. Cóż za przerażająca myśl! - Amarylis poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. - Przecież takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach.

- Rzeczywistość zadziwia nas czasem bardziej niż fikcja. Ale sądzę, że nie możemy tego wykluczyć.

- Tak czy inaczej, Sheffield nie działa na zasadzie hipnozy - powiedziała stanowczo Amarylis. - Pracowałam z hipnotyzerami. Uwierz mi. Potrafię ich z łatwością rozpoznać. Pamiętasz, jak się upierałeś, że Miranda Locking wpadła w łapy talentu hipnotycznego.

- Wolałbym o tym wszystkim zapomnieć.

- Mówiłam ci wtedy, że nawet najsilniejszy talent nie mógłby jej zmusić do złamania głęboko zakorzenionych zasad.

- Więc?

- Choć nie należymy do zwolenników Sheffielda, oboje pozostawaliśmy pod wrażeniem jego charyzmy. Musieliśmy się mu aktywnie przeciwstawić. A hipnoza działa albo nie działa. Nie istnieją stany pośrednie. Ktoś, kto został zahipnotyzowany, na ogół niczego potem nie pamięta.

- Może z nami jest inaczej, bo byliśmy przygotowani na tego typu doświadczenia.

- Pewnie częściowo masz rację, ale moc Sheffielda różni się w znacznym stopniu od talentów hipnotycznych. Natura jego energii przypomina mi jakieś tępe narzędzie. Budzi we mnie grozę.

- Udało nam się go pokonać - przypomniał Lucas.

- Tylko dlatego, że ty posiadasz tak ogromną moc. Poza tym byliśmy w pełni świadomi tego, co się działo. A większość ofiar Sheffielda nie zdaje sobie z niczego sprawy.

- Najpierw czują do niego sympatię, a kiedy on już wreszcie skończy swoje sztuczki, zaczynają go ubóstwiać.

- Coś w tym rodzaju.

W świadomości Lucasa pojawiła się nagle pewna myśl i jak natrętny insekt nie dawała mu spokoju.

- Ciekaw jestem, dlaczego on tak się na mnie uparł.

- Dobre pytanie. Pewnie od razu się zorientował, że wiesz, co on wyprawia. W takich okolicznościach powinien się wycofać, ale on nie jest w ciemną bity i wolał zaangażować do walki całą swoją siłę.

- Może był tylko ciekaw.

- Czego? Skali twojego talentu?

- Pewnie nigdy nie spotkał godnego siebie przeciwnika.

- Profesor byłby przerażony, gdyby wiedział, że firma Gifforda obsługuje takich klientów jak Sheffield.

- Wszystko się zaczyna i kończy na Osterleyu - jęknął Lucas. - Bardzo się tego obawiałem. Najwyższy czas, żebyś zakończyła to śledztwo.

- Muszę przecież coś zrobić.

- Ale co? Powiesz policji, że Sheffield próbował rzucić na ciebie urok? Uśmieją się jak fretko-norki. Dziś byliśmy świadkami działania, które sąd uznałby za niemożliwe, a nie bezprawne.

- Jednakże Sheffield ogniskuje z zamiarem oszustwa.

- W jaki sposób zamierzasz to udowodnić? Przecież on nawet nie poprosił mnie o dotację. Twierdził tylko, że będzie wspaniałym gubernatorem.

Amarylis wyprostowała wdzięcznie plecy.

- W dalszym ciągu uważam, że śmierć profesora może się jakoś łączyć z tą sprawą.

- Technicznie rzecz biorąc, nie została popełniona żadna zbrodnia. Ile razy mam ci to powtórzyć?

- A brakujące akta?

Lucasowi zupełnie się nie podobała nowa nutka w głosie Amarylis.

- Co z aktami?

- Gdybym tylko potrafiła je odnaleźć... Na pewno zawierają ważne wskazówki.

Lucas natychmiast usiadł na łóżku.

- Ani mi się waż - powiedział, zaciskając jej rękę na ramieniu. - Dosyć zabawy. Nie będziesz prowadziła żadnego dochodzenia.

Popatrzyła na niego zmartwionym wzrokiem.

- Muszę robić to, co uważam za słuszne.

- Nawet jeśli się mylisz?

- Nie mogę się mylić, bo nie znam prawdy – odparła z zimną wyższością. - Ty natomiast otrzymałeś od Sheffielda dosyć intratną ofertę i pewnie nie chcesz sobie psuć reputacji.

- Jeśli chcesz mnie obrazić, zrób to zwyczajnie – powiedział Trent przez zaciśnięte zęby. - Oszczędź mi gadaniny o cnotach przodków.

- A ty przestań mną dyrygować. Na moim miejscu postępowałbyś zupełnie tak samo.

- Nie wiesz, kiedy się wycofać, prawda? Gdzie się podział twój zdrowy rozsądek? Nie mamy do czynienia ze zbrodnią, tylko z brudną sztuczką polityczną. Trzymaj się od tego z daleka.

- Nie mogę - odparła gwałtownie. - Powinam dotrzeć do sedna sprawy. Istnieje zbyt wiele pytań, na które nie znalazłam odpowiedzi. Jestem za to odpowiedzialna.

- Raczej uparta jak muł.

- Pamiętasz, jak wyciągnąłeś młodego Rye'a ze szponów właściciela kasyna? Oboje wiemy, że Dillonowi nic się od ciebie nie należy, a jednak mu pomogłeś.

- To całkiem inna sprawa.

- Wcale nie. Profesor Landreth był moim szefem i przyjacielem. Jemu zawdzięczam wszystkie swoje umiejętności. Muszę wiedzieć, dlaczego zginął. Jestem mu to winna.

- Uległ wypadkowi. Nie rozumiesz? Jediną osobą, która naprawdę miała powód, żeby się go pozbyć, jest Gifford Osterley, a sama twierdzisz, że on nie mógłby nikogo zamordować.

- Tak mi się wydaje, ale nie mogę ręczyć za Sheffielda.

- Każdy polityk żądny władzy byłby gotów na wszystko byleby ją zdobyć, ale Landreth nie stanowił przecież zagrożenia dla pana senatora.

- Mógł ujawnić związki Sheffielda z firmą Gifforda.

- Przecież oni nie złamali prawa.

- Pozostaje jednak kodeks etyczny - upierała się Amarylis.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Sheffield zabił Landretha tylko dlatego, że chciał uniknąć pytań na temat wykorzystywania przyrzeczenia w kampanii wyborczej. Przecież zostałby z pewnością oczyszczony z wszelkich zarzutów.

- Zeznania niektórych przyrzeczeń mogłyby go znacznie obciążyć.

- W takim razie pozbyłby się raczej niewygodnych świadków, a nie Landretha. Zastanów się, Sheffield nie ma żadnego powodu, żeby popełnić zbrodnię. Widziałas go dzisiaj w akcji. On zmierza prostą drogą do celu.

- Coś mi tu nie gra,

- Cholera jasna! Nie mogę uwierzyć, że dyskutujemy o czymś, co jest zupełnie oczywiste. Pewnie dlatego panuje przekonanie, że talenty wysokiej klasy i przyrzeczenia z pełnym widmem nie potrafią się ze sobą dogadać. Zbyt często skaczą sobie do oczu.

Najchętniej cofnęłyby te słowa, ale już było za późno.

Zapadła długa cisza.

- Rzeczywiście - powiedziała w końcu Amarylis. - Zamęczylibyśmy się na śmierć. Na szczęście możemy korzystać z pomocy agencji matrymonialnych, prawda?

Lucas poczuł się tak, jakby wpadł w przepastną studnię z galaretowatym lodem. Przeszedł go dreszcz.

- Słusznie. Nie musimy się martwić.

**M**a pan gościa.

Lucas popatrzył bezmyślnie na interkom.

- Kto przyszedł?

- Pan Calvin Rye.

Lucas pomyślał, że akurat tej wizyty było mu trzeba. Nie wylizal jeszcze wszystkich ran odniesionych w kłótni z Amarylis, a już czekała go rozmowa z ojcem Dillona.

- Niech wejdzie.

Maddie wprowadziła Calvina do gabinetu i dyskretnie zamknęła drzwi.

Lucas podniósł się z krzesła. Nie mógł się oduczyć starych nawyków.

- Siadaj, Rye. Co cię tu sprowadza?

- Chyba się domyślasz. - Calvin zachowywał spokój godny męża stanu. Zdradzał go jednak wyraz oczu. - Dillon wszystko mi opowiedział.

- Wszystko?

- Tak. O swoich długach. I o tym, jak przyszedłeś mu z pomocą. Całą tę obrzydliwą historię.

- Rozumiem. - Lucas znów zasiadł za biurkiem, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Czuję, że się przyzna.

Calvin aż wykrzywił usta z obrzydzenia.

- Pewnie, że czujesz.

- O co ci właściwie chodzi, Rye?

- Spytałem wprost. Czego ode mnie oczekujesz?

- Niczego.

Calvin zwięźliwie chytrze oczy.

- Obaj wiemy, że nie pomogłeś Dillonowi z czystej dobroci serca. Wykorzystałeś jego wpadkę do swoich własnych celów. Chciałbym się zatem dowiedzieć, co zamierzasz.

- Naprawdę niczego od ciebie nie potrzebuję. - Lucas poczuł, że ogarnia go smutek. Potarł bezmyślnie ręką kark. Najchętniej schowałby się głęboko w iluzji groty na wyspach. Do tego celu potrzebował jednak silnego pryzmatu. Nie mógł się obejść bez Amarylis.

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – powiedział cicho Calvin. - Wkrótce potem jak na wyspach ustały walki, zgłosił się do mnie pewien reporter.

Lucas przestał masować kark i oparł obie dłonie na biurku.

- Może Nelson Burlton?

- We własnej osobie. Twierdził, że posiada pewne informacje na temat śmierci Jacksona. Chciał ze mną o tym porozmawiać.

- Mam nadzieję, że wyrzuciłeś go za drzwi.

Calvin nie mrugnął nawet okiem.

- W końcu tak. Ale najpierw go wysłuchałem. A to, co mi powiedział, mocno mnie przygnębiło.

- Daj sobie spokój z Burltonem. Znam tego typu. Prawdziwy z niego oportunistą.  
Wymyśli każdą bzdurę, byle tylko napisać dobry artykuł.

Calvin wstał i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę, wyglądając na ulicę.

- Ten pismak z pewnością nafaszerował mnie stekiem kłamstw.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Twierdził, że słyszał o romansie Jacksona z twoją żoną.

- Chyba nie potraktowałeś go poważnie. Burlton chciał cię po prostu sprowokować. Miał nadzieję, że wpadniesz w gniew i powiesz coś, co będzie można wykorzystać w wieczornych wiadomościach.

- Wspomniał również, że Jackson spiskował z piratami. Sprzedał cię, bo chciał zostać jedynym właścicielem Gwiazdy Polarnej.

- Cieszę się, że nie chciałeś go słuchać.

Calvin znów milczał przez dłuższą chwilę i odwrócił się powoli do Lucasa.

- Oczywiście nie uwierzyłem w te brednie.

- Bardzo słusznie. Burlton to łgarz.

- Byłem jednak ciekaw, czy tobie również wmawiał podobne bzdury.

- Owszem, ale od razu mu przypomniałem, że to ja znalazłem ciało Jacksona. Czytałem też zapiski przywódcy piratów i znam prawdę.

- Tak właśnie sądziłem.

- Mam nadzieję, że Burlton przestał zawracać ci głowę.

- Rozmawiał ze mną tylko raz, a potem się odczepił.

- Ostrzegłem go, że jeśli zacznie rozpowszechniać plotki, drogo za to zapłaci. Od tego czasu minęły trzy lata. Burlton nie wróci do tej sprawy, bo straciłby popularność. Telewizorzy nie lubią odgrzewanych sensacji.

Calvin nie spuszczał wzroku z Lucasa.

- Zdaje się, że tylko ty mogłeś go skutecznie uciszyć.

- Racja. Byłem prezesem Gwiazdy Polarnej i dowodziłem akcją na wyspach, więc nikt nawet by się nie ośmielił podważyć moich zeznań

- A ty nie chciałeś współpracować z Burltonem?

- Dlaczego miałbym mu pomagać? Moja firma nie potrzebowała takiej reklamy.



- Kazałeś mu zostawić ten temat w spokoju, bo się bałeś, że ucierpią na tym twoje interesy?

Lucas uśmiechnął się gorzko.

- Przecież mnie znasz. Gdyby nie chodziło o firmę, w ogóle nie zwracałbym sobie głowy Burltonem.

Na policzkach Calvina pojawiły się wypieki. Rye długo patrzył Lucasowi w oczy, aż w końcu odwrócił wzrok.

- Utrzymujesz, że jesteś człowiekiem praktycznym. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego pomogłeś Dillonowi.

- Musisz mi uwierzyć na słowo, że nie miałem w tym żadnego ukrytego celu. Gdyby Dillon nie powiedział ci prawdy, na pewno milczałbym jak grób. Obiecałem mu, że nikomu o tym nic powiem. Niezależnie od tego, co o mnie sądzisz, zawsze dotrzymuję przyrzeczeń.

Calvin spojrzał na zdjęcie Port LeConner.

- Dillon chce u ciebie pracować.

- Wiem.

- Jego matka stanowczo się temu sprzeciwia.

- Nic dziwnego.

- Obarcza twoją firmę odpowiedzialnością za śmierć Jacksona.

- Nie firmę, tylko mnie.

Calvin milczał. Nadal wpatrywał się w fotografię.

- Dillon skończył dwadzieścia trzy lata – powiedział cicho Lucas. - Najwyższy czas, żeby się wyrwał spod matczynych skrzydeł. Nigdy nie zostanie prawdziwym mężczyzną, jeśli nie zacznie wreszcie żyć na własny rachunek. Nie chcecie, żeby wasz syn pracował w mojej firmie, i ja to rozumiem. Chciałbym ci jednak powiedzieć, że mógłby trafić o wiele gorzej.

- Chodzi ci pewnie o tego oszusta, który wyciąga od niego pieniądze na poszukiwania ognistego lodu.

- Tak czy inaczej Dillon musi wybrać swoją własną drogę. Ma wielkie ambicje i jest żądny przygód. Nie powinieneś w nim tego zabijać. I nawet nie próbuj, bo cię znienawidzi.

- Sam potrafię wychować syna.

Lucas zbył tę uwagę milczeniem.

Calvin położył rękę na klawiszach.

- Jestem ci winien sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

- Nie. Nie jesteś mi nic winien. Nie przyjmę twoich pieniędzy. Dillon sam kiedyś spłaci tę pożyczkę.

- Jak na chłopca w jego wieku, to ogromna suma.

- Jeśli rzeczywiście jest tak ambitny, za jakiego go uważam, i będzie pracował w mojej firmie, zdoła odłożyć tę sumę w ciągu trzech lat.

Calvin zacisnął szczęki.

- Chciałem go zmusić, żeby wziął ode mnie czek. Odmówił.

- I nie wyciągnąłeś z tego żadnych wniosków?

- O co ci konkretnie chodzi?

- O to, że dobrze go wychowałeś - powiedział łagodnie Lucas. - Musisz teraz udowodnić, że w niego wierzysz. Niech postępuje zgodnie ze swoim sumieniem i realizuje własne plany.

- Moja żona powtarza, że nasza rodzina nie potrzebuje kolejnego martwego bohatera.

- Wszyscy piraci uciekli z wyspy - powiedział ironicznie Lucas. - I mogę cię zapewnić, że jako prezes Gwiazdy Polarnej podjąłem niezbędne kroki, by zapewnić bezpieczeństwo moim pracownikom.

Calvin zacisnął rękę na klamce.

- Chciałbym być pewien, że nie uwierzyłeś Nelsonowi.

Lucas spojrział na niego zza biurka.

- Znam prawdę o Jacksonie.

- To ty tak twierdzisz. A ja się boję, że wciągasz Dillona w pułapkę, żeby się na nim zemścić za grzechy brata.

- Będę z tobą szczery. Nawet gdybym uwierzył Nelsonowi, nie brałbym odwetu na Dillonie.

- Dlaczego?

- Bo Dillon to nie Jackson. A wendetty uważam za wyjątkowo barbarzyński obyczaj.

- Niekoniecznie muszę ci wierzyć.

- Powinieneś mieć trochę zaufania do starego przyjaciela rodziny.

**T**uż przed piątą Amarylis wyszła od swego ostatniego klienta.

Na chodniku stała biała limuzyna z przyciemnionymi szybami. Amarylis zerknęła na nią ciekawie i ruszyła w stronę przystanku autobusowego.

Nagle otworzyły się tylne drzwi limuzyny i z auta wysiadł Gifford ubrany w swój ulubiony srebrnoszary garnitur i czerwoną muszkę.

- Ostatnio podróżujesz z klasą. - Amarylis zatrzymała się jak wryta na jego widok.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił Gifford z nieśmiałym uśmiechem.

- Powinam jeszcze wrócić do firmy.

- Mogę cię podwieźć.

- Wole iść na piechotę.

- Zaczekaj. - Gifford zbliżył się do dziewczyny i położył jej rękę na ramieniu. - Mam poważny problem. Potrzebuję twojej pomocy - nalegał, patrząc na nią błagalnie.

- Co się stało?

- Wytłumaczę ci wszystko w samochodzie. Jeśli kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyłem, musisz mnie wysłuchać.

- Nie mam zbyt wiele czasu - powiedziała, lecz nie stawiała oporu, gdy Gifford zaczął ją ciągnąć w stronę limuzyny. - Musisz mi obiecać, że ta rozmowa nie potrwa długo.

- Obiecuję. Przysięgam.

Amarylis nie zauważyła drugiego pasażera, dopóki nie usiadła z tyłu. A wtedy było już za późno.

- Witam panią, panno Lark - powiedział Madison Sheffield. - Nawet pani sobie nie wyobraża, jak się cieszę, że zdecydowała się pani nam pomóc.

## Rozdział czternasty

Co się tu dzieje? - Amarylis popatrzyła z wściekłością na Madisona Sheffielda. - Na nic się nie decydowałam. A poza tym...

Urwała, bo drzwi limuzyny zamknęły się za nią z cichym trzaskiem.

- Otwórz, słyszysz? - krzyknęła Amarylis, odwracając się do Gifforda. - Nigdzie nie pojedę.

Gifford skrzywił się, ale nie zaprotestował, gdy samochód wyjechał wolno na jezdnię.

- Słyszałeś?

- Proszę się uspokoić, panno Lark. - Głos Sheffielda brzmiał niezwykle uspokajająco. A on sam, w ciemnym tradycyjnym garniturze i dyskretnym krawacie, stanowił uosobienie konserwatywnej elegancji. - Zajmiemy pani zaledwie parę minut. Zapewniam panią, że nasze spotkanie leży w interesie całego miasto-stanu.

- Dopuszciliście się porwania, a to jest karalne - wrzasnęła Amarylis. - Zatrzymajcie auto i pozwólcie mi wysiąść, bo wezwę policję.

- Uspokój się, Amarylis - poprosił Gifford. - Pozwól senatorowi wytłumaczyć, o co tu chodzi.

- Musi mnie pani wysłuchać. - Sheffield patrzył na nią pokornie. - Potrzebuję pomocy. Gifford starał się, jak mógł, ale nie dał rady.

- Wczoraj znów wypalił pan jeden z jego pryzmatów. - Amarylis nie czekała na odpowiedź. - W co ty się właściwie bawisz? - spytała, patrząc oskarżycielskim wzrokiem na Gifforda.

- Nie potrafię dostarczyć Sheffieldowi pryzmatu, który byłby w stanie wytrzymać jego siłę - mruknął Gifford. - Ty jedna się do tego nadajesz. On jest dziesiątką. - Spojrzył niespokojnie na Madisona. - Albo nawet wykracza poza skalę.

- Z pewnością - powiedziała Amarylis. - Nie rozumiem, jak mogłeś się w coś takiego wpakować.

- Nic złego nie zrobiłem. - Gifford pociągnął za muszkę, jakby zaczęła go uwierać. - Wolno mi wyszukiwać odpowiednie pryzmaty dla talentów wysokiej klasy.

Amarylis nie kryła odrazy.

- Chyba wiesz, w jaki sposób Sheffield wykorzystuje swój talent.

- Zapewniam panią, że dla naszego wspólnego dobra - powiedział Sheffield, wyraźnie urażony zakamuflowaną sugestią. - Czasem rzeczywiście przestają panować nad swoją siłą, ale nic nie mogę na to poradzić. A naukowcy na ogół nie zajmują się dziesiątkami.

- Skąd pan wie, że jest pan dziesiątką? Nigdy się pan przecież nie testował.

- Bo uważam tego rodzaju badania za naruszenie prywatności - odparł Madison. - Ojcowie założyciele nie wyraziliby zgody na to, żeby mierzyć, sprawdzać i klasyfikować naturalne ludzkie umiejętności. Ale nie w tym problem.

- A w czym?

- Jest mi pani potrzebna, panno Lark - odparł senator słodkim jak miód głosem.

- Chce pan z moją pomocą wykorzystać swój talent, żeby zebrać fundusze na kampanię?

Mowy nie ma. To nieetyczne.

Gifford spojrział ukradkiem na Madisona.

- Mówiłem, że będziemy mieli z nią kłopoty.

- Czuję się bardzo zawiedziony, gdyby było inaczej. - Madison popatrzył z podziwem na Amarylis. - Szanuję pani zasady, panno Lark. Gifford usiłował mnie zniechęcić do tego pomysłu, ale im więcej o pani słyszałem, tym bardziej chciałem z panią pracować.

Amarylis łypnęła na Gifforda

- Co mu naopowiadałeś?

- Prawdę. Mówiłem, że jesteś pedantyczną, pruderyjną, obłudną służbistką, której życiowym celem jest wzbudzanie w innych ludziach wyrzutów sumienia.

Dziewczyna poczuła, że ma wypieki.

- Ach tak.

- Właśnie. Sumienie. To jest dla mnie najważniejsze - wtrącił Sheffield.

- Nie rozumiem - Amarylis zamrugła niespokojnie oczami.

- Oczywiście, mam sumienie - zachichotał pogodnie Sheffield. - Rodzice wpoili mi bardzo surowe zasady. Wierzyli w wartości cenione przez ojców założycieli, zanim jeszcze ktokolwiek zaczął o nich mówić.

- Bardzo się cieszę.

- Ale talentom wykraczającym poza skalę potrzebny jest ktoś w rodzaju przewodnika duchowego.

- Niby z jakiego powodu? Zło zawsze pozostaje złem, a dobro dobrem, niezależnie od zdolności parapsychicznych.

Gifford przewrócił oczami i znów pociągnął za muszkę.

- Pani nie rozumie, panno Lark - powiedział cicho Madison. - Czasem mam kłopoty z moim talentem. Nie zawsze potrafię panować nad swoją siłą, nie mówiąc już nawet o jej właściwym wykorzystaniu.

Amarylis puknęła palcem w aksamitne siedzenie.

- Naprawdę?

- Tak. Ale chciałbym spożytkować swoje umiejętności dla dobra obywateli naszego stano-miasta. Aby osiągnąć swój cel, potrzebuję wykształconego przyzmatu o sztywnych zasadach moralnych. Kogoś, kto mnie naprowadzi na właściwą drogę. Kogoś, kto pomoże mi zebrać wszystkie siły psychiczne, żebym mógł jak najlepiej służyć innym.

Amarylis odniosła wrażenie, że głos Madisona staje się coraz bardziej zniewalający. Im dłużej mówił, tym łatwiej było wierzyć w każde jego słowo.

Aż nazbyt łatwo.

Zerknęła podejrzliwie na Gifforda, ale on na nią nie patrzył. Siedział cicho w kącie i gapił się w przyćmione szyby.

- Niektórych z pewnością denerwowałby przyzmat o niezłomnych zasadach moralnych. Ja jednak uważam, że bogowie mi panią zesłali. Takiego przyzmatu szukałem całe swoje życie. Potrzebuję bratniej duszy, przewodnika duchowego, kogoś, kto dorównałby mi siłą psychiczną i uznawał podobną hierarchię wartości.

A więc Sheffield marzył o kimś takim jak ona przez całe życie. W przeciwieństwie do innych nie kpił z wyznawanych przez nią zasad. Cenił jej wykształcenie i zdolności. Pragnął, by pomogła mu w krucjacie przeciwko złu.

Amarylis poczuła, że ogarnia ją duma. Wreszcie znalazła talent, który ją cenił. Wiedziała, jak ogromną radość może czerpać z pracy dla tak potężnego, wpływowego męża stanu. Jak ogromną satysfakcję przyniesie jej więź z człowiekiem szukającym wsparcia i pomocy.

- Nie wiem, co powiedzieć - Amarylis zerknęła na Gifforda, który nadal wyglądał przez okno. - Bardzo mnie pan zaskoczył, senatorze.

- Nic dziwnego - Madison uśmiechnął się lekko. - A po wczorajszym wieczorze ma pani prawo mnie podejrzewać o nieuczciwe intencje.

Amarylis najchętniej nie poruszałaby w ogóle tego tematu, ale oparła się pokusie.

- Postąpił pan bardzo niewłaściwie, senatorze. Nie powinien był pan zbierać funduszy na kampanię wykorzystując do tego celu swój talent. Ojcowie założyciele z pewnością by nie poparli takiego postępowania.

- Ma pani rację. - Madison zajął jej głęboko w oczy. - Mogę się jednak przed panią usprawiedliwić. Nie zależało mi wcale na pieniądzach Trenta. To była tylko taka zasłona dymna.

- Zasłona dymna?

- Na swój niezdatny sposób sprawdzałem pani zdolności parapsychiczne. - Madison potrząsnął głową z podziwem. - Gifford twierdził, że jest pani bardzo silnym przyzmatem. Powiedział mi również, że ostatnio pracowała pani dla Trenta. Szczerza mówiąc, wątpiłem w pani siłę. Kiedy więc zobaczyłem panią na przyjęciu doszedłem do wniosku, że nadarza mi się właśnie idealna okazja, żeby przeprowadzić mały test.

- Rozumiem.

- Błagam o wybaczenie. Niech mi jednak będzie wolno powiedzieć, że wywarła pani na mnie piorunujące wrażenie. Nigdy nie pracowałem z przyzmatem, który mógłby pani dorównać.

Amarylis zwalczyła w sobie chęć, by zapomnieć o zaszłościach. Pokusa była silna. Zbyt silna.

Popatrzyła na odwróconą twarz Gifforda.

- Przestań - rozkazała.

- O co ci chodzi?

- Ogniskujesz dla Madisona. Daj sobie z tym spokój. Przecież oboje wiemy, że jesteś dla niego za słaby. Już wysiadasz. Lepiej nie próbuj.

Gifford westchnął, zerknął na Madisona i z rezygnacją wzruszył ramionami.

Szczerze Madisona osiągnęła swój normalny poziom, a jego uśmiech stał się zdecydowanie mniej ciepły.

- Proszę się zastanowić nad moją ofertą, panno Lark. Na pewno chciałaby pani w pełni wykorzystać swoje zdolności. Ograniczenia są naprawdę szalenie irytujące. Natura z pewnością nie chciała, by tacy ludzie jak my tracili swą moc wyłącznie dlatego, że nie możemy z niej w pełni korzystać.

- Nie znam intencji natury, ale nie pozwolę panu wykorzystywać talentu w nieetyczny sposób - powiedziała stanowczo Amarylis.

- Nie śmiałybym o to prosić. Jeśli zdecyduje się pani dla mnie pracować, gwarantuję, że nie będzie pani miała żadnych zastrzeżeń co do charakteru więzi. Proszę się nad tym zastanowić. Zostanie pani moim przewodnikiem i mentorem.

Amarylis popatrzyła na niego poważnie

- Nie interesuję się polityką. Chcę wrócić do domu, senatorze.

Madison zacisnął usta, ale uprzejmie skinął głową.

- Jak pani sobie życzy. Ufam, że rozważy pani moją propozycję. Stworzylibyśmy naprawdę wspaniały duet. Razem możemy wiele zdziałać.

- Powinien się pan wstydzić. Propaguje pan tradycyjne wartości, a przecież ojcowie założyciele byliby wstrząśnięci, gdyby wiedzieli, jak bardzo się pan poniża, byle tylko osiągnąć wymarzony urząd.

- Jest pani naprawdę strasznie naiwna. Przecież już pierwsi osadnicy byli zdania, że dla dobra miasta-stanów należy uczynić wszystko, nie przebierając w środkach. A ja z dumą podążam w ich ślady.

Amarylis nie odpowiedziała. Gdy wreszcie dotarła pod dom, zauważyła samochód Lucasa. Trent opierał się o zderzak z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Sheffield położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę zapamiętać naszą rozmowę. Przyjmując moją ofertę, mogłaby pani bezinteresownie służyć społeczeństwu. Fotel gubernatora to jedynie krótki przystanek na tej trudnej drodze. Pewnego dnia zostanę prezydentem Miasto-stanów Zjednoczonych. A pani będzie stała u mego boku. Nie jako przyzmat, tylko jako moja żona.

- Żona? - Amarylis zamarła ze zdziwienia.

- Dlaczego nie? - Sheffield uśmiechnął się spokojnie. - Proszę się nad tym zastanowić. Jest pani bękartem, panno Lark, a dzięki mnie może pani zostać żoną prezydenta. Będzie pani miała okazję, by powetować sobie wszystkie cierpienia i upokorzenia.

Amarylis wyprysnęła z auta i wpadła prosto w otwarte ramiona Lucasa. A potem położyła mu głowę na piersiach i nie widziała, jak długa biała limuzyna znika szybko za rogiem.



Tym razem Sheffield posunął się za daleko. - Lucas stał przed kominkiem i patrzył w ogień. Musiał się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć gniewem. Amarylis na pewno by się przestraszyła, gdyby ujrzała jego wściekłą minę.

- Nie denerwuj się. - Amarylis siedziała skulona w kłębek na kanapie. - Powiedziałam mu przecież, że nie zamierzam dla niego pracować.

- Mogłem się domyślić, że on w końcu poprosi cię o pomoc. Niewiele przyrządów może ogniskować dla dziewiątek czy dziesiątek a co dopiero mówić o talentach wykraczających poza skalę.

- Dowiedział się o mnie od Gifforda.

- Przypuszczam, że Osterley wyczerpał po prostu swoje możliwości.

- Cała ta sprawa robi się coraz bardziej skomplikowana. Sheffield musi wykorzystać swój talent, żeby zdobyć upragniony fotel gubernatora, a potem urząd prezydenta. Wygłosił mi całą mowę na ten temat. Twierdził, że potrzebuje przyrzeczenia o niezłomnych zasadach moralnych. Ale gdyby sam pragnął postępować etycznie, nigdy by się przecież nie uciekał do takich metod.

- Nic mnie nie obchodzi jego moralność. To polityk. Ale jeśli jeszcze raz cię zwabi do tej limuzyny, gorzko tego pożałuje.

- Na pewno się nie odważy. Ale zapomnijmy o mnie. Dam sobie radę z Sheffieldem. Nadal jednak nie wiemy, czy to on zabił profesora.

- Co takiego?

- Jest równie podejrzany jak Gifford. A nawet bardziej. Profesor mógł się odgrażać, że go zdemaskuje.

- Daj spokój. Mamy inne problemy.

- Powtarzam ci jeszcze raz, że Sheffield nie stanowi dla mnie problemu. Jeśli oczywiście nie zamordował profesora. Naprawdę powinniśmy znaleźć „świeżutką teczuszkę”.

- Nawet nie wiesz, od czego zacząć - wybuchnął Lucas. - Przestań się bawić w detektywa, bo znów wpadniesz w tarapaty.

- Nie mogę się teraz wycofać. Muszę poznać prawdę. Spróbuj mnie zrozumieć.

Patrząc na jej twarz w świetle ognia, wiedział, że Amarylis nie zmieni decyzji. Była równie uparta, jak ucziwa. Lucas nie miał wątpliwości, że należy się poddać.

- Chcesz znaleźć zaginione akta? - spytał retorycznie. - Wynajmij prawdziwego prywatnego detektywa.

Oczy Amarylis rozblęły entuzjazmem.

- Możesz mi kogoś polecić?

- Owszem - odparł Trent. - Z pewnością mogę.

Następnego ranka Lucas minął dwa biurka sekretarek, po czym wszedł do małej poczekalni wyłożonej boazerią. Wyrafinowana, klasycznie ubrana kobieta siedząca w recepcji była bardzo podobna do przyrmatów zatrudnianych do tej pory przez Sheffielda. Miała taki sam kolor włosów i rozmiar biustonosza.

- Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym się zobaczyć z Madisonem Sheffieldem.

- Obawiam się, że pan senator jest bardzo zajęty. - Sekretarka popatrzyła na niego pytająco. - Był pan umówiony?

- Nie. Ale proszę się tym nie martwić. Dam sobie radę. - Lucas podszedł do wewnętrznych drzwi gabinetu Sheffielda i ujął za klamkę.

- Nie może pan tam tak po prostu wejść. - Sekretarka zerwała się na równe nogi i z zadziwiającą szybkością okrążyła biurko. - Mówiłam panu, że pan senator nie ma czasu. I nie przyjmuje nikogo bez zapowiedzi.

Lucas zerknął na zegarek. Była dziewiąta pięćdziesiąt pięć.

- Proszę mnie wpisać na dziesiątą. Przyszedłem trochę za wcześnie. - Trent pchnął mocno drzwi i wtargnąwszy do gabinetu Sheffielda zamknął je od środka.

Madison Sheffield rozmawiał akurat przez telefon. Na widok intruza zmarszczył groźnie brwi.

- Przepraszam cię, Bob - powiedział do słuchawki. - Coś mi wypadło. Zadzwoń później i omówimy ten rachunek - zakończył, kładąc słuchawkę na widełki.

Sekretarka zabębniła do drzwi, ale Lucas nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Nie zajmę ci dużo czasu, Sheffield.

- O co chodzi?

Lucas zatrzymał się po drugiej stronie masywnego biurka.

- Jeżeli chcesz sobie pomarzyć o fotelu gubernatora, trzymaj łapy z daleka od Amarylis Lark.

- O czym ty, do diabła mówisz?

Lucas położył ręce na biurku Sheffielda.

- Lepiej jej nie tykaj, bo pożegnasz się z nadzieją na tę ciepłą posadkę.

- Nie zastraszysz mnie, Trent.

- Właściwie nie interesuję się polityką - powiedział cicho Lucas. - Dla ciebie jednak zrobię wyjątek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zatelefonuję do Nelsona Burltona i opowiem mu, w jaki sposób zdobywasz środki na kampanię wyborczą.

- Nikt ci nie uwierzy.

- Widzowie kochają Nelsona. I przepadają za skandalami. Ale na wszelki wypadek zatelefonuję jeszcze do twoich najlepszych sponsorów i powiem im, że padli ofiarą oszusta.

- Nie masz żadnych dowodów.

- I to właśnie jest takie piękne, Sheffield. Wcale ich nie potrzebuję. Przecież jestem Łodziarzem. Facetem, który wypędził piratów z wysp. Tym samym, który odkrył bezcenne artefakty i zrezygnował z kandydowania na urząd senatora. Na pewno mi uwierzą.

- Jak śmiesz! - Sheffield zerwał się na równe nogi z wypiekami na policzkach. - Wynoś się z mojego biura, bo każę cię wyrzucić!

- Trzymaj się z daleka od Amarylis, bo narobię ci kłopotów. Chyba nie chcesz, żeby ludzie zaczęli cię nazywać wampirem psychicznym, co?

- Niech cię szlag trafi, Trent! Przecież sam nim jesteś. Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć tego, co się wczoraj stało. A w dodatku znalazłeś sobie pryzmat, który wytrzymuje talent wykraczający poza skalę.

Lucas uśmiechnął się słabo.

- Całkowicie się mylisz. Jestem tylko dziewiątką. I mam na to papiery.

- Bzdura. Sfałszowałeś test.

- To niemożliwe. Testy są całkowicie wiarygodne.

W oczach Sheffielda błysnęło zdumienie.

- Jak tego dokonałeś?

- Nic nie zrobiłem. Poddąłem się tylko badaniom i zostałem sklasyfikowany jako dziewiątka.

- Na czym polega oszustwo?

Lucas wzruszył ramionami.

- W przeciwieństwie do pewnych osób, nie mam nic do ukrycia.

- Słuchaj. Wcale nie musimy ze sobą walczyć. Po wyborach mógłbym cię mianować wiceprezydentem.

- Serdeczne dzięki.

- Proponuję ci władzę. Prawdziwą władzę.

- Wystarczy mi to, co mam.

- A może nie chcesz zrezygnować z Amarylis Lark? Ale niepotrzebnie się martwisz.

Jakoś się nią podzielimy.

Trent nie skoczył Sheffieldowi do gardła jedynie dzięki ogromnej sile woli.

- Tknij ją tylko palcem, a zetnę cię na proch.

Sheffield uczynił wyraźny wysiłek, by odzyskać spokój.

- Co najwyżej oskarżysz mnie o ogniskowanie cechy osobowości, a przecież wszyscy wiedzą, że to nie to samo, co posługiwanie się talentem.

- Ludzie nie chcą, żeby ktoś nimi manipulował. A hojni sponsorzy nie lubią wychodzić na durniów.

- Wynoś się z mojego biura. Nie muszę cię słuchać.

- Tak więc twoją siłę ogranicza pryzmat, z którym aktualnie pracujesz. Dopóki korzystasz z usług zwyczajnego pryzmatu, nie stanowisz dla nikogo większego zagrożenia niż jakikolwiek inny polityk. Ale jeśli spróbujesz się znów pokusić o więź z Amarylis, pamiętaj, że twoja kariera będzie raz na zawsze skończona.

Lucas odwrócił się na pięcie i wyszedł z biura.

**O**tuliwszy się szczelniej peleryną, Amarylis – pełna najgorszych przeczuć - rozejrzała się niespokojnie po pustej ulicy.

- Jesteś pewien, że ten Stonebraker to wykwalifikowany prywatny detektyw?

- Oczywiście. - Lucas zamknął drzwi auta i stanął obok Amarylis na nierównym chodniku

- Nie jestem tylko pewien, czy będzie chciał podjąć się tej roboty.

- Sądziłam, że wszystkie łapsy cierpią na brak klientów. Tak ich przynajmniej opisują autorzy powieści kryminalnych.

- Stonebraker zajmuje się wyłącznie sprawami, które go interesują. To ekscentryk.

- Dobra, dobra. Na razie nie budzi mojego zaufania ta okolica.

- A co ci się w niej nie podoba?

- Jeszcze się pytasz? Ponuro tu jak w grobie.

- Ponosi cię wyobraźnia. - Lucas ujął ją za ramię. - Chodź, idziemy do Stonebrakera.

Amarylis rozejrzała się po pustej ulicy. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby spotkali w tym zakazanym zaułku jakiegoś upióra.

Stonebraker mieszkał na wzgórzu. Była to stara dzielnica złożona głównie z ogromnych posiadłości wybudowanych przez bogaczy w okresie Późnej Ekspansji. Ciężka, solidna architektura stanowiła przeciwagę dla wybujałego stylu z Lat Wczesnych Odkryć.

Wkrótce jednak ten ponury styl wyszedł z mody. Wielkie ciemne gmaszyska stały na wzgórzu jak zadumane chimery zaklęte w kamień. Drzwi pozabijano gwoździami, w większości okien brakowało szyb. Agenci nieruchomości załamywali ręce. Bardzo trudno było o kupca na te stare, zaniedbane rudery. Nawet Towarzystwo Historyczne zupełnie się nimi nie interesowało.

Gdy Trent zatrzymał się wreszcie przed wysoką, zardzewiałą bramą, Amarylis zadrżała ze strachu.

- Wcale mi się to nie podoba.

Uśmiechnął się po raz pierwszy od rana, odsłaniając białe, równe zęby.

- Nie widziałaś jeszcze domu Stonebrakera. Tam dopiero straszy.

- Dlaczego umówiłeś się nim o tak późnej porze? Mogliśmy tu przecież przyjść w normalnych godzinach pracy.

- Ale dla niego to są właśnie normalne godziny pracy. Przyjmuje klientów tylko w nocy.

Lucas miał rację ostrzegając Amarylis przed domem Stonebrakera. Stara posiadłość przypominała bowiem do złudzenia mauzoleum. Staromodne świece z galaretowatego lodu rzucały długie, drżące cienie na kamienne ściany. Amarylis nie zdołała przyjrzeć się dokładniej ponuremu wnętrzu, ale to, co zobaczyła, wystarczyło, by przyprawić ją o dreszcz. W tym domu panował mrok w szeroko pojętym znaczeniu tego słowa.

- Powinieneś się skontaktować z jakimś dobrym dekoratorem wnętrz - stwierdził Lucas, gdy zamknął za sobą drzwi od biblioteki. - Chyba trochę przesadzasz.

- Wezmę to pod uwagę, Trent. - Ponury głos dobiegał z głębokiego fotela ustawionego na wprost kominka. - Co cię do mnie sprowadza?

- Interes.

- Nie wątpię. - odparł Stonebraker śmiertelnie znużonym tonem.

- Moja przyjaciółka Amarylis ma dla ciebie robotę. - Lucas podszedł do niewielkiego stolika w kącie pokoju i wziął do ręki karafkę wypełnioną przezroczystym płynem. - Przestałbyś się wreszcie tak śmiertelnie nudzić.

- Co to za robota?

Amarylis odchrząknęła nerwowo.

- Chciałabym, żeby pan odnalazł zaginione akta.

- A jest pani pewna, że one naprawdę zginęły?

Amarylis spojrzała na niego spod oka.

- Oczywiście, że jestem pewna. Przecież nie zawracałabym panu niepotrzebnie głowy. Te dokumenty zawierają informacje istotne dla mojego prywatnego śledztwa w sprawie śmierci pewnego wspaniałego człowieka.

Zapadła cisza.

- Przy takiej okazji można się dowiedzieć wielu rzeczy na temat ofiary. Niekoniecznie przyjemnych - wymamrotał w końcu Stonebraker.

- Bierze pan to zlecenie czy nie? - warknęła Amarylis.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej.

Opowiedziała mu wszystko najwiężej jak umiała. W tym czasie Lucas raczył się przezroczystym płynem z karafki.

W końcu Amarylis dotarła do końca swojej opowieści. Przygotowana na odmowę, bardzo się zdziwiła, gdy Stonebraker wreszcie zdecydował się przemówić.

- Przyjmuję tę sprawę - powiedział cicho.

Amarylis zerknęła na Lucasa, który wrzucił tylko ramionami i odstawił szklanę.

- Masz swojego detektywa - powiedział. - Pozwólmy mu teraz zająć się pracą.

Amarylis poszła posłusznie za Lucasem do wyjścia. Rzuciła jeszcze tylko jedno niespokojne spojrzenie na fotel stojący przed kominkiem i opuściła bibliotekę.

Kilka minut później, już na ulicy, wydała głębokie westchnienie ulgi.

- Mówiłeś, że ten facet jest ekscentrykiem. Przecież to kompletny wariat!

- Trudno go zrozumieć.

- Trudno? Ja uważam, że to absolutnie niemożliwe. On mi się zupełnie nie podoba. Nie mam do niego zaufania i nie wierzę, że znajdzie akta. Zmarnowaliśmy tylko czas.

Lucas otworzył drzwiczki od samochodu.

- Mówisz tak wyłącznie dlatego, że go nie akceptujesz.

- A jak można zaakceptować faceta, który pracuje w tak dziwnych godzinach, nie przestrzega żadnych zasad etyki zawodowej i nawet nie zainstalował nowoczesnego oświetlenia? Nawet mu się dokładnie nie przyjrzałam. W tej okropnej ruderze paliło się tylko parę zwykłych świec i ogień na kominku.

- Stonebraker świetnie widzi po ciemku. - Lucas zasiadł wygodnie za kierownicą. - Korzystał z tej umiejętności, kiedy wypędzaliśmy piratów z wyspy.

- Powinam była się tego domyślić. Znasz go z wysp, prawda?

- Tak. - Lucas uruchomił zapłon. - Stonebraker to rzeczywiście dziwak, ale sądzę, że znajdzie te akta.

Amarylis poczuła, że przechodzi ją dreszcz.

- Czy wszyscy twoi przyjaciele wykraczają poza skalę?

- Dlaczego sądzisz, że Stonebraker to talent? - Lucas popatrzył przeciągle na Amarylis.

- Wyczuwam w nim siłę. Podobnie jak w Chastainie. Oni mają taką samą moc jak ty, prawda?

- Pewnie tak. - Lucas wzruszył ramionami. - Ale żaden z nich nigdy się nie poddał testom. Bo i po co? Przecież nigdy nie znaleźli pryzmatu, przy którym mogliby działać na pełną parę.

- Nic dziwnego. Żaden szanujący się pryzmat nie mógłby współpracować z nie testowanym talentem.

- Ależ ty jesteś wybredna!

## Rozdział piętnasty

Słyszałam kochanie, że dziś jest twój wielki dzień. - W drzwiach gabinetu Amarylis stała Gracie Proud. - Clementine mówi, że o czwartej masz spotkanie w agencji.

Amarylis podniosła oczy znad notatek i zdobyła się na lekki uśmiech. Bardzo lubiła Gracie, do której zresztą, lgnęli również wszyscy jej znajomi.

Gracie Proud - czarująca i pełna ciepła – stanowiła całkowite przeciwieństwo Clementine. Miała wspaniały gust, nie wygłaszała pochopnych opinii i nigdy nie traciła panowania nad sobą.

Tego dnia włożyła jedną ze swych eleganckich pastelowych garsonek, które opinały jej ciało, jak rękawiczka. Gustowne pantofle na wysokich obcasach i jedwabne pończochy pasowały idealnie do jasnoniebieskiego zakietu i spódnicy. Clementine zdradziła kiedyś Amarylis, że Gracie szyje wszystko na miarę u najlepszej krawcowej z Nowego Portland.

- Jak się masz, Gracie? - Amarylis odłożyła długopis. - Tak, to właśnie dzisiaj.

Gracie lekko uniosła starannie wyregulowane brwi.

- Odnoszę wrażenie, że wcale się nie cieszysz.

- Prawdę mówiąc, jestem trochę zdenerwowana.

- Zawsze tak bywa. Ja w podobnej sytuacji o mało nie umarłam ze strachu. A potem, kiedy agencja przedstawiła mnie Clementine myślałam, że dostanę ataku serca.

- O czym mowa? - Clementine stała bezszelestnie za przyjaciółką. - Daj jej spokój, Gracie. Widzisz, że jest strzępkiem nerwów.

- Tłumaczyłam właśnie Amarylis, że agencje są bardzo kompetentne. Rzadko dokonują złych wyborów. A już na pewno rzadziej niż ludzie, którzy sami szukają sobie partnera. Nasz związek może tu służyć za doskonały przykład.

- Tak. Niedługo będziemy obchodzić piętnastą rocznicę znajomości. A przecież nigdy byśmy się nie spotkały, gdyby nie pomoc agencji. Pozostawiona samej sobie, na twój widok uciekłabym pewnie gdzie pieprz rośnie. Nigdy nie zapomnę tej twojej okropnej różowej garsonki.

Gracie popatrzyła z uśmiechem na Amarylis.



- Clementine i ja stanowimy żywy dowód teorii, że czasem przeciwieństwa się przyciągają. O której masz to spotkanie?

- Za pół godziny. - Amarylis zerknęła na zegarek. - Macie dla mnie jakieś rady?

- Nie próbuj niczego udawać - powiedziała Gracie. - Doradcy są wysokiej klasy talentami, a pomagają im przyzmaty z pełnym widmem. Natychmiast wyczują najmniejszy fałsz.

- Na wszystko jest odpowiednie miejsce i czas. Ale na pewno nie można niczego zmyślać na takim spotkaniu. Chodzi o całą twoją przyszłość.

Amarylis poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Skoczyła na równe nogi i podbiegła do drzwi.

- Przepraszam. Zbiera mi się na wymioty.

**N**o dobrze. Wyczerpaliśmy temat wakacji i zainteresowań. - Hobart Batt zerknął na Trenta spod oka. Za szklami okrągłych okularów błyszczały jego bystre oczy. Batt najwyraźniej kochał swój zawód.

Doradca był niskim, fertycznym człowieczkiem przejawiającym słabość do kraciastych marynarek i złotej biżuterii. W pobliżu siedziała starsza, niepozorna kobieta, która służyła mu jako przyzmat.

W czasie wyczerpującej rozmowy Lucas odniósł aż dwukrotnie wrażenie, że Hobart ogniskuje swój talent psychologiczny.

Bez pomocy Amarylis nie mógł jednak stwierdzić, w jakim stopniu Batt korzysta ze swoich zdolności. Zresztą wcale go to nie obchodziło. Popadł w fatalny nastrój. Czuł się jak w pułapce. Widział jak zamykają się za nim drzwi ogromnej klatki.

- Przejdźmy do pańskich preferencji seksualnych, dobrze? - spytał radośnie Hobart.

- A co mianowicie pana interesuje? - Lucas patrzył na niego podejrzliwie. - Nie rozumiem...

- Czy lubi pan grę miłosną, czy też woli pan sam akt bez zbędnych wstępów? Jest pan czuły i wrażliwy?

Lucas zerknął niepewnie na przyzmat

- Musimy teraz omawiać takie szczegóły?

- Proszę się nie przejmować panną Drake – powiedział Hobart. - Ona pracuje ze mną od dawna i już się zdażyła przyzwyczaić do tego rodzaju rozmów. Wróćmy do gry wstępnej.

Lucas przypomniał sobie tę nieprawdopodobną intymność, jakiej doświadczył przy Amarylis. Wiedział, że czegoś podobnego już nigdy nie zazna.

- Nie mam nic przeciwko grze wstępnej - oświadczył.

**A**marylis patrzyła jak zahipnotyzowana na kobietę, która właśnie przewróciła kolejną kartkę.

- No dobrze. Wyczerpaliśmy temat wakacji oraz zainteresowań. - Miła, kompetentna, czterdziestolatka popatrzyła badawczo na Amarylis. - Przejdźmy teraz do pani preferencji seksualnych.

Amarylis oblała się rumieńcem i zerknęła na przyzmat siedzący obok pani Reeton.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Nie wstydź się, Amarylis. Wszyscy jesteśmy profesjonalistami. - Pani Reeton uśmiechnęła się uspokajająco do dziewczyny. - Zapewniam cię, że seks stanowi bardzo ważny element małżeństwa. Lubisz długą grę wstępną?

- Grę wstępną? - Amarylis przypomniała sobie głęboko zmysłowe odczucia, jakich doznawała zawsze, ilekroć była z Lucasem w łóżku. Odchrząknęła i odwróciła wzrok od przyzmatu.

- Tak, sądzę, że gra wstępna jest bardzo istotna.

**H**obart Batt przewrócił energicznie kartkę.

- Proszę się teraz ustosunkować do następującego stwierdzenia: „Małżeństwo jest związkiem trwałym, ale można zaakceptować przelotny romans jednej ze stron, jeśli zachowuje ona dyskrecję i nie naraża na szwank dobrej opinii rodziny”.

Lucas przypomniał sobie zimną pustkę, jaką odczuwał po zdradzie Dory.

- Zupełnie się z tym nie zgadzam.

**P**ani Reeton czekała na odpowiedź.

Amarylis myślała o rodzicach, których nie znała. Przypomniała sobie fotografię roześmianego, zielonookiego mężczyzny o nazwisku Matthew Bailey. To on dał dziecko jej matce, choć pozostawał w oficjalnym związku małżeńskim. Potem przed jej oczyma stanął obraz

beztroskiej osiemnastolatki, Eugenii, jej matki. Romans między nimi spowodował nieobliczalne wręcz skutki dla obu rodzin.

*Jesteś moją babką?*

*Nie masz żadnej babci, bo jesteś bękartem.*

Pod wpływem nagłego bólu Amarylis wbiła sobie paznokcie w zwiniętą pięść.

- Zupełnie się z tym nie zgadzam.

**L**ucas popatrzył na Hobarta Batta.

- Nie rozumiem pytania. Jak radzę sobie z gniewem? Jestem po prostu zły i tyle. Cholera jasna! Ile czasu jeszcze będzie trwała ta idiotyczna rozmowa?

**U**ważam, że ludzie pozostający ze sobą w związku małżeńskim nie powinni ukrywać swoich stanów emocjonalnych - powiedziała Amarylis. Potem pomyślała jeszcze o wyzwiskach, jakimi obrzucano ją w dzieciństwie. - Powinni jednak panować nad sobą i nie ranić uczuć innych ludzi.

**J**edzenie? - Lucas nie zastanawiał się dłużej niż trzy sekundy. - Najbardziej lubię domową kuchnię. Wszystko mi jedno, co jem, byle tylko we własnym domu.

**J**edzenie? - Amarylis zmarszczyła brwi z namysłem. - Miło jest czasem pójść do restauracji, lecz większość posiłków należy przygotowywać w domu. To, co jemy, wpływa na wszystkie synergistycznie ze sobą związane funkcje, jakie musi pełnić nasze ciało. Tylko domowa kuchnia może nam zapewnić odpowiednią ilość warzyw i owoców.

- A twój stosunek do pieniędzy? - spytała pani Reeton z uśmiechem.

Amarylis odetchnęła z ulgą. To pytanie było bardzo łatwe.

- W każdym gospodarstwie domowym powinno się bardzo starannie planować budżet. Trzeba skrzętnie zapisywać wszystkie dochody i wydatki. Pewien procent wpływów należy odkładać do banku. Oczywiście koniecznie musimy płacić w terminie wszelkie rachunki. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla ponagleń. Kredyty natomiast warto zaciągać wyłącznie w przypadku ważnych inwestycji, takich jak na przykład dom.

**P**orozmawiajmy o pieniądzach - zaproponował Hobart. - To chyba dla pana istotny temat. Każdy człowiek, któremu udało się dorobić takiego majątku, musi mieć bardzo wyrobioną opinię w tej kwestii.

Lucas myślał chwilę. Nigdy nie zależało mu na pieniądzach. Szukał galaretowatego lodu, bo umiał to robić. Dzięki tej pracy mógł zaszyć się w dżungli i ukryć przed światem oszałamiające przebłycki talentu.

Najpierw pieniądze służyły mu tylko za niezbędny środek do zorganizowania kolejnej wyprawy, ale później zaczęły żyć własnym życiem. Stały się mu potrzebne do utrzymania zależnych od niego osób. Musiał również dotrzymywać warunków kontraktu, a młodzi inżynierowie często go prosili o finansowanie prac badawczych.

A pewnego dnia Trent zrozumiał, że gospodarka na Wyspach Zachodnich jest całkowicie uzależniona od jego firmy.

Pieniądzy miał pod dostatkiem, ale same w sobie znaczyły dla niego niewiele. Żadna suma nie mogłaby zapłacić pustki po stracie Amarylis, która wkrótce miała poślubić innego mężczyznę.

- Łatwo przyszło, lekko poszło - powiedział Lucas.

**K**iedy tuż przed szóstą Amarylis wchodziła do domu, była w stanie kompletnego wyczerpania. Rozmowa z psychologiem głęboko nią wstrząsnęła. Miała nadzieję, że podobna sytuacja nigdy się nie powtórzy. Każde pytanie przypominało jej o tym, że romans z Lucasem nie potrwa długo.

Zrzuciła buty i powiesiła żakiet, po czym poszła do kuchni z zamiarem przyrządzenia sałatki na kolację.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy po otwarciu lodówki, była butelka zielonego wina. Amarylis doszła do wniosku, że ten napój będzie miał zdecydowanie bardziej lecznicze działanie niż leżąca tuż obok główka sałaty.

Wyjęła zatem butelkę z chłodziarki i postawiła ją na ladzie. Długo szukała korkociągu, bo Lucas odłożył go niefrasobliwie do niewłaściwej szuflady. Trent z pewnością nie podzielał jej zamiłowania do porządku.

Nalała sobie kieliszek wina i wzniosła cichy toast za naukowe metody kojarzenia małżeństw. Biorąc do ust pierwszy łyk zielonego napoju powtarzała sobie w duchu, że agencja matrymonialna jest najlepszym rozwiązaniem.

Wtedy usłyszała, że otwierają się drzwi.

-Amarylis? - Lucas mówił takim tonem, jakby po ciężkim dniu pracy wreszcie wrócił do domu.

Ale tak się przecież wcale nie stało.

Amarylis nalała drugi kieliszek wina i wyszła z kuchni. Na widok Lucasa stanęła jak wryta.

Trent zamykał właśnie drzwi od szafy i odwrócił się na chwilę, żeby na nią popatrzeć. Pusty wyraz jego oczu rozdzierał dziewczynie serce. W milczeniu wyciągnęła do niego kieliszek.

Lucas wziął go bez słowa i wychylił prawie do dna.

- Nie powinniśmy się tak martwić - powiedziała Amarylis z wymuszonym uśmiechem. - Moja szefowa powiedziała mi rano, że stawką w tej grze jest cała moja przyszłość.

- Tak. Racja. Przyszłość. - Lucas odstawił kieliszek na półkę i wziął dziewczynę w ramiona.

Po chwili Amarylis odnalazła Lucasa na płaszczyźnie psychicznej. Stworzyli więź i Trent przekazał jej całą swoją siłę w formie błyszczącego nieregularnego wzoru.

Długo stali tak w korytarzu trzymając się w objęciach. Milczeli.

**W** poniedziałek po południu na biurku Lucasa znowu zadzwonił telefon. Trent spojrzał niecierpliwie na plastikowe pudełko. Może należało zmienić numer? Zbyt wiele osób usiłowało się z nim skontaktować za pośrednictwem prywatnej linii.

- Słucham, Trent - warknął do słuchawki.

- Lucas? - Spytała Amarylis przestraszonym głosem. - To ty? Dobrze się czujesz?

- Przepraszam. Właśnie chciałem do ciebie zadzwonić.

- Pewnie dostałeś wiadomość od Stonebrakera?

- Niestety, nie.

- Wiedziałam. A mówiłeś, że ten facet jest w stanie znaleźć igłę w stogu siana.

- Ale nie w takim tempie! Przecież jest dopiero poniedziałek. Dajmy mu szansę.

- W dzień pracowałby na pewno znacznie lepiej.

- Przekażę mu twoją radę. - Lucas rozparł się na krześle i wyjrzał przez okno. - Nie o tym jednak chciałem z tobą rozmawiać.

- Więc co się wydarzyło?

- Właśnie dzwonił Dillon. Pytał, czy może się ze mną umówić na kolację.

- Może jego rodzice zmienili zdanie i pozwolili mu u ciebie pracować?

- Wątpię. Dillon potrzebuje pewnie mojej rady, a ja zupełnie nie wiem, jak się zachować.

- Pozwól mu się wygadać. On pewnie chce, żebyś mu zastąpił brata.

- Nie będziesz miała do mnie żalu?

- Jeśli umówisz się z Dillonem? Oczywiście, że nie. Muszę coś zrobić w domu i bardzo bym chciała trochę poczytać. Nie martw się. Jakoś sobie poradzę.

- Zatelefonuję do ciebie, kiedy już będę wolny, i może wpadnę.

Lucas potarł nerwowo nos. Zostało mi tak niewiele wspólnych nocy. Nie chciał zaprzepaścić żadnej okazji spotkania z Amarylis.

- Świetnie - powiedziała cicho dziewczyna.

*Ta więź była zupełnie inna niż zwykle, niewiarygodnie intymna. Nie mogła uciec przed istotą męskości, która otuliła ją jak peleryna w kolorach nocy. Nie panowała już nad zmysłami.*

*Jego pożądanie uderzyło w pryzmat niczym oślepiająca, niebezpieczna luna.*

*Czując dotyk jego warg na swoich ustach Samantha pomyślała, że przecież miało być inaczej. Tyle już razy ogniskowała dla talentów wysokiej klasy, lecz więź przybierała zawsze zwyczajny, bezosobowy charakter. Przypominała bardziej uścisk dłoni niż potężną falę namiętności.*

*- Nie bój się - szepnął - To ty tworzysz pryzmat. Bez ciebie nie potrafię nic zrobić. Panujesz nad sytuacją.*

*Ale Samantha nie była już tego taka pewna, czuła, jak Justin roztacza nad nią swoją władzę. Nigdy nie spotkała równie silnego talentu.*

*A jeśli legendy nie kłamią? - myślała, gdy zaczął ją całować coraz bardziej namiętnie. Podobno wampiry psychiczne potrafią zniewolić pryzmat. Czyżby Justin chciał ją wykorzystać do swoich niecnych celów?*

*Wiedziała, że jeśli się nie wypali - a na to się zupełnie nie zanosilo - może popaść w poważne tarapaty.*

*Jego moc znów skupiła się w pryzmacie. W tej samej chwili Samantha zrozumiała, że Justin zapanował nad jej umysłem.*

*- Łączy nas pożądanie - powiedział. - Ale ty się z pewnością tego nie boisz.*

*Ale Samantha umierała ze strachu. Wiedziała, że musi działać, zanim będzie za późno.*

Amarylis nie zdążyła się dowiedzieć, w jaki sposób bohaterka powieści Orchid Adams poradziła sobie z wampirem psychicznym, bo ostry dzwonek telefonu przerwał jej lekturę.

Włożyła zakładkę do książki i podeszła do telefonu.

- Halo.

- Panna Lark? - Głos po drugiej stronie słuchawki brzmiał znajomo, choć nie był o wiele głośniejszy niż szept.

- Tak. Kto mówi?

- To ja, Vivien Huggleston.

- Vivien Huggleston? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Vivien Woalka - mruknęła dziewczyna. - Pani odwiedziła mnie kiedyś po spektaklu.

Rozmawialiśmy na temat profesora Landretha.

Amarylis wyprostowała się jak struna.

- Ależ oczywiście, Vivien. Co się stało? Przypomniałaś sobie coś ważnego?

- To nieco bardziej skomplikowane. Właściwie nigdy o niczym nie zapominam. Po prostu wtedy nie chciałam wszystkiego mówić. Miałam swoje powody. Teraz jednak chcę się pani do czegoś przyznać.

- Słucham.

- Jonny dał mi coś na przechowanie. Nie życzył sobie, żeby to się dostało w niepowołane ręce.

Amarylis ścisnęła mocniej słuchawkę.

- Masz może na myśli teczkę z dokumentami?

- Skąd pani wie?

- Nieważne. Nadal ją masz?

- Tak. I dlatego właśnie dzwonię. Te papiery są w bezpiecznym miejscu, ale wolałabym się ich pozbyć. Może pani po nie przyjechać? Bo nie chcę ich palić. Były dla Jonny'ego bardzo ważne.

Amarylis zerknęła na zegarek.

- Będę za piętnaście minut.

- Niech pani przyjedzie sama. Nie podobał mi się ten pani przyjaciel. Denerwował mnie.

- On czasem tak działa na ludzi. Nie martw się. Będę sama. Gdzie jesteś?

- W garderobie. Mam teraz ponad godzinę przerwy. Proszę wziąć taksówkę. Nie będzie pani musiała parkować auta w bocznej uliczce. Tu się robi niebezpiecznie.

- Niedługo przyjadę. Zamówię tylko taksówkę.

Amarylis przerwała połączenie i wybrała numer jednej z korporacji taksówkowych.

Kilka minut później miała już zamknąć za sobą drzwi, kiedy przypomniała sobie, że wieczorem zadzwoni do niej Lucas i będzie mu przykro, jeśli jej nie zastanie.

Szybko nagrała dla niego wiadomość na automatycznej sekretarce i wybiegła z domu. Kierowca już na nią czekał.

Wysiadła pod klubem. Stało tam wiele pustych taksówek, więc Amarylis doszła do wniosku, że nie będzie miała kłopotu z powrotem do domu.

- Dziękuję - powiedziała wręczając kierowcy zapłatę i - jak sądziła - całkiem rozsądny napiwek. - Proszę na mnie nie czekać.

Taryfiarz zerknął na zwitek banknotów.

- Wcale nie miałem takiego zamiaru.

Amarylis postanowiła zignorować jego zachowanie. Musiała się zająć znacznie poważniejszymi sprawami. Włożywszy ręce do kieszeni płaszcza, zaczęła się przeciskać w stronę wejścia za kulisy.

Tym razem grubasa nie było przy drzwiach, więc odpadł jej przynajmniej problem napiwku. A w portmonetce miała zaledwie parę dolarów na powrót do domu.

Amarylis pchnęła drzwi i znalazła się w zagraconym korytarzu. Podłoga drżała pod jej stopami, ze sceny dobiegał monotony łoskot werbli.

Poszła naprzód, licząc w pamięci pokoje.

Drzwi ozdobione fioletową gwiazdą były zamknięte.

Zapukała, ale nikt się nie odezwał.

- Panno Huggestone? - Zaczęła nasłuchiwać. - Vivien? To ja, Amarylis Lark.



Nadal nikt się nie odzywał. Słyszała tylko przytłumiony ryk muzyki. Kiedy jednak przekreśliła klamkę, drzwi otworzyły się bez oporu.

- Vivien? To ja. - Amarylis zajrzała nieśmiało do środka.

Na łysym dywanie leżał stos fioletowych zasłon. Wyglądało to tak, jakby Vivien rozbierała się pośpiesznie z kostiumu i zostawiła go na podłodze.

W chwilę później dostrzegła, że z powodzi przezroczystej tkaniny wystaje para pantofli na wysokim obcasie. A w pantoflach tkwiły stopy Vivien.

- Vivien! - Amarylis rzuciła się naprzód. W pierwszej chwili pomyślała, że striptizerka zaplątała się w kostium, przewróciła i straciła przytomność.

- Vivien? - powtórzyła, klękając przy leżącej. - Vivien...

Poczuła nagle wilgoć na kolanie. Dywan był mokry. Widniała na nim ogromna krwawa plama.

Okrzyk uwiązł jej w gardle.

Dywan i zasłony były przesiąknięte krwią wyciekającą z potwornej czarnej dziury w czole Vivien.

Amarylis szybko cofnęła rękę, którą zamierzała jej położyć na ramieniu i podniosła się z trudnością. Czuła skurcze żołądka. Pokój wirował jej przed oczami.

Odwróciła głowę od leżącej i ruszyła do drzwi. Musiała sprowadzić pomoc.

Kiedy jednak wyjrzała na korytarz, okazało się, że ktoś wyłączył nawet słabe lampy na suficie.

Wtedy poczuła słaby, znajomy przyływ świadomości na płaszczyźnie psychicznej.

To wrażenie szybko minęło, ale Amarylis udało się rozpoznać tę kłującą energię, jaką zwykle wysyłały talenty znajdujące się pod wpływem silnego stresu.

Ktoś na nią czekał.

## *Rozdział szesnasty*

**W** tej samej chwili zrozumiała, że stojąc w oświetlonych od środka drzwiach stanowi wręcz wymarzony cel dla zabójcy.

Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że potrzebowała kilku sekund, żeby uruchomić zamek.

I tak jednak ktoś, kto chciałby dostać się do garderoby, nie miałby z tym najmniejszych problemów. Wystarczyłoby mocno kopnąć, a cienkie jak tektura drzwi natychmiast rozpadłyby się na kawałki.

Amarylis okręciła się na pięcie i - starając się nie patrzeć na ciało Vivien - poszukała wzrokiem ewentualnej drogi ucieczki.

Najpierw dostrzegła drzwi do łazienki i od razu sobie przypomniała, jak Vivien ubolewała nad tym, że musi dzielić toaletę z Yolandą. A to znaczyło, że było tam również przejście do garderoby tancerki.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i przeszła ostrożnie przez zwoje zakrwawionej tkaniny. Dotarła do małej łazienki, zamknęła za sobą drzwi i weszła do garderoby Yolandy.

Nie zapalając światła posuwała się wolno naprzód. Już wyciągała rękę, by dotknąć klamki, gdy nagle poczuła, że ktoś stojący nieopodal wysyła w jej kierunku falę energii.

Natychmiast przypomniała sobie film przyrodniczy o węzo-nietoperzu, który wyczuwał językiem zapach swojej przyszłej ofiary.

Pomyślała, że morderca wykorzystuje swój niezogniskowany talent, żeby ją dokładniej zlokalizować. A potem przyszło jej do głowy, że skoro ona wyczuwa jego energię, zabójca jest zapewne zdolny do tego samego. Amarylis była wprawdzie przyzmatem, ale zdolności parapsychiczne zawsze pozostaną zdolnościami parapsychicznymi. Umysł Amarylis z pewnością pod wpływem stresu wysyłał jakieś fale, tak jak się to działo w przypadku talentów.

Wiedziała, że nie może dłużej zostać w garderobie Yolandy. Instykt wyraźnie ją ostrzegał, że ktoś na nią poluje. Musiała się wreszcie wydostać z tej pułapki.

Przykucnęła, chwyciła za klamkę i zaczęła na kolejne ogłuszające crescendo. Gdy ściany zaczęły się trząść, Amarylis wstrzymała oddech i ostrożnie otworzyła drzwi.

Do garderoby wlała się natychmiast gęsta ciemność. Na korytarzu nadal nie paliło się światło. Wróg musiał się kryć za zasłoną nocy.

Amarylis chciała się zerwać na równe nogi i rzucić do ucieczki, ale przewyciężyła w sobie tę pokusę. Wiedziała, że powinna działać wolno i ostrożnie. Gdyby pobiegła przed siebie wąskim korytarzem, zabójca strzeliłby na ślepo i trafił ją w pierś.

Pewna, że hałaśliwa muzyka zagłuszy każdy dźwięk, Amarylis wyszła na czworakach z garderoby Yolandy. Zabójca na pewno odciął jej odwrót od strony sceny. Pozostawało jej zatem tylko jedno wyjście.

Skręciła w lewo i czołgała się dalej, choć zupełnie nie wiedziała, dokąd zmierza. Pomyślała jednak, że ten korytarz musi się przecież gdzieś kończyć.

Odczuła przypływ energii psychicznej. Wiedziała, że nie wolno jej ulegać panice. Musiała się jakoś wydostać na ulicę.

Podłoga pulsowała w rytm muzyki, w dłonie wbijał się jej piasek leżący na brudnym, łysym dywanie, a kolana paliły żywym ogniem.

Gdzieś w ciemnościach błysnął znów węzowo-nietoperzowy język talentu. Tym razem jednak energia wydała się jej nieco słabsza. Inna. Uświadomiła sobie, że z dużej odległości o wiele trudniej jest wyczuć siłę psychiczną, a to znaczyło, że zmierza w dobrym kierunku.

Poczłogała się naprzód jeszcze szybciej, skrywając całą swoją moc w najgłębszych zakamarkach umysłu.

**O**powiedziałem tacie całą historię. - Dillon uśmiechnął się pogodnie do Lucasa.

- Wiem. - Lucas wbił widelec w kawałek ryby o dziwnej barwie miedzi. - Twój ojciec złożył mi wizytę.

- Tego się właśnie bałem. - Dillon przestał się uśmiechać. - I co on mówił?

- Chciał spłacić twój dług. Powiedziałem, że to sprawa między tobą a mną.

Dillon wyprostował się na krześle.

- Ja mu mówiłem to samo. Wściekł się.

- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

- Jasne, że jestem ciekaw.

Lucas nadział kawałek ryby na widelec.

- Uważam, że zrobiło to na nim spore wrażenie. Nie zrozum mnie źle. On nadal jest wkurzony twoim długiem. Ale przyjął do wiadomości fakt, że przez własną głupotę wpadłeś w tarapaty i sam musisz się z nich wyplątać.

W oczach Dillona zalśniła nadzieja.

- Sądysz, że cokolwiek zrozumiał?

- Nie wiem.

Dillon zacisnął szczeki.

- Chciałbym cię o coś poprosić.

- Nie wiem, czy będę mógł ci pomóc. - Lucas odłożył widelec. - Zanim poniesie cię wyobraźnia, musisz wiedzieć, że nie jestem mistrzem psychologii. Sam nie potrafię postępować z ludźmi i nie wiem, w jaki sposób powinieneś rozmawiać z rodzicami.

- Rodzice nie stanowią dla mnie problemu. Zamierzałem cię prosić o robotę.

Lucas popatrzył na niego przeciągle.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Muszę spłacić dług, a praca w Gwieździe Polarnej to najlepszy sposób na uregulowanie tej należności.

- A co na to twoi rodzice?

- Powiem im, jakie mam plany. Mam nadzieję, że mnie zrozumieją. Ale nie mogę czekać na ich zezwolenie, bo to się może ciągnąć w nieskończoność. Mama nigdy nie wyrazi zgody na moją pracę w Gwieździe. Zbyt silnie wiąże twoją firmę ze śmiercią Jacksona.

- Pewnie serdecznie mnie znienawidzi, jeżeli cię zatrudnię.

- I tak cię nienawidzi. Spójrzmy prawdzie w oczy. Znienawidziła cię tego dnia, kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci Jacksona.

- Znienawidziła Gwiazdę Polarną.

- Ale to ty jesteś Gwiazdą. I zawsze nią byłeś. Firma należała do ciebie, zanim poznałeś Jacksona, i pozostała w twoich rękach po jego śmierci. Matka nigdy nie dokona rozróżnienia między przedsiębiorstwem i tobą.

- Wiem.

Lucas doszedł do wniosku, że nie powinien się tym aż tak bardzo przejmować. W końcu nigdy nie należał do rodziny Rye'ów. Był tylko znajomym i współnikiem Jacksona. A Beatrice okazywała mu sympatię ze względów praktycznych. Nic poza tym.

- Przykro mi, Lucasie.

- Po co rozdrapywać stare rany?

- Nie bierz sobie tego zbyt do serca. Wiesz, jakie są matki.

Lucas pominął milczeniem tę ostatnią uwagę.

- Dobra. Jeżeli ci zależy na tej robocie, to ją dostaniesz. Zgłoś się jutro do kadr.

- Dzięki - Dillon uśmiechnął się radośnie. - Wspaniale! Nie mogę się doczekać wyjazdu na wyspy.

- Pozwól, że udzielę ci pewnej wskazówki.

- Z przyjemnością posłucham.

Lucas popatrzył krytycznie na wdzianko Dillona.

- Nie zabieraj ze sobą tych ciuchów. Na wyspach nikt się tak nie ubiera. Wyśmieją cię. Kupisz coś sobie na miejscu

Dillon roześmiał się serdecznie. Był to radosny śmiech młodego człowieka patrzącego z optymizmem w przyszłość. Lucasowi natychmiast poprawił się nastrój.

W godzinę później Trent zatelefonował do Amarylis w nadziei, że dziewczyna jeszcze nie śpi. Bardzo chciał usłyszeć jej głos. Pragnął się z nią wszystkim dzielić. Tego wieczoru zamierzał jej opowiedzieć o spotkaniu z Dillonem.

- Tu Amarylis Lark - usłyszał w słuchawce. - Nie mogę teraz podejść do telefonu. Jeśli to ty, Lucasie, chcę ci powiedzieć, że pojechałam na Founders Square. Dzwoniła Vivien i poprosiła mnie o rozmowę. Nie martw się. Wzięłam taksówkę. Zatelefonuję po powrocie.

- Cholera jasna! - Lucas rzucił słuchawkę na widełki.

- Co się stało? - Dillon spojrzał na niego niespokojnie.

- Muszę jechać na Founders Square. - Trent ruszył szybko do wyjścia. - Nie zapomnij się zgłosić do kadr.

- Nie martw się - krzyknął za nim Dillon. - Na pewno nie zapomnę.

**A**marylisy znów wyczuła za sobą talent. Nie był to jednak jej prześladowca, tylko ktoś zupełnie inny.

Jakaś ogromna siła szukała pryzmatu i domagała się więzi. Niezwykła intymność towarzysząca temu wybuchowi energii, zdradziła dziewczynie jej źródło.

Lucas. Był gdzieś w tym budynku.

Amarylis przeczołgała się przez coś, co sprawiało wrażenie dużego drewnianego pudła i omal nie rozpląkała się ze szczęścia. Talent jednak zniknął tak szybko, jak się pojawił, zanim Amarylis uruchomiła swe mocno nadwątłone siły.

Zrozpaczona miała ochotę wstać i wykrzyczeć na cały głos jego imię. Kiedy tylko o tym pomyślała, liźnął ją natychmiast węzowo-nietoperzowaty język zabójcy.

Wróg nadal czał się w ciemnościach.

Amarylis zmusiła się do myślenia. Musiała jakoś zdradzić Lucasowi swoją obecność. Skupiła więc całą swoją uwagę, by się z nim połączyć przy następnej okazji.

Wtedy przyszło jej do głowy, że być może naraża się w ten sposób na niebezpieczeństwo.

Nie bała się, że morderca przechwyci więź w ciągu tych pierwszych kilku sekund dezorientacji. Choć bardzo lubiła romanse z życia wampirów psychicznych, posiadała zbyt głęboką wiedzę, by uwierzyć, że zawładnął nią jakiś zbrodniczy talent.

Gdyby jednak otworzyła na chwilę umysł, zabójca nie miałby najmniejszych problemów z ustaleniem aktualnego miejsca jej pobytu.

Musiała jednak działać. Lucas nie nawiązał z nią kontaktu i mógł sobie pomyśleć, że wyszła z budynku. W takiej sytuacji Trent nigdy by się nie dowiedział, co jej grozi.

Ogromna siła Lucasa znów wyruszyła na poszukiwania. Amarylis pochwyciła ją jak linę ratunkową i utworzyła więź. Talent przybrał formę smugi świetlnej o nieregularnych kształtach. Amarylis zaczęła się zastanawiać, czy jest to barwa psychiczna ulgi, czy też ogromnego niepokoju. I choć nie mogła w żaden sposób zaspokoić swojej ciekawości, wiedziała przynajmniej, że Trent jest gdzieś w pobliżu.

Chciała właśnie wymyślić jakiś sposób, by go ostrzec przed niebezpieczeństwem, kiedy dotarła do niej nagle woń męskiej wody kolońskiej i Amarylis przestraszyła się tak bardzo, że zerwała więź.

Muzyka zagłuszyła dźwięki, ale nie mogła zneutralizować zapachów. A ten wydawał się jej znajomy. Lucas używał jednak innej wody.

Zabójca był blisko. O wiele za blisko. Mógł nawet wyczuć zapach jej strachu. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia do obrony. Na podłodze jednak nic nie leżało. Pod osłoną muzyki wstała i namacała drewniane pudło.

W środku znajdowały się jakieś twarde przedmioty.

Amarylis wyciągnęła jeden z nich. Nie miała pojęcia, co to jest. Wiedziała tylko, że powinien spełnić swoje zadanie.

Wyczuła, że coś się porusza, a w nozdrza znów uderzył ją mocny zapach drogiej wody kolońskiej.

Jak szalona zaczęła wywijać metalowym narzędziem wyjętym z drewnianej paki. Rozległ się stłumiony odgłos uderzenia, a zaraz potem głośny jęk.

Cisnąwszy nie zidentyfikowany przedmiot na podłogę, natychmiast rzuciła się do ucieczki, ale zaczepiła o coś nogą i o mało nie upadła.

Zupełnie straciła orientację. Jej jedynym przewodnikiem był ryk muzyki. Ruszyła więc niepewnie w tamtym kierunku, wyciągając przed siebie ręce. Po krótkiej chwili natrafiła na ścianę, więc zatrzymała się jak wryta.

Posługując się zmysłem dotyku, przesuwała się wolno wzdłuż muru. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Za zakrętem dostrzegła światło prześwitujące przez ciężką, niebieską kurtynę. Huk werbli rozrywał jej bębni.

W tej samej chwili Lucas znowu spróbował stworzyć więź. Amarylis wyczuła wyraźnie jego obecność. Był blisko, bardzo blisko. Zareagowała natychmiast, próbując jednocześnie znaleźć rozcięcie w kurtynie.

Oślepiło ją ostre białe światło. Muzyka stawała się coraz bardziej ogłuszająca.

Zmrużyła oczy. Perkusista krzychał coś, czego nie była w stanie usłyszeć.

Dwie pary odgrywały na scenie akt seksualny. Widownia jęczała z podniecenia.

W rogu stali dwaj przystojni blondyni w czerwonych rajstopach. Udawali, że ogniskują energię seksualną.

Sądząc po odgłosach rozkoszy wydawanych przez widownię i coraz głośniejszym warkocie werbli można się było domyślić, że impreza zbliża się do swego punktu kulminacyjnego.

Amarylis wybiegła na środek sceny. Muzycy nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi, więc zaczęła gwałtownie wymachiwać ramionami.

- Cisza! Popelniono morderstwo! Zabójca jest jeszcze w budynku. - Zrozumiała natychmiast, że nikt jej nie słyszy. - Cisza!

Uznawszy wystąpienie Amarylis za wyreżyserowany element przedstawienia, widownia wpadła w szal. A wykonawcy stanęli na wysokości zadania, zdzierając z siebie kostiumy. Muzycy zdwoili wysiłki.

Amarylis dostrzegła kątem, że na scenę wychodzi chwiejnym krokiem jakiś człowiek. Stał przez chwilę nieruchomo, mrugając nieprzytomnie oczami. Włosy miał zmierzwione, garnitur w oplakany stanie, ale Amarylis rozpoznała go natychmiast.

Madison Sheffield wypatrzył ją dokładnie w tym samym momencie. Przestрах w jego oczach ustąpił miejsca wściekłości. Zrobił krok w stronę dziewczyny, a wtedy zrozumiał, że stoi przed publicznością. Odwrócił się więc na pięcie i chciał cofnąć się za kulisy, ale wtedy zza kurtyny wybiegł Trent.

Mężczyźni zwarli się ze sobą w żelaznym uścisku i potoczyli po podłodze.

Muzycy oszaleli. Przeciężone kolumny wydały skrzek protestu.

Lucas przycisnął senatora do podłogi i wymierzył mu mocny cios w szczękę.

Widownia wyła z rozkoszy.

Vivien z pewnością szantażowała Sheffielda. Znała zawartość „świeżutkiej teczuszki”. - Amarylis siedziała na kanapie przed egzotycznym kominkiem Lucasa. W dalszym ciągu wstrząsały nią dreszcze, chociaż w pokoju było bardzo ciepło. - Aż trudno w to uwierzyć.

- Sheffield właśnie na to liczy. - Lucas podszedł do Amarylis, trzymając w rękach kieliszki z księżycową brandy. - Powiedział policji, że przyszedł do klubu, ponieważ badał jego działalność w ramach obietnic wyborczych.

Amarylis prychnęła z oburzenia.

- Rzeczywiście! Znaleźli przecież resztki akt i wiedzą, że miał motyw.

Lucas skinął głową i usiadł obok niej na kanapie.

- Tak. Teczka była w umywalce czuć zapach dymu, bo Sheffield chciał ją spalić. Wiele z niej nie zostało, ale widać wyraźnie nazwisko pana senatora i fragmenty komentarza na temat jego działalności. Oskarżenie o brak etyki zawodowej mogło zrujnować mu karierę.

- Profesor Landreth był zawsze bardzo prawy. A jeśli chodzi o te akta, chciałabym zwrócić uwagę, że w końcu to ja je znalazłam. Pan Stonebraker nie wykonał zadania.



Lucas uniósł lekko brwi.

- Można tak powiedzieć.

- Mam nadzieję, że zwróci ci pieniądze.

- Nie omieszkać się o nie upomnieć.

Amarylis zmarszczyła czoło.

- Profesor Landreth wiedział, że senator Sheffield ogniskuje w nieetyczny sposób.

Udokumentował swoją tezę w tych aktach. Ale dlaczego powierzył je Vivien?

- Pewnie się bał, że wpadną w łapy Sheffielda. - Lucas popatrzył w zamyśleniu w ogień. -  
Doszedł więc do wniosku, że nikt nie będzie ich szukał u striptizerki.

- I miał rację. Biedna Vivien. Pewnie wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Dlatego do mnie zadzwoniła. Ale ja przyszedłam za późno. Ciekawa jestem, czy zadzwoniła po strażnika.

- Przecież policja znalazła go w barze. Był pijany jak bela. Mówił, że jakiś facet dał mu sto dolców tylko za to, żeby się stamtąd zmył.

- Sheffield mógł działać bez przeszkód. A muzyka grała tak głośno, że nikt nie usłyszał strzału.

- Fakt. - Lucas odstawił kieliszek, a drugą ręką ujął Amarylis za podbródek. - Nie powinnaś była chodzić sama do tego klubu. Nawet nie wiesz, jak się o ciebie bałem.

- Musiałam przecież coś zrobić. Nie miałam czasu, żeby się z tobą skontaktować

- Niech to szlag. Przeżyłem piekło, kiedy usłyszałem tę wiadomość. Ale to i tak była betka w porównaniu z tym, co czułem, szukając cię za kulisami. Dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

- Nie przyszło mi to do głowy, ale rzeczywiście powinnam była ich o wszystkim powiadomić.

- Doskonale o tym wiem!

- Z drugiej strony musisz mnie zrozumieć. Nie mogłam przewidzieć, że wszystko potoczy się w takim tempie. Vivien powiedziała mi tylko, że ta cała sprawa wymknęła się jej spod kontroli. Nie wiem, dlaczego ona sama nie zawiadomiła glin.

- Bo szantażowała Sheffielda, a to jest karalne. Tak czy inaczej nie mówmy o tym więcej.

Gdy zadzwonił telefon, Amarylis uśmiechnęła się radośnie.

- Odbierz. To pewnie policja. Może chcą ci jeszcze zadać kilka pytań.

- Już im wszystko powiedziałem. - Lucas niechętnie sięgnął po słuchawkę. - Tu Trent. Ach to ty, Stonebraker. Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Amarylis twierdzi, że powinieneś zwrócić zaliczkę.

Milczał przez jakiś czas, wsłuchując się z uwagą w to, co Stonebraker miał mu do powiedzenia. Amarylis sączyła koniak z drzewa księżycowego i patrzyła w ogień. Dochodziła trzecia nad ranem, ale ona nadal nie mogła dojść do siebie. Była wyczerpana, a jednocześnie napięta. Wspomnienia węzowo-nietoperzowatego języka talentu wciąż nie dawały jej spokoju.

- Ciekawe - mruknął Lucas. - Tak, to możliwe. Nie martw się. Amarylis kazała policjantom wznowić śledztwo. Sądzę, że jej posłuchają. Zrobiła im cały wykład na ten temat. - Urwał. - Dobra. Pogadamy później.

- No i co? Co też nowego odkrył twój as wywiadu?

Lucas wykrzywił lekko usta.

- Powiedział, że rozważy sprawę zaliczki, jak skończy wypisywać mi rachunek.

- I co jeszcze mówił?

Lucas przestał się uśmiechać.

- Dowiedział się, że policja z Nowego Portland zatrzymała Merricka Beecha i Mirandę. Wsiadali właśnie do samolotu na Wyspy Zachodnie.

- Beech i Locking? Czyżby oni mieli cokolwiek wspólnego z tym, co się dziś stało?

- Chyba nie. Ale przyznali się, że opłacili tych drani, którzy nas napadli. - Lucas wyciągnął przed siebie nogi. - Podobno chcieli mi dać nauczkę.

- W takim razie oboje wyjaśniliśmy swoje wątpliwości.

- Tak sądzę.

Amarylis odwróciła się do ognia.

- Bardzo dziwnie się czuję.

- Dlaczego?

- Bo wiem, że to już koniec.

Koniec. To słowo długo wisiało między nimi w powietrzu.

Ich romans dobiegł kresu.

Amarylis zrozumiała, że jej śledztwo w sprawie profesora łączyło się w jakiś sposób ze znajomością z Lucasem.

A Otego dnia zakończyła swoją misję. Nadszedł również czas rozstania z kochankiem. Pomyślała o tych wszystkich formularzach i kwestionariuszach, jakie oboje musieli wypełniać. Przypomniała sobie rozmowę z doradcą synergistycznym. Nie zostało jej zbyt wiele czasu.

- Tak. - Lucas zmrużył oczy i wpatrzył się w ogień. - To rzeczywiście dziwne.

Amarylis nie potrzebowała zdolności telepatycznych, żeby wiedzieć, o czym on myśli. Sama również nie mogła się pogodzić z nieuniknioną stratą.

Nagle poczuła, że Lucas sięga po nią swym umysłem. Ale nie było to gwałtowne żądanie, jak wówczas, gdy szukał jej za kulisami. Tym razem tkliwy, delikatny talent pragnął się z nią połączyć w nierozzerwalną całość.

- Może lepiej tego nie róbmy - powiedziała, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Może.

- Nie pasujemy do siebie.

- Wiem.

- Nie powinniśmy kontynuować tej znajomości. Żadne z nas nie chce wracać do błędów z przeszłości.

- Sądzisz, że się jej boimy?

Przeraził ją ukryty sens tych słów. Znow zapatrzyła się w płomienie.

- Wmawiam sobie, że właściwe postępowanie jest moim obowiązkiem. Być może rzeczywiście to wszystko się sprowadza do strachu przed przeszłością. Oboje mamy powody, żeby się bać.

- I tak chcesz spędzić całe życie?

Amarylis oniemiała. Czyżby już do końca swoich dni miała odczuwać lęk przed tym, co i tak już się stało? Uzależniać całe swoje postępowanie od obaw? Wyjść za mąż tylko po to, żeby wreszcie zapanować nad strachem? To była naprawdę przerażająca wizja.

- Nie wiem - powiedziała. - A ty?

- Nie chcę już dłużej myśleć, że jestem tchórzem.

- Przecież nie jesteś.

- Ty również nie.

- I co z tego wynika?

- Wyjdź za mnie za mąż.

Amarylis obróciła się na kanapie, żeby na niego popatrzeć. Przez chwilę miała wrażenie, że te słowa są jedynie wytworem jej wyobraźni.

Nie ruszał się. W dalszym ciągu opierał głowę o kanapę i patrzył w ogień spod przymrużonych powiek.

- W porządku - powiedział obojętnie. - Wiem, co powiesz. Ale musiałem spróbować.

- Boże! Myślałam, że już nigdy mnie o to nie poprosisz! - Amarylis rzuciła mu się w objęcia. - Dlaczego tak długo zwlekałeś?

Jasne promienie energii psychicznej uderzyły w krystalicznie czysty pryzmat, a gdy Amarylis otworzyła oczy, stwierdziła ze zdumieniem, że oboje odnaleźli schronienie w ukrytej przed światem grocie Lucasa.

## *Rozdział siedemnasty*

**K**ochał się z nią dokładnie tak, jak to sobie wymarzył. Siedzieli nad brzegiem głębokiego stawu, a on zdejmował z niej powoli bluzkę, spodnie i skromną bieliznę. Ogień płonący na kominku z łatwością pokonał iluzoryczną ścianę i rzucał złociste światło na gładką skórę dziewczyny.

Amarylis walczyła z opornymi guzikami jego koszuli i zapięciem spodni, aż w końcu Lucas stracił cierpliwość.

- Zaczekaj. - Usiadł i zerwał z siebie ubranie, a potem znów wziął ją w ramiona.

Przesunęła koniuszkami palców po nagim torsie mężczyzny.

- Uwielbiam cię dotykać.

Lucas chciał zapytać Amarylis, czy jego również uwielbia, ale postanowił nie igrać z losem. Na razie musiał się cieszyć z tego, co udało mu się osiągnąć. Zresztą i tak wszyscy twierdzili, że w udanym związku miłość przychodzi sama.

Musi być dobrze - myślał. Nie chciał przegrać.

- Jestem starym, zmęczonym Lodziarzem. - Patrzył, jak Amarylis dotyka jego blizny w kształcie żabo-pajaka. - Spędziłem zbyt wiele czasu na wyspach, by mogło być inaczej.

- Wcale nie. Masz w sobie tyle seksu...

- A te szramy i odciski? Że już nie wspomnę o okropnych manierach i równie fatalnym akcencie?

Machnęła lekceważąco ręką..

- Kogo to obchodzi? W ankiecie napisałam, że chcę męża z szarymi oczami, a ten warunek przecież spełniasz.

Czuł potrzebę, żeby mówić dalej. Chciał, żeby Amarylis wiedziała o nim wszystko.

- Sfałszowałem testy, a ty chciałaś wyjść za mąż za uczciwego człowieka.

- Kierujesz się własnymi zasadami. I tylko to się dla mnie liczy.

- Gdybym wiedział, jak okpić tych doradców z agencji, nie wahałbym się ani chwili.

- Ale oni nie posiadają odpowiednich kwalifikacji, żeby znaleźć odpowiednią partnerkę dla talentu wykraczającego poza skalę.

- Bardzo się od siebie różnimy.

- Nie byłabym tego taka pewna. Jesteś mi bliższy niż ktokolwiek na świecie.

Ogromna radość przyćmiła wszystkie obawy.

- Ja czuję to samo. Czekałem na ciebie całe życie.

- A ja na ciebie. - Zarzuciła mu ręce na szyję. Błyszczały jej oczy. - Może byś tak wykorzystał swój talent i uczynił ze mnie niewolnicę miłości.

- To raczej ty powinnaś zmienić mnie w ofiarę swoich nie zaspokojonych żądz.

- Cóż... - Przesunęła palcem po jego brzuchu i opuściła rękę niżej. - Będę musiała się nad tym poważnie zastanowić.

- Koniecznie. - Lucas wciągnął powietrze.

- Tak bardzo cię pragnę. - Figlarne błyski w oczach Amarylis ustąpiły pożądaniu.

Przeleciała między nimi iskra namiętności. Jeszcze gorętsza niż strumień czystej, niezogniskowanej energii.

Delektował się smakiem i zapachem jej ciała. Całował piersi, brzuch, uda. Gdy przesunął usta niżej, Amarylis zadrżała i wydała głęboki jęk.

Krystalicznie czysty pryzmat zniknął z pola widzenia. Ściany groty stały się ledwo widoczne. Lucas uśmiechnął się z lekkim triumfem. Tym razem to Amarylis straciła kontrolę nad więzią.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

- Dzięki tobie. - Wbiła mu paznokcie w ramiona.

Znowu udało się im stworzyć więź, ale Lucas nie odbudował groty. Pozwolił, by jego energia płynęła nieprzerwanym, srebrzystym strumieniem. Ogarnęło go poczucie głębokiej intymności - stał się częścią Amarylis, a ona była jego częścią.

Niedługo potem Amarylis znów przeżyła orgazm w jego ramionach, ale tym razem nie przerwała więzi.

Moc i namiętność zlały się w jednolity strumień potężnych uczuć.

**D**okąd idziesz? - spytała Amarylis, gdy Lucas wysunął się z jej objęć.

- Sprawdzić ogień na kominku. Nie martw się. Zaraz wracam.

- Zaczekam.

Przewróciła się na bok i podłożyła sobie ramię pod głowę. Patrzyła na Lucasa zmierzającego wolnym krokiem w stronę paleniska. Był wspaniały. Wysoki, barczysty, na wskroś męski. Sam ten widok wystarczył, by jej w pełni zaspokojone ciało znów zadrżało z podniecenia.

Odczuła muśnięcie energii na płaszczyźnie psychicznej i natychmiast na nie zareagowała. Lucas utrzymywał tę subtelną więź, dopóki nie dołożył galaretowatego lodu do kominka.

Skończył pracę, wstał, ale nie wrócił do łóżka. Patrzył milcząco w płomienie.

- O czym tak myślisz? - spytała.

Jasne światło wyostrzyło mu rysy twarzy. Lucas najwyraźniej spochmurniał.

- Nie będzie łatwo - powiedział.

Zrozumiała go od razu.

- Wiem. Jeśli pojedziesz ze mną pojutrze do Lower Bellevue na urodziny ciotecznej babki, powiemy wszystko mojej rodzinie.

Odwrócił się wolno, żeby na nią popatrzeć.

- A jeśli nie dadzą ci błogosławieństwa?

- I tak wyjdę za ciebie za męża. W końcu się z tym pogodzą. Przecież mnie kochają i chcą, żebym była szczęśliwa.

- A będziesz?

- Z nikim innym nawet nie miałabym szans.

- Będziemy się kłócić.

- Wszystkie pary czasem się kłócą. Nawet te wyswatane przez agencje.

- Za każdym razem, gdy zaczniesz mnie zadręczać kodeksem, ja będę ci wytykał, że jesteś zbyt zasadnicza, uparta i sama nie wiesz czego chcesz...

- A ja ci przypomnę, że chcę ciebie.

- Tak - odparł schrypniętym głosem. - Chcesz mnie.

Położył się na łóżku i wziął ją w ramiona. W jego oczach odbijał się ogień płonący na kominku.

Niesamowite! - Clementine gwizdnęła cicho, składając gazetę. - Niewiarygodne! Senator Madison Sheffield, rzecznik tradycyjnych wartości, ofiarą szantażu i mordercą w jednej osobie. O mało cię nie straciliśmy, kochanie. Co za przerażająca historia!

- I komu ty to mówisz? - Amarylis nalała sobie filizankę herba-kawy. - Sugerowałam wielu osobom, że Sheffield postępuje nieetycznie, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

- Dobrze, dobrze. - Clementine uniosła dłoń. - Czy ty naprawdę nie wiesz, że nikt nie lubi osób, które bez przerwy powtarzają: „a nie mówiłam?”.

- Szeftowa ma rację - wtrącił Byron.

- Trudno. Będziecie się musieli do tego przyzwyczaić. Jeszcze nieraz to powtórzę. I powiem wam nawet więcej, kiedy policja odkryje, że profesor Landreth również został zamordowany.

Clementine uniosła brwi.

- Sądzisz, że Sheffield zabił profesora?

- A któż by inny? On na pewno się dowiedział o tych aktach. Nie chciał, żeby Landreth poszedł na policję.

- Ciekawa jestem, czy zdołają mu cokolwiek udowodnić - mruknęła Clementine.

- Nawet jeśli uda mu się jakoś wykręcić ze sprawy Landretha, zamkną go za striptizerkę - wtrącił Byron.

- Nie bądź taki pewien - powiedziała sucho Clementine.

- Sheffield jest senatorem, a w dodatku wszystkiemu zaprzeczy. Już dawno nie słyszałam, żeby jakikolwiek znany polityk odsiadywał wyrok.

- Tak czy inaczej jestem przekonana, że sprawiedliwości stanie się zadość - podsumowała Amarylis. - A to mi przypomina, że muszę się dodzwonić do Irene Dudley. Na pewno będzie chciała dokładnie wiedzieć, co się wczoraj wydarzyło. Jestem jej to winna.

- Chcę coś zobaczyć - Byron wyjął z ręki Clementine gazetę i przyjrzał się z dumą nagłówkom. - Świetne ujęcie - powiedział, patrząc na zdjęcie pod tekstem.

- Naprawdę? - Amarylis stanęła za biurkiem Byrona, zajrzała mu przez ramię i zaczerwieniła się jak burak.

- O Boże! Mam nadzieję, że moja rodzina tego nie zobaczy.



Zdjęcie zrobił z pewnością ktoś z widowni. Amarylis pomyślała ponuro, że jednemu ze stałych bywalców klubu udało się przemycić aparat. Na fotografii Amarylis stała pośrodku sceny ze wzniesionymi rękami.

- Można by pomyśleć, że bierzesz udział w tym spektaklu - zażartowała Clementine.

- To takie żenujące - mruknęła dziewczyna. - Ciekawa jestem, czy „Lower Bellevue Journal” zamieści tę samą fotkę.

Na zdjęciu Amarylis wyglądała tak, jakby dyrygowała całym przedstawieniem. Intymne części ciała tancerzy pozasłaniano czarnymi kwadracikami, gdyż „The New Seattle Times” był dziennikiem dla całej rodziny.

W tle widać było wyraźnie Lucasa i Sheffielda. Leżeli na podłodze, spleceni w uścisku.

- Wspaniała reklama dla Psynergii - ucieszył się Byron.

- Teraz każdy talent będzie chciał korzystać z usług Amarylis.

- Na razie to wykluczone. Dziś nikogo nie przyjmuję, a jutro wyjeżdżam na dwa dni.

- Rzeczywiście. Wybierasz się na urodziny. Już sobie wyobrażam, jaką minę zrobią twoi krewni, kiedy im opowiesz, co przeżyłaś.

- I dodam, że wychodzę za mąż - mruknęła Amarylis.

- Już znaleźli ci partnera? - zdziwił się Byron.

- Chyba nie. - Clementine popatrzyła na nią z namysłem. - Nie zdążyliby tak szybko. Co ty knujesz?

Amarylis zebrała się na odwagę. I tak najgorsze było jeszcze przed nią. Nikt nie aprobował takich związków.

- Zamierzam poślubić Lucasa Trenta.

- Trenta? Oszalałaś? Przecież to dziewczątka.

Byron rozszerzył oczy ze zdziwienia.

- Co na to powie twoja rodzina?

- Jutro się dowiem - odparła Amarylis.

Clementine przysiadła na biurku Byrona, skrzyżowała ramiona na piersiach i popatrzyła na Amarylis zmartwionym wzrokiem.

- Czy ty aby na pewno wiesz, co robisz?

- Tak.

Clementine odchrząknęła znacząco.

- Namiętność bywa niezwykle niebezpieczna. Chyba nie mylisz jej z miłością. Małżeństwo jest związkiem trwałym. Przecież nie chcesz podejmować zbędnego ryzyka, prawda?

Zanim Clementine zdążyła dokończyć swój wykład, otworzyły się nagle drzwi od gabinetu. Amarylis odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto przyszedł, i wydała głębokie westchnienie na widok Gifforda.

- Dzień dobry. - Osterley miał na sobie nieśmiertelny srebrnoszary garnitur, ale czerwona muszka nie wyglądała tak świeżo jak zwykle. Była nieco zmiętoszona.

Gifford skłonił lekko głowę przed Clementine, zignorował Byrona i popatrzył na Amarylis.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Amarylis upiła spokojnie łyk herba-kawy.

- Kiedy ostatnim razem wyraziłeś takie życzenie, upchnąłeś mnie na tylnym siedzeniu limuzyny tuż obok mordercy.

- O co tu chodzi? - spytała ostro Clementine.

- Nieważne - odparła Amarylis. - To długa historia. Pójdę z nim do swojego pokoju.

- Jeśli spróbujesz ją tknąć, zginiesz w męczarniach - zagroziła Clementine, łypiąc wściekle na Osterleya.

Gifford dotknął wygniezionej muszki.

- Chcę z nią po prostu porozmawiać. To sprawa osobista. Bądź spokojna. Nie zamierzam jej podkupić.

- On wie, że nigdy w życiu nie podjąłabym pracy w takiej firmie.

Clementine obdarzyła Gifforda zimnym uśmiechem.

- To oczywiste. Amarylis przestrzega pewnych zasad, o których niektóre znane mi osoby nie mają nawet pojęcia. Woli być zatrudniona w przyzwoitej agencji.

Gifford oblał się rumieńcem i przemknął szybko obok recepcji. Gdy wreszcie zamknął za sobą drzwi gabinetu Amarylis, wydał głębokie westchnienie ulgi.

- Do jasnej cholery, jak ty z nią możesz wytrzymać? Powinnaś się przenieść do Gracie albo jeszcze gdzie indziej, w każdym razie ja na twoim miejscu już dawno bym zrezygnował z tej posady. Ta kobieta jest jeszcze gorzej wychowana niż bezpański koto-pies. A ubiera się po prostu katastrofalnie. Jeszcze gorzej niż ty.

- Dobrze mi tutaj, Giffordzie. Tak jak powiedziała Clementine, wolę pracować w przyzwoitej firmie.

- Daj spokój. - Gifford zamrugał oczami i usiadł na najbliższym krześle. - Clementine Mallone ma przynajmniej głowę do interesów. Tego nie mogę jej odmówić. Gdyby Madison Sheffield poprosił ją o przyzmat, na pewno by się zgodziła.

- Grubo się mylisz - odparła twardo dziewczyna. - Clementine ma swoje zasady. A czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Kiedy przyszedłem dzisiaj do biura, czekała na mnie policja.

- Wcale mnie to nie dziwi. Pytali cię pewnie o koneksje z Sheffieldem.

- Używasz eufemizmów, moja droga. Ci faceci przepuścili mnie przez maszynkę do mięsa. Musiałem się gęsto tłumaczyć. Chyba zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy. Moja firma obsługuje bardzo specyficznych klientów. Gwarantujemy tym ludziom całkowitą dyskrecję. A taka reklama nie poprawi mi reputacji.

Amarylis doznała niemiłego poczucia winy.

- Przykro mi, że cię wciągnęłam w tę aferę.

- Mnie również jest przykro - odparł Gifford z emfazą. - Po jakiego diabła prowadziłaś to śledztwo?

- Uważałam, że taki jest mój obowiązek. Powstały pewne pytania i należało na nie odpowiedzieć.

- Ale tak naprawdę tylko tobie na tym zależało. Landreth był starym, niezdolnym intrygantem. Nikt za nim nie przepadał.

- Ja go lubiłam. Jego sekretarka również.

- W takim razie byliście jedynymi osobami na Świętej Helenie, które żywiły jakiegokolwiek cieplejsze uczucia dla tego drania.

- Ten człowiek zginął w tajemniczych okolicznościach. Wczoraj zamordowano kobietę. Nie wolno przechodzić nad takimi sprawami do porządku dziennego.

- I dlatego wścibski przyzmat doszedł do wniosku, że musi osobiście dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość? A za co płacimy policji?

- Nie zamierzam z tobą dyskutować. Tracisz czas.

Gifford wstał i zaczął krążyć niespokojnie po biurze.

- Zamierzałem cię prosić o przysługę.

- Jakiego rodzaju?

- Opowiedziałem policji o moich związkach z Sheffieldem. Nie kryłem, że dostarczałem mu pryzmatów. Wyjaśniłem również, że Sheffield nie przedstawił mi certyfikatu, ale nie bałem się o swoich pracowników, bo zatrudniam wyłącznie pryzmaty o pełnym widmie. Skąd mogłem wiedzieć, że senator je wypali?

- Pewnie, że nie mogłeś.

- Nie o to chodzi. Wypalenie pryzmatu nie popada pod żaden paragraf. Nie jest przestępstwem ani nawet wykroczeniem.

- Wiem, ale ten stan jest wyjątkowo nieprzyjemny.

- Na szczęście nie trwa długo. Zresztą i tak nie wiadomo, jakiego rodzaju energie ogniskował Sheffield. Przecież cechy charakteru nie są zaliczane do zdolności parapsychicznych.

- Profesor Landreth twierdził, że silna osobowość może być manifestacją energii psychicznej.

- Bardzo cię proszę. - Gifford uniósł dłoń. - Nie wymieniaj przy mnie tego nazwiska. Problem polega na tym, że stałem się w tej całej sprawie kozłem ofiarnym.

- Kozłem?

- Tak, chociaż miałem dobre intencje. Chciałem pomóc człowiekowi, który mógł zostać demokratycznie wybrany na gubernatora. Sheffield twierdził, że nie testował się po prostu dla zasady, więc wierzyłem mu bez zastrzeżeń.

- Chyba nie warto marnować czasu na tę rozmowę. Muszę wracać do swoich obowiązków.

- Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem. - Gifford szarpnął nerwowo węzeł muszki. - Będę z tobą szczerzy. Nie okłamałem policji. Przysięgam. Proszę cię tylko, żebyś mnie nie pogrążyła.

- Nie zamierzam ci szkodzić.

Gifford odwrócił się do niej z nadzieją w oczach.

- A co z kalendarzem Landretha? Podobno z zapisków wyraźnie wynika, że byliśmy umówieni. Pamiętasz? Od tego się wszystko zaczęło.

- Tak, rzeczywiście. Ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

- Policja twierdzi, że striptizerka szantażowała Sheffielda jakimiś aktami, więc ją zamordował - powiedział niecierpliwie Gifford. - Chcą jednak wznowić śledztwo w sprawie Landretha. Wolałbym, żeby się nie dowiedzieli o tej notatce w kalendarzu.

- Dlaczego się tak denerwujesz?

- Proszę cię, żebyś nie poruszała tego tematu. Chcę się trzymać od tej sprawy z daleka.

Cholera! Aż tyle od ciebie wymagam?

- Przestań marudzić. Nie zamierzałam mówić policji o kalendarzu.

Nie musiała. Przecież Gifford nie był mordercą.

- Dziękuję. - Na twarzy Gifforda wyraźnie odmalowała się ulga. Podeszedł szybko do Amarylis i ujął ją za rękę.

- Jestem twoim dłużnikiem. Jeśli będziesz potrzebowała pracy, przyjmę cię natychmiast.

- Nie sądzę, żebym musiała korzystać z twojej propozycji.

- I przykro mi, że nakryłaś mnie wtedy z tą blondynką. Ona nic dla mnie nie znaczyła.

- Ale to już przeszłość. I nie chcę...

- Byłaś dla mnie za dobra, kochanie. Nie rozumiesz? Dlatego wszystko się między nami popsuło. Nie potrafiłem spełnić twoich wymagań.

Amarylis przypomniała sobie szybko, co przeżyła w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Włamała się do biura poprzedniego pracodawcy, poszła do seks-klubu, rozmawiała ze striptizerką, nawiązała romans z zupełnie nieodpowiednim mężczyzną, o mało nie została zamordowana, a teraz zamierzała wyjść za mąż wbrew zaleceniom agencji. W jej życiu nastąpił niewątpliwie głęboki przełom.

- Nie jestem już tak zasadnicza jak kiedyś – powiedziała cicho.

- Ale i tak się dla niej nie nadajesz, więc lepiej daj sobie spokój - powiedział Lucas od drzwi.

Gifford puścił Amarylis, jakby rękawy jej bluzki nagle zaczęły go parzyć.

- Trent. Co ty tu robisz?

- Przyszedłem do narzeczonej.

- Do narzeczonej? - Gifford wyglądał, jakby w niego piorun strzelił.

- Właśnie. Pewnie chcesz nam złożyć najszczęśliwsze gratulacje.

- Przecież jesteś talentem wysokiej klasy, a Amarylis to pryzmat z pełnym widmem.

Żadna agencja nie mogłaby skojarzyć takiej pary.

- A czy ja wspominałem cokolwiek na temat agencji?

Gifford zamknął usta i znów je otworzył.

- Nie wierzę - powiedział, nie odrywając wzroku od Amarylis. - Samowolnie wybrany mąż? Ty?

Amarylis uśmiechnęła się słodko.

- Nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydawało. Stałam się zupełnie inną kobietą.

- Amarylis obracała się po prostu w nieodpowiednim towarzystwie - wyjaśnił Lucas. - A ja z kolei zrobiłem się okropnie pruderyjny. Nie życzę sobie na przykład, żeby jakiś fagas dotykał mojej narzeczonej.

- Ja z nią tylko rozmawiałem.

- Wynocha stąd, Osterley, bo mogę się naprawdę zdenerwować.

Gifford nie wahał się ani przez chwilę. Podeszedł szybko do drzwi.

- Omawialiśmy pewne sprawy natury osobistej – mruknął, mijając Lucasa. - Nic między nami nie zaszło.

Lucas nawet się nie pofatygował, żeby mu odpowiedzieć. Skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał z powagą na Amarylis.

- Może chciałabyś mi udowodnić, że naprawdę się zmieniłaś?

- A co konkretnie masz na myśli?

Lucas zamknął drzwi na klucz.

- Kiedyś omawialiśmy ważki problem uprawiania seksu na biurku.

Amarylis poczuła nagłą suchość w ustach.

- Naprawdę?

- Tak. Jestem o tym całkowicie przekonany.

- Clementine będzie się zastanawiać, co my tu wyprawiamy.

- Przed chwilą rozmawiałem z twoją szefową. Podobno dała ci wolne, żebyś mogła odpocząć po ciężkich przeżyciach.

- To prawda. - Amarylis patrzyła jak zafascynowana na Lucasa, który zaczął właśnie rozpinąć pasek od spodni. - A gdzie się podziała twoja pruderia?

- W moim przypadku ta cecha charakteru daje o sobie znać jedynie w niektórych sytuacjach. - Lucas położył Amarylis na biurku i wsunął rękę pod jej spódnicę.

- Dziwne. - Amarylis objęła go za szyję. - Bo ja również nie zawsze rezygnuję ze swoich wymagań.

- Widzisz. Wywieramy na siebie przedziwny wpływ. Typowy przykład synergii stosowanej.

Amarylis zamknęła mu usta pocałunkiem. Nie miała ochoty słuchać wykładów.

**P**óźniej, gdy Lucas wrócił do swej firmy, Amarylis uporządkowała biurko i zatelefonowała do Irene Dudley.

- Panna Lark? - spytała niespokojnie Irene. - Dobrze się pani czuje? Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Senator Sheffield mordercą?

- Zabił również profesora Landretha. Policja wznowiła dochodzenie.

- Może w końcu sprawiedliwości stanie się zadość.

- Właśnie na to liczę, chociaż moja szefowa twierdzi, że on się jakoś z tego wykreśli.

- Ale przynajmniej nie zostanie gubernatorem. Po takim skandalu...

- Wszystko jeszcze przed nami. Bądźmy dobrej myśli.

- Żałuję, że tak się stało. Miasto-stan potrzebowało dobrego przywódcy.

- Damy sobie bez niego radę - zapewniła Amarylis. - Wiesz, wyjeżdżam teraz na dwa dni. Może potem umówiłybyśmy się na herba-kawę. Musimy pogadać. W końcu wspólnie rozwiązałyśmy tę sprawę.

- Bardzo chętnie.

- Świetnie. Dziękuję ci bardzo za pomoc i wsparcie. Tylko ty jedna we mnie wierzyłaś.

- Profesor Landreth był wyjątkowym człowiekiem – powiedziała cicho Irene. - Mimo tej niefortunnej znajomości ze striptizerką. Już nikt go nie zastąpi.

- Stanowił chwalebny wyjątek. Właśnie tacy ludzie jak profesor Landreth uosabiają wszystkie zalety naszych przodków.

- Bardzo trafna uwaga, panno Lark. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Irene.

Amarylis odłożyła słuchawkę, ale długo nie odrywała od niej wzroku. Mimo aresztowania Sheffielda nie wszystko zostało wyjaśnione do końca. Pozostał jeszcze jeden mały problem do rozwiązania.

## Rozdział osiemnasty

Nie wiesz, kto powiedział Sheffieldowi o tych aktach? - Lucas oderwał wzrok od autostrady i spojrzał krzywo na Amarylis. - Mógłbym ci przedstawić całą listę podejrzanych. Na wydziale nauk ogniskowych pracuje bardzo dużo osób.

Choć Amarylis żywiła podobne podejrzenia, słowa Lucasa mocno nią wstrząsnęły.

- Nie wierzę. Nikt cieszący się zaufaniem profesora nie byłby zdolny do takiej podłości.

Lucas wzruszył obojętnie ramionami.

- W grę wchodzi również woźne, strażnicy, pracownicy laboratorium. Wszystko jest możliwe.

- Musiał to zrobić ktoś, kto popierał Sheffielda. Zapewne uważał ten donos za swój moralny obowiązek.

- Powinnaś wreszcie zrozumieć, że ludzie kierują się na ogół mniej szlachetnymi pobudkami.

- Co konkretnie masz na myśli?

- Pieniądze.

- Uważasz, że ktoś sprzedał informacje Sheffieldowi?

- Dlaczego nie? Najpierw sprzedał, a później go szantażował. Świat jest pełen ludzi, którzy chcą zdobyć pieniądze. Duże pieniądze. Daj spokój. Czyżbyś była aż tak naiwna?

- Ktoś doniósł Sheffieldowi o aktach, a pan senator postanowił raz na zawsze zażegnać niebezpieczeństwo. Nie wiedział, że profesor oddał teczkę Vivien, więc zamordował biedaka.

- Dokładnie tak - potwierdził Lucas. - Większość skomplikowanych spraw można wyjaśnić w bardzo prosty sposób.

Amarylis pomyślała, że równie jasny i oczywisty był jej stosunek do Lower Bellevue. Nienawidziła tego miasteczka z całej duszy.

Zamilkła i utkwiała wzrok w migającym za szybą auta krajobrazie. Ten widok naprawdę robił wrażenie. W oddali rozciągały się dywany zielonych pól. Cieszyły oczy swym pięknem i napawały nadzieją na lepszą przyszłość. Ojcowie założyciele byliby z nich naprawdę dumni. W niczym to jednak nie umniejszało jej niechęci do Lower Bellevue i całej tej okolicy.



- Dobrze się czujesz? - spytał Lucas po chwili.

Amarylis skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nieźle.

Lucas rzucił jej kolejne, przeciągłe spojrzenie.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Co ci jest?

- Nic.

Lucas zacisnął ręce na kierownicy.

- Nie kłam. Proszę, nie rób mi tego.

- Na miłość boską! - Zdziwiona tą nową, twardą nutą w jego głosie, Amarylis odwróciła się na siedzeniu. - Nie miałam takiego zamiaru.

- Już ci mówiłem, że nie potrafię czytać w myślach. Proszę cię tylko, żebyś zawsze była ze mną szczerą. Jeśli zmieniłaś zdanie i nie chcesz wyjść za mnie za mąż, po prostu powiedz.

- Wcale nie myślałam o naszym małżeństwie – odparła łagodnie. - Zdałam sobie tylko sprawę, że nienawidzę Lower Bellevue.

- Masz na myśli miasto? - spytał zaskoczony.

- Kocham moją rodzinę, ale nie miejsce, w którym przyszłam na świat. Uważasz, że to takie dziwne? Przecież sporo o mnie wiesz.

- Nie, wcale tak nie uważam. Słyszałem od twego wuja, że jako mała dziewczynka przeżyłaś naprawdę ciężkie chwile.

- Wujostwo nie potrafili mnie obronić ani przed innymi dziećmi, ani przed Baileyami. To śmieszne, że nie potrafimy zapomnieć o nieszczęśliwym dzieciństwie. Wydawałoby się, że wystarczyłoby jedynie zamknąć za nim drzwi i uciec w dorosłość. Ale to nie jest wcale takie proste.

- Pewnie, że nie. Trzeba się nauczyć walczyć z przeszłością. - Lucas oderwał dłoń od kierownicy i wziął Amarylis za rękę.

Nie mogła się nadziwić, że ten pozornie banalny gest tyle dla niej znaczy. Musnęła wargami jego palce.

- Doszedłem właśnie do pewnych wniosków – powiedział po chwili Lucas.

- Jakich?

- Z pewnością najtrudniej mi się będzie dogadać z twoim wujem. Ale jeżeli zdołam przekonać Oscara, że będziesz ze mną szczęśliwa, reszta pójdzie jak z płatka.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Pewnie tak będzie. Ale za bardzo się wszystkim przejmujesz. Moja rodzina musi się tylko przyzwyczaić do tej myśli. A wuj Oscar ma wbrew pozorom miękkie serce.

Lucas popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

- Być może. Ale i tak urwie mi głowę.

- Nie bądź śmieszny.

- Może brak mi intuicji, ale jestem przekonany, że on tak właśnie postąpi.

**O**scar rzeczywiście próbował skrócić Trenta o głowę.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - Założywszy ręce za plecy, wuj Amarylis kiwał się przy biurku. - Najpierw przeczytaliśmy w prasie, że nasza dziewczynka o mało nie zginęła z ręki kandydata na gubernatora, a teraz ty oświadczasz, że zamierzasz się z nią potajemnie ożenić?

- Wcale nie potajemnie. - Lucas usadowił się na krześle w pobliżu okna. - Wszyscy otrzymacie zaproszenia na nasz ślub.

- Nie będzie żadnego ślubu. - Oscar nastroszył groźnie brwi. - W każdym razie nie z tobą. Po moim trupie. - Urwał, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś straszna myśl. - Mam nadzieję, że ona nie zaszła w ciążę. Bo jeśli zrobiłaś jej dzieciaka, zatłukę cię na śmierć.

- Amarylis nie spodziewa się dziecka. Powinien pan rozważyć parę kwestii, zanim podejmie pan ostateczną decyzję w tej sprawie.

- Na przykład?

- Pańska siostrzenica jest dla mnie najważniejszą istotą na tej planecie. Zaproponowałem jej małżeństwo, a ona się na to zgodziła. Więc i tak się z nią ożenię. Niemniej jednak bardzo nam zależy na waszym błogosławieństwie.

- Mam pobłogosławić samowolne małżeństwo?

- Wiem, że na pewno by pan wolał, żeby Amarylis skorzystała z porad agencji.

- Słusznie! I właśnie tak się stanie. Słyszysz mnie, Trent?

- Oczywiście, że słyszę. Nie jestem głuchy.

Oscar walnął pięścią w biurko.

- Nie wytrzymam tego. Nie pozwolę Amarylis na takie szaleństwo. I kropka.

Lucas poczuł, że jeszcze chwila, a nie będzie w stanie nad sobą zapanować.

- Szanuję pańskie dobre intencje - powiedział, wstając z krzesła. - Rozumiem, że musi pan dbać o dobro siostrzenicy.

- Bardzo się cieszę, bo właśnie na tym najbardziej mi zależy.

- Amarylis jest dorosłą osobą. Sądzę, że powinien pan o tym pamiętać. Decyzja w tej sprawie należy do niej, a nie do pana.

Oscar podniósł pięść i wymierzył Lucasowi silny cios w szczękę. Trent zrobił zwinny unik. Lampa stojąca na biurku spadła z hukiem na podłogę, a wuj Amarylis rzucił się z wrzaskiem na Lucasa.

Zatrzęsła się ściana oddzielająca kuchnię od gabinetu. Amarylis - siedząca przy stole w towarzystwie prababki i ciotki - wzdrygnęła się nerwowo i zerknęła niespokojnie w stronę pokoju Oscara.

- Boże! Co oni tam wyprawiają?

Hannah przerwała swój wykład na temat pułapek, w jakie wpadają ludzie nie korzystający z pośrednictwa biur matrymonialnych.

- Chyba coś spadło - powiedziała.

Amarylis zerwała się z krzesła.

- Boże! Lucas miał rację! Wuj chce mu urwać głowę.

- Chyba rzeczywiście się leją. - Sophy wzięła do ręki wiśnio-grono ze stojącej na stole misy. - To typowe dla mężczyzn. Uważają, że łatwiej skoczyć sobie do gardeł niż usiąść i przedyskutować spokojnie całą sprawę.

Amarylis ruszyła szybko do drzwi.

- Musimy ich powstrzymać.

- Może lepiej zadzwońmy do wuja Charlesa.

- Siadajcie - rozkazała Sophie. - I to natychmiast.

Amarylis i Hannah popatrzyły na siebie niepewnie.

- Kazałam wam usiąść - przypomniała Sophie.

Usiadły.

W oczach prababki błysnęła satysfakcja. Miała osiemdziesiąt dwa lata i rzadko wykorzystywała swój autorytet seniorki rodu, ale kiedy już czegoś żądała, wszyscy członkowie rodziny potulnie wypełniali jej rozkazy.

- Zostawmy panów samych - powiedziała. - Byłyśmy właśnie w trakcie miłej pogawędki. Ty, Hannah, mówiłaś, że należy poczekać na odpowiedniego mężczyznę.

- Lucas jest odpowiednim mężczyzną – powiedziała Amarylis. - Naprawdę nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Drgnęła nerwowo, ponieważ z gabinetu znów dotarł do nich jakiś łomot. - Nie możemy tak po prostu siedzieć i udawać, że nic się nie dzieje.

- Nie rozumiem, dlaczego - powiedziała Sophy. - Zaufaj mi, młoda damo. Znam się na mężczyznach o wiele lepiej niż ty. - Urwała. - Wiem też coś na temat takich sytuacji.

- O czym mówisz? - spytała Amarylis.

Hannah spojrzała ze zdumieniem na Sophy.

- Właśnie. Co miałaś na myśli?

- Zrobiłam aluzję do swojej bujnej przeszłości. - Sophie uśmiechnęła się niewinnie i sięgnęła po butelkę brandy, którą przyprawiała sos. - Amarylis nie jest pierwszą kobietą w rodzinie, która chce zawrzeć małżeństwo bez pośrednictwa agencji.

Amarylis wytrzeszczyła oczy i przełknęła głośno ślinę.

- Czyżbyś chciała nam powiedzieć, że wzięłaś potajemny ślub z dziadkiem Haroldem?

- Oczywiście - mruknęła Sophie. - Narobiłam sporego zamieszania. Myślałam, że mój ojciec zamorduje Harolda, ale w końcu się dogadali.

- Nie wierzę - szepnęła Hannah z przerażeniem.

- Ale to prawda. Słowo honoru. - Sophy naląła sobie brandy do szklanki i pociągnęła spory łyk. W jej oczach pojawiły się figlarne ogniki. - Całą aferę oczywiście zatuszowano. Wszyscy udawali, że skojarzyło nas biuro matrymonialne. Oczywiście kłamali jak z nut. My nie poszliśmy do agencji, tylko do łóżka. I to nie raz.

- Niesamowite. - Amarylis nie mogła oderwać od niej wzroku.

- A ty chcesz kontynuować tę tradycję. Moje gratulacje. - Sophie uniosła szklankę. - To dobrze, że tli się w tobie jeszcze dusza buntownika. Już się zaczynałam martwić, że wyrosłaś na nudną, pruderyjną świętoszkę.

- Ciociu, jak możesz? - oburzyła się Hannah.

- Mówię prawdę. - Sophie wyciągnęła oskarżycielski palec w kierunku Amarylis. - Przez całe życie usiłowałaś nadrobić błędy swojej matki. Najwyższy czas, żebyś wreszcie pomyślała o sobie. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Hannah zacisnęła gniewnie usta.

- Mówimy tu o małżeństwie Amarylis. Zrobić zamieszanie to jedno, a cierpieć przez całe życie - drugie.

Głośny huk, jaki rozległ się nagle w sąsiednim pokoju, oderwał na chwilę ich uwagę od denerwującej rozmowy. Na kuchence zatrzęsły się garnki.

- Wcale nie jestem taka pewna, czy ona robi błąd - powiedziała Sophy z namysłem. - Pan Trent jest najwyraźniej człowiekiem, który potrafi postawić na swoim. A jeśli Oscar ma odrobinę oleju w głowie, wynegocjuje jakiś rozsądny kompromis.

- Jaki kompromis? - prychnęła pogardliwie Hannah. - On się przecież nigdy nie zgodzi na samowolne małżeństwo.

W pokoju obok ustały hałasy. Zaległa głucha cisza.

**G**dy dużo później otworzyły się drzwi od gabinetu, Amarylis upuściła nóż, którym kroїła warzywa na sałatkę. Szybko wytarła ręce o fartuch i pobiegła do holu.

Hannah i Sophy natychmiast ruszyły w ślad za nią.

Lucas wyłonił się z pokoju jako pierwszy. Miał rozciętą wargę zmierzwiłone włosy i podartą koszulę, ale uśmiechał się z zadowoleniem.

- Po wnikliwej analizie sytuacji twój wuj i ja doszliśmy wreszcie do porozumienia.

- I co ustaliliście? - spytała podejrzliwie Amarylis.

- Długi okres narzeczeństwa - odparł zwięźle Oscar.

Amarylis przenosiła spojrzenie z wuja na Lucasa.

- Jak długi?

- Rok - powiedział z mocą Oscar.

- Pół roku - szepnął Lucas. - I ani dnia dłużej.

Oscar obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- A co tam! Ona jest mądra. Sześć miesięcy to dużo czasu. Na pewno odzyska rozum.

- Tymczasem będziemy kontynuować starą tradycję rodzinną - powiedziała Sophy.

- Jaką znów tradycję? - spytał niespokojnie Oscar.

- Powiemy wszystkim znajomym, sąsiadom, kolegom, przyjaciołom i wrogom, że skojarzyła ich agencja. Jasne?

- Jak słońce - przytaknęła Hannah.

- Nie martw się, Sophy. Ja na pewno z niczym się nie wygamam - obiecał Oscar.

- To sprawa rodzinna - mruknęła Amarylis.

- Właśnie - powiedziała Sophy wyniośle. Będziemy im wszystkim patrzeć prosto w oczy i kłamać jak z nut. - No i co, Lucasie? Dasz sobie z tym radę?

- Dla mnie bomba. Jestem doskonałym łgarzem - oświadczył Lucas.

**T**ego wieczoru po kolacji Lucas zostawił rodzinę Larków w kuchni, a sam wyszedł na werandę. Sophy odpoczywała w kącie na leżance. Siwe, bujne włosy okalały jej wyrazistą twarz jak kłębiasta, srebrzysta chmura.

Sophy patrzyła na bawiące się w ogrodzie dzieci – pociechy swoich licznych krewnych okupujących kuchnię.

Lucas uświadomił sobie nagle, że po ślubie z Amarylis będzie miał naprawdę ogromną rodzinę.

Ścisnął mocniej poręcz i zaczął się zastanawiać nad swoją przyszłością. Wraz z nowym życiem czekało go wiele obowiązków. Pomyślał, że będzie musiał chodzić na przyjęcia urodzinowe, zaręczynowe, chrzty i pogrzeby. Jako właściciel dużej korporacji stanie się zapewne pracodawcą wielu Larków z młodszego pokolenia.

Dzieci biegały, skakały i piszczaly z radości. Lucas uświadomił sobie nagle, że do tej licznej, rozbrykanej gromadki dołączy kiedyś jego własne potomstwo.

Rodzina.

Lucas puścił poręcz, przeszedł na drugi koniec werandy i usiadł na krześle obok Sophy.

Przez chwilę milczeli, obserwując dzieci.

- A więc to ciebie wybrała - powiedziała w końcu staruszka. - Pryzmaty wykraczające poza skalę potrzebują dużo czasu na podjęcie decyzji.

- Znasz jej pełne możliwości?

- Odkryłam prawdę, kiedy Amarylis była jeszcze nastolatką. Czułam się tak, jakbym patrzyła na własny proces dorastania.

Lucas odetchnął głęboko.

- Ty też?

- To cecha dziedziczna. Przechodzi na wszystkie kobiety w naszej rodzinie. I z pokolenia na pokolenie coraz bardziej się umacnia.

- Rozumiem.

- Nie jest nam łatwo. Oficjalnie ten stopień umiejętności parapsychicznych nawet nie istnieje. Specjaliści mogą co najwyżej ustalić, że mamy pełne widmo. - Sophy wzruszyła ramionami. - Przechodzimy przez życie ze świadomością, że różnimy się nieco od innych ludzi, ale nie rozumiemy, jak bardzo jesteśmy inne.

Lucas milczał chwilę. W końcu jednak zdecydował się powiedzieć jej prawdę. Sophy też należała przecież do rodziny.

- Znam to uczucie.

- Tak sądziłam. W jakim stopniu wykraczasz poza skalę?

- Nie mam pojęcia.

- No jasne. Głupie pytanie. Przecież ciebie też nie można sprawdzić.

- Rzeczywiście. - Lucas usadowił się wygodniej na krześle. - Zostałem wprowadzicie sklasyfikowany jako dziewiątka, ale oczywiście sfałszowałem test. Kłamałem jak z nut.

- W takim razie pasujesz do naszej rodzinki. Wypaliłeś kiedyś Amarylis?

- Nie.

- Wiedziała, że ona jest silna. - Sophy patrzyła, jak dwaj mali chłopcy gonią za piłką. - Energia psychiczna, zarówno w przypadku talentu, jak i pryzmatu stanowi niezwykle subtelny element naszej egzystencji. Musimy często ze sobą walczyć, żeby jakoś sobie poradzić z naszym szóstym zmysłem.

Lucas pomyślał o wielu godzinach spędzonych w tajnej grocie.

- Tak.

- Mam przeczucie, że im większe posiadamy zdolności, tym trudniej jest nam nad nimi zapanować. Ja osobiście byłam zupełnie szalona. Doprowadzałam swoją rodzinę do rozpacz. Amarylis postępowała zupełnie odwrotnie. Usiłowała przejąć kontrolę nad światem, sobą i swoją energią psychiczną, więc wymyśliła całą masę zasad, których postanowiła przestrzegać.

- Nie wymyśliła ich tylko po to, żeby panować nad swymi zdolnościami - powiedział Lucas. - Potrzebowała ich również z innych powodów.

- Owszem - odparła Sophy. - Dorastała jako bękart, a to mogło albo ukształtować, albo złamać jej charakter. Wyszła z tej próby obronną ręką.

- Ale zapłaciła słoną cenę za lekkomyślność rodziców - powiedział Lucas.

Sophy wzruszyła ramionami.

- Wszyscy zapłaciliśmy. Poprosiłam cię, żebyś tutaj przyszedł, bo chciałam się upewnić, że zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę. Ale widzę, że rozumiesz.

**L**ucas podziwiał kształtny tyłeczek Amarylis, gdy wchodził za nią po drabinie na górne piętro stodoły. Żałował, że drabina nie ma więcej szczebli, bo chętnie rozkoszowałby się dłużej tym uroczym widokiem.

- No wreszcie - westchnęła dziewczyna, kiedy w końcu zeskoczyła na siano. - Nie ma tu skał ociekających wodą ani pięknych zielonych sadzawek, ale na farmie trzeba korzystać z uroków wiejskiego życia.

Lucas rozejrzał się z zaciekawieniem. Znajdowali się w kryjówce Amarylis. Przez szpary w drewnianych ścianach sączyło się światło. W nozdrza uderzył go zapach słomy. Na dole ogromny woło-muł wierzgnął jedną ze swoich sześciu nóg.

- Fajne miejsce - powiedział Lucas.

- Prawda? Ale wydaje mi się mniejsze niż wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

Lucas zszedł z drabiny i usiadł obok Amarylis.

- To normalne. Z biegiem czasu zmieniają się proporcje. Pewne wydarzenia tracą swoje znaczenie

- Zamierzam sprawdzić tę teorię dziś po południu.

- Co masz na myśli?

- Chcę zadzwonić do Elisabeth Bailey.

Lucas skinął głową.

- Co wpłynęło na zmianę twojej decyzji?

- Ty.

- Ja?

- Konkretnie to, co zrobiłeś dla Dillona, choć jego rodzice traktowali cię jak powietrze przez tyle lat. Uczyniłeś słusznie. Tak właśnie powinno się postępować w stosunku do bliskich. Twój szlachetny gest dał mi dużo do myślenia.



- Niesamowite - mruknął Lucas. - Nigdy bym nie przypuszczał, że stanę się modelem wzorowego członka rodziny.

- Zawsze twierdziłam, że jesteś ideałem.

**E**lisabeth Bailey była rzeczywiście niższa niż ta groźna kobieta, jaka przetrwała w pamięci dziecka. Wcale nie przewyższała Amarylis wzrostem. Prezentowała się jednak dziwnie dostojnie, jak wówczas, gdy dziewczynka podbiegła do niej na ulicy i spytała: „Czy pani jest moją babcią?”

Elisabeth Bailey nadal robiła wrażenie. Jej arystokratyczne rysy jeszcze się wyostrzyły, a oczy były równie zielone jak te, które Amarylis oglądała codziennie w lustrze.

- Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego poprosiłam, żebyś mnie odwiedziła.

Elisabeth odstawiła delikatnie porcelanową filiżankę z herba-kawą. Patrzyła na Lucasa i Amarylis z miną kobiety, która napotkała w życiu wiele trudności i nauczyła się je przezwyciężać.

- Owszem - odparła Amarylis.

Elisabeth zerknęła badawczo na Lucasa, a potem przeniosła wzrok na dziewczynę.

- Rozumiem, że jesteście zaręczeni.

- Tak - odparła Amarylis.

- Moje gratulacje.

- Bardzo dziękuję.

W ogromnym, pięknie urządzonej i wysłanym dywanami pokoju słychać było jedynie tykanie zegara. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Amarylis miała ogromną ochotę otworzyć okno, bo w całym tym domu brakowało jej choć odrobiny świeżego powietrza.

- Prosiłam o spotkanie, bo chciałam ci coś ofiarować - powiedziała po chwili Elisabeth.

Amarylis z trudem zdołała ukryć zdziwienie.

- To niekonieczne. Niczego od pani nie potrzebuję.

- Wiem. - Elisabeth uśmiechnęła się gorzko. - Rodzina twojej matki zapewniła ci wszystko.

- Owszem. - Amarylis odstawiła nietkniętą filiżankę herba-kawy. - Miałam dużo szczęścia

- dodała, patrząc z uśmiechem na Lucasa.

- Nie mogę tego powiedzieć o sobie - powiedziała Elisabeth. - Ale dopiero teraz, kiedy widzę, na jaką kobietę wyrosłaś, zdaję sobie w pełni sprawę z tego, co straciłam.

- Nie rozumiem.

- Wcale się nie dziwię. Cóż, to nie jest ważne. Sama jestem sobie winna, więc nie powinnam mieć do nikogo pretensji.

Amarylis przypomniała sobie rozmowę z Sophy i z trudem powstrzymała uśmiech.

- Moja prababcia mówiła, że posiada pani duże zdolności aktorskie. Podobno zmarnowała pani talent.

Elisabeth bardzo się zdziwiła.

- Sądzisz, że zachowuję się melodramatycznie?

- Trochę, ale nic nie szkodzi. - Amarylis poczuła się nieco swobodniej. - Już sama ta okazja jest trochę melodramatyczna, prawda?

- Takie też odnoszę wrażenie. - Elisabeth podniosła małe pudełeczko leżące na stoliczku obok krzesła. - Nie chcę was zatrzymywać. To dla ciebie.

Amarylis ostrożnie wzięła pudełko. Otworzyła je i zajrzała ciekawie do środka. Na białej atłasowej poduszeczce pysznił się wspaniały męski sygnet z ognistym kryształem. Amarylis wiedziała bardzo niewiele o biżuterii, ale zdawała sobie sprawę z wartości pierścienia.

- Nie mogę tego przyjąć. - Wyciągnęła pudełeczko do Elisabeth. - To stanowczo zbyt drogie.

W oczach kobiety pojawił się wyraz bólu.

- Ten sygnet należał do mojego syna. Twojego ojca. Chcę, żeby stał się teraz twoją własnością.

- Do mojego ojca? - Amarylis ścisnęła mocniej pudełko. - Naprawdę?

- Tak. Matthew byłby z ciebie bardzo dumny. Każdy ojciec byłby dumny z takiej córki.

Amarylis popatrzyła na klejnot.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wiele lat temu zadałaś mi pewne pytanie.

Amarylis przeniosła badawcze spojrzenie z pudełeczka na Elisabeth. Wciąż odgradzał je od siebie mur gniewu i bólu, mur, który nie sposób było przeskoczyć.

Ale są inne sposoby pokonywania przeszkód - pomyślała Amarylis. Jeśli ma się wystarczająco dużo siły można obejść taki mur dookoła. Oczywiście przeszkoda nie znika, ale przestaje stanowić problem.

- Pani jest moją babcią? - spytała Amarylis.

W oczach Elisabeth błysnęła nadzieja, a w pokoju znów zrobiło się cieplej.

## Rozdział dziewiętnasty

**B**ałam się bardzo tej wizyty u Elisabeth Bailey - Amarylis patrzyła na krajobraz migający za oknem auta. - Ale w końcu, gdy wszystko już zostało powiedziane, poczułam, że choć nigdy nie polubię tej kobiety, na pewno będę jej współczuć.

Lucas zacisnął ręce na kierownicy.

- Ona zmarnowała życie wielu osobom.

- Wierzyła, że postępuje słusznie. Była przy tym dumna, sztywna i nieprzejednana.

Lucas nawet się nie odezwał.

- Wiem, wiem. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Cóż mogę powiedzieć? Przecież to moja babka.

- Co nie znaczy, że jesteś do niej podobna. Elisabeth Bailey przypomina mi zimną ślimako-rybę. Już po pięciu minutach rozmowy byłem przekonany, że ta kobieta spędziła całe życie na rozkazywaniu innym.

- Widocznie miała ku temu jakieś powody.

- Tak? Na przykład takie, że chciała wszystkich kontrolować.

- Czyżby? - Amarylis uśmiechnęła się słodko. - A ja? Co byś powiedział na temat motywów mojego działania?

- Kierujesz się lojalnością, poczuciem sprawiedliwości i dobrem rodziny.

- Elisabeth Bailey z pewnością mogłaby powiedzieć, że uznaje tę samą hierarchię wartości.

- Ale te wartości są zawieszony w próżni. W jej ograniczonym, małym światku nie ma miejsca na przyjaźń, współczucie i miłość. A twoje znalazły w nich oparcie.

- W takim razie to może my jesteśmy do siebie podobni?

Lucas popatrzył na nią wykrętnie.

- Nie jestem współczesną wersją ojca założyciela. Nie przypinaj mi skrzydeł.

- Nikt nigdy nie twierdził, że nasi przodkowie byli aniołami. Sądzę jednak, że zbyt ukrywasz, swoje zalety.

- Ostrzegam cię...

- Przypomnij sobie te wszystkie altruistyczne decyzje, jakie podjąłeś, od kiedy zaczęliśmy się spotykać. - Amarylis uniosła dłoń i zaczęła liczyć na palcach. - Nie wyciągnąłeś konsekwencji w stosunku do Mirandy, bo było ci jej żal. Pożyczyłeś Dillonowi pieniądze, tylko dlatego, że jest bratem twego nielojalnego współnika. Pomogłeś mi w śledztwie, gdyż chciałeś mnie chronić.

- Bardzo trudno oddzielić moje słabości od zalet - mruknął Lucas.

- Naprawdę? A ja widzę dokładnie różnicę.

- Wszystko jest zatem dla ciebie jasne.

- Tak, chociaż dręczą mnie jeszcze pewne wątpliwości.

- Co do mojej osoby?

- Ach nie. Myślałam o śmierci profesora Landretha.

- Cholera! Ty się nigdy nie poddajesz, prawda?

- Nie wiem, w jaki sposób Sheffield odkrył, że Landreth znalazł na niego haka.

Lucas zaczerpnął głęboko powietrza.

- Sam już nie wiem, czy wytrwałość jest zaletą, czy wadą. W tym wypadku jednak nie mam wątpliwości.

**P**rawie dwie godziny później Lucas wjechał do miasta. Padało, a światła latarni odbijały się w mokrym chodniku i oknach wystawowych.

W chwili, gdy Trent skręcał właśnie w ulicę, przy której stał dom Amarylis, dziewczyna oderwała się właśnie od myśli o spotkaniu z Elisabeth Bailey. Odpowiedziała sama sobie na pytanie, które dręczyło ją już od dawna.

- Irene Dudley - powiedziała.

- Co?

- Rozmyślałam o mojej babce.

- A co ma wspólnego twoja babka z Irene Dudley? - spytał Trent, parkując auto przy krawężniku.

- Coś, co bardzo trudno wytłumaczyć. Obie uwielbiają kontrolować innych.

- No, dobrze. - Lucas wyłączył silnik i odwrócił głowę do Amarylis. - I dokąd to prowadzi?

- Nie jestem pewna. - Amarylis puknęła palcem w siedzenie. - Prawdę mówiąc, bardzo się boję nawet o tym mówić. Irene zawsze popierała Sheffielda. Bezgranicznie w niego wierzyła. Może właśnie ona doniosła senatorowi o podejrzeniach Landretha.

Lucas zastanowił się dokładnie nad jej słowami.

- Rzeczywiście. To jest jakiś pomysł. Ale co z tego? Już ustaliliśmy, że informator Sheffielda był najprawdopodobniej powiązany z wydziałem nauk ogniskowych.

- I właśnie Irene wiedziała najwięcej o pracach profesora. Landreth ufał jej całkowicie. A ona była w stosunku do niego wyjątkowo lojalna. Sądzę nawet, że go kochała. Ale jeśli miałyby wybierać między Sheffieldem i profesorem, mogła uznać, że powinna poprzeć senatora.

- Trudno powiedzieć.

Amarylis potrząsnęła głową.

- Wydaje mi się, że znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co ona by zrobiła w takiej sytuacji. Z pewnością uprzedziłaby Sheffielda.

- I co dalej?

- Miałyby ogromne wyrzuty sumienia. Tak jak Elisabeth Bailey, która zrujnowała życie własnego syna. Poczucie winy nie dawałoby jej spokoju, choć nadal byłaby przekonana, że postąpiła słusznie.

- Dlatego właśnie chciała, żebyś wyjaśniła tajemnicę jego śmierci?

- Tak. -Amarylis patrzyła na krople deszczu padające na przednią szybę auta. - Zaczęła się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ona wydała na Landretha wyrok śmierci.

- Bo pewnie tak się właśnie stało. Ale to już przeszłość. Irene będzie musiała z tym żyć. - Lucas otworzył drzwiczki. - Chodź, pójdziemy do domu.

Dziewczyna naciągnęła na głowę kaptur płaszcza i wysiadła. Lucas wyjął walizki z bagażnika i razem weszli na schody.

Amarylis unieruchomiła zamek, pchnęła drzwi i weszła do ciemnego holu.

Gdy usłyszała szept talentu, poczuła, jak jeżą się jej włosy na głowie.

Ktoś był w mieszkaniu.

- Lucanie...

- Wiem. - Rzucił walizki i objął ją za ramiona. - Wynośmy się stąd - szepnął i zaczął popychać Amarylis w stronę schodów.

Dziewczyna nawet nie próbowała stawiać oporu. Odwróciła się na pięcie, gotowa do ucieczki. Na płaszczyźnie psychicznej poczuła znajome łaskotanie. Mimo całego dramatyizmu sytuacji Lucas chciał nawiązać z nią kontakt. Pragnął niewątpliwie wykorzystać swój talent, by dowiedzieć się czegokolwiek o intruzie.

Amarylis otworzyła się na więź, a po chwili jej umysł zaczął konstruować pryzmat.

Nagle zakręciło się jej w głowie i o mało nie upadła, gdy potężna energia talentu - obca, silna i brutalna – pochwyciła ją w żelazny uścisk.

To nie był Lucas. Nie Lucas...

Spróbowała się wycofać, ale już tkwiła w pułapce. Z przerażeniem poczuła, że tworzy pryzmat.

Coś zawładnęło jej systemem energetycznym. Przełała się przez nią jakaś ogromna siła. Strumienie złych mocy.

Amarylis zaczęła krzyczeć. Chwyciwszy się za głowę, uczyniła nadludzki wysiłek, by odciąć dopływ własnej energii.

- Nie! Dostyc. Nie!

Ale nic się nie stało. Nie mogła przerwać więzi. Strugi deszczu kapały jej na płaszcz. Jak szalona usiłowała oczyścić umysł. Więź trzymała się jednak mocno.

- Co jest? - Lucas porwał ją w objęcia. - Co się dzieje?

- Inny talent. - Amarylis oparła się ciężko o jego pierś.

- Do jasnej cholery! Czuję drania!

- Jest silny, bardzo silny! - Amarylis pomyślała, że jeśli za chwilę się nie wyzwoli, najprawdopodobniej oszaleje. Poczuła nowy przypływ paniki.

- Przerwij więź. Zniszcz pryzmat!

- Nie jestem w stanie. Nie potrafię. Jestem w pułapce. - Amarylis wiedziała, że musi się jak najszybciej oddalić od talentu. - Zabierz mnie stąd.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał Lucas, porwał dziewczynę w ramiona i ruszył do samochodu.

Gdy ogromny talent uderzył w pryzmat, Amarylis odwróciła się bojaźliwie w stronę wejścia, sądząc, że ujrzy tam jakieś monstrum.

Z mroków holu wyłoniła się jednak znajoma postać.

Na schodach - w migoczącym świetle lampy - stała Irene Dudley z pistoletem w ręku.

- Natychmiast wejdźcie do domu - powiedziała charakterystycznym tonem, jakim zwykle wydawała polecenia studentom. - Naprawdę nie należy moknąć na deszczu.

- Lucasiu, ona ma broń - szepnęła Amarylis.

- Niech się pan natychmiast zatrzyma, bo będę zmuszona jej użyć.

Lucas odwrócił się wolno, żeby spojrzeć na Irene. Amarylis wyczuła, że szybko ocenia szanse ucieczki. Wiedziała dokładnie, w którym momencie Trent doszedł do wniosku, że nie zdołają umknąć.

Gdy wniósł Amarylis po schodach na górę, Irene uśmiechnęła się z aprobatą.

- Tak lepiej. Teraz siadajcie, jeśli łaska. - Irene machnęła pistoletem w stronę Amarylis.

Lucas milczał. Postawił dziewczynę na podłodze w salonie i popatrzył jej w oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytał zupełnie bez emocji.

Mroczne, zimne spojrzenie Trenta przerażało Amarylis zupełnie tak samo jak zamach na jej zdrowie psychiczne.

- Nie - odparła, opierając się o kanapę. - W dalszym ciągu nie mogę się uwolnić. Zaraz zwariuję.

Lucas popatrzył na Irene.

- Zostaw ją.

- To nie byłoby mądre - odparła Irene, podchodząc nieco bliżej. - Mogłaby wtedy nawiązać więź z panem, a przypuszczam, że ma pan ogromną energię. Niestety nie wiem dokładnie, jakiej natury, i na wszelki wypadek muszę ograniczyć pański dostęp do silnego pryzmatu.

Lucas wzruszył ramionami, jakby to wcale nie było takie ważne. Siadając na kanapie, nie spuszczał jednak wzroku z jej twarzy.

- Nie ma powodu do zmartwienia - dodała Irene uprzejmie. - Ona i tak zaraz się wypali. Żaden pryzmat nie wytrzyma mojej siły. Nawet Jonathan nie dał mi rady.

Amarylis oparła się bezwładnie o poduszki, walcząc o zachowanie równowagi psychicznej. Nikt jej nigdy nie uczył, jak należy postępować w takiej sytuacji. To, co zrobiła Irene, wydawało się przecież niemożliwe.

Dziewczyna wiedziała, że Irene używa swej obezwładniającej energii, jedynie po to, by Lucas nie mógł nawiązać kontaktu z pryzmatem. Nie miała jednak pojęcia, jakiego rodzaju umiejętności posiadała panna Dudley, i nie potrafiła się przed nią obronić.



- To ty zamordowałaś Landretha, prawda? - spytał Lucas spokojnie.

Amarylis poczuła nagle powiew zimnego wiatru. Mimo cierpień psychicznych, uniosła głowę, żeby popatrzeć na Lucasa, i odwróciła się do Irene.

- Zabiłaś go? - spytała.

- Musiałam - odparła panna Dudley z odrobiną żalu w głosie. - W końcu doszłam do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Profesor nie zostawił mi wyboru.

- Czy dlatego, że Landreth odkrył twoją siłę i wiedział, co potrafisz zrobić z pryzmatem? - Lucas położył Amarylis rękę na ramieniu.

Pomieszanymi zmysłami dziewczyny targnął ogromny ból. Osmalone zakończenia nerwowe nie wiedziały, jak zinterpretować dotknięcie ręki. Trent cofnął dłoń w chwili, gdy Amarylis krzyknęła z bólu.

- Ależ skąd! Nic pan nie rozumie. - Irene patrzyła na Trenta ze źle skrywaną dumą. - Jonathan doceniał i szanował moje umiejętności. To właśnie on mnie nauczył, jak je kontrolować. Zawsze trenowaliśmy razem. Mówił, że nigdy się z niczym podobnym nie zetknął. Przeżyliśmy wspaniałe chwile. Nigdy ich nie zapomnę.

- Profesor Landreth służył ci za pryzmat, prawda? - Amarylis z trudem wydobywała z siebie głos.

- Tak. Po śmierci mego męża korzystałam wyłącznie z pomocy profesora. Zresztą on nie chciał, żeby ktokolwiek inny dla mnie ogniskował. Mówił, że to zbyt niebezpieczne.

- Dla pryzmatu?

- Nie, nie. Dla mnie. - Irene zachichotała cicho. - Jonathan uważał, że nikt nie powinien znać rozmiaru mego talentu. To był nasz mały sekret. Łączył nas bardziej niż związek małżeński.

- Więc dlaczego go zabiłaś? - spytał Lucas. - Doszłaś do wniosku, że nie chcesz z nim dłużej dzielić swojej tajemnicy?

- Nie, wcale nie z tego powodu.

- Więc dlaczego? - spytała Amarylis ochrypłym głosem. - Dlaczego?

- Bo zawiódł moje nadzieje. - Irene zacisnęła usta. - Sądziłam, że Jonathan uosabia wszystkie zalety naszych przodków. A on był zboczonym kłamcą. Zdradził mnie.

- Boże! - szepnęła Amarylis. - Więc ta cała sprawa nie miała nic wspólnego z polityką ani z Giffordem. Zamordowałaś profesora z powodu Vivien.

- Jonathan okazał się równie słaby jak mój mąż. Przeżyłam głębokie rozczarowanie.

Ból wdzierał się w każdy zakątek płaszczyzny psychicznej Amarylis.

- Zaczaiłaś się na profesora w górach i zepchnęłaś go w przepaść.

- Często jeździliśmy tam razem - wyznała Irene. - Oczywiście nikt o tym nie wiedział.

- Kolejna tajemnica - mruknął Lucas.

W pokoju znów powiał chłodny wiatr. Amarylis zebrała całą swoją siłę, żeby zakłócić czystość pryzmatu, ale niestety, jej próba i tym razem się nie powiodła.

- Byliśmy zawsze bardzo dyskretni - westchnęła Irene. - A podczas naszej ostatniej wspólnej wyprawy postanowiłam ze wszystkim skończyć. Po kolacji jak zwykle poszliśmy na spacer. Stworzyłam ostatnią więź, doprowadziłam Jonathana do krańców wytrzymałości, a kiedy miał już się wypalić, zepchnęłam go w przepaść. Myślę, że on nawet nie zdawał sobie z niczego sprawy.

- Dobry Boże! - Amarylis opadła na kanapę.

- Potem wróciłam sama do domu - powiedziała Irene. - To był najsmutniejszy dzień w moim życiu, ale wiedziałam, że postąpiłam słusznie.

- A władze nigdy nie kwestionowały wypadku Landretha - dodał Lucas.

- Wszystko poszło nadzwyczaj gładko - zapewniła go Irene. - Grunt to dobra organizacja.

- I nigdy prawda nie wyszłaby na jaw, gdyby nie Amarylis, która zaczęła zadawać pytania - powiedział Lucas.

Irene popatrzyła na dziewczynę oskarżycielskim wzrokiem.

- Nastąpił niezwykle niefortunny splot okoliczności. Na chwilę przestało sprzyjać mi szczęście, co powinnam była przewidzieć. Spotkanie z Sheffieldem doprowadziło Amarylis na wydział nauk ogniskowych.

- Wiedziałaś, że pytania o pryzmat działający w nieetyczny sposób mogą się przyczynić do rozmaitych spekulacji - szepnęła Amarylis.

- A te spekulacje dotyczyłyby również okoliczności, w jakich zginął profesor. To było nieuniknione, bo prędzej czy później musiała się pani zorientować, panno Lark, że natrafiła pani na motyw morderstwa. Oczywiście wyciągnęła pani zupełnie fałszywe wnioski, ale pani upór mógł panią w końcu naprowadzić na dobry trop.

- Dlaczego wysłałaś mnie do Vivien?

- Chciałam ukreślić łeb całej sprawie już na samym początku. Sądziłam, że przestanie się pani tym interesować, kiedy pani odkryje, jaki to był właściwie człowiek.

- Miałaś nadzieję, że będę zbulwersowana. - Amarylis zacisnęła zęby, czując kolejne uderzenie energii na płaszczyźnie psychicznej. - Myślałaś, że przestanę się interesować śmiercią profesora tylko z powodu jego znajomości ze striptizerką?

- Gdyby miała pani odpowiednią hierarchię wartości, z pewnością tak by właśnie pani postąpiła. Zrozumiałaby pani natychmiast, że Jonathan zasłużył sobie na taki koniec. Zadawał się przecież z całkowicie amoralną kobietą. Sprawiedliwości stało się zadość.

Amarylis poczuła przyływ gniewu.

- Nie masz prawa potępiać Vivien. Zabiłaś człowieka.

Napór talentu na pryzmat zelżał na chwilę i w sercu Amarylis zaświtała nadzieja. Z chwilą, gdy jej gniew minął, poczuła jednak potężny przyływ energii Irene.

Panna Dudley potrząsnęła głową.

- Wydawało mi się, że przywiązuje pani znacznie większą wagę do moralności, panno Lark. Wierzyłam, że stawia pani ludziom wysokie wymagania. Bardzo się na pani zawiodłam.

- Kiedy się pani zorientowała, że Amarylis zamierza ustalić fakty, uczyniła pani kolejny krok, usiłując zwrócić jej uwagę na Osterleya. On miał motyw. Wszyscy wiedzieli, że kłócił się z Landrethem.

- Kiedy panna Lark zapytała o ostatnie spotkania Jonathana, od razu przyszedł mi do głowy ten okropny Osterley - zgodziła się Irene.

Amarylis poczuła przyływ wściekłości i znów doznała wrażenia, że energia Irene słabnie.

- Chciałaś wrobić Gifforda. To ty zrobiłaś tę notatkę o spotkaniu.

- Po tylu latach nie miałam kłopotu z naśladowaniem charakteru pisma Jonathana.

Lucas przyglądał się jej uważnie.

- Ale zmieniła pani zdanie i w końcu to Sheffield został kozłem ofiarnym. Dlaczego? Przecież pani go popierała.

- Okazał się nie lepszy od Jonathana.

- W jaki sposób zdobyła pani informacje na jego temat?

- Od Natalie Ewick - powiedziała Amarylis.

- Istotnie. - Irene zacisnęła usta. - Sekretarka Gifforda Osterleya jest moją starą znajomą. Pracowałyśmy razem całe lata, dopóki Natalie nie zdecydowała się na posadę w Niezwykłych Pryzmatach. I to ona mi powiedziała, że Sheffield wynajmował tylko młode, piękne pryzmaty

płci żeńskiej, które w ramach umowy szły z nim również do łóżka. A on czerpał z tego perwersyjną przyjemność seksualną. Tak przynajmniej twierdziła Natalie.

- Nic dziwnego, że Gifford miał pietra - powiedział cicho Trent. - Prowadzi agencję towarzyską, w której zatrudnia pryzmaty z pełnym widmem.

- Aż trudno w to uwierzyć! - Irene podniosła głos. - Madison kandydował na urząd gubernatora z ramienia partii Cnoty Przodków. A potem zostałby na pewno prezydentem, gdybym mu tego nie udaremniła.

- Wrabiając go w morderstwo - dokończył Lucas.

- I tak miałam zamiar ukarać tę striptizerkę. To ona sprowadziła Jonathana na manowce. Nie mogłam pozwolić, żeby została przy życiu. Ale jeszcze zanim skończyłam przygotowywać plan morderstwa, sprawa bardzo się skomplikowała.

- Bo Amarylis zaczęła zadawać pytania – powiedział Lucas.

- Panna Lark stanowiła dla mnie bardzo poważne zagrożenie. - Irene zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu.

- Profesor Landreth nie miał żadnych dowodów przeciwko Sheffieldowi, prawda? - spytała Amarylis przez zaciśnięte zęby. - Wymyśliłaś te bzdury, bo chciałaś się pozbyć Sheffielda i Vivien za jednym zamachem.

Lucas popatrzył na Irene.

- A po tym, jak zabiła pani Vivien, zostawiła pani w jej garderobie te nadpalone papiery.

- Chciałam, żeby policja pomyślała, że Sheffield chciał zniszczyć dowody rzeczowe - powiedziała Irene. - Sądziłam, że to świetny pomysł.

- W jaki sposób sprowadziłaś Sheffielda do Vivien?

- Stałam za nią z pistoletem w ręku, kiedy dzwoniła do pani i Sheffielda. Zmusiłam ją, żeby przeczytała opracowany przeze mnie tekst.

- A strażnik? W jaki sposób pozbyłaś się strażnika?

- Zapłaciłam przypadkowo spotkanemu facetowi za to, żeby wręczył mi łapówkę. W dzisiejszych czasach trudno o uczciwych pomocników.

- Chciałaś również zabić mnie po tym, jak odkryłam ciało Vivien. Czekalaś na mnie w holu za garderobą. Sądziłaś, że i w to morderstwo uda ci się zrobić Sheffielda.

- Taki właśnie miałam zamiar, ale pani mi wszystko popsuła.

- Jak śmiesz?

Na płaszczyźnie psychicznej Amarylis pojawił się gniew. Energia przechodząca przez pryzmat znacznie zmalała. Kącikiem oka dostrzegła wzrok Lucasa. On również wyczuł, że siły Irene słabną. W końcu był wykrywaczem. I to w dodatku wysokiej klasy.

Irene zmarszczyła brwi.

- Dlaczego wróciła pani do garderoby Vivien, a nie pobiegła do wyjścia? Byłam przekonana, że pani ucieknie. Wyłączyłam światła na korytarzu, żeby nie mogła pani mnie zobaczyć. Wiedziałam, że stanie się pani łatwym celem. Ale pani zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim zdążyłam pociągnąć za spust. Dlaczego? Dlaczego?!

- Bo cię wyczułam. - Amarylis w dalszym ciągu bardzo spokojnie siedziała na kanapie. - Twój talent pryskał na wszystkie strony jak rozgrzany olej. Nie mogłaś nad nim zapanować.

- Nieprawda - syknęła Irene. - Zawsze kontroluję swoją energię.

- Pewnie bardzo się denerwowałaś - szepnęła Amarylis. - Zresztą, nie widzę w tym nic dziwnego, zważywszy, że właśnie popełniłaś morderstwo i zamierzałaś znowu zabić człowieka.

- Głęboko się pani myli. Zawsze trzymałam swój talent na wodzy - Irene podniosła głos. - Ale nie wyszła pani na korytarz i pokrzyżowała mi pani plany. Właśnie się zastanawiałam, co robić, kiedy przyjechał Sheffield. On rzeczywiście był zdenerwowany. To jego talent pani wyczuła.

- Tak, ale dopiero później, kiedy chowałam się w korytarzu za sceną. - Amarylis uśmiechnęła się drwiąco. - Najpierw to byłaś ty, a dopiero później Sheffield.

- Nie! - krzyknęła Irene. - Od początku wyczuwała pani Sheffielda. On jest bardzo słaby.

Energia uderzająca w pryzmat w dalszym ciągu malała. Wściekłość Irene przytłumiła jej talent. Amarylis nie udało się jeszcze wprowadzić spod niego wyzwolić, ale zaświtała jej iskierka nadziei.

Gdzieś na samym krańcu podświadomości wyczuła siłę Lucasa. Jego talent zaczął się daleko w mroku jak zwierzę czatujące na swoją ofiarę.

- Sheffield nie zobaczył mnie w ciemnościach. - Irene z trudem zachowywała resztki spokoju. - Przez jedną straszną chwilę myślałam, że poniosłam klęskę. Bałam się, że ucieknie, ale on posłużył się tą idiotyczną fioletową gwiazdą jak latarką. Głupiec! Za bardzo się bał, żeby zawrócić. Vivien powiedziała mu przez telefon, że posiada informacje, które mogą zrujnować mu karierę.

- Kiedy wszedł do garderoby i zapalił światło, wyszła pani przez kulisy i zamknęła drzwi od strony ulicy, żeby Sheffield musiał się błąkać po korytarzach w poszukiwaniu innej drogi ucieczki - zakończył Lucas.

- Wiedziała, że wcześniej czy później napotczy się na kogoś, kto go rozpozna - powiedziała Irene. - A wtedy znajdą się akta i wszystko wróci do ładu. Wprawdzie Amarylis pozostała przy życiu, ale liczyłam na to, że po aresztowaniu Sheffielda przestanie wreszcie węszyć.

Walcząc z bólem, Amarylis popatrzyła Irene prosto w oczy.

- Ale przed wyjazdem do rodziny powiedziałam ci przez telefon, że jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne.

- A ja zrozumiałam, że nigdy się od pani nie odcepię. Miała pani obsesję na tym punkcie i mogła się pani w końcu domyślić prawdy. Doszłam więc do wniosku, że obydwoje musicie umrzeć. Po waszej śmierci skończą się wreszcie moje kłopoty i wszystko wróci do normy.

- Za późno.

Dziewczyną targaną mieszaniną najrozmaitszych uczuć. Miłość do Lucasa okazała się jednak silniejsza od gniewu i strachu. Amarylis wiedziała, że nie może pozwolić mu umrzeć. Musiała go uratować, i to było dla niej najważniejsze.

Nie wiadomo, z jakiego powodu przypomniała sobie nagle wizytę u Elisabeth Bailey. Niektóre mury są zbyt wysokie, ale można je ominąć.

Aby stworzyć Lucasowi pole do działania, należało skłonić Irene do użycia największej siły, gdyż wymagało to od talentu wysokiej klasy ogromnej koncentracji.

Amarylis rozmyślnie zburzyła bariery samokontroli, które tak mozolnie budowała przez całe lata. Zalała ją fala największych emocji i namiętności. Zebrała więc w sobie cały gniew, oburzenie i determinację, jakie dotąd nigdy nie znalazły ujścia. A potem dorzuciła do nich wolę przeżycia i ocalenia Lucasa.

Czarodziejska mieszanka wpłynęła do jej krwiobiegu narkotycznym strumieniem, który objął w swe posiadanie nawet zdarzenia rozgrywające się wyłącznie na płaszczyźnie psychicznej.

Pryzmat pociemniał i zmętniał.

Irene uczyniła nadludzki wysiłek, żeby utrzymać więź.

Rozrywana szponami talentu Amarylis krzyknęła cicho i zmusiła Irene do użycia jeszcze większej energii.

- Przestań. - Pistolet zadrżał w dłoni Irene. - Przestań w tej chwili, słyszysz? Zaraz się wypalisz.

Amarylis wiedziała, że tak się nie stanie. Z ogromnym trudem pokonała strach przed utratą zmysłów i skupiła się wyłącznie na tym, co pragnęła osiągnąć.

- Co się stało, Irene? - spytała cicho. - Czyżbyś się bała? Na pewno znasz teorię profesora, który twierdził, że w ten sposób można zniszczyć nawet największy talent. Wspominał ci kiedyś coś na ten temat?

- Kłamiesz. Nigdy mnie nie zniszczysz. - Irene zrobiła krok do przodu. - Jestem dla ciebie za silna, Jonathan mówił, że on też nie da mi rady. Nawet mój mąż nie miał przy mnie żadnych szans. Nie istnieje nikt silniejszy ode mnie. Dlatego wszystko musi być tak świetnie zorganizowane. Dlatego nigdy nie stracę nad niczym kontroli.

- Przecież już ją straciłaś, Irene. Jesteś szalona.

- Nie!

Lucas znów poruszył się lekko. Amarylis jednak wiedziała że dopóki Irene celuje do niej z pistoletu, Trent ma ograniczone możliwości działania.

Przymknęła oczy, walcząc z kolejną falą bólu. A potem rozmyślnie wprowadziła ten ból do płonącej rzeki emocji płynącej w każdej arterii i żyły jej ciała. Mięśnie zupełnie zesztyniały, skóra paliła żywym ogniem, w ustach zabrakło śliny. Zdawała sobie jednak sprawę, że Irene w końcu uświadomiła sobie dokładnie, jaką cenę jej przyjdzie zapłacić za utrzymanie więzi.

Nie wiedziała tylko, kiedy Irene straci z nią kontakt i pociągnie za spust.

Na płaszczyźnie psychicznej Amarylis powiał zimny wiatr. Był tak silny i gwałtowny jak talent, który przechwycił kontrolę nad więzią. W pokoju zbierała się powoli gęsta, brunatna mgła.

A z tej mgły wyłonił się nagle profesor Landreth z krwawą miazgą zamiast głowy. Miała go właśnie zapytać, co robi u niej w salonie, gdy usłyszała potworny krzyk.

- Nie! - wrzeszczała Irene. - Przecież ty nie żyjesz! Nie żyjesz!

Amarylis o mało nie ogłuchła od powodzi przenikliwych dźwięków. Wyciom, piskom i skrzekom nie było końca.

Aż w końcu zobaczyła, jak Lucas zrywa się z kanapy.

Talent przepływający tak boleśnie przez pryzmat został nagle odcięty. Amarylis była wolna. Stało się to jednak zbyt nagle i jej przeciążony system nerwowy nie wytrzymał szoku. Dziewczyna poczuła, jak zalewa ją fala nieświadomości.

Wśliznęła się głową naprzód w zapadającą ciemność. Ostatnią rzeczą, jaką jeszcze udało się jej zobaczyć, była rzeka krwi zalewająca dywan. Nie wiedziała jednak, kto krwawi, i nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo odpłynęła w niebyt.



## Rozdział dwudziesty

Irene Dudley wampirem psychicznym! - Clementine przysiadła na szpitalnym łóżku Amarylis i potrzęsła głową w zadumie. - Kto by pomyślał!

- A w dodatku nie widzę w tej całej historii nic romantycznego - dodał Byron - Myślę, że Irene nie nadaje się na bohaterkę powieści Orchid Adams. Brakuje jej klasy, elegancji... Może panna Adams powinna raczej pisać powieści przygodowe, na przykład o Wyspach Zachodnich, zamiast zajmować się wampirami, bo najwyraźniej nie ma o nich pojęcia.

- My i tak nie powiemy jej prawdy. - Amarylis oparła się wygodnie o nieskazitelnie białe poduszki i popatrzyła na swoich gości. - Zgodziliśmy się przecież co do tego, że im mniej osób się dowie o tej całej historii, tym lepiej. Policja traktuje Irene jak wariatkę, która zamordowała swojego kochanka, kiedy odkryła jego związek ze striptizerką.

- Jasne - powiedział szybko Byron. - Rąbnięta sekretarka morduje kochanka, a potem striptizerkę. W całą tę aferę wplątuje się przypadkiem pewien znany polityk i traci szanse na fotel gubernatora. Koniec historyjki.

- Dokładnie. Nie zależy nam na tanich, szmirowatych opowiadaniach o wampirach psychicznych. Nelson Burlton nie darowałby sobie takiej okazji, a ludzie zaczęliby się obawiać talentów wysokiej klasy.

- Trochę szkoda - uśmiechnęła się Clementine. - Już sobie wyobrażam program Burltona.

- Ten, kto się z nim skontaktuje, będzie miał najpierw ze mną do czynienia - powiedział Lucas od drzwi.

Amarylis odwróciła się szybko, żeby na niego popatrzeć. Nie widziała go przecież od ubiegłej nocy, kiedy to policja przewiozła ich oboje do szpitala.

Lucas uśmiechnął się do niej radośnie. W jednym ręku trzymał bukiet róż, drugą podtrzymywał temblak.

- Jak pan sobie życzy, panie Trent - Clementine wyciągnęła do niego gazetę. - Widział pan te nagłówki?: *Pryzmat rozwiązuje zagadkę morderstwa!* Czy moglibyśmy wymyślić lepszą reklamę?

- Zastanawiałem się długo, co by się stało, gdyby Amarylis nie poszła z panem na przyjęcie. - odezwał się Byron. - Gdybyście nie odkryli, że Sheffield ogniskuje charyzmę, prawda nigdy nie wyszłaby na jaw.

Amarylis potrząsnęła głową.

- Wydaje mi się, że nie masz racji. Irene zupełnie oszalała. Zabijając profesora Landretha, pozbyła się jedynej osoby, która pomagała jej trzymać talent na wodzy. Już wtedy chciała zamordować Vivien, a kiedy dotarły do niej słuchy o tym, że Sheffield sypia z pryzmatami, wydała również i na niego wyrok. W końcu posunęłyby się za daleko.

- Ale zanim popełniłaby jakiś znaczący błąd, pozbawiłaby życia wiele osób.

- Mmm - Clementine oparła głowę na rękę. - Może Psynergia powinna się bardziej skupić na pracach związanych z bezpieczeństwem firm? Nie chciałabym zaprzepścić takiej szansy.

- Jeśli się na to zdecydujesz, będziesz miała o jednego pracownika mniej - powiedział ponuro Lucas. - Amarylis poszuka sobie innej pracy. Nie zgadzam się na żadne dochodzenia.

- Nie podniecaj się tak, Lucasie - mruknęła Amarylis.

- To nie ja wylądowałem w szpitalu. - Lucas podszedł do łóżka i pocałował Amarylis w czoło. - A ty powinnaś odpoczywać. - Wręczył jej kwiaty. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Powąchała żółte różo-storczyki. - Zamierzam się dzisiaj stąd urwać.

- Jesteś pewna, że możesz wrócić do domu.

- Oczywiście. Już się nie mogę tego doczekać. Przeżyłam po prostu szok i byłam zupełnie wyczerpana. Kula przeznaczona dla mnie raniła ciebie.

- Może przestanie ci się tak spieszyć, jeśli ci powiem, że dzwonił twój wuj. On i Hannah wybierają się dzisiaj do miasta, żeby sprawdzić, cytuje: „Co się z tobą, u diabła, dzieje”.

- Tak powiedział? Bardzo się tego bałam.

Byron popatrzył z zainteresowaniem na Lucasa.

- A jak potoczą się dalej losy Irene?

- Lekarze chcą ją skierować na leczenie psychiatryczne. Właśnie przygotowują papiery.

- Nie będzie procesu? - spytała Clementine z rozczarowaniem w głosie.

- Wątpię. - Lucas ujął dłoń Amarylis. - Kiedy Irene zrozumiała, że jej talent został zniszczony, naprawdę postradała zmysły. Psychiatra z izby przyjęć twierdził, że, nigdy w życiu się nie zetknął z tak poważnym przypadkiem.

- Bo nikt nigdy nie słyszał o zniszczeniu talentu - powiedziała Clementine. - Badania wykazują, że zbyt intensywne eksploatowane pryzmaty po prostu się wypalają, a talenty tracą siłę. Potem jednak znowu ją odzyskują.

- Jak się okazuje, naukowcy nie zawsze mają rację - orzekł Byron.

Clementine skinęła głową.

- No tak. Chciałabym się jednak jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Czego? - spytał Lucas.

- Jakiego rodzaju talentem była Irene? Nikt o tym nie pisał.

- Ja też się nad tym zastanawiałam - przyznała Amarylis. - To pewnie zabrzmiało dziwnie, ale czuję, że profesor miał rację, mówiąc, że Irene posiada wybitny talent organizacyjny.

**Z**robiliśmy to razem, prawda? - spytała rzeczowo Amarylis, kiedy Lucas wniósł ją po stopniach wodospadu do przestronnego holu w wielkim domu. - Zniszczyliśmy talent Irene i jej zdrowie psychiczne.

- Można spokojnie powiedzieć, że ona i przedtem nie była całkiem normalna. Nie powinnaś mieć żadnych wyrzutów sumienia - Lucas ostrożnie posadził Amarylis na sofie w salonie. - Ale tak, rzeczywiście wypaliliśmy razem jej talent. Ty zmusiłaś Irene do wysiłku ponad miarę, a ja zepchnąłem ją w przepaść.

- Pamiętam, jak strasznie krzyczała. - Amarylis poczuła, że ma dreszcze. - Znalazłam sposób, by stłumić jej energię. Irene na pewno się bała, że chce przerwać więź, i coraz bardziej wyęczała siły. Kiedy jednak zrozumiała, że się nie wypalę, sama próbowała się wycofać.

- Ale za późno - powiedział Lucas. - Straciła kontrolę nad umysłem i talentem. Trzymała cię na muszce, celując prosto w serce. Na pewno by nie chybiła.

- I co ty właściwie zrobiłeś?

- Na szczęście potrafię ogniskować przez parę sekund bez pomocy pryzmatu.

- I stworzyłeś iluzję, żeby odwrócić uwagę Irene. - Amarylis poszukała wzrokiem jego twarzy. - Ale jaką?

- Miałem tylko jedną szansę. Musiałem wymyślić coś, co by nią naprawdę wstrząsnęło. Przypominasz sobie fotografię Landretha, która wisiała u niej w biurze?

- Czyżbyś... Nie, to niemożliwe.

- Owszem. - Lucas przysiadł na brzegu kanapy i oparł łokcie na udach. - Wiedziałem, jak on wygląda, bo pamiętałem to zdjęcie. Stworzyłem iluzję profesora ze zmiażdżoną głową.

- Krew... - Amarylis aż się wzdrygnęła. - Rzeczywiście... Widziałam całą rzekę krwi.

- Trochę przesadziłem. Nie miałem czasu na dopracowanie wizji. Ale Irene wycelowała w iluzję Landretha, a wtedy się na nią rzuciłem. - Lucas zerknął na swoje ramię. - Niestety, pistolet wypalił, zanim zdążyłem go jej odebrać.

- Nic dziwnego, że tak strasznie krzyczała. Widocznie myślała, że zobaczyła ducha.

- Kiedy lekarze skończyli opatrywać mi ramię, zadzwoniłem do Stonebrakera. Opowiedziałem mu całą historię. Stonebraker wystawi mi rachunek za stracony czas i wydatki.

- To po prostu śmieszne! Nie było żadnych akt poza tymi, które spreparowała Irene.

- Właśnie. Stonebraker nie znalazł tych dokumentów tylko dlatego, że nie istniały, co zresztą potwierdza jego umiejętności.

Odezwał się gong przy drzwiach, więc Amarylis nie mogła wymyślić odpowiedniej riposty.

- Jeszcze nam tego brakowało - mruknął Lucas, wstając z kanapy. - Zaraz wracam.

Poszedł do drzwi, a po chwili Amarylis usłyszała męskie głosy, więc wstała z kanapy i ruszyła w ślady Lucasa.

W progu zobaczyła Calvina Rye, który skinął jej uprzejmie głową.

- Panno Lark...

- Witam pana.

- Rozumiem, że nie najlepiej się pani czuje – powiedział sztywno Calvin. - Nie zamierzam zostać zbyt długo.

Lucas oparł się jedną ręką o framugę.

- Czego sobie życzysz, Rye?

- Podobno Dillon chce dla ciebie pracować.

- Zgadza się.

- Powiedziałem mu, że ma moje błogosławieństwo. Beatrice oczywiście bardzo się niepokoi, ale długo z nią rozmawiałem. Sądzę, że to wreszcie do niej dotarło.

- Co? - spytał Lucas. - Czyżby twoja żona wreszcie zrozumiała, że Dillon musi kiedyś rozwinąć skrzydła?

- Nie. Ale zyskała pewność, że może ci go oddać spokojnie pod opiekę... - Nie czekając na odpowiedź, Calvin uklonił się Amarylis i wyszedł z domu.

Lucas zamknął starannie drzwi i spojrzał jej prosto w oczy.

- On zna prawdę - powiedziała Amarylis. - Wyczytałam to wyraźnie z jego twarzy.

- Zna prawdę o Jacksonie?

- Tak. Chyba cały czas się wszystkiego domyślał. W końcu był jego ojcem. Lepiej niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę ze słabości własnego dziecka. Ale wie również i to, że może ci całkowicie zaufać. Nigdy nie zdradzisz tajemnicy rodzinnej.

**A**marylis obudziła się po północy i poczuła znajomy przyływ świadomości. Lucas szukał więzi, więc otworzyła przed nim umysł. Na jej płaszczyźnie psychicznej pojawił się czysty, lśniący pryzmat.

Promienny, starannie kontrolowany talent Lucasa przelewał się delikatnie przez połyskujący kryształ. Amarylis zaczęła się powoli rozkoszować tym wspaniałym doznaniem.

- Nie boli cię? - spytał Lucas. - Jeśli nie jesteś jeszcze gotowa, natychmiast przerwę więź.

- Nic mnie nie boli. - Uśmiechnęła się do niego w ciemnościach. - Kocham cię.

Poczuła przyływ świetlistej energii, a Lucas wziął ją w ramiona.

- Brakuje mi słów, by wyrazić całą moją miłość do ciebie - powiedział.

- Właśnie je znalazłeś. - Poglaskała czule jego policzek.

Pocałował ją w usta, a dotknięcie cudownego talentu niemal odebrało jej oddech.

- Na pewno tego chcesz? - spytał Lucas.

- Nic mi nie będzie - odparła i musnęła wargami jego stęsknione wargi.

**M**usimy sobie coś wyjaśnić - Oscar przyglądał się z uwagą wybująym paprociom otaczającym taras posiadłości. - Jeśli chcesz się naprawdę ożenić z moją siostrzenicą, trzymaj ją z daleka od kłopotów. Odkąd cię poznała, bez przerwy popada w jakieś tarapaty.

Lucas wręczył Oscarowi butelkę schłodzonego piwa.

- Nie martw się. Dopilnuję, żeby przyjmowała tylko rutynowe nowe zlecenia.

- Mam nadzieję - mruknął Oscar i stanął przy jednym z drzew.

W domu zadzwonił telefon, ale Lucas nie zwrócił na niego uwagi. Hannah i Amarylis były w kuchni. Jedna z nich mogła przecież podejść do aparatu.

- Co za niesamowity ogród! - Oscar uniósł ogromny liść, żeby mu się lepiej przyjrzeć.  
- Ta posiadłość należała do wybitnego talentu ogrodniczego.  
- Oni lubią takie dziwactwa. A my, talenty rolnicze wolimy rośliny o bardziej praktycznym zastosowaniu.

Lucas z trudnością ukrył uśmiech.

- Naprawdę?

- Owszem. - Oscar wypuścił liść z dłoni i zerknął na Lucasa. - Nie zamierzam udawać, że jestem tym wszystkim zachwycony. Tysiąc razy bym wołał, żeby skojarzyła was agencja. Ale widzę, że Amarylis naprawdę pragnie cię poślubić. Pamiętaj tylko, co ci mówiłem. Jeżeli ją skrzywdzisz...

- Lucas? - W progu stała Amarylis. - Telefon do ciebie. Mam przyjąć wiadomość?

- Nie, podejdę. Będę miał świetny pretekst, żeby się uwolnić od twojego wuja. On znowu robi mi wykład.

- Mówiłam ci, żebyś przestał, wujku. - Amarylis popatrzyła groźnie na Oscara.

- Nic nie mogę na to poradzić - wyznał szczerze Oscar.

- Rzeczywiście nie może. - W drodze do telefonu Lucas musnął przelotnie ramię dziewczyny. - Będzie zatruwał mi życie przez następne pół roku.

- Ciocia przemówi mu do rozumu.

- Oby! Bo jeśli nie, to będę musiał sam się tym zająć. - Lucas podniósł słuchawkę. - Tu Trent.

- Mówi Hobart Batt. Doradcy matrymonialni oznajmniają w takich sytuacjach, że właśnie znaleźli odpowiednią dziewczynkę.

- Daj spokój, Batt. Chciałem właśnie odwołać zgłoszenie.

- Co takiego? - Hobart wciągnął głęboko powietrze. - Nie może pan tego zrobić. Mam dla pana idealną żonę.

- Ale mnie to już nie interesuje.

- Proszę mi jednak pozwolić dokończyć, bo to niezwykła historia. Rozmawiałem z doradcą panny Lark i potwierdziłem wyniki. Jesteśmy przekonani, że będziecie świetnie dobraną parą.

Lucas odsunął słuchawkę od ucha i popatrzył na nią ze zdziwieniem. Potem powtórzył tylko dwa słowa.

- Panna Lark? Amarylis Lark?

- No, tak. Pytał mnie pan, czy kiedykolwiek skojarzyłem talent wysokiej klasy z pryzmatem o pełnym widmem. Mówiłem panu wtedy, że takie małżeństwa są rzadkie, ale niewykluczone.

Lucas wybuchnął śmiechem.

- Panie Trent? Czy pan mnie słucha?

Lucas śmiał się coraz głośniej i nie mógł przestać.

- Jesteśmy zdania, że wasze zdolności świetnie się uzupełniają - ciągnął niczym nie zrażony Batt. - Istnieje między wami doskonała równowaga synergistyczna. Oczywiście nie uda wam się uniknąć sporów, ale to naturalne. Mamy przecież do czynienia z ludźmi. Niemniej jednak... Co się panu stało?

Lucas nie odpowiedział. Śmiał się tak głośno, że o mało nie upuścił słuchawki.

- Lucacie? - Amarylis uśmiechnęła się pytająco. - Co cię tak rozbawiło?

- Nie uwierzysz. - Pochwycił ją w ramiona, okręcił w powietrzu, a potem mocno przytulił.

- Stanowimy idealną parę.

Hobart Batt w dalszym ciągu bełkotał coś do słuchawki, ale Lucas go nie słuchał. Obchodziła go tylko miłość, która świeciła w oczach Amarylis jaśniej niż tysiąc lamp zasilanych galaretowatym lodem.

- Właściwie nie jest to dla mnie taka duża niespodzianka - powiedział w końcu cicho.

- Rzeczywiście - uśmiechnął się Lucas.

Kiedy pochylił głowę, żeby ją pocałować, na płaszczyźnie psychicznej Amarylis pojawił się kryształowo czysty pryzmat. A energia, jaka się przez niego przelała, uderzająco przypominała tęczę rozciągniętą w przyszłość.

Lucas pomyślał, że więź między nimi jest równie idealna jak kobieta, którą trzymał w ramionach.